

SREBRNY PUCHAR

*Michał
Lewycki.*



WYDAWCA
STANISŁAW CUKROWSKI
W A R S Z A W A

SREBRNY PUHAR

Oplata pocztowa uiszczona ryczałtem.

D Z I E Ł A
Michała Zevaco

Nr. P. K. O. 24.328.

Warszawa, Senatorska 29.

P R E N U M E R A T A

WRAZ Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ WYNOŚI:

W broszurze: za 32 t. zbroszurowane w 16 grubych
książek 56 zł. płatnych w 8 ratach à 7 zł. miesięcznie.

W oprawie: za 32 t. oprawione w 16 grubych
książek 76 zł. płatnych w 8 ratach à 9.50zł. miesięcznie.

Nr. 11 — 12.

Redaktor i Wydawca: Stanisław Cukrowski.

MICHAŁ ZEVACO

SREBRNY PUHAR

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Przełożył z francuskiego

JAN MŚCIWÓJ



WYDAWNICTWO STANISŁAWA CUKROWSKIEGO
W A R S Z A W A

LP II 4012

- 1) RODZINA BORGIOŃ
- 2) SREBRNY PUHAR

są to powieści tworzące jedną całość z czasów
Aleksandra VI.

46992
I

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE.
TŁUMACZENIE POLSKIE JEST WŁASNOŚCIĄ
STANISŁAWA CUKROWSKIEGO



I.

HONOROWA WARTA.

Gdy Róża Vanozzo zamilkła, w grocie zaległa przez kilka minut głęboka, męcząca cisza, brzemienne niepokojem i gwałtownym wzruszeniem, kiedy słowo jest niepotrzebne i bezsilne.

Ragastens opanował się pierwszy — usiłując zorientować się w sytuacji *).

— Pozostaje uczynić jedną rzecz, — oświadczył. Należy wydrzeć młodą kobietę z rąk wroga i dokończyć śmiało podjęte przez panią dzieło wybawienia...

Wskazał na Magę, potem, zwracając się do niej, dodał:

— Jak długo może pozostawać bezkarnie pod działaniem narkotyku? Czy można coś wiedzieć napewno?

— Dwa dni i dwie noce, — brzmiała odpowiedź Magi, — ze ścisłością do kilku minut...

— Dobrze, to dłużej, niż nam jest potrzebne... Istotnie, pogrzeb odbędzie się jutro... Odwagi, Rafaelu... najgorsze już minęło, do diabła!

Na dźwięk wyrazu „pogrzeb“ Sanzio zadrżał i zachwiał się na nogach.

— Mów dalej, mój drogi, — rzekł, opanowując wzruszenie. Słowa twoje są straszne... lecz... tak trzeba... Mów dalej, mów...

— Otóż jak powiedziałem, pogrzeb ma odbyć się jutro, dla wszystkich bowiem Rosita nie żyje... żyje

*) O początkowych dziejach naszych bohaterów Czytelnik dowie się po przeczytaniu powieści p. t. „Rodzina Borgiów“.

tylko dla nas... żyje... śpi spokojnym snem, aż do chwili, w której zbudzisz ją pocałunkiem, szczęśliwy małżonku!

Rafael uściskał rękę Ragastensa, jakby chcąc mu podziękować; był jednak wciąż jeszcze przerażająco blady.

— Teraz sprawa jest już bardzo łatwa, ciągnął dalej Ragastens... Czekamy nocy, wydostajemy się na cmentarz Tivoli i w przeciągu kilku minut budzimy śpiącą królową...

— Ja nakreśliłam sobie ten sam plan, rzekła z kolei Maga. Wykonałabym go sama; tem większa racja mieć nadzieję, że się uda przy pomocy panów.

— To prawda! Przytaknął Ragastens. Otóż, moi drodzy, ponieważ nie mamy dziś nic lepszego do roboty i wobec tego, że potrzebujemy na jutro dużego zapasu sił, kładźmy się spać, a zbirowie Borgii mogą sobie myszkować po całej okolicy dowoli... Albo raczej... kładźcie się spać... ja bowiem muszę jeszcze powiedzieć słowa kilka biednemu Spadacape'owi, który czeka na nas przy koniach...

— Rada kawalera jest słuszna, zgodził się Machiavelli. Chodźmy spać, Rafaelu...

Maga i dwaj mężczyźni ulokowali się jak mogli najwygodniej, aby przetrwać noc, Ragastens zaś wymknął się z grotty, przez rozpadlinę w skale, wskazaną im przez Magę.

Znalazł się na dnie parowu, w pobliżu Anio, spadającego ze skał z wielkim hałasem, przeorując głęboką bruzdą wtulone między skały jeziorzka, aby wypłynąć dnem szyi górskiej na dolinę. Po drugiej stronie urwiska, hen, wysoko znajdowała się grotta, do której wdarli się zbirowie Borgii.

Ragastens zwrócił wzrok w tamtą stronę. Okolica tonęła w mroku; panowała głęboka cisza... Zaczął wdzierać się na strome zbocze urwiska, stanął na wierzchołku i jał rozglądać się dokoła. Nie ujrzał jednak nic podejrzanego.

Możliwem było, że pogoń była już daleko, jeśli wo-

góle nie wrócili już wszyscy do willi. W obu wypadkach najbliżej nich położona okolica nie była strzeżona.

Ragastens rzucił się w kierunku małej furtki, którą przy pomocy imię pana Bonifacego Bonifazi wszedł do ogrodu. Wkrótce znalazł się w małym lasku, gdzie się ukrył Spadacape, mający pilnować osiodłanych i zauzdanych koni, gotowych każdej chwili do drogi. — Oby tylko ich nie odkryto! pomyślał.

Szedł ostrożnie, nagle tuż przy sobie usłyszał rżenie.

— To Kapitan, — szepnął. Nie potrzebuje mnie widzieć, aby poznać, że to ja się zbliżam... Czuje mnie... Ach! mój ty wierny towarzyszu!

Po chwili był już przy Spadacape'ie.

— To pan? — zapytał wasal. Już od paru minut zdawało mi się, że pan jest w lasku... Kapitan z uporem próbował zwiać...

— Nic nie widziałeś? — zapytał Ragastens, głaszcząc wierzchowca.

— Widziałem zdala snujące się pochodnie... słyszałem krzyki... potem zdawało mi się, że oddział konny opuścił willę i zaczął zjeżdżać z góry... zrozumiałem, że gonią za panami, i, gdyby nie pański bezwzględny zakaz opuszczania stanowiska, cokolwiekby się stało, udałbym się w tamtą stronę wraz z końmi w nadziei, że spotkam się z panami... Ach, mości kawalerze... sądziłem, że nigdy już więcej nie ujrzę pana!

— Powiadasz, że większość jeźdźców zjechała na dół?

— Jestem tego pewny... żaden jeszcze nie wrócił do Tivoli...

— Wszyscy więc są przeświadczeni, że uciekamy Florenckim traktem... Jeśli tak jest, — Tivoli nie ma specjalnego dozoru... Wszystko cudownie się składa... Odprowadzisz konie do oberży, potem zaczekasz tam. Jeśli zagnają się wypytywać, powiesz, że udaliśmy się na pieszą wycieczkę, chcąc zwiedzić wszystkie osobliwości okolicznych gór. Jeśli zaś w miasteczku zagnają

pogadywać o tem, co zaszło w willi, zaczekasz na mnie, aby mnie uprzedzić.

— Rozumiem.

— Następnie o samym świecie zdobędziesz solidny powóz, zaprzężony w dwa konie... Oto pieniądze... Powóz powinien wytrzymać ewentualną gonitwę po dobrych i złych drogach; przez cały dzień konie muszą być zaprzężone... Wymyślisz jakiś pretekst... Dostarczysz mi wreszcie ubrania, jakie noszą okoliczni mieszkańcy Tivoli... Jutro rano, to jest po paru godzinach, zobaczymy się... Czy dobrze zrozumiałeś?

Spadacape skinął głową, co miało oznaczać, że można mu zaufać, poczem oddalił się, pociągając za sobą konie.

Wierząc w przebiegłość i odwagę dawnego łotrzyka, Ragastens wrócił uspokojony nieco do pieczary, rozciągnął się natychmiast, jak długi na stosie suchych liści i zasnął twardo, jak suseł.

Promień słońca przesaczył się już poprzez popłątaną gąszcz gałęzi jeżynowych, zasłaniających wejście do groty, gdy się zbudził ze snu. Ujrzał Rafaela i Machiavelli'ego, rozmawiających w głębi pieczary z Magą.

— Dzień dobry! — zawołał wesoło. — Czy będziemy dziś jeść śniadanie? i co?

— Przewidziałam to, że będę, być może, zmuszona spędzić tu kilka dni — odpowiedziała Maga. — Mam wino na dodanie sił, *biscotello* *), oraz kilka kawałów wędzonego mięsiwa.

Jedynie Ragastens i Machiavelli zaszczycili ten skromny posiłek swą uwagą. Kawaler zdał sprawę z tego, jakie rozporządzenie wydał Spadacape'owi i oświadczył, że, nie zwlekając, przystępuje do dzieła.

— Czy będę ci potrzebny? — zapytał Machiavelli.

*) Rodzaj placzków w specjalny sposób przygotowywanych we Włoszech. Przechowywane przez czas dłuższy nie czerstwieją.

— Nie, lepiej będzie, gdy zacznę działać sam; nawet jest to konieczne. Gdy będziemy we dwóch, mogą na nas zwrócić uwagę, a wtedy wszystko—stracone. Nie ruszajcie się stąd, a nad wieczorem zjawię się tu, aby oznaczyć wam chwilę, w której i wy weźmiecie udział w grze.

— Drogi przyjacielu! — zawołał Sanzio. — Co począłbym, gdyby nie ty?

— Obyś mógł kiedyś być szczęśliwy i zdobyć szczęście, na które zasługujesz! — rzekła Maga dziwnie uroczystym tonem.

Ragastens drgnął.

— Z czego widzicie, matko, że tęsknię za czemś, w tej chwili? — zapytał, siląc się na uśmiech.

— Dziecko! — Jestem stara i dużo wycierpiałam... Nauczyłam się czytać z ludzkich twarzy. Widzę, odgaduję, że jakiś tajony ból kryje się w twym sercu. Życzę gorąco, abyś był kochany tak, jak na to zasługujesz!

Ragastens bardziej wzruszony, niż sobie na to chciał pozwolić, zamienił z przyjaciółmi uścisk ręki i z głową zaprzątniętą myślami o planowanym przez niego przedsięwzięciu wybiegł z grotu.

Wszedł na ścieżkę, wijącą się między wysokimi skałami. Stanąwszy u szczytu urwiska stwierdził, że nic osobliwego nie działo się w górach. Tylko cień zwinnej kozicy mignął czasem na tle zalanego różowym światłem zorzy porannej nieba... Willa papieska była niema i tajemnicza, jak poprzednio. Jedyne sygnaturka kapliczna biła wciąż melancholijnie z miarowemi przerwami, głosząc żalobną wieść.

Widocznie pogoni oddaliła się znacznie. Istotnie tak było.

Rodryg Borgia, po odejściu Sanzia, Machiavelli'ego i Ragastensa ją krzyczeć i wzywać pomocy. Usłyszano go wkońcu i uwolniono z więzów. Papież po odbytej z trzema młodzieńcami rozmowie przyszedł do wniosku, że znali oni Magę, że wiedzieli, gdzie przebywa i że się napewno udadzą do pieczary. Tam

więc wysłał swych zbirów, tembardziej, że chciał jednocześnie ująć Magę. Pieczara jednak była pusta...

Wtedy pomyślał, że wszyscy wraz z Magą rzucili się do ucieczki, zmierzając na Florencki trakt. Pogoń więc gnała jeszcze traktem, gdy Ragastens ciągle kołując, zbliżył się do miasteczka. Jeszcze we wsi przylegającej do niego spotkał się ze Spadacapem.

— Co mówią w Tivoli? — zapytał go.

— Nic, prócz tego, że nocy dzisiejszej zmarła w willi papieskiej jakaś kobieta i że pogrzeb odbędzie się dzisiaj...

— Bardzo dobrze. A powóz?

— Gotów. Stoi zaprzężony w konie na podwórze oberży. Mocny to wóz. Konie również, mogą pędzić z góry nawet galopem. Chłopski strój przygotowałem również.

— Spadacape, jesteś nieocenionym człowiekiem.

— Mówiłem to panu, — brzmiała skromna odpowiedź Spadacape'a.

Stanęli przed oberżą pod „Koszem z kwiatami“, do której weszli tylną furtką, wychodzącą na pola. Już po dziesięciu minutach Ragastens opuszczał oberżę nie zauważony przez nikogo. Miał na sobie strój wieśniaka, udającego się do roboty z motyką na ramieniu.

Przez cały dzień błądził w pobliżu willi, nie tracąc jej z oczu. Wreszcie słońce zbliżyło się do linii horyzontu.

Zaczął się już obawiać, czy uroczystości pogrzebowej nie odłożono do następnego dnia, gdy nagle wszystkie dzwony zagrały głośno pieśń żałoby.

Wkrótce główna brama miejska rozwarła się na oścież. Ukazało się kilku księży, odmawiających modlitwy za umarłych, na czele orszaku niesiono krzyż; dalej ośmiu służących w liberji papieskiej niosło trumnę, przykrytą białym suknem.

Na myśl o dziewczynie, spoczywającej w tej trumnie sercem Ragastensa szarpnął niepokój. Przecież to żywego człowieka miano złożyć w mogile. Mi-

mo całe swe męstwo, nie mógł zapanować nad uczuciem grozy.

Za trumną postępowało dwudziestu żołnierzy, tworząc eskortę, za nimi szli mieszkańcy willi. Pochód przeszedł o jakieś pięćdziesiąt kroków od Ragastensa, ukrytego w zaroślach.

Zaczął iść za orszakiem zdaleka. Gdy wreszcie orszak pogrzebowy wszedł na ulice miasta, tłum zaczął się do niego przyłączać; teraz już i Ragastens mógł nie zwracając na siebie uwagi, wmięszać się w tłum.

Orszak pogrzebowy przybył do kościoła: Ragastens wraz ze wszystkimi wszedł do wnętrza.

Zaczęły się śpiewy żałobne, wreszcie zaległa cisza.

Ksiądz okrążył trumnę, skrapiając ją wodą święconą; wreszcie ustawiono ją na katafalku, pośrodku kościoła. Czterech żołnierzy z obnażonymi szpadami stanęło na warcie po czterech rogach katafalku, tuż przy czterech, wielkich gromnicach... Ksiądz wrócił przed ołtarz, potem znikł w zakrystji, oraz z nim odeszli chłopcy - ministranci, zakrystjan i reszta kleru.

Ceremonjał został skończony. Tłum zaczął rozchodzić się... po kilku minutach kościół był już zupełnie pusty... W kościele prócz Ragastensa została jedynie jakaś staruszka, która również jęła już zabierać się do wyjścia...

— A więc! — zagadnął ją Ragastens, — trumny nie odniosą dziś na cmentarz?

— Jakto? — wykrzyknęła staruszka, zachwycona, że może się z kimś podzielić nowiną, — nie wiesz pan nic?

— Nie! Nie wiem nic! — szepnął Ragastens wstrząśnięty nagle przecuciem nowej komplikacji.

— Otóż, Ojciec Święty kochał niewymownie tę dziewczynę.

— No i?

— Postanowił tedy, że zwłoki jej będą przewiezione do Rzymu, jutro włożą trumnę na wóz...

Ragastensowi świat zawirował przed oczami...
Zimny pot okrył mu czoło...

— Mają ją przewieźć do Rzymu? — wybełkotał.

— Ależ tak! Nie wiedzieliście o tem? Jego Świętobliwość, chcąc uhonorować biedaczkę, postanowił, iż straż honorowa ma stać przy trumnie przez całą noc. Widzicie tych żołnierzy w paradnych płaszczach? Czy widzicie jak stoją, niczem martwe posągi? Ach! jakież to piękne! Mój Boże!

Ragastens, blady jak trup, chwiejnym krokiem opuścił kościół. Szedł powoli uliczką, wiodącą do ich oberży; ważył w głowie straszliwe pytanie:

— Jak otworzyć trumnę, której pilnują żołnierze!...

O kilkadziesiąt kroków od kościoła ujrzał szopę, przylegającą do małej oberży; w szopie tej rozłożył się oddziałek wojska, który eksportował orszak pogrzebowy. Żołnierze poskładali już broń, zwinęli paradne płaszcze; kilku z nich stało przed drzwiami oberży, ziewając.

Ragastens zrozumiał, jak rzeczy stały; szopa miała służyć za posterunek dla eskorty, która miała pełnić straż honorową w paradnych płaszczach, zmieniając się kolejno. Ragastens porachował ich: strażników było szesnastu.

— Z czterema, stojącymi przy trumnie w kościele — dwudziestu, jak obszył! — szepnął do siebie.

W niskiej sali oberży oficer, dowodzący oddziałkiem, zasiadł przy stole, przekomarzając się z młodą dziewczką służebną, która właśnie przyniosła mu czegoś do napicia się. Ragastens chłonał chciwie każdy szczegół, wszystko jednak zdało mu się być przesłonięte jakąś mgłą.

— Jak otworzyć trumnę?

Pytanie to ciągle wracało, podczas gdy przyglądał się halabardnikom z miną gapia, którego dziwiła obecność żołnierzy w spokojnej mieścinie. Wreszcie opuścił oberżę.

— Czterech pełni honorową wartę! — pomyślał.

— Zmiana będzie co dwie godziny. Czterech! To dużo, ale to jeszcze nie przekracza mych sił. Najważniejszym jest działać cicho i dyskretnie.

Działać?! Sam jeszcze nie wiedział, co uczyni. Szukał, kombinował, nie mogąc narazie znaleźć żadnego praktycznego wyjścia.

Po powrocie do swej oberży, zrzucił z siebie pośpiesznie strój wieśniaka i przebrał się w suknie rycerskie. Wtedy dopiero zauważył, że jest bardzo głodny.

Istotnie, nie jadł nic od samego rana, dzień cały bowiem zszedł mu na dozorowaniu willi.

— Każ podać mi obiad, — rzekł do Spadacape'a.

Ten rzucił się do drzwi, Ragastens jednak odwołał go od progu.

— Nie, nie potrzeba... zmieniłem zamiar...

— Pan wygląda na bardzo zmęczonego... Dobry obiadek nie szkodziłby...

— Wiem, wiem o tem... To też nie uchylam się od dobrego obiadu... Tylko, że zjem go gdzieindziej!...

— Wychodzi pan?

— Tak. Ty czuwaj i czekaj tutaj.

— A powóz? Czy należy go zatrzymać?

— Więcej niż kiedy. Ale, ale, mój Spadacape, czy podejmiesz się w razie czego ogłuszyć mężczyznę jednym uderzeniem pięści tak, żeby padł, nie wydając jednego nawet okrzyku!

— Hm! zdarzała mi się czasem taka sztuczka!

— A gdyby trzeba było ogłuszyć aż dwóch?

— Można spróbować. Tak, sądzę, że podołałbym dwóm takim, których zaskoczyłbym znienacka... Ale, proszę pana, co czynić, gdyby uderzenie pięścią okazało się niewystarczające?

Ragastens wzdrygnął się. Myśl, że może zająć potrzeba odebrania życia, aż czworgu ludziom, stanęła przed nim z błyskawiczną jasnością. Perspektywa ta zbudziła w nim uczucie grozy; wydała mu się ona najwstrętniejszym z czynów, jakie może będzie zmuszony dokonać. A jednak!

— Co robić? co robić? — myślał blady z niepokojem.

Opuścił oberżę, nie dając żadnej odpowiedzi nawróconemu łotrzykowi. Udał się do gospody, której szopa służyła oddziałowi halabardników za wartownię. Wszedł rezolutnie na ogólną salę.

Oficer ciągle jeszcze tam siedział. Ragastens zaczął wzywać gospodarza, klnąc, starając się zwrócić na siebie uwagę oficera.

— Do stu diabłów! Obwiesiu! Nicponiu! Psia mać!

— Dobra nasza! — zawołał oficer, siedzący w kącie stołu. Spożywał właśnie obiad, który mu przed chwilą podano.

— Jeśli oficer przybył z Rzymu i jeśli mnie tam widział, pozna mnie, pomyślał Ragastens. A no, zobaczymy!

Ciągnął jednak dalej swoje klątwy, uderzając ręką kością swą szpady po stole. Nadbiegło kilku przerażonych służących.

— Czem możemy służyć wielmożnemu panu!

— Jeść, do cholery! Umieram z głodu! Do pioruna! Prędszej! Wystarczy już tego, że mam zasiąść do stołu sam! A tu nadomiar złego muszę jeszcze czekać!

Oficer podniósł się od stołu i podszedł do Ragastensa.

— Uwaga! — szepnął ten ostatni do siebie.

— Panie, — odezwał się oficer, pozdrawiając go ukłonem; widzę, że należysz pan do stanu rycerskiego.

— Istotnie, mój panie...

— Drażni to pana, że musisz zasiąść do obiadu sam?

— Doprowadza mnie to do wściekłości! W Neapolu, skąd przybywam, nie mieliśmy zwyczaju żyć jak odludki. Lubimy ucziwe uczy również dobrze, jak porządną walkę na szpady... Możesz więc zrozumieć mój zły humor...

— Mój panie, — zawołał oficer radośnie rozpromieniony, wyobraź pan sobie, że jestem w zupełnie tem samym położeniu, co pan. Czy nie zgodzisz się pan na to, abyśmy połączyli nasze nudy... i zechcesz może łaskawie dotrzymać mi towarzystwa przy obiedzie?

— Daję słowo, mości oficerze, że uprzejmość twoja wzruszyła mnie! Rozporządzaj pan moją osobą! Pod jednym jednak warunkiem...

— Słucham...

— Pozwól, ażebym cię traktował, jak przyjaciela, i wziął na siebie całe koszta...

— Nie widzę w tem nic niewłaściwego, jeśli tylko pozwolisz pan zkolei, żebym ja postawił wino, — odpowiedział coraz więcej ucieszony oficer. — Do stołu więc, drogi mój gościu!

— Nie poznaje mnie, — pomyślał Ragastens, sadowiąc się naprzeciwko oficera.

Potem dodał głośno:

— Czy możesz, drogi mój panie, wytłumaczyć mi, jak się to stało, że oficer, dowodzący oddziałem halabardników papieskich, znalazł się w tej wiejskiej gospodzie? Przybyłeś pan napewno z Rzymu?

— Z Rzymu! — westchnął oficer. — Już od sześciu miesięcy nie powstała tam moja noga. Masz pan przed sobą wygnańca...

— Wygnańca? Naraziłeś się pan na niełaskę?

— Nie, to tylko przenośnia. Jego Świętobliwość powierzył mi dowództwo oddziałem halabardników w swojej willi. Możesz pan sobie wyobrazić, jak się nudzę. Gdy sobie pomyślę, że już od sześciu miesięcy nie zagrałem jednej partyjki w *tric - trac'a* z poważnym partnerem!

— Urządzimy sobie zaraz partyjkę, jeśli pan sobie tego życzysz.

— Jesteś pan naprawdę zachwycającym człowiekiem i prawdziwym rycerzem...

— Mówiłeś więc, mości oficerze, że dowodzisz oddziałem halabardników, stojącym w Tivoli?

— Tak. Teraz przybył tu Jego Świętobliwość. Mam nadzieję, że wrócę wraz z nim do Rzymu. Pańskie zdrowie.

— I pańskie. To porto jest wspaniałe! Lecz, jeśli Ojciec Święty znajduje się w willi, dlaczego pan jesteś tutaj?

— To cała historia! Dzisiejszej nocy zaszły w willi niezwykle wypadki...

— Ba! Opowiedz mi pan chociaż cośkolwiek...

— Przedewszystkiem, o mały włos nie porwano Jego Świętobliwości...

— Porwanie?! Ojca Świętego?!

— A tak! To sprawa całej bandy opryszków, którzy chcieli otrzymać za niego okup.

— To dziwne.

— Sam Ojciec Święty powiedział to nam, gdy przybiegliśmy na jego krzyk... Znaleźliśmy go w pawilonie ogrodnika; miał skrępowane ręce i nogi... Wy tłumaczył nam, jak się to wszystko stało... i jak bandyci porwali go...

— A cóż się z nimi stało?

— Któż to może wiedzieć? Znikli, jakby ich djabł powłókł do piekła! Myśl o djable powstała nie pod wpływem zabobonnej wiary w djabła, lecz...

— Nie wątpię w to ani chwili, panie oficerze, wiara bowiem w djabła to nie prosty jedynie zabobon, o, nie! — rzekł szyderczo Ragastens.

— Masz pan słuszość. Zresztą przekonasz się pan za chwilę o prawdzie tych słów. Opierając się na przypuszczeniach Ojca Świętego, zaczęto mniemać, że owi bandyci ukryli się w pieczarze, ciesząc się zresztą bardzo złą opinią...

W tej samej chwili halabardnik wszedł na główną salę. Oficer przerwał opowiadanie i rzekł, zwracając się do żołnierza:

— Czego chcesz? Czy nie można nawet chwili spędzić spokojnie przy lampce wina?

— Panie poruczniku, chcę panu przypomnieć, że

czas już zmienić honorową wartość. Taki wydałeś mi pan, rozkaz...

— Dobrze już! Zwrot na prawo!

Halabardnik znikł.

— Oto jedyne przyjemności tej pańszczyzny! I pomyśleć tylko, że taka przyjemność czeka mnie co dwie godziny w ciągu całej nocy. Lecz na czym to sta-
nałem?

— Na grocie, nie cieszącej się dobrą sławą..

— Aha! Otóż opryszkowie ukryli się tam w to-
warzystwie starej czarownicy, ich współniczki; ano!
wpadamy do groty, a tu: nikogo!

— Cud prawdziwy!

— Święte słowa. No bo grotą otoczona wojskiem,
najbliższe jej okolice również — i raptem taki kawał!
Chyba, że zdecydowali się z wolnej i nieprzymuszonej
woli rzucić się w przepaść Anio, skąd sam djabeł tyl-
ko mógł ich uprowadzić cało. To też wszyscy wierzą
święcie, że się tak stało! — dodał oficer, wychylając
jednym tchem swoją szklanę i podnosząc się z miej-
sca.

— Dziwny wypadek, jako żywo! — rzekł Raga-
stens.

— Och! to jeszcze nie wszystko! — dodał oficer
płaczącym się językiem. — Chcesz pan pójść ze mną!
Zobaczysz coś ciekawego...

— Czy aby tylko nie za daleko? — zapytał Raga-
stens tonem człowieka, któremu się niebardzo chce
odrywać się od jedzenia.

Drżał wewnątrz z radości, radość tę jednak u-
krył pod płaszczykiem obojętności.

— Ależ to zupełnie blisko... w kościele!

— Ależ, bój się pan Boga! to nie jest pora ani
na mszę, ani na nieszpory! — zawołał, śmiejąc się na
całe gardło.

— Nie — ale chodź pan... zobaczysz coś ciekawe-
go...

— Niech tam! dla towarzystwa dał się cygan po-
wiesić!

— Jesteś waść wzorem uprzejmości! Po powrocie zagramy partyjkę *tric - trac'a*.

— Mądra myśl!

Oficer w towarzystwie Ragastensa opuścił oberżę. Przed szopą czekało już na niego czterech halabardników z halabardami w rękę. Wszyscy ruszyli w dalszą drogę. Noc już zapadła; drzwi domów w całym miasteczku były pozamykane. Wreszcie stanęli przed kościołem.

Zmieniono wartę; oficer, któremu się śpieszyło do partyjki *tric - trac'a*, zawrócił do oberży, zabierając ze sobą zwolnionych z posterunku żołnierzy.

— Widziałeś pan? — zapytał Ragastensa, gdy już zasiedli do gry.

— Tak. Ponury obraz, ta trumna otoczona halabardnikami, zupełnie, jakby nieboszczyk miał zamiar uciekać!

Oficer wybuchnął śmiechem.

— Niema obawy! Lecz trzeba panu wiedzieć, że ów nieboszczyk, to nieboszczka... a moi żołnierze pełnią straż nie dlatego, aby jej pilnować, lecz dlatego, by jej oddać należne honory.

— Nieboszczka, powiadasz pan?

— Psyt! Zdaje się, że jest to krewna Jego Świętobliwości... bardzo bliska krewna... coś w rodzaju... córki!

— Che! che! Powiadają, że papież za młodu...

— Tak, tak... a nawet i teraz!

— A więc ta nieboszczka?...

— To owoc jego miłostek, któremi od czasu do czasu zaszczycił rzymskie panie... Biedaczka... Zaledwie szesnaście lat!

— Widziałeś ją pan?

— Tak, pewnego wieczoru, w ogrodzie! Zaczynałem już nawet podkochiwać się w niej!

— Tam, do diabła! — pomyślał Ragastens, — wino uczyniło z tego durnia liryka! Jeśli tak rzeczy stoją, dodał głośno, rozumiem teraz wystawienie przy

trumnie honorowej warty! Lecz, jak pan słusznie zauważyłeś, jest to dla pana ciężka pańszczyzna!

— Tem cięższa, że wkłada na mnie obowiązek odrywania się od.. zajęć... co dwie godziny, co przeszkodzi mi skorzystać ze wspaniałej sposobności...

— Z jakiej ?

— Czy widzisz pan tę dziewczkę służebną z nóżką margrabin, wyglądającą z pod krótkiej spódniczki... a te jej płomienne oczy!...

— Widzę ją i podziwiam.

— Otóż — szaleje za mną... właśnie mi to powiedziała! Lecz służba przedewszystkiem! Mam dwa razy po sześć i wygrywam! — wykrzyknął nagle z radością!

Zgarnął stawkę.

— Proszę o rewanż! — zawołał Ragastens z żalem w głosie.

— Aha! Trzymaj się pan! Jestem niezwycięzony w *tric - trac'u*.

— Do diabła! a przecież mam zamiar pokonać pana!

— Nie uda się to!

— Zobaczymy! Pięć i dwa... pańska kolej!

Ragastens co chwila dolewał oficerowi winka, który grał już na chybił trafił, co jednak nie przeszkadzało, że ciągle wygrywał. Radość jego była coraz to głośniejsza.

— Ach! — westchnął, rzucając spojrzenie na służącą, snującą się po sali, — gdyby nie ta przeklęta pańszczyzna!

— Któż przeszkodzi panu godzić pańszczyznę z miłością? — zapytał nagle Ragastens.

Oficer spojrział na niego osłupiałym wzrokiem.

— Co chcesz pan przez to powiedzieć? — wybełkotał.

— Tam do diabła! Albo się jest towarzyszem po fachu, albo nie! Zastąpię pana!

— Pan?

— Ja! Dlaczegożby nie? Po koleżeńsku!

— Ale rozkaz! — bąknął oficer z trudem nakazując sobie zimną krew. — Nie chcę... nie! Pan jednak jesteś bardzo uprzejmy... trzeba to przyznać!

— Do diabła z rozkazem! Patrz na tę ślicznotkę, jakie rzuca na ciebie powłóczyście spojrzenia! Do licha! Trzeba posiadać ogromny hart...

— Hart! Tak!... Zdobęde się na niego... Pić!

Ragastens skinął na dziewczynę, która pośpieszyła napelnąć szklanki. Nie było już w oberży nikogo więcej, prócz nich. Oberżysta i jego żona spali smacznie; drzwi wejściowe były zamknięte. Ragastens podniósł się z miejsca i wycisnął na obu policzkach dziewczyny siarczyste pocałunki.

— Tam do licha! świeże to to, puszyste, jak brzoskwinia! No, kolego, wobec tego, że nie chcesz złamać rozkazu, zastąpię cię przy niej.

Służąca słabo się broniła. Ragastens pchnął ją na kolana oficerowi.

— Ach! szelmutka! — zawołał! — nie chce mnie.

— Tak, — odpowiedział oficer głosem, przerywanym czkawką, — ona mnie kocha...

— Idź więc spać... a ja dopilnuję warty.

Oficer wstał od stołu, zatoczył się i wsparł się na ramieniu Ragastensa.

— Prawdziwy z ciebie przyjaciel... Jak masz na imię?

— Czy to nie wszystko jedno, mój drogi? Korzystaj z okazji... Biorę na siebie wszystko...

— Nie! Wpadnę w niełaskę... a może i jeszcze gorzej!

— Dajże spokój! Zbudzę cię za dwie godziny!

— Jeśli tak, to co innego... Świetna myśl...

— A widzisz! Idź, mój drogi! Idź! Szczęśliwy chłop!

Ragastens żartował, serce jego jednak ścisnął niepokój, a zimny pot spływał mu z czoła.

— Posłuchaj więc, — rzekł nagle oficer. — Hasło brzmi... *Tybr* i *Tivoli*... Posiadając hasło, możesz rzą-

dzić moimi chłopcami tak, jakbyś był mną! Przysięgnij mi jednak... że co dwie godziny...

— Przysięgam!

— Daj pyska!

Ragastens ucałował oficera i, podtrzymując go i popychając, odprowadził go aż na schody, gdzie czekała już na niego dziewczyna. Po chwili usłyszał trzask otwierających się i zamykających drzwi.

Westchnął głęboko z ulgą.

— Za pięć minut będzie już chrapał, — pomyślał.
— Nie zbudzi się aż jutro rano!

Wyszedł głównymi drzwiami, zmierzając do szopy.

Halabardnicy widzieli go siedzącego przy stole w towarzystwie ich przełożonego. Byli przekonani, że jest on kolegą oficera, który przybył mu do pomocy. Upewnili się w tem przeświadczeniu, gdy, stanąwszy w szopie, przywołał sierżanta, podał mu hasło i rozkazał wyznaczyć żołnierzy na nową zmianę warty w kościele.

Sierżant zasalutował i wykonał rozkaz. Ragastens zadrżał z radości. Wynik jego fortelu przechodził wszelkie oczekiwanie.

Ragastens dokonał zmiany warty zupełnie tak, jak to czynił przy nim oficer. Jego przesadna ostrość tonu i brutalność żołnierska zrobiły na halabardnikach dodatnie wrażenie. Po powrocie z kościoła dokonał ścisłego przeglądu całej warty.

— Spać! — rzekł jeszcze surowszym tonem. — Sierżancie, odpowiadasz za porządek. Musi być cicho, jak makiem zasiał!

Wyszedł z szopy z miną człowieka, wykonującego jak najściślej wydane sobie rozkazy i zdecydowanego na czuwanie.

Na ulicy wysunął się przed nim z mroku jakiś ludzki cień. Był to Spadacape. Ragastens pociągnął go do najbliższej wnęki w murze.

— Panie, — rzekł Spadacape, — pańscy dwaj przyjaciele są w oberży „pod Koszem z kwiatami“;

jest tam z nimi również i stara kobieta; wszyscy są nad wyraz niespokojni... Wysłali mnie, polecając odzyskać pana....

— Dobrze! Otóż pójdziesz do nich, aby im oznajmić, że wszystko dobrze się składa... słyszysz? Wszystko dobrze...

— Biegnę... Czy mam oznajmić pański powrót?

— Nie. Posłuchaj... Czy możesz, nie czyniąc hałasu, sprowadzić powóz na mały placyk przed kościołem?

— Tak. Owinę koła słomą, a kopyta końskie szmatami... Odpowiadam za ciszę...

— Czy możesz być na placu za kwadrans?

— Tak, lecz nie wcześniej...

— Dobrze, bądź więc w umówionem miejscu za dwadzieścia minut. Dwaj moi przyjaciele i stara kobieta muszą być również w powozie... Lecz niech się nie ruszają z miejsca przed tem, nim się z nimi rozmówię.

Spadacape poskoczył w stronę swej oberży, Ragastens zmierzył pośpiesznie do kościoła.

Chciał być sam.

Dużo później przyznał się do tego, że po wejściu do wnętrza, wzdrygnął się, jakby pod wpływem wielkiego zimna, jakkolwiek noc była parna. Sytuacja jednak, w jakiej się znajdował, mogła wywołać dreszcz...

Niechby tylko jeden żołnierz powziął cień podejrzenia... wszystko przepadło!... Należało przeciąć węzeł gordyjski jednym cięciem, a cios winien być trafny!

Ujrzał w półmroku postacie czterech halabardników... Stali, podpierając się na swych halabardach, z póż ich widać było, że walczą ze snem. Jeden z nich spał nawet; spał na stojąco, a sen jego był prawie tak głęboki, jakgdyby leżał w łóżku; do snu takiego są przyzwyczajeni żołnierze, których obowiązek zmusza często do stania w miejscu przez długie godziny.

Ukryty w głębi mrocznego kościoła, Ragastens ba-

dał przez chwilę sytuację, ściągając brwi pod wpływem wysiłku myślowego; nigdy żaden generał, obmyślający plan bitwy przed decydującą chwilą, nie doznawał większego wzruszenia.

Nagle powziął ostateczną decyzję! Ruszył w stronę śpiącego żołnierza i położył mu gwałtownie rękę na ramieniu. Żołnierz wzdrygnął się. Trzej pozostali zastygli w sztywnych pozach, podobni do martwych posągów.

— Hej, przyjacielu, — odezwał się Ragastens, — zdaje mi się, że śpisz! Na posterunku! To sprawa poważna...

— Panie oficerze, — wybełkotał śpioch... zmęczenie...

— Dobry żołnierz nie wie, co to zmęczenie...
żołnierz zbladł...

— Zdam sprawę twemu oficerowi, który upoważnił mnie do zastąpienia go... Zdaje mi się, że wobec specjalnych okoliczności, dwa miesiące celi więziennej wydłużą się znacznie...

— Panie oficerze... przysięgam...

— Ależ ty upadasz ze snu... Nie możesz nic obiecywać... I wy trzej również. No, no, nie jestem tak złym, na jakiego wyglądam... Idźcie spać do szopy... łajdaki!...

Ze śmiertelnym niepokojem czekał na skutek swych słów. Każdy, kto byłby w stanie zajrzeć do jego duszy w tej chwili, zdumiałby się nad jego siłą woli, widząc szeroki, niefrasobliwy uśmiech, jaki rozjaśnił mu twarz.

Oczy żołnierzy błysnęły niepokojem, jak oczy dzieci, którym obiecano ni stąd, ni zowąd zbyt piękną zabawkę.

— Idźcie spać, powtarzam, do diabła! Nie chcę, żeby moje zastępstwo zostawiło po sobie niemile wspomnienie w sercach dzielnych żołnierzy Jego Świątobliwości. Idźcie spać! Zastąpię was! Porucznik pułku strzelców będzie przez tę godzinę pełnił straż przy nieboszcze: to warte czterech halabardników...

Żołnierze jeszcze się wahali. Ragastens uczuł, że czoło jego okrywa się zimnym potem.

— Idźcie spać, albo się pogniewam! — mruknął.

— Dziękuję, panie oficerze! — rzekł nagle śpioch, zmierzając szybko do drzwi.

Trzej pozostali ruszyli za nim ze słowami:

— Dziękujemy, panie oficerze!

Ragastens przygryzł wargi, aby powstrzymać okrzyk radości. Dobył ostentacyjnie szpady, jakby gotując się do rozpoczęcia warty.

Żołnierze znikli w drzwiach; Ragastens wyjrzał za nimi... ujrzał ich cienie roztapiające się w mroku nocy...

Wyczekał parę minut, pożerany niecierpliwością; serce waliło mu w piersi, jakby chcąc ją rozsadzić... Wreszcie stało się jasnym, że nic nie przeszkodzi mu już w doprowadzeniu powziętego planu do końca. Nagle gdzieś daleko usłyszał głuchy, ledwie dosłyszalny gruchot... chwilę znieruchomiał... stał, ściskając w ręku rękojeść sztyletu, zdecydowany na morderstwo, jeśli tego zajdzie konieczność...

Odetchnął. Przed kościół zajechał powóz.

Wrócił pędem do katafalku. Zdarł gwałtownie całun, ukazała się trumna, oświetlona blaskiem płonących gromnic...

Podważył wieko ostrzem sztyletu; pierwszy gwóźdź ustąpił pod naciskiem, za nim drugi i następne... Już mógł swobodnie wsunąć do trumny ręce...

Ukląkł, naprężył mięśnie... szarpnął... Rozległ się zgrzyt żelaznych gwoździ o drzewo... Wieko odskoczyło...

Ukazała się postać zmarłej tak blada, tak pozornie wyglądająca na prawdziwego trupa, że sercem jego szarpnęło straszliwe zwątpienie. Powstał gwałtownie z klęczek, nie mogąc oderwać oczu od twarzy młodej kobiety... Otrząsnął się z przygnębiającego wrażenia, okropna rzeczywistość wzięła go w swe posiadanie.

Z drżeniem pochylił się nad trumną, aby porwać nieruchome ciało i unieść je... W tej chwili czyjaś ręka legła mu na ramieniu.

II.

RAGASTENS ZOSTAJE SAM.

Po odejściu Ragastensa wszyscy mieszkańcy grotty Magi trwali w niepokojącym oczekiwaniu.

Ragastens nie wracał.

Zapadł wieczór... przyszła noc. Niepokój Machiavelli'ego wzrastał z minuty na minutę. A może wpadł w ręce wroga? Co mogło mu stanąć na przeszkodzie?

Rafael był zupełnie nieprzytomny... Wreszcie, nie mogąc już dłużej wytrzymać, zawołał:

— Chodźmy!

— Zaczekajmy jeszcze!

— Już dłużej nie mogę.

Machiavelli zrozumiał, że dalsza niepewność przechodzi siły przyjaciela.

— Chodźmy! — zgodził się. — Lecz działajmy, zachowując wielką ostrożność... pójdziemy do naszej oberży; może tam zastaniemy jakie wieści.

— Wszystko co chcesz, tylko chodźmy stąd! Nieprawdaż, Mago? Nieprawdaż, że ty obawiasz się również jakiegoś strasznego nieszczęścia? Że nie możesz tu dłużej pozostawać w niepewności?

— Tak! — odparła ze smutkiem w głosie.

Udano się w drogę. Po upływie pół godziny byli już w oberży „pod Koszem z kwiatami“.

— Spadacape! — rzekł Machiavelli, wskazując na mężczyznę, który, zdawało się, wyczekiwał na coś na podwórzu.

Podszedł do niego pośpiesznie. Wkrótce Spadacape podzielił się z nim wiadomościami o Ragastensie.

— Gdzie jest teraz kawaler?

— Napewno w miasteczku, postaram się go od-

szukać, wszystko jest przygotowane w myśl jego instrukcyj.

— Mój Spadacape, — rzekł Machiavelli z troską w głosie, musisz go koniecznie odszukać, powiedzieć mu o tem, że tu jesteśmy i że umieramy z niecierpliwości...

— Podejmuję się tego!

Wiemy, już jak się skończyła jego wyprawa; już po nocy powrócił do oberży.

— A kawaler? — zapytał gorączkowo Machiavelli.

— Czeka na panów przy kościele... żywo... moi panowie, dopomóżcie mi!

Spadacape zabrał się pośpiesznie do owijania kół powozu sianem. Sanzio i Machiavelli zrozumieli odrazu, na co się zanosi. Jęli tedy dopomagać mu z gorączkowym pośpiechem.

— Ragastens żąda powozu, — szepnął Machiavelli. — A więc wszystko już gotowe...

Nadzieja zaświtała im znowu. W kilka minut koła powozu i kopyta końskie były już owinięte. Wsadzono Magę do powozu.

— W drogę! — rzucił rozkaz Rafael.

Powóz wyjechał poza wrota oberży; na koźle siedział Spadacape. Machiavelli i Sanzio pośpieszyli przodem; wkrótce znaleźli się na placu kościelnym.

— Nikogo! — rzekł Machiavelli.

— Wejdzmy do kościoła! — dodał Sanzio.

Ze sztyletami w rękach przekroczyli próg. Kościół był pusty. Po chwili stali już w nawie, oświetlonej blaskiem gromnic. Machiavelli porwał Sanzia za rękę i wskazał mu na fantastyczny obraz Ragastensa, zmagającego się z wiekiem trumny. Rafael poskoczył naprzód i w chwili, kiedy Ragastens pochylił się nad trumną, aby wziąć w ramiona Rositę, dotknął ręką jego ramienia.

Ragastens podniósł głowę z pomrukiem lwa, któremu chcą odebrać zdobycz, złożył ciało dziewczyny

w trumnie i porwał za sztylet... poznał jednak Rafaela; na usta wybiegł mu pełen dumy uśmiech.

— Tam do licha, drogi przyjacielu! — zawołał, — przybywasz w porę! Zajmij się nią! Ostatecznie ty przecież jesteś małżonkiem!

Rafael spojrział z zachwytem na Rositę; na słowa Ragastensa cofnął się, odsłonił głowę, potem, zbyt wzruszony, by zdobyć się na słowa, gestem tylko wskazał przyjacielowi na dziewczynę.

Ragastens zrozumiał szlachetną myśl malarza. Sanzio pozostawiał mu zaszczyt odniesienia do powozu dziewczyny, pozwalając mu dokończyć tego, co rozpoczął i czego dokonał sam, bez niczyjej pomocy! Znowu uśmiech opromienił twarz dzielnego młodzieńca, tym razem był on dziwnie czuły i łagodny.

Pochylił się nad trumną, podniósł ciało dziewczyny, wziął ją w ramiona, zaniósł do powozu i złożył na kolanach u Magi...

Rafael chciał przemówić, wyrazić mu całą swą radość i wdzięczność... lecz tylko krótki szloch wydarł się z jego piersi. Był to jedyny przejaw uczuć, jakie wstrząsały jego sercem. Uściskali się tak, jak się ściska dwoje ludzi, ślubujących sobie wieczną przyjaźń, ślepe zaufanie i bezgraniczne oddanie... Potem Ragastens rzucił rozkaz:

— Spadacape! nasze konie: mój i twój! Konie tych panów pozostaw w stajni.

Spadacape poskoczył spełnić rozkaz.

— Machiavelli niech siada na koźle, — ciągnął dalej. — Czy umiesz powozić? — Przypuszczam, że tak.

— Nie mylisz się, generale! — odparł Machiavelli z uśmiechem.

Rafael był już w powozie pochylony nad Rositą, czekając na działanie lekarstwa, wlanego jej do ust przez Magę.

Spadacape wrócił; Ragastens dosiadł swego wierzchowca; powóz ruszył, przejechał wolniutko ulicami miasteczka, potem pomknął jak strzała.



Po godzinie szalonej jazdy we mroku, górzystymi drogami, unikając narazie gościńca, wiodącego do Florencji, Rafael zaczął wołać, żądając zatrzymania koni. Machiavelli spełnił jego prośbę i zeskoczył z kozła. Ragastens i Spadacape, jadący przy drzwiczkach powozu, zatrzymali się również. Wtedy Rafael wysiadł z powozu; Ragastens zeskoczył z siodła.

— Moi drodzy! moi drodzy! — bełkotał Sanzio, upojony radością.

Wyciągnął ramiona... w obramowaniu drzwiczek ukazała się Rosita blada jeszcze — zachwycająca w swem zmieszaniu i pełna uroku; spoglądała niepewnie, jakby jeszcze nie mogła w to uwierzyć, że wszystko to, co ją otacza, nie jest snem tylko...

— Rosito, — rzekł Rafael z bezgranicznem wzruszeniem, — oto kawaler de Ragastens a oto Machiavelli, dwaj drodzy przyjaciele, o których opowiadałem ci przed chwilą... dla których oddania nie mogę po prostu znaleźć słów...

— Bądźcie błogosławieni za to, żeście mi zwrócili mego Rafaela, — odezwała się z nadzwyczajną słodyczą w głosie, wyciągając do nich obie ręce. — Dzięki wam jestem szczęśliwa... nigdy nie zapomnę o żadnym z dwóch braci!

— Bracia! — wykrzyknął Rafael. — Znalazłaś odpowiednią nazwę, moja słodka Rosito!

— W takim razie, — rzekł uroczyście Ragastens, — proszę o jeden pocałunek, do którego to cenne imię nadało mi prawo!

Rosita nadstawiła mu policzek; kawaler ucałował dziewczynę, napróżno siląc się ukryć swe wzruszenie.

— Życzę ci wiele szczęścia, siostrzyczko! — szepnął dziwnie łagodnie.

Potem przyszła kolej na Machiavelli'ego.

Każdy z obecnych przeżył niezapomnianą na wielki chwilę tak całkowitego szczęścia, jakich, niestety, zbyt mało bywa w życiu ludzkim.

Niebo usiane gwiazdami; noc tchnąca wonią gór-

skiej lawendy i macierzanki były świadkami tej pięknej chwili.

Gdy Rosita i Rafael weszli z powrotem do powozu, z piersi ich wydarł się głośny okrzyk: Maga znikła!

— Niestety! — szepnął Sanzio, — postanowienie jej było niezłomne; nawet łzy Rosity niezdolne były go zmienić... Jeszcze w Rzymie napróżno usiłowaliśmy namówić ją, aby odjechała wraz z nami... Biedna matka Róża!

Rosita cicho płakała .

— No, — odezwał się Machiavelli, — musimy ruszyć w dalszą drogę.

— Jedźmy! — rzekł Sanzio z westchnieniem.

Powóz ruszył. Wtedy Maga wyszła z zarośli, w których się ukryła. Wbiła wzrok w oddalający się powóz. Z pod powiek jej wypłynęły dwie duże łzy.

Zawróciła i zaczęła iść szybkim krokiem w stronę Tivoli. Teraz wzrok jej błyszczał już nie czułością, lecz niezłomną i dziką wolą.

O świcie po długim kołowaniu powóz wyjechał na trakt Florencki. Wtedy Ragastens dał Machiavelli'emu znak, aby się zatrzymał.

— Mój przyjacielu, — oświadczył, — musimy się rozstać. Droga bezpieczna i wolna przed wami! Jedźcie prosto do Florencji; ja mam jeszcze kilka spraw do załatwienia w tym kraju...

— Mamy się rozstać?! — zawołali jednocześnie Sanzio i Machiavelli.

Próbowali odwieść kawalera od jego zamiaru. Lecz ani ich prośby, ani namowy, ani słodkie słowa Rosity nie zdołały złamać postanowienia Ragastensa.

Musiano pogodzić się ze smutną koniecznością. Z wielkiem wzruszeniem zaczęto się żegnać.

Uczyniono moc obietnic; uciekający przystali na rozstanie tylko po tem, gdy Ragastens dał słowo, że wkrótce odwiedzi ich we Florencji.

Powóz z Machiavellim w roli woźnicy ruszył w dalszą drogę. Rosita i Rafael, wychylając się z niego, zegnali Ragastensa, przesyłając mu ręką ostatnie pozdrowienie. Potem nagle powóz znikł na zakręcie drogi.

Wtedy kawaler zwrócił się do Spadacape'a.

— Spadacape, — rzekł do wężala, — nie chcę cię oszukiwać! Chcę przedsięwziąć coś, przyczem możemy oberwać... i to nieraz...

— Z panem nie obawiam się niczego... A więc mamy się znowu bić?

— Tak. Czy ci to odpowiada?

— Tak, panie. Tylko czy mogę o coś zapytać?

— Pozwalam ci...

— Otóż... Dotychczas walczyliśmy z całą kupą ludzi: ze zbirami, z możnymi panami, jak np. z Cezarem, nawet z samym papieżem! No, a teraz z kim mamy się zmierzyć.

— Z całym wojskiem! — odpowiedział skromnie Ragastens.

III.

ALTANA POD OKNEM.

Przez kilka dni Ragastens błądził po górach niezdolny do czynu, niezdecydowany, walcząc z myślami, już to postanawiając wrócić do Francji, już też decydując się na udanie się do Florencji.

Mimo całe jego niezdecydowanie i walkę ze sobą samym, zupełnie podświadomie, mimo swej woli, zbliżał się ciągle do Monteforte.

Pragnął raczej znaleźć się od niego jak najdalej; był zupełnie szczery, powtarzając to sobie, jednakoż widocznie jakiś magnes ciągnął go w tamtą stronę.

Piątego dnia swej samotnej włóczęgi, nagle stwierdził, że jest najwyżej o dwa dni drogi od fortecy.

Odkrycie, które wywarło wpływ decydujący na jego życie, uczynił w nędznej oberży, jedynym za jeździe małej wioszczyny, dokąd przybył przed dwiema godzinami. Siedział właśnie przy stole nad flaszką ciemnego wina, wstawioną do wiadra z zimną, studzienną wodą.

Owo sam na sam Ragastensa z butelką miało miejsce w gęstej, umajonej kwieciem, ogrodowej altanie, która przylegała prawie do oberży, oddzielało ją bowiem od niej jedynie wąskie przejście.

W ścianie domu znajdowało się jedno parterowe okno: było to okno małej izdebki, którą sąsiedztwo altany osłaniało przed słońcem i niedyskretnym wzrokiem ludzkim. W izdebce tej siedziało właśnie kilka osób zajętych rozmową; wobec tego, że okno izdebki stało otworem, Ragastens ze swej altany mógł wszystko widzieć i słyszeć, co się działo w izdebce, sam nie będąc widzianym.

Tak się też i stało.

Kilka słów, zamienionych głośnieją, zwróciło na siebie jego uwagę. Nadstawił ucha i nie uronił już ani sylaby z tego, co mówiono w izdebce. Rozmowa ta, nadzwyczaj zainteresowała Ragastensa. Powoli podniósł się od stołu, podszedł, jak mógł najbliżej, do firanki z liści, i zaczął słuchać z błyszczącym wzrokiem.

Wreszcie, gdy ta ciekawa rozmowa dobiega końca, wychylił się cichutko z altany i skinął na mężczyznę, który na podwórzu czyścił uprząż. Mężczyzna nadbiegł pośpiesznie.

— Spadacape, — szepnął mu Ragastens na ucho, — widzisz ten pokój, nieprawdaż? Drzwi jego wychodzą na korytarz przecinający oberżę. Staniesz pod temi drzwiami i nie ruszysz się z miejsca...

— Dobrze... idę już...

— Czeka! Trzymaj sztylet w ręku. Jeśli kto otworzy drzwi i jeśli zechce wyjść...

— Będzie musiał natknąć się na ostrze sztyletu?

— Właśnie... Idź, mój drogi... Zrozumiałeś mnie świetnie!

Ragastens przeczekał chwilę. Potem, gdy już obliczył, że Spadacape stoi na stanowisku, wyszedł z altany, wszedł w wąskie przejście, dzielące ją od domu, stanął pod oknem i wskoczył do izdebki, mówiąc szyderczym głosem:

— Dzień dobry, moi panowie... Jestem zachwycony nieoczekiwanem spotkaniem!

IV.

MAŁŻEŃSTWO PRIMAVERY.

Był piękny wieczór letni. Na ulicach Monteforte panowało dziwne wrzenie. Ludność miasta, tłum żołnierzy, wszystko to zalało wielki plac, w którego głębi wznosił się piękny pałac we florenckim stylu, stanowiący własność hrabiów Alma.

Fasada pałacu płonęła ogniami. W wielkiej, balowej sali zgromadził się tłum wielmożów w wojennym rynsztunku. Śród nich znajdowali się wszyscy spiskowcy z rzymskich katakumb.

W głębi stali wznosił się tron hrabiowski, jeszcze pusty. Czekano z niecierpliwością na przybycie hrabiego Almy i jego córki Beatrix.

Kilku młodzieńców, stojących o kilka kroków od tronu, otaczało pięknego starca z długą siwą brodą. Był to książę Manfredi, który mimo swe siedemdziesiąt lat był jednym z pierwszych z grona przybyłych na wezwanie hrabiego Almy. Rozpoczynała się znowu wojna domowa.

Hrabia Alma rad nie rad stał się duszą wielkiego spisku, do którego należeli wszyscy ci, których wydziedziczyła łupieska polityka Cezara Borgii. Zgromadzenie miało powziąć ostateczne decyzje.

Spieg, przybyły popołudniu, przyniósł wiadomość, że Cezar opuścił Rzym na czele blisko piętnastotysięcz-

niego wojska, złożonego z oddziałów piechoty i jazdy. Miał poza tem dziesięć kolubryn polowych i osiem kuszy artyleryjskich, wyrzucających na odległość conajmniej dwustu kroków wielkie kamienne pociski.

Hrabia Alma spóźnił się z przybyciem na naradę. Zaczęto szemrać. W grupie, otaczającej księcia Manfredi, rozległ się czyjś donośny głos:

— Hrabia Alma jest naszym przywódcą, zdaniem mojem jednak zaszczyt to zbyt wielki dla niego. Być może dowództwo jednym z pułków Cezara byłoby dla niego lepszym interesem.

Po słowach tych, będących wyrazem niepokoju i głuchych oskarżeń, jakie dławili w sobie poszczególni przywódcy, zaległa głucha lodowata cisza. W tejże chwili drzwi, znajdujące się w głębi, za tronem, rozwarły się z loskotem. Wszystkie oczy zwróciły się w tamtą stronę. Beatrix weszła sama!

Zgromadzeni zdumieli się; serca ich drgnęły niepokojem. Co się stało z hrabią Almą? Zdumienie to ustąpiło miejsca ciekawości, gdy Beatrix skierowała się stanowczym krokiem w stronę tronu, i zajęła na nim miejsce... Zgromadzenie milczało.

Stojąc, ubrana w długą, szarą, aksamitną suknię, Beatrix powiodła po zgromadzonych pełnem stanowczości spojrzeniem.

— Drodzy panowie, — rzekła głosem mocnym, — muszę wam zakomunikować, złą wiadomość: hrabia Alma znikł z Monteforte.

Na te słowa na sali zawrzało, jak w ulu.

— Wdrada! — zaczęli wołać niektórzy przywódcy.

Beatrix wyciągnęła rękę, a wpływ jej na tych wielmożów był tak wielki, że jedno skinienie jej małej rączki nakazało spokój starym i dzielnym wojakom.

— Ci, którzy się boją, mogą opuścić zebranie. Reszta niech zostanie, mam jednak nadzieję, że, gdyby nawet liczba pozostałych była zupełnie znikoma, uda mi się, mimo wszystko, obronić raz jeszcze moje miasto przed napaścią Borgii. Niech służba otworzy drzwi naościęż!

Nikt nie opuścił sali. Beatrix obwiodła salę swem słodkiem a jednocześnie dumnym spojrzeniem, które na chwilę błysnęło dumą.

— Teraz, — zawołała, — mogę rzec z wszelką pewnością, że Monteforte zostanie uratowane od zagłady, a przy tej sposobności całe Włochy od despotyzmu... Drodzy panowie, dzięki wam! Jesteście wszyscy prawdziwie odważnymi ludźmi, dzielnymi rycerzami, wobec czego w was pokładam niepłonną nadzieję zwycięstwa.

Wszyscy słuchali chciwie jej słów, budzących w sercu każdego z obecnych wzmożone pragnienie absolutnego oddania i wierności. Nie było pośród nich żadnego, który z radością w sercu nie poszedłby na śmierć za jeden uśmiech Primavera. Wszystkie te uczucia wyraziły się w gorących okrzykach, jakimi powitano jej słowa.

Beatrix zrozumiała, że jest najwyższą ich władzą i że wszystkie jej żądania i decyzje uzyskają powszechną aprobatę. Usiadła na tronie, jakgdyby od zniknięcia hrabiego Almy rządu przeszły w jej ręce. Wtedy jakiś młodzieniec o dumnym wyglądzie wstał z miejsca i głosem donośnym odezwał się w te słowa:

— Ja, Jan Malatesta, syn Gwidona Malatesty, zamordowanego w Rimini, podczas kiedy bronił swych praw, swych prerogatyw i swej wolności, ja tedy oświadczam, że Włochy muszą znosić hańbiącą niewolę i że obowiązkiem naszym jest odebrać Borgiom to, co nam ukradli. Po uratowaniu Monteforte od zagłady, odbierzmy Rimini; po Rimini, — Imolę, Bolonję, Piombino, Urbino, wreszcie Pesaro, Faenza i Comerino. Czy przystajecie na to, aby dziś jeszcze zawiązana święta liga obrała sobie ten wzniosły cel? Aby po odrzuceniu Cezara Borgii z pod murów Monteforte przystąpić do dzieła wyzwolenia Włoch!

Rozległ się zgodny, okrzyk entuzjazmu.

— A więc, — ciągnął dalej Jan Malatesta, — mieliśmy najwyższego wodza: hrabiego Almę. Przystał na dowodzenie naszymi połączonymi siłami... Lecz hra-

bia Alma znikł. Co się z nim stało? Musimy się dowiedzieć... i, jak mi się zdaje, ja wiem o tem!

Primavera poruszyła się niespokojnie. Cisza stała się uroczystą.

— Dwoje ludzi, dwóch pielgrzymów weszło przed paru dniami do Monteforte. Nikt nie zwrócił na nich uwagi!

— Kilka razy widziałem hrabiego Almę, rozmawiającego z pielgrzymami w głębi ogrodu, otaczającego pałac hrabiowski... wczoraj mogłem się przybliżyć nie o tyle, by móc podsłuchać rozmowę, o tyle jednak, by móc zauważyć twarz jednego z przybyszów.

Zgromadzenie słuchało słów jego z głęboką uwagą. Jan Malatesta mówił dalej:

— Widziałem moi panowie, tak, widziałem twarz tego człowieka i poznałem go. Wiecie kim jest ten pielgrzym? Czy wiecie, z kim hrabia Alma miał tajemne narady? narady, co do których chciałem dziś właśnie zażądać od niego wyjaśnień publicznych wobec całego zgromadzenia! Otóż jest to człowiek zaprzędany Cezarowi Borgii, jeden z najruchliwszych szpiegów Aleksandra VI, mnich, którego w Rzymie nazywają Garconiem.

— Garconio! — szepnęła Primavera blednąc. -- Okropny mnich!

Przy ostatnich słowach Jana Malatesty prawdziwa burza podniosła się wśród zgromadzonych; znowu rozległy się wołania: „Zdrada!“ Malatesta wyciągnął rękę, jakby chcąc zapanować nad wzburzonymi umysłami.

Cisza zapadła znowu.

— Niema nic teraz łatwiejszego, jak odtworzyć prawdę, — mówił dalej młodzieniec. — Ci dwaj pielgrzymi, emisariusze papieża i Cezara, zjawili się tutaj, aby omówić z hrabią Almą warunki, na jakich ma on zdradzić naszą sprawę... Skoro hrabia znikł z Monteforte, jest to świadectwem, że jest zdrajcą... że przyjął warunki, proponowane przez Aleksandra Borgię...

Hrabia Alma zaprzedał się... Jeśli nie uradzimy czegoś, co by było przykładną karą dla zdrajcy, należy spodziewać się wszystkiego po dyplomacji papieża, jeszcze więcej, niż po orężu jego syna...

— To prawda! — zawołało kilka głosów, klnąc się na Madonnę, że nie darują zdrajcy.

— Należy dosięgnąć karzącą ręką hrabiego!

— Echo przykładnej kary musi rozbrzmieć szeroko po kraju!

— Panowie, — zagał znowu rozmowę Jan Malatesta, — proponuję, aby hrabia Alma, zdrajca i tchórz, był publicznie ogłoszony, jako taki, który shańbił swój tytuł i stracił prawo do swych posiadłości. Niech zostanie polecone każdemu ścigać go, zaciekle i pojmać...

— Tak! tak!

— Panowie! drodzy panowie! — wykrzyknęła Primavera blada z rozpaczy.

Głos jej jednak utonął w rozgwarze, w szczęku dobywanej w gniewnym zapale broni... Padła na fotel bezsilna... Zresztą jakżeby teraz mogła dłużej stawać w obronie ojca?

Nagle przy Janie Malatesta stanęła postać jakiegoś starca. Był to książę Manfredi.

Cieszył się on wielkimi wpływami na wszystkich tych surowych przywódców insurekcji, którymi dowodził w niejednej już bitwie, którym udzielił niejednej mądrej rady. Gdy się podniósł z miejsca znowu wielka cisza zaległa salę obrad.

— Panowie, — rzekł głosem, którego wiek nie zdołał osłabić, — ja również patrzyłem na moje posiadłości, zalewane potokami wojsk nieprzyjacielskich, ja również widziałem krew i trupy tam, gdzie niegdyś panował pokój i falowały obsiane pola... Nie mówię o zrabowanych mi bogactwach, o podeptanych, należnych mi z dziada, pradziada przywilejach. Jestem stary, lecz chodzi tu o zbawienie Włoch, to też ramiona moje są jeszcze dosyć mocne, aby udźwignąć

zbroję. Panowie, byłem jednym z pierwszych adherentów walki wolnościowej. Słyszeliście mnie przemawiającego na zgromadzeniach, widzieliście mnie walczącego na polu bitwy... Sądzę, że wolno mi będzie wyrazić jasno moją myśl.

— Mów pan! mów! — rozległy się ze wszystkich stron głosy.

— Otóż, zdaje mi się, że zapal młodzieńczy ponosił za daleko walecznego Jana Malatestę... Zdaje mi się, że w stosunku do hrabiego Almy, nie powinniśmy wypowiadać zbyt pohopnie naszej opinii. Panowie, zapominacie chyba, że na tronie tym siedzi córka hrabiego Almy, nasza ukochana Beatrix. Spójrzcie na to delikatne dziecię, które nam wszystkim, nam, mężom, zaprawnym do wojennego rzemiosła, dawało zawsze przykład nieustraszonej odwagi... Patrzcie na jej blednącą twarz...

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na Primaverę. Dreszcz litości przebiegł po zgromadzonych. Niejeden pomyślał o tem, że nieszczęśliwe dziewczę było zupełnie same... same! Matka zginęła skrytobójczą śmiercią... Ojciec zniknął! To też jednogłośny okrzyk był odpowiedzią na propozycję księcia Manfredi:

— Panowie, proponuję odroczenie wszelkich postanowień co do ojca Beatrix.

Jan Malatesta również spojrzał na Beatrix. Widział jej coraz większą bladość; głosem, drżącym głębokiem wzruszeniem i gwałtownem, acz tajonem uczuciem oświadczył:

— Panowie, propozycja czcigodnego Manfrediego odpowiada mi całkowicie. Zgoda na odroczenie... Lecz na jak długo?

Wszyscy spojrzeli po sobie niepewni, zmieszani...

— Panowie, — ciągnął Jan Malatesta dalej, — podobnie jak książę Manfredi, podobnie, jak wy wszyscy, jestem wzruszony położeniem hrabianki; dodam tedy, że poprzednia moja propozycja, wiązała się ściśle z tą, jaką chcę uczynić w tej chwili... Mówię

głośno, jawnie, jak do braci... nie chcę niczego ukrywać przed wami.

Zdawał się być bardzo wzruszony. Niektórzy młodzi ludzie, uczestnicy zebrania, wbili w niego rozbłyśnięte spojrzenia, jakby się domyślając, co ma on na myśli. Co zaś do Primavera — niepokój jej był tak widoczny, że książe Manfredi, stanął przy jej boku, aby jej dodać odwagi. Tymczasem Jan Malatesta zwrócił się do niej ze słowami:

— Droga Beatrix, — zawołał nerwowo, — droga i kochana hrabianko, jesteś istotnie naszym przywódcą, a my jesteśmy ci oddani, całą duszą. Twój to młodzieńczy zapał obudził w nas nadzieję. Niech psy pożrą mi język, jeśli miałem, albo też jeśli mam na myśli, słowa, które mogłyby cię dotknąć.

— Nie obraziłeś mnie, Janie Malatesta!

— A więc, — rzekł młodzieniec ze wzrastającą mocą wymowy, — wszyscy jesteśmy zdecydowani umrzeć za ciebie, jeśli tego zajdzie potrzeba... To najmocniejsze słowo, jakie mogę dobrać, aby ci wyrazić oddanie wszystkich tych panów — i moje! Hrabia Alma opuścił nas... Lecz również i ciebie, Beatrix! Proponując pozbawienie go wszelkich tytułów myślałem również o najszczytniejszym, ... o tytule ojca? Niech sobie ostateczna decyzja będzie odroczone, przystaję na to... Koniecznym jest jednak, abyśmy w naszym przedsięwzięciu mieli przywódcę... człowieka, który mógłby stanąć na naszym czele na polu walki... Hrabia Alma musi być zastąpiony... Panowie, i ty, Beatrix, wysłuchajcie mej propozycji...

Młodzieniec zamilkł na chwilę, powściągając wzruszenie; potem wśród uroczystej ciszy, jaka zaległa na sali, ciągnął dalej:

— Proponuję trzy dni zwłoki. Jeśli po upływie tego terminu, ze ścisłością co do godziny, Hrabia Alma nie wróci, zostanie złożony ze swych godności... Czy przystajecie?

— Przystaję! — rzekł książe Manfredi.

— Przystajemy! — powtórzyło za nim zgromadzenie.

Primavera skinięciem głowy wyraziła swą zgodę.

— Otóż po upływie trzech dni możemy zostać bez przywódcy; a hrabianka Beatrix będzie zupełnie sama... zupełnie sama... w mieście, które lada dzień oblegnie nieprzyjacieli... Musimy mieć przywódcę... Musimy znaleźć dla Beatrix opiekuna.

Primavera zbladła jeszcze bardziej.

— Sama hrabianka musi dziś sobie obrać tego opiekuna... Po upływie trzech dni, co do minuty jeśli hrabia Alma nie wróci do nas, wybrany przez nią zajmie miejsce hrabiego, stanie się najwyższym wodzimą naszej insurekcji i małżonkiem hrabianki... Skończyłem.

Głuchy pomruk przebiegł po sali. Wielu z pośród zgromadzonych kochało Beatrix potajemnie; niejedną ręką ścisnęła nerwowo rękojeść ozdobnego sztyletu; niejedno zawistne i posępne spojrzenie wybiegło w stronę Malatesty, zdającego się wszystko określać i przewidywać dlatego, aby zostać głównym wodzem i małżonkiem Beatrix...

Wstrząsana tysiącem sprzecznych uczuć dziewczyna wodziła niepewnym wzrokiem po sali... Wreszcie powstała i cichym głosem zaczęła mówić:

— Drodzy panowie! propozycja Jana Malatesty przeraża mnie i zachodzi zniechęca...

— Jednakowoż jest ona rozsądna! — ozwały się liczne głosy.

Primavera zrozumiała, że jeśli nie ustąpi, dzieło wyzwolenia, któremu się poświęciła, rozpadnie się w gruzy.

Łza błysnęła jej pod powieką... Przed oczami jej stanął nagle obraz cudnego oliwnego gaju, tchnącego wonią ziół leśnych; a w pobliżu strumienia postać młodego jeźdźcy, jednym susem przesadzającego strumień, aby ucałować jej rękę...

Nagle spoważniała. Wzrok jej błysnął odwagą i

dziwną słodyczą, czyniąc ją nad wyraz urocą i pociągającą.

— Dobrze powiedziała. — Przystaję na propozycję!

Zgromadzeni zadrżeli. Zapadła cisza.

— Drodzy i kochani panowie, człowiekiem którego wybieram, wobec tego, że zaszczycono mnie tem prawem, człowiekiem którego wybieram na naszego przywódcę a mego małżonka, jest mąż, budzący we wszystkich zaufanie, szacunek i miłość, jest to człowiek, łączący w sobie wszystkie zalety najzaczniejszych ludzi... to książę Manfredi.

Burza wiwatów powitała jej słowa. Większość zgromadzenia uważała księcia Manfredi'ego za godnego posłuchu wodza tak na radzie, jak też na polu bitwy.

Jedynie paru z pośród obecnych pobladło z zawiści, nikt jednak nie założył protestu, nawet Jan Malatesta.

Książę Manfredi ochłonawszy ze zdziwienia nie mógł ukryć przyjemności, jaką mu sprawił wybór Primavera. Zbliżywszy się do hrabianki, pochylił przed nią w głębokim ukłonie swą wyniosłą postać, jakby stworzoną do noszenia ciężkiej zbroi rycerskiej, i podniósł rączkę swej przyszłej narzeczonej do ust. Pocałunek ten wstrząsnął dziewczyną... Chmura przesłoniła jej piękne czoło. Czego się spodziewała? Dlaczego coś niby przerażenie zakradło się jej do serca w chwili, gdy pochyłony przed nią w ukłonie starzec szepnął:

— Bądź błogosławiona, droga Beatrix, za to, żeś zgotowała mi na moje stare lata taką radość. Traktowałem cię, jak córkę... zechciałaś abym zostałem twym małżonkiem... Wielka to dla mnie chluba i, jakkolwiek biały włos okrywa moją głowę, przysięgam na Madonnę, że wszyscy zapomną teraz o tem, ty bowiem promieniłaś je aureolą miłości!

Starzec wyprostował się; zwrócony do zgromadze-

nia, błyskając oczami, szeroki w piersiach, barczysty w ramionach, zdawał się być uosobieniem siły.

Zawołał:

— Przyjmuje podwójny zaszczyt, jaki mi uczyniłaś. Panowie, mianuję Walentego Ricarda dowódcą naszej kawalerji, a Trivulce'a z Piobino dowódcą piechoty. Wyznaczam Rodryga Imola, Jana Malatestę i Juljusza Orsini'ego członkami rady...

Zgromadzenie przywódców potwierdziło ten wybór wiwatami, a Primaveraę pozdrowiło również głośnymi okrzykami radości...

Upłynęły trzy dni. Książę Manfredi rozesłał konnych na wszystkie strony; wszystkie jednak przeszukiwania były bezowocne. Zdrada hrabiego Almy stała się jasną.

Czwartego dnia rozległo się głośne bicie dzwonów; zabrzmiały na placu zamkowym fanfary; na ulicach i przed pałacem zgromadziły się olbrzymie, hałaśliwe, wesołe tłumy...

W południe hrabianka Beatrix Alma ukazała się u szczytu olbrzymich schodów... otaczał ją rój dam dworskich i możliwych panów. Książę Manfredi podał jej rękę. Głośne okrzyki powitały ukazanie się pary narzeczonych. Książę i Beatrix zaczęli schodzić powoli ze schodów przykrytych drogim dywanem; on — promieniał; ona — blada, we wspaniałej sukni z białego brokatu, w złotej koronie na jasnych włosach, zdawała się być monarchinią, otwierającą wspaniałą uroczystość ludową... Uroczystością tą był jej własny ślub.

IV.

SPOTKANIE.

Jan Malatesta nie pomylił się; dwaj pielgrzymi, których przyłapał na naradzie z hrabią Almą, byli to dwaj emisariusze Aleksandra VI: baron Astorre i mnich Garconio.

Hrabia Alma w owej epoce był to pięćdziesięcioletni mężczyzna zwykle milczący, słabego zdrowia dręczony oddawna długotrwałą melancholją. Usposobienie miał niezdecydowane, dzikie, nie ufał nikomu, wiecznie wszystkich posądzał o knowanie zamachów na jego życie, zmuszony do walki, uciekał się do podstępów, przedewszystkiem jednak namiętnie kochał spokój.

Gdy zauważył w charakterze córki do wysokich granic posuniętą odwagę, popychającą ją do najzuchwalszych nieraz poczynań — zaczął drżeć z trwogi.

Beatrix kochała polowanie i ćwiczenia fizyczne; drżała z gniewu, ilekroć ojciec podejmował na swym dworze z wielkimi honorami wysłannika papieskiego; pewnego dnia obija szpicrutą jakiegoś rzymskiego panka, który w jej obecności ośmielił się powiedzieć:

— Monteforte będzie kiedyś jeszcze jednym kwiatkiem, ozdabiającym tiarę papieską.

Cezar zapragnął zdobyć miasto. Beatrix wtedy zaczęła objeżdżać okolicę, wzywając do walki, nawet śród mieszkańców miasta zbudziła taki entuzjazm, że wojska nieprzyjacielskie musiały się cofnąć. Hrabia Alma jednak wiedział, o tem, że Beatrix organizuje ligę, w skład której wchodzi wszyscy, wyzuci przez Borgiów z mienia — przeraził się. Udał, że przyjmuje naczelne dowództwo, albo raczej Beatrix przyjęła tę godność w jego imieniu...

Jednakowoż, już podminowany przez Aleksandra VI, hrabia Alma powziął własną decyzję. To też gdy baron Astorre i Garconio, przebrani za pielgrzymów, przedłożyli mu propozycje papieskie, hrabia Alma opierał się im narazie jedynie dla formy. W przededniu walnego zgromadzenia wszystkich szefów insurekcji, opuścił potajemnie swój pałac, wyszedł na miasto i spotkał się z baronem i mnichem, którzy na niego czekali. W tej samej jednak chwili ogarnął go wielki wstyd.

— Panowie, — rzekł, — będę wam towarzyszyć

do Rzymu, chcę bowiem zobaczyć się z Ojcem Świętym; a to jedynie dlatego, aby zapobiec nowej wojnie domowej. Pośpieszmy się... chcę jak najprędzej powrócić do Monteforte...

— Och! nie potrzebujesz nawet, panie hrabio, jechać aż do Rzymu, — rzekł Garconio z przebiegłym uśmiechem; — Jego Świętobliwość wybierał się właśnie do Tivoli, w chwili gdy pożegnaliśmy go, musi więc już tam być...

Udali się w drogę; hrabia jechał między Astorre'em, a Garconiem, zupełnie tak, jakby był jeńcem. Faktycznie był nim: poddał się przed bitwą.

— Co do propozycji, któreście mi poczynili, — mówił do nich, chcąc dodać sobie ducha, — nie chcę nad nimi dyskutować...

— Są jednak wspaniałe, — dorzucił Astorre. — Pałac i renta roczna w wysokości dwóch tysięcy dukatów w złocie...

— Godność wielkiego chorążego kościelnego wraz ze wspaniałymi poborami do niej przywiązanymi, — bąknął Garconio.

— Prawo utrzymywania straży osobistej, złożonej z dwudziestu zbrojnych...

— Dowództwo gwardją Jego Świętobliwości...

— Tytuł radcy, członka rady osobistej Ojca Świętego...

— Jest to ostatecznie najwspanialsze stanowisko w Rzymie... po Jego Świętobliwości i jego książęcej mości Cezarze!

— Nie mówmy o tem! — rzekł hrabia Alma, który notował starannie w myśli różne korzyści, jakie za wolą Aleksandra VI. mogły dlań wypłynąć ze zdrady.

Mały oddziałek posuwał się szybko naprzód, postanawiając zatrzymać się tylko na noc. Nazajutrz od samego rana wyruszono znowu dalej, a nad wieczorem zatrzymano się w oberży, stojącej przy drodze, która wiodła z Monteforte do Tivoli. W tej sa-

mej oberży zatrzymał się właśnie na popas Ragastens, jadący w kierunku z Tivoli do Monteforte.

Trzej podróżni, siedząc w najchłodniejszej izbie, spożywali obiad z wielkim apetytem. Rozmawiano wesoło i przy końcu obiadu wino rozwiązało wszystkim języki.

— Gdy pomyślę o tem, jakie miny mają w tej chwili wszyscy ci Malatest'owie, Manfredi'owie i Orsini'owie! — wykrzyknął Astorre, któremu wychylone szklanice wina nie przysparzały taktu...

Hrabia uśmiechnął się z przymusem i szepnął:

— Zmieńmy temat, moi panowie, proszę bardzo...

— Tak, zmieńmy temat, — przytaknął Garconio, który podpił sobie trochę również; — baronie, wiesz, o czem w tej chwili myślałem?

— Słucham... drogi Garconio...

— Myślę o jednym z mych znajomych i o tem, jaką musiał mieć minę, w chwili gdy leciał na łeb na szyję do „lwiej jamy“...

— Aa...

— Albo kiedy kat zmiotł mu z karku główkę! Doprawdy nie mogę odżałować, że nie mogłem być obecny na takiej zabawie!

— Niestety, zabawa ta już się nie powtórzy, bo pan Ragastens zakończył już żywot, odwalił kitę i grabarz przyklepał go łopata!

Nagle cień jakiś zamajaczył w obramowaniu okna; cień ten skoczył zwinnie do pokoju, a drgający ironją głos zawołał:

— Dzień dobry, moi panowie! Jestem zachwycony nieoczekiwanem spotkaniem!

Astorre zerwał się z krzesła, Garconio zaś pozostał w miejscu skamieniały ze zdumienia.

— Ragastens! — wybełkotał.

Hrabia Alma, zdziwiony tą nieoczekiwaną sceną, przyglądał się jej w milezeniu.

— Tam do djabła, drogi baronie, — ciągnął dalej szyderczo Ragastens, — umarli, których ekspedju-

iecie na tamten świat, czują się jakoś dobrze... jak mi się zdaje.

— Kawaler de Ragastens! — powtórzył do reszty ogłupiały Astorre.

— Tak jest kawaler de Ragastens! zdrów i cały... Coprawda nie jest to zasługą tego czcigodnego mnicha, że mnie oglądasz, drogi przyjacielu, — lecz oglądasz mnie mimo wszystko — a to grunt. Uspokój się, proszę! Zdaje mi się, że przerywam rodzinną pogawędkę... Przeszkadzam panom... przyznajcie się, do diabła!

Zwrócił się do hrabiego Almy:

— Panie hrabio, pozwól pan, że mu się przedstawię; jestem kawaler de Ragastens, poszukuję pana, mam bowiem najciekawsze pod słońcem rzeczy do zakomunikowania.

— Ruszaj opowiedzieć je w piekle, skąd cię diabli przynieśli! — ryknął Garconio.

Z temi słowy zakonnik rzucił się na Ragastensa z podniesionym sztyletem w rękę. Ragastens jednak nie spuszczał z niego oka: zauważył w porę, co knuje. Szybko, jak strzała, odskoczył do okna i dobył szpady. Sztylet mnicha zadał cios w próżnię.

— Astorre! I pan, panie hrabio! Huzia! na tego nieponia! Musi umrzeć!

Baron ochłonał ze zdumienia i również sięgnął po broń.

— Ucieknie przez okno! — dodał Garconio. — Huzia! huzia!

— Nie obawiaj się, ty, milutki zbirze! — rzucił mu w odpowiedzi Ragastens, odparowując ciosy barona.

— Na pomoc! na pomoc! — wył Garconio.

Widząc, że nie poradzi sam z Ragastensem rzucił się do drzwi.

Tymczasem hrabia Alma ani się ruszył z miejsca. Nie wiedział zupełnie, kim jest nieznany przybysz, nie chciał się wtrącać do kłótni, jak mu się zdawało, osobistej mnicha z Ragastensem.

Garconio otworzył drzwi na korytarz.

— Piekło niech cię pochłonie! — warknął, cofając się przed sztyletem Spadacape'a.

— Nie żałuj go! — rzucił rozkaz Ragastens.

Spadacape pchnął mnicha sztyletem, Garconio padł na ziemię ze słowami:

— Przekleństwo! Zabił mnie!

Jednocześnie szpada Ragastensa przeszła na wyłot ramię barona Astorre'go, który padł na ziemię.

— To siódma dziura, jeśli się nie mylę? — zapytał Ragastens z uśmiechem.

— Do diabła, mój panie, — warknął baron, — dobrze pan rachujesz; naprawdę. Bądź pan jednak spokojny, zwrócę panu ten dług jednym pchnięciem.

— Nigdy w to nie wątpiłem, panie baronie... Tymczasem jednak, czy nie potrzebujesz pan czego? Może mam panu przewiązać ranę?

— Dziękuję... Nie potrzebuję niczego... prócz tego, abym mógł podjąć dalszą podróż w towarzystwie pana...

— Aa... w tem cała trudność, drogi panie... Miałem bowiem chęć zaproponować panu hrabiemu mały spacer.

Mnich, leżący na ziemi, usłyszał te słowa; podźwignął się z trudem i zacharczał:

— Uciekaj, hrabio! Uciekaj!

— Och! pan hrabia nie potrzebuje wcale uciekać! — zaoponował Ragastens.

— Czego chcesz pan ode mnie, mości kawalerze? — zapytał zimno hrabia Alma.

Ragastens zbliżył się do hrabiego.

— Chcę tylko powiedzieć panu parę słów, — szepnął mu na ucho. — Przybywam z Rzymu, skąd uciekłem w przeddzień mej egzekucji, na którą zasłużyłem, odmawiając udania się do Monteforte, aby porwać pana, panie hrabio!

— Nie słuchaj go pan! Ten człowiek kłamie! To djabeł wcielony! — charczał Garconio, czołgając się na kolanach i usiłując dosięgnąć Ragastensa. Spada-

cape położył mu rękę na ramieniu i gwałtownem szarpnięciem odrzucił go wtył. Baron zemdlał...

Słowa Ragastensa wstrząsnęły hrabią Almą. Nie wątpił w to ani na chwilę, że były one prawdą, nie tylko, że poważna i tchnąca szczerością twarz Ragastensa zaprzeczała wszelkiej myśli o kłamstwie, lecz również wszystko, co powiedział, stało w związku z wypadkami.

Ragastens dodał:

— Odmówiłem papieżowi mego udziału w tak niemym przedsięwzięciu... Baron Astorre jednak przystał na wszystko!

— Dalej? — zapytał hrabia, wciąż jeszcze z wielką rezerwą.

— Dalej? Tego dnia, w którym zostałem aresztowany, słyszałem na własne uszy, jak Cezar Borgia wydał rozkazy przygotowania dla pana, panie baronie, w tajemnicy, jedną z cel Zamku Świętego-Anioła.

Hrabia Alma zamyślił się głęboko.

Przypominał sobie o kilku możnych panach, których, jak jego, ściągnięto do Rzymu ponętnymi obietnicami, a którzy padli wkońcu ofiarami nieszczęśliwych wypadków mniej lub więcej dziwnych. Ragastens zrozumiał, co się działo w duszy hrabiego.

— Panie, — oświadczył, — na głowę moją nałożono cenę; nasadzono na mnie drabów miejskich; w tej chwili mógłbym już być bardzo daleko i w zupełnie bezpiecznym miejscu, gdybym nie zboczył z drogi i nie udał się do Monteforte, a uczyniłem to dlatego, aby ocalić od straszliwej śmierci dzielnego i czci godnego szlachcica, zwiedzonego przez tego mnicha, godnego sługę niezwykłego łotra, mającego na imię... Borgia. Teraz mam spokojne sumienie. Jeśli wciąż jeszcze chcesz pan jechać do Rzymu, jedź pan... Chodźmy, Spadacape... czas już...

Ragastens uczynił ruch, jakby chcąc opuścić izbę. Ostatnie jednak jego słowa, poważny ton, jakim były wypowiedziane, wzruszenie i widoczne jego dobre intencje, nie usiłował bowiem zatrzymać hrabiego

gwałtem, wreszcie ruch, jaki uczynił, zmierzając do wyjścia, wszystko to razem przekonało ostatecznie hrabiego.

— Zaczekaj, pan... — zawołał.

Ragastens zatrzymał się niespokojny... zdecydowany w gruncie rzeczy uciec się do gwałtu, jeśliby Alma nie zechciał wrócić do domu z wolnej i nieprzymuszonej woli.

Hrabia spojrział na wciąż jeszcze zemdlonego barona, potem na mnicha, którego rana nie pozwalała mu wcale ruszyć się; rzucał tylko pełne wściekłości spojrzenia... Spojrzenia te przechyliły szalę zwycięstwa na stronę Ragastensa.

— Panie, — zabrał głos, — pojedę z panem kawałek, muszę bowiem pomówić z panem, a nie chcę zatrzymywać pana i przeszkadzać mu w ucieczce; ale — dodał, spoglądając na Garconia, — wrócę tutaj... Chcę jechać do Rzymu... tak trzeba!

— Spadacape, konie! — rzekł Ragastens, powściągając swą radość.

— Panie, — zapytał Spadacape, — czy mam dobić mnicha?

— Ba! na co się to przyda? — odparł niefrasobliwie Ragastens, — umrze kiedyś, pobity własną bronią, będzie to gorsze, niż śmierć od sztyletu.

Po chwili jechali już razem drogą, wiodącą do Monteforte.

Hrabia Alma wcale nie był zdecydowany ostatecznie na powrót do Monteforte; zaledwie postanowił sobie nie jechać do Rzymu; jednakowoż rozmyślał, jadąc, jeśli wróci do Monteforte i jeśli wojna wybuchnie na dobre, stanie wobec dwojakiej sytuacji: jeśli liga baronów zwycięży, on będzie panem sytuacji, ponieważ jeśli już nie istotnie, to przynajmniej z imienia tylko posiadał naczelne dowództwo. Jeśli przeciwnie, zwycięży wojsko Cezara, będzie mógł zawsze powiedzieć, że odwieziono go do Monteforte siłą!

Ragastens zerkał na niego z pod oka i usiłował zdać

sobie z tego sprawę, o czem też mógł on tak rozmyślać?

— Oto powtarzał sobie w duchu, — oto ojciec Primavery! Jak mogła ta posępna figura, ten biedak, nie mający odwagi nawet do zdrady — jak takie indywiduum mogło dać życie takiemu cudowi szlachetnej odwagi, — jak Beatrix? czy podobna, aby ten małoduszny, ten chory człeczyna mógł być ojcem tak zdrowej i drgającej życiem istoty, jaką jest Beatrix?

Hrabia Alma zkolei rzucił chwilami przelotne spojrzenie na kawalera, podziwiając ukradkiem jego męską, smukłą budowę, a zwłaszcza jego stanowczość. Przyglądał mu się w milczeniu, chcąc wyczytać z jego zachowania, czem rządził się, występując tak rycersko w jego obronie.

— Panie, — rzekł wkońcu, — czy jesteś pan zupełnie pewny intencyj Cezara Borgii co do mnie? Teraz, gdy już jesteśmy sami, kiedy już nie potrzebujesz pan obawiać się ani tego głupca, barona Astorrego, ani zjadliwego, przewrotnego mnicha...

— Panie hrabio, — przerwał Ragastens, — zdaje mi się, że pomieszales pan role...

— Jakto, młodzieńcze?

— Zdaje mi się, że to baron i mnich nie potrzebują obawiać się mnie, teraz kiedy uczyniłem im łaskę z tej odrobiny życia, jakie im pozostało...

— A więc nie obawiasz się pan, że podburzą przeciw panu Cezara Borgię i jego ojca?

— Panie hrabio, gniew papieża i jego rodziny nie mnie nie obchodzi, przysięgam panu na to. Widzisz pan, wyrobiono wszystkim tym Borgiom opinię ludzi mocnych, co jest naprawdę wielką przesadą. Umieją działać tylko za pomocą trucizny!... Lecz z chwilą tylko, gdy się wysuną poza obręb działania retort i probówek, gdy tylko umyślą zabijać inaczej, niż zaproszeniem na śniadanie, mocni Borgiowie zamieniają się w tchórzliwych bandytów...

— Swobodnie się waść o nich wyrażasz! — zawołał hrabia.

— No, bo im się przyjrzałem zblizka... Cezar Borgia wtrącił mnie do jednej z najciemniejszych i najbardziej zapowietrzonych cel Zamku Świętego Anioła... tymczasem ja wydostałem się stamtąd, pozostawiając na mojem miejscu Cezara, zakutego w moje kajdany. Lukrecja chciała mnie zabić za pomocą zatrutego sztyletu, no i sama zawdzięcza życie jedynie temu, że mierzi mnie myśl podniesienia ręki na kobietę. Papieża również miałem w mojem ręku; mogłem go albo zabić, albo uprowadzić ze sobą, gdybym widział w tem jaki interes. Wierzaj mi pan, panie hrabio, ci okrutni Borgiowie, przodują jedynie w komedjanctwie. Tego jeszcze za mało, aby się ich bać!

Hrabia spoglądał ze wzrastającym wciąż zdumieniem na tego, który w ten sposób mówił o władcach, przed którymi całe Włochy padały na kolana, dygocąc ze strachu.

— Wracam jednakowoż do mego pierwszego pytania — rzekł po chwili milczenia. — Czy jesteś pan pewien intencji Borgiów?

— Słyszałem na własne uszy rozkaz Cezara przygotowania dla pana hrabiego celi więziennej...

Hrabia spuścił głowę. Bezcelowość jego zdrady przygnębiła go jeszcze bardziej, niż sama myśl o tem, że popełnił zdradę. Teraz dopiero stanęła mu jasno przed oczami cała okropność jego sytuacji.

Mimo wrodzoną mu słabość ducha, nie bez walki wewnętrznej zdecydował się na opuszczenie córki, przyjaciół, stronników — słowem wszystkiego i wszystkich! — a uczynił to dlatego tylko, by zapewnić sobie poniżający spokój raczej fizyczny, niż moralny. I oto nagle spokój ten okazał się mrzonką! Jazda do Rzymu — to cela więzienna w pałacu Borgiów! Nie wątpił już w to w tej chwili. A więc, co począć?

Wrócić do Monteforte? Lecz jakiego dozna tam przyjęcia? Kto wie, czy po powrocie nie zostanie aresztowany i wtrącony do więzienia w swej własnej stolicy? Nie jest że możliwem, a nawet zupełnie prawdopodobnem, że motywy jego nieobecności na zgroma-

dzeniu przywódców insurekcji staną się dla nich wszystkich zupełnie jasne?! Wszędzie, dokąd się zwrócił myślami, — wszędzie czyhały na niego: hańba, ruina i nędza.

Na chwilę błysnęła mu w mózgu myśl o samobójstwie, samobójstwo jednak wymaga siły woli i odwagi fizycznej, których to cech hrabia Alma nie posiadał. To też zadowolił się westchnieniem: „Jestem zgubiony!“

Wrócił do rozmowy z Ragastensem:

— Czy nie mówiłeś mi pan, że na twą głowę nałożono cenę?

— Niestety, tak! jestem tem bardzo strapiony!

— I chcesz pan opuścić Włochy?

— Tego nie wiem jeszcze napewno, panie hrabio!

— Jakie jednak masz pan najbliższe plany? Ratuszesz się pan ucieczką, nie możesz więc ani zatrzymać się dłużej w jednym miejscu, ani zaprzętać sobie czem innem głowy...

— Nie kłopotz się pan o mnie, panie hrabio, — pośpieszył z odpowiedzią... — Mówmy lepiej o panu...

— O mnie! Moja sprawa bardzo prosta, — odpowiedział hrabia Alma z goryczą, — poproszę o gościnność którego z wielmożów, który zechce może przygarnąć mnie i dopomóc w mej biedzie...

— Lecz dlaczego nie masz pan wrócić do Monteforte?

Hrabia spojrział na Ragastensa z niemą rozpaczą. Ragastensowi żal się go zrobiło.

— Panie hrabio, — rzekł nagle, — czy zechcesz pan być ze mną szczery? Co powiesz pan na to, gdybyśmy postarali się przy pewnej dozie odwagi rozplątać pańską zawikłaną sytuację?!

— Moją zawikłaną sytuację! Ja tylko mogę być tu sędzią! — odpowiedział wyniośle hrabia.

— Pomyłka, panie hrabio! Ja jestem tym sędzią również!

— Pan? Z jakiego tytułu... nie znam pana prawie...

— Chociażby dlatego, że ocalam panu więcej niż życie: ocalam go przed... piętnem zdrajcy!

— Panie!...

— Słowo nie jest gorsze od czynu! Nie znasz mnie pan wcale. Ja znam pana nie wiele więcej, lecz to, co słyszałem o panu w pewnych okolicznościach, dało mi możność przewidzenia tego, co się stało... Rozmowa Astorre'ego i Garconia upewniła mnie do reszty; otóż, opuściłeś pan twoje miasto i twoje hrabstwo w chwili, kiedy Cezar miał przeciw niemu wystąpić... To się nazywa zdradą, jak mi się zdaje!

— Dalej! dalej! — przynaglał hrabia, błędąc.

— Spotkałem się z panem; opowiedziałem o zamysłach nie znających litości Borgiów, o ich zradliwych obietnicach, o tem, że przygotowują dla pana całą więzienną... Wtedy w myślach pańskich nastąpił zwrot. Spoglądasz pan wstecz i ogarnia cię przerażenie na widok drogi, jaką przebyłeś. Jesteś pan teraz pewny, że między tobą a twymi przyjaciółmi i żołnierzami, nawet między tobą, a rodziną rozwarła się nagle przepaść, której nie zdołasz pan teraz przebyć.

Ragastens mówił z porywającą mocą. Szlachetność biła mu z oczu. Hrabia Alma słuchał go ze zdziwieniem. Drgnął, gdy kawaler nagle oświadczył:

— Otóż ja dopomogę panu przebyć tę przepaść!

— Niepodobna?!

Już się skłaniał przynajmniej do dyskusji na ten temat.

— Niepodobna?! — powtórzył Ragastens. — Ba! Zobaczmy. Najważniejszym jest — chcieć. Kto chce — ten może!

— Lecz ostatecznie, mój panie, dlaczego interesujesz się pan tak bardzo tem, co ja robię i co się ze mną może stać?

Teraz Ragastens z kolei zmieszał się. Nie przewidział tego pytania. Nie mógł przecieź odpowiedzieć hrabiemu:

— Jeśli chcę odstawić pana do Monteforte, jeśli

chcę powstarzyć pana od zdrady — to dlatego, że kocham pańską córkę!

Opanował się jednak szybko i powiedział:

— Panie hrabio, interesują mnie pańskie losy tak samo, jak losy każdej z ofiar prześladowania Borgiów... Cierpiałem przez tę cudowną rodzinę, nic więc dziwnego, że sympatje moje są po stronie tych, których oni prześladują...

— Więc przypuszczasz pan, że jest jednak możliwość wyjścia z godnością z mojej sytuacji? — zagadnął wreszcie hrabia Alma.

— Nietylko, że przypuszczam, lecz jestem tego pewny. Zależy to zresztą tylko od pana...

— Wyjaśnij mi pan swój plan i, jeśli dopomożesz mi pan istotnie, nie będziesz mógł pan narzekać na mą niewdzięczność.

— Panie hrabio, obym kiedyś nie skorzystał z obietnicy i nie przypomniał jej panu!

— Będziesz zawsze mile wysłuchany, kawalerze! Ale teraz mów!

— Wszystko zależy jedynie od twej woli, panie hrabio. Jeśli pozwolisz mi być brutalnie może szczerym, powiem ci, że sytuacja jest jedną z najstraszniejszych, jakie mogą się przytrafić. Gdybym ja znalazł się w podobnej, zdaje mi się, że śmierć tylko mogłaby mnie z niej wybawić.

— A więc proponujesz mi pan samobójstwo!

— Nie! Chcę tylko zaznaczyć, że nawet śmierć w podobnych okolicznościach nie powinna być straszną, że przeciwnie, winna się raczej wydawać wybawicielką...

— Mój panie! śmierć nie przeraża mnie więcej, niż każde inne nieszczęście... nie znoszę tylko rwetesu i komplikacyj...

— Jeśli myśl o śmierci nie przeraża pana, nie powinienes się namyślać i stanąć odważnie na czele twych dzielnych sojuszników, którzy czekają na ciebie z całym zaufaniem. Finał może być tylko dwójaki: albo padniesz pan na polu chwały, umierając z

pożytkiem, bo w obronie ziemi ojczystej i przywilejów, albo wyjdiesz pan z zawieruchy cało utrzymując wszystkie prawa, przywiązane do tytułu hrabiowskiego i do jednego z najpiękniejszych hrabstw...

— Wszystko to jest zupełnie słuszne, mój panie; nie usuwam się od wykonania... zasadnicze jednak pytanie pozostaje do rozstrzygnięcia... oto ono. Opuściłem Monteforte; uczyniłem to z powodów, które zdały mi się być dobrymi. Zresztą to nieważne! Ważnem jest to, co uczyniłem. Otóż teraz nie mogę wrócić do Monteforte, gdzie mój odjazd musi być osądzony...

— I to, powiedzmy, surowo, — przerwał Ragastens. — Lecz czy np. nie mogłeś pan zapuścić się w celach wywiadowczych w stronę Rzymu?

— A może kto widział emisariuszy papieskich?!

— To i cóż? Wyciągnęli pana w zasadzkę. Porwali pana siłą. Spotkaliśmy się na szczęście w drodze, dopomogłem panu do ucieczki, no i wracasz pan do Monteforte szczęśliwy, że możesz jeszcze ofiarować twe imię i twą wierność sprawie, której obrońcy mogli już może poczytać pana, za człowieka straconego.

— Tam do licha! dodałeś mi pan ducha!

— A jeśli przypadkiem ktoś ośmieli się wyrazić wątpliwość, będę przy panu i moją szpadą wypiszę mu na skórze całe zdarzenie, punkt po punkcie!

— A więc zechcesz mi pan towarzyszyć do Monteforte?

— Nietylko, że będę, lecz nie pragnę nic więcej nad to, by pozostać przy panu, dopomóc ci do lekkiego wyłojenia skóry imię panu Cezarowi, który, jak mi się zdaje, potrzebuje dobrej nauczki.

— Ach! kawalerze, — wykrzyknął hrabia Alma; — mogę śmiało powiedzieć, że wracasz mi pan jednocześnie życie i honor! Podaj mi pan, proszę, rękę!

Ragastens podał hrabiemu rękę, którą ten uściśnął z wielkiem wylaniem. Serdeczność ta jednak nie pogłaskała zbyt miłości własnej Ragastensa; był

jednak zdecydowany na towarzyszenie hrabiemu do Monteforte.

Postanowiono odbyć drogę jak najszybciej. Noc spędzono w jakiejś stojącej na uboczu oberży. O świcie puszczono się znowu w drogę, która trwała, aż do wieczora. Wreszcie hrabia oświadczył, że znajdują się teraz o jakieś kilka zaledwie godzin od Monteforte.

— Jeśli przynaglimy konie, przybędziemy tam o pierwszej w nocy, — dodał.

Ragastens odgadł jego myśl.

— Chcesz pan wjechać do miasta po nocy?

— Tak będzie lepiej! Pozwoli mi to wejść potajemnie do pałacu.

— Otóż, panie hrabio, mnie się zdaje, że lepiej jest wrócić po dniu, jak wraca każdy pan z długiej podróży, odbytej dla dobra powszechnego... Zapewniam pana, że nasz wjazd do miasta w biały dzień wywrze wrażenie...

— Masz, kawalerze, słuszność... Och! dlaczego nie poznałem pana wcześniej!

Postanowiono tedy, żeby dać wypocząć koniom przez całą noc... Nazajutrz ruszono w drogę o ósmej rano.

Okolica była górzysta, poszarpana rozpadlinami; droga biegła w górę po granitowych zboczach między dwoma ścianami skał. Nagle stanęli na płaskim wierzchołku. Hrabia Alma zatrzymał konia i wyciągając ramię w kierunku grupy białych domków, skupionych przy sobie w odległości jakiejś mili od nich, obwieścił:

— Monteforte!...

VI.

KSIEŻNA MANFREDI.

Na widok Monteforte Ragastens zbladł. Przed chwilą nie myślał nawet o niem. Wiedział doskonale, że tam jedzie, zdawało mu się jednak, że przy-

będzie tam o jakiejś nieokreślonej godzinie, o której stronie, zdając się pytać go spojrzeniem o radę, odp-

Nagły widok Monteforte i świadomość, że wkrótce ujrzy Beatrix dały mu do poznania, jak doniosłą rolę zajęła postać dziewczyny w jego wyobraźni. Drżał myśląc o tem, że stanie niedługo już przed nią... drżał tak, jak nigdy jeszcze w swem życiu. Bał się.

— Losy moje rozstrzygną się dzisiaj! pomyślał, ogarnięty owem głębokiem wzruszeniem, które z naj-silniejszego mężczyzny czyni nagle istotę słabą, jak dziecko. Jej pierwsze spojrzenie będzie dla mnie zorzą nadziei, której poprostu nie śmiem mieć, albo jeszcze straszliwszym wyrokiem, niż wyrok Borgii.

Poskromił jednak wzruszenie, na twarzy rozlał się znowu wyraz niefrasobliwego zuchwałstwa, charakterystyczny dla niego. Gdy Alma zwrócił się w jego stronę, zdając się pytać go spojrzeniem o radę, odpowiedział bardzo naturalnym głosem:

— Ach! oto pańska stolica, panie hrabio!... Piękne miasto! Winszuję panu...

— A co powiesz pan o fortyfikacjach?...

— że za takimi wałami można stawiać opór bodaj przez cały rok nawet przeciw dwudziestu tysiącom oblegających...

— Są jednak miejsca słabe...

— Widzę to: przesmyk górski, którym jechaliśmy przed chwilą, ułatwia przybliżenie się do fortecy i zaskoczenie zniemacka...

— Tak. Tędy właśnie Cezar w ubiegłej wyprawie przyjskich szturm.

— I został odparty?

— Z wielkim trudem! — rzekł hrabia z westchnieniem. Jedźmy jednak, puścimy się kłusem i niebawem już staniemy w Monteforte...

— Gdzie zostaniesz pan powitany wiwatami. Ręczę za to.

Hrabia Alma potrząsnął głową i z gwałtownością, słabego człowieka, który wreszcie decyduje się na coś, puścił się galopem. Ragastens ruszył jego śladami,

notując w pamięci wszystkie zakręty i przeszkody na drodze usianej sterczącymi po prawej i po lewej stronie zwałami skalnymi.

Słyszeli teraz wyraźnie dziwny tumult, płynący od strony miasta, bicie w dzwony, głos trąb i echa fanfar.

— Co to ma znaczyć? — szepnął hrabia blednąc.

— Zobaczymy. Odwagi, do diabła! Wjedź pan do miasta, jak dowódca, powracający z wyprawy, a nie jak skruszony dezertter!

Brutalne i ostre słowa Ragastensa były dla miękkiej natury hrabiego zacięciem bata.

— Tam do licha! — warknął — masz pan rację!

Po chwili hrabia Alma zatrzymał się przed bramą miejską, przy której kończyła się górską ścieżką. Strażnicy, stojący przy zwodzonym moście, spojrzeli na niego ze zdumieniem. Dyżurny oficer osłupiał również. Ragastens natarł na niego.

— Mój panie, zawołał, widzę, że straciłeś pan zupełnie głowę! Twój pan, jaśnie oświecony pan hrabia Alma wraca z niebezpiecznego rekonesansu, na którym ledwie nie postradał życia. Na co czekasz pan, że nie oddajesz mu należnych honorów?

Słowa te, wyjaśniające zniknięcie hrabiego, były jednocześnie ostrą wymówką, to też wywarły wrażenie, na jakie Ragastens liczył.

Przeświadczony, jak zresztą wszyscy, że hrabia Alma opuścił Monteforte, aby się udać do Rzymu, oficer nie mógł narazie zrozumieć nieoczekiwanego powrotu. Zręczny manewr Ragastensa zrobił piorunujące wrażenie.

— Panie hrabio, — wyjąkał... — proszę o przebaczenie!... nie spodziewałem się... tak nagle... radość... wszyscy byliśmy tak niespokojni!

Ustawił pośpiesznie w ordynku bojowym dwudziestu swych podkomendnych żołnierzy.

— Przemów pan do nich! — podszeptał Ragastens hrabiemu.

— Mości oficerze, odezwał się hrabia do oficera,

wybaczam panu pańskie roztargnienie ze względu na dobre wiadomości, jakie przywożę. Żołnierze, udało mi się ustalić, jakie są siły nieprzyjaciela, nie chciałem nikomu powierzać tego zadania. Odwagi i ufności! Jesteśmy silniejsi. Zwycięzimy!

— Niech żyje nasz hrabia! — krzyknęli żołnierze zgodnym chórem.

Wszystko zakończyło się pomyślnie. Hrabia Alma nabral otuchy, widząc z jaką łatwością przełamane zostały pierwsze lody; myślał że napotka na swej drodze nieprzebyte przeszkody. Skinął na Ragastensa.

— Panie, — rzekł kawaler do oficera, — zechciej pan towarzyszyć wraz z żołnierzami panu hrabiemu do pałacu.

Gdy oficer ze zdumieniem spojrział na nieznajomego, który pozwał sobie na wydawanie rozkazów, hrabia dodał:

— Wykonaj pan rozkaz mego dowódcy sztabu, mości oficerze!

Oficer zasalutował i pośpieszył ustawić w szeregi swych ludzi.

— Kolego, — rzekł Ragastens nachylając się do niego, — miej się na baczności po drodze do pałacu i staraj się wykonać ściśle moje rozkazy; odpowiadam za twą karierę...

Oficer przeczuł, że dzieje się coś nienormalnego i że ślepe posłuszeństwo może mu istotnie zapewnić karierę. Zdecydował się w jednej chwili. Stał na czele swego oddziałku z podniesioną szpadą i ruszył z miejsca z okrzykiem:

— Niech żyje pan hrabia! Cześć hrabiemu Almie!

Oddziałek zbliżył się do pałacu; za nim ciągnęli napotkani po drodze żołnierze i odświętnie przystrojony tłum. Wszyscy wołali: „Niech żyje hrabia!“

Wiść o powrocie hrabiego Almy obiegła miasto z błyskawiczną szybkością. Podawano sobie z ust do ust jego przemówienie do żołnierzy. Hrabia wracał z rekoniesansu. Hrabia ryzykował życiem. Cała ludność Monteforte wyległa na ulice, witając owacyjnie swe-

go pana, którego tegoż samego jeszcze dnia rano chciano powiesić, lub zamordować.

— Nie mówiłem? — szepnął Ragastens rozpromieniony.

— Miałeś słuszną, kawalerze... Lecz co mogą znaczyć te fanfary i te odświętne stroje?

Orszak, towarzyszący hrabiemu wszedł na plac pałacowy. W tej samej chwili, z drugiej ulicy wyległ również na plac drugi, jeszcze świetniejszy i głośniejszy. Podczas gdy pierwszy wołał: „Cześć panu hrabiemu!“ z drugiej płynęły wołania:

— Niech żyje nasz przywódca, książę Manfredi! Cześć młodej księżnej Manfredi!

Ragastens podniósł się w strzemionach. O kilkadziesiąt kroków przed sobą, ponad głowami rozkołysanego tłumu, ponad morzem czapek i szali, powiewających w powietrzu ujrzał we wspaniałej karocy jakąś była córka hrabiego Almy!

Ujrzał ją wyraźnie. Obok niej siedział książę Manfredi szczęśliwy, uśmiechnięty. Kłaniał się tłumowi.

Zrozumiał...

Księżną Manfredi, witaną przez tłum okrzykami, białą postać. Była to Primavera.

Uczuł, że mgła przesłoniła mu oczy, musiał uczynić nadzwyczajny wysiłek, aby nie spaść z siodła. Wszystko runęło... Wszystko, czego dokonał, stało się niepotrzebne. Aż do tej chwili zdawało mu się ciągle, że codzień podnosi się o stopień wyżej dzięki swej odwadze, inteligencji i zręczności. Nagle stoczył się... coraz niżej... coraz niżej... Uczuł dziwną słabość... Wydał się śmiesznym we własnych oczach... uczył lód w sercu...

Dwa orszaki spotkały się u stóp olbrzymich schodów, wiodących do pałacu. Książę Manfredi ujrzał nieopisane zdumienie i nieufność na twarzach otaczających go wielmożów. W chwili gdy hrabia Alma zeskoczył z konia, książę wysiadł z powozu i zawołał:

— Sprawa jest zbyt doniosła, aby ją roztrząsać publicznie. Rada musi zebrać się niezwłocznie!

Potem zwrócił się do hrabiego.

— Hrabio, oświadczył zimnym tonem, kazałem zwołać Radę.

— Stawię się na niej, mój książę! — odparł hrabia wyniośle, co wywołało wielkie poruszenie.

Rada zgromadziła się w sali obrad. Na dworze czekał tłum w pełnym skupienia nastroju.

Dokoła wielkiego stołu zasiedli: książę Manfredi jeszcze w paradnych szatach, hrabia Alma, okryty pyłem, blady, gryząc nerwowo wąsy; Walenty Ricardo, dowódca kawalerji, Trivulce z Piombina, Jan Malatesta, Juljusz Orsini i Rodryg z Immoli.

W chwili, gdy hrabia Alma zmierzył na salę obrad, Ragastens, który go aż do tej chwili nie odstępował, uczynił ruch, jakby chciał się oddalić. Hrabia zatrzymał go skinieniem ręki.

— Czy nie słyszałeś waść, że cię mianowałem szefem sztabu? — zapytał.

— Owszem, panie hrabio! — odpowiedział Ragastens obojętnym tonem.

— Otóż, szefowi sztabu przysługuje prawo zasiadania w Radzie. Chodź pan, proszę, za mną.

Ragastens wszedł na salę. Zatrzymał się przez chwilę w progu oślepiiony, drżący... Ujrzał Primaverę, zmierzającą ku ojcu. Była bardzo blada.

— Mój ojcze, — ozwała się głosem, łamiącym się ze wzruszenia. — Jestem szczęśliwa, że wróciłeś, — więcej szczęśliwa, niż mogę to wypowiedzieć...

— Beatrix, — odpowiedział hrabia wesoło, usiłując zamaskować w ten sposób swój niepokój, dowiadując się o twym ślubie z ust tłumy... Zaiste dziwna to droga, moje dziecię!...

— Mój ojcze... gdy się dowiesz wszystkiego...

— Małżeństwo to nieskończenie zaszczytne dla mego domu, dodał hrabia. Jakkolwiek więc zawarte zostało bez mego przyzwolenia, nie jest ono jednak prze-

ciwne woli mego serca. Książę podaj mi, proszę, rękę!

Manewr hrabiego był również śmiały, jak zręczny. Książę Manfredi, widząc, że hrabia aprobeuje czyn, który, jak mu się zdawało, mógł być podłożem sporu, uczuł, że chłód jego taje.

Tymczasem Primavera wbiła w Ragastensa spojrzenie. Stała przed nim, czekając może, aż z nią zagai rozmowę. Wzrok jej zdawał się mówić:

— Dobrze wiedziałam, że przyjdiesz! Wiedziałam dobrze, że nasze losy znowu się zetkną... Co wyniknie z tego spotkania? Jedno twoje słowo określi mi...

Ragastens jednak uklonił się tylko głęboko. Nie widział spojrzenia Primavery. Nie słyszał lekkiego westchnienia, jakie jej się wydarło z piersi. Lodowato-spokojny, jakgdyby nigdy w swem życiu nie znał córki hrabiego Almy, wyminął ją.

Jan Malatesta pospieszył ofiarować rękę księżnej, aby ją odprowadzić do fotelu. Zauważył i zanotował sobie spojrzenie Primavery i Ragastensa.

— Panowie—rzekł hrabia Alma, — teraz, kiedy możemy mówić ze sobą z całą szczerością, czekam, ażebyście wytłumaczyli mi wszystko, co się dzieje w stolicy... Jakkolwiek dumny jestem z małżeństwa mej córki z księciem Manfredim, czekam, abyście mi powiedzieli, ty, książę, i ty, Beatrix, jak podobnie ważny krok mógł być postanowiony i dokonany pod moją nieobecność...

Taktyka hrabiego była taktyką ludzi słabych: gdy miał sobie coś do wyrzucenia, sam zaczynał innym czynić wyrzuty.

Jan Malatesta podniósł się z miejsca, aby udzielić wyjaśnień.

— Hrabia Alma, — rzekł cierpkim tonem, — nie wie wszystkiego. Małżeństwo to jest jednym z dwóch doniosłych wydarzeń, które zaszły pod jego nieobecność. Walne zgromadzenie przywódców uchwaliło to małżeństwo; lecz uchwaliło ono również coś innego

jeszcze, również dotyczącego pana, a o czem wypada zawiadomić hrabiego...

— Cóż to jest za uchwała? — zapytał hrabia, błędąc.

— Uchwała?... To wyrok... który wykonano dzisiaj.

— Wyrok! Janie Malatesta, zapominasz — gdzie jesteś i do kogo mówisz!

— Mówię — wyrok, bo nie znam innego właściwszego wyrazu: hrabia Alma został złożony wczoraj ze swej godności, ze swych praw i ze swych prerogatyw, córkę zaś jego obwołano bezpośrednią zastępczynią, pozostającą pod opieką Rady. Hrabia Alma wczoraj został ogłoszony zdrajcą i nikczemnikiem. Hrabia Alma tedy nie ma prawa zadawania Radzie jakichkolwiek pytań. Musi poprostu sam odpowiadać na pytania...

Ten gwałtowny i brutalny atak, nerwowy i tchnący groźbą ton, jakim przemawiał Jan Malatesta, wywarły na innych członkach Rady niesmaczne i niemiłe wrażenie. Hrabia powstał, jakby chcąc odpowiedzieć, usiadł jednak z powrotem, zmiażdżony przerażeniem. Primavera podeszła do hrabiego.

— Panowie, — rzekła pełnym bólu wewnętrznego głosem, — kiedy ojciec mój znikł i kiedy straszne pozory oskarżały go, nakazałam milczenie mej miłości dziecięcej, zdławiłam mą boleść, zakazałam mej twarzy wyrażania uczuć, które szarpały mi serce. To wyrzeczenie się uczuć osobistych daje mi dziś prawo żądania sprawiedliwości, której brak w słowach Jana Malatesty...

— Co chcesz powiedzieć, księżno? — wykrzyknął Jan Malatesta.

Zbladi. W głosie, jakim przemawiała Beatrix, wyczytał wyrok na siebie, tak, na siebie! Nigdy już Beatrix nie pokocha go, przemawiała bowiem do niego tonem, w którym taił się głuchy gniew...

Co była za przyczyna tego gniewu? Prawie bezwiednie Jan Malatesta spojrział na Ragastensa, który

nieruchomy, lodowato-zimny czekał na zakończenie tej sceny. Z Ragastensa wzrok Malatesty zwrócił się znowu na Primaveraę.

— Co chcę powiedzieć? zawołała, — prawdę, bijącą wszystkim w oczy prawdę; to, że nieoczekiwany powrót dobrowolny do naszego grona jest jawnym dowodem, jak niesprawiedliwe były podejrzenia i jak straszny popełniono błąd!

— Istotnie! wykrzyknął z kolei książę Manfredi, to też, jeśli tylko hrabia objaśni nam szczerze przyczyny swego zniknięcia, będziemy musieli upokorzyć się przed nim i przyznać do winy.

— Panowie, — rzekł hrabia Alma, prawda jest bardzo prosta: zostałem wciągnięty w zasadzkę i, jeśli widzicie mnie w tej chwili śród was, zawdzięczam to jedynie panu de Ragastensowi.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na młodzieńca.

— Popełniłem błąd, mówił hrabia dalej. Zgodziłem się na potajemne przyjęcie dwóch emisariuszy Aleksandra VI i Cezara. Jeśli ich nie kazałem aresztować, jeśli powściągnąłem me oburzenie, to tylko dlatego, że miałem nadzieję, udając uległość, zdobyć jakieś cenne wskazówki... Stało się jednak, że ci nędznicy przeczuli moją myśl i odgadli mą taktykę. Postanowili wtedy porwać mnie... Wyznaczyli mi schadzkę poza murami miasta: było ich tylko dwóch. Sądziłem, że nie mam powodu do obaw i że zbędnem było budzić w nich podejrzenia, idąc na schadzkę z eskortą. Niestety, moi panowie, nie obliczyłem się wcale z herkulesową siłą jednego z wysłanników — barona Astorrego. Porwano mnie, mimo rozpaczliwą obronę. Wsadzono mnie siłą na mego konia... rozpoczęła się szalona, nocna jazda... Wreszcie moi dozorczy osądzili widocznie, że są już dostatecznie daleko od Monteforte, aby pozwolić sobie na popas w oberży. Szczęśliwy przypadek zrządził, że w oberży tej znajdował się kawaler de Ragastens. Zrozumiał wlot moją sytuację, zaatakował barona Astorrego, raniąc go, jak również i jego kamrata, mnicha, zwanego Garconiem. Po uwolnie-

niu mnie z rąk tych drabów, kawaler zechciał uprzejmie odprowadzić mnie aż do Monteforte. Oto, moi panowie, jak się rzecz miała.

Opowiadanie to, wygłoszone tonem spokojnym, pełnym bolesnej godności, — zdało się być jak najściślejszą prawdą. Wywarło ono na słuchających go, wrażenie niezłomnej prawdy. Słowa księcia Manfrediego stały się wyrazem tej wiary.

Pochylił się przed hrabią w ukłonie, mówiąc:

— Panie hrabio, zawiniliśmy...

— Nie,—wykrzyknął hrabia,—pozory były przeciw mnie. Okoliczności zmuszały. Postąpiłeś tak, jak ja postąpiłbym na waszem miejscu. Panowie, jeśli chcecie zrobić mi przyjemność, nie mówmy już więcej o tej wstrętnej przygodzie.

— Jednakowoż, panie hrabio, pod pańską nieobecność zapadły postanowienia... mianowano dowódców...

— Niech każdy zostanie przy czynnościach, które zostały mu powierzone, — rzekł wesoło hrabia, zadowolony w gruncie rzeczy z tego, że ostatecznie cały kłopot spadł mu z głowy.

— Nie pozostaje mi tedy nic innego, — rzekł książę Manfredi, — jak ogłosić przez heroldów powrót do władzy Jaśnie Wielmożnego hrabiego Almy, niesłusznie podejrzanego, a który raczył udzielić nam wyczerpujących i dostatecznych wyjaśnień.

Nagle Jan Malatesta zabrał znowu głos.

— Wierzę we wszystko, co nam powiedział pan hrabia. Wszystkie okoliczności potwierdzają świetnie prawdę jego słów. Jest jednak, mimo to, jeden punkt, na który chcę zwrócić waszą uwagę, moi panowie. Jaśnie wielmożny pan hrabia Alma wrócił do nas za sprawą kawalera de Ragastensa.

Malatesta położył nacisk na tem nazwisku. Tak wyraźną była jego intencja, że hrabia zadrżał i Ragastens wyrwanv z zadumy spojrział ostro na mówiącego.

Malatesta mówił dalej, a co najdziwniejsze, wpatrywał się w Primaveraę:

— Moi panowie, już po raz drugi spotykamy się z panem Ragastensem. Za pierwszym razem było to w katakumbach... wtedy, to kawaler wyznał nam, niestety... Co mówię, obwieścił, — że jest po stronie Cezara Borgii. Czy nie jest to dziwne, w gruncie rzeczy, że hrabia Alma, który opuścił Monteforte, aby wpaść w ręce szpiegów Borgii, powraca do swej stolicy z jeszcze jednym ze szpiegów tegoż samego Borgii!

Na te słowa Primavera zbladła śmiertelnie, hrabia zaś, już skłonny do zdradzenia Ragastensa i do pozostawienia go jego własnemu losowi, odpowiedział:

— Panowie... przysięgam... nic nie wiedziałem...

Ragastens pod smagnięciem obelżywych słów Malatesty zebrał się w sobie, jakby gotując się do skoku... Nagle, zdawało się, zmienił zdanie... rysy twarzy straciły swą martwą sztywność, pogardliwy uśmiech wykrzywił mu usta. Zjadliwym głosem odpowiedział:

— Pan Jan Malatesta pragnie zapewne zdobyć trzy tysiące dukatów w złocie, ozdobionych wizerunkiem Aleksandra Borgii...

Malatesta gwałtownym ruchem położył rękę na rękkojeści sztyletu.

— Wytłumacz się pan, — warknął ochryplym ze wściekłości głosem. — Wytłumacz się niezwłocznie, bo przysięgam, że padniesz, waść, trupem!

— Żle pan czynisz, lekkomyślnie szafując przysięgą, — odparł Ragastens krzyżując na piersiach ręce z wyrazem najwyższej wzdardy na twarzy. — Co zaś do wyjaśnień — udzielię ich dlatego, że mi się tak podoba, a nie dlatego, że waść ich tak gorąco pożądasz! Panowie, bądźcie sędziami. Nasz Ojciec Święty, Aleksander VI w porozumieniu ze swym godnym synalkiem, Cezarem, nałożył na mą głowę cenę za to, że nie chciałem służyć im pomocą w pewnych konszachtach przeciw Monteforte. Głowę mą oceniono na trzy tysiące dukatów w złocie. To dużo, wiem o tem, i skrom-

ność moja cierpi wskutek tego bardzo. Otóż, panowie, towarzysząc panu hrabiemu Alma do Monteforte, wolnego miasta, miasta niepodległego władzy Borgiów, miasta, do którego podbicia nie chciałem się przyczynić, miałem nadzieję, że uniknę pogoni drabów papieskich, sunących moim śladem. Pan Jan Malatesta, łącząc mnie, zmusza mnie, jednocześnie do opuszczenia murów Monteforte, odmawiając mi przytułku, którego każdy szlachcic włoski poczytałby za obowiązek nie odmówić takiemu, jak ja wygnańcowi. Mam więc prawo oświadczyć, że imię pan Malatesta wydaje mnie w ręce Borgii i że chce widocznie ubiegać się o nagrodę trzech tysięcy dukatów. Zasłuży na tę nagrodę godnie!

Przemowa Ragastensa była szczytem sprytu. Przedewszystkiem informował o wszystkim Primavera, na czem mu najwięcej zależało; potem zdobywał sobie za jednym zamachem sympatję i szacunek całego zgromadzenia; wreszcie odpowiadał na obelgę Jana Malatesty jeszcze bardziej dotkliwą obelgą.

Przelotny rumieniec radosnej dumy zalał twarz Primavera. Ragastens nie widział tego, ujrzał go jednak Malatesta.

Pijany wściekłością rzucił się na kawalera z podniesioną do góry ręką.

Zanim jednak, ręka ta zdążyła opaść, zanim któryś z obecnych zdążył uśmierzyć zajście, Ragastens porwał Malatestę za ową groźnie wzniesioną dłoń, wykręcił ją, zmiażdżył, teraz już straszny w swym gniewie, z twarzą konwulsyjnie wykrzywioną, pochylając się nad młodzieńcem, napróżno usiłującym wydrzeć się ze straszliwego uścisku.

— Kiedy chcesz, żebym cię zabił? — zapytał Ragastens straszliwym głosem.

— Powiedz raczej, że boisz się śmierci! — ryknął Malatesta, — w przeciwnym bowiem razie dawnobyś już zauważył, że ląknę twej krwi!

Ragastens uwolnił z uścisku dłoń Malatesty, pew-

n^o że nie będzie w stanie podnieść ją w tej chwili
znovu.. .

— Panie, — zapytał zimno, — gdzie mam, na pa-
na czekać?

— Na wielkim placu.

— Kiedy?

— Dzisiejszego wieczoru.

Blady ze wściekłości, chwiejnym krokiem Jan Mala-
testa opuścił salę. Starcie nastąpiło błyskawicznie;
nikt z dowódców, zgromadzonych na posiedzeniu Ra-
dy, nie zdążył interwenjować. Gdy Malatesta opuścił
już salę, Ragastens zwrócił się do zgromadzenia.

— Panowie, — oświadczył z pełnym godności spo-
kojem, — teraz, gdy skończyłem ze sprawą niesłusz-
nego i obelżywego posądzenia, chcę z wolnej i nie-
przymuszonej woli udzielić panom wyjaśnień... Pozna-
ję w panach spiskowców, widzianych w katakumbach.
Słyszeliście wtedy, że odmówiłem wam wzięcia udziału
w akcji przeciw Cezarowi Borgii. Muszę więc pa-
nom wytłumaczyć, dlaczego jestem dziś w waszem
gronie...

— Panie, — przerwał mu Juljusz Orsini, je-
den z członków Rady, — wyjaśnienia pańskie będą
mile przez nas widziane, jeśli wogóle uważasz pan za
potrzebne udzielić nam ich. Ja jednak z mojej strony
muszę oświadczyć, że podejrzenie Jana Malatesty jest
wysoce niesprawiedliwe. Mogę twierdzić, że Borgio-
wie istotnie uważają pana za jednego ze swych śmier-
telnych wrogów. Byłem potajemnie w Rzymie w dniu
pańskiej ucieczki z Zamku Świętego Anioła. Czyta-
łem obwieszczenie o nałożeniu ceny na pańską głowę.
Sądząc z wysiłków, jakie czyniono, aby cię pojmać,
można wnioskować o uczuciu strachu, jakie budzisz
w Borgiach. Od owej chwili pragnąłem gorąco poznać
pana i jestem szczęśliwy, że okoliczności pozwalają
mi dzisiaj na podanie panu przyjacielskiej dłoni...

Ragastens uściskał z radością dłoń Orsini'ego. In-
ni członkowie Rady zaczęli go również zapewniać o
swej sympatji.

Wtedy Ragastens opowiedział im koleje swego życia od pierwszej chwili przybycia do Włoch. Opowiadał swe przygody prosto, a najbardziej zachwycający był spokój, z jakim malował scenę zakucia w miejsce siebie Cezara Borgii w kajdany, albo gdy opowiedział o tem, jak trzymał papieża w swem ręku.

Zdawało się wszystkim, że słuchają jakiejś cudownej Odyssei. Po twarzy Primavera nie znać było nurtujących ją uczuć. Jedynie uwaga, z jaką słuchała opowiadania, była tak głęboka, że w chwili gdy kawaler przestał mówić, zadrżała nagle, jakgdyby nagła cisza zbudziła ją gwałtownie z jakiejś zadumy.

Wszystkie zarządzenia, podjęte w nieobecności hrabiego Almy, były potwierdzone przez niego. Uprosił nawet księcia Manfredi'ego o zatrzymanie godności naczelnego dowództwa. Jego urodzona miękkość usposobienia wołała nawet takie wyjście.

Hrabia Alma chciał również potwierdzić nominację Ragastensa na stanowisko szefa sztabu; Ragastens jednak odmówił stanowczo przyjęcia tej godności.

— Wolę zawsze działać z wolnej ręki, — brzmiała jego odpowiedź.

— Myślisz więc pan o opuszczeniu nas?

— Aż, do tej chwili, panie hrabio, wiodłem trochę włóczęgowski żywot; ma on swoje niebezpieczeństwa i swoje przykrości, lecz posiada również swoisty wdzięk. Przyznaję, że z trudem by mi przyszło wyrzeczenie się go. Nie mógłbym tedy określić dokładnie dzisiaj, gdzie będę jutro. Zresztą wynik mego pojedynku z panem Malatestą...

— Pojedynek ten nie odbędzie się! — rzekł hrabia z żywością.

— Nie trzeba, ażeby dwaj dzielni szlachcice przelewali bez słusznej racji krew! — dodał książę Manfredi. — Każcie przywołać Jana Malatestę...

Juljusz Orsini wypadł z sali obrad i wkrótce powrócił z Malatestą, który teraz był już zupełnie zimny.

— Mój drogi Janie, — rzekł książę, — jesteś niesprawiedliwy względem kawalera de Ragastensa. Posiadamy niezbitę, oczywiste dowody, że podejrzenia twoje były bezpodstawne... Nasz ukochany hrabia powrócił do nas po przygodzie, w której zawinił jedynie brakiem dostatecznej ostrożności, powrócił, aby odzyskać wszystkie swe prawa; chce jednak pozostawić nam wszystkie uchwalone przez Zgromadzenie stanowiska.

— Jestem ze wszech miar szczęśliwy, słysząc, że hrabia jest godny naszego posłuszeństwa! — rzekł Malatesta.

— Dobrze już, Janie! Co zaś do kawalera Ragastensa, zbyt masz szlachetne serce i posiadasz zbyt dużo męstwa, aby nie przyznać w jego obecności, że nie miałeś racji.

— Przed udzieleniem panu odpowiedzi, mój książę, chcę powiedzieć kawalerowi na osobności parę słów.

— Niech i tak będzie! — przystał książę Manfredi ze zdumieniem.

Jan Malatesta usunął się wraz z Ragastensem do framugi okna. Primavera, która stała w tej chwili za ojcem, cofnęła się również, kryjąc się na uboczu.

— Panie, — rzekł Malatesta do Ragastensa, — od chwili gdy cię ujrzałem w katakumbach, w sercu mem zbudził się szczery podziw dla pańskiego zachowania i odwagi. Opinji tej nie zmieniłem ani na jotę, kiedyś przywiózł nam hrabiego Almę... jestem przeświadczony, że waćpanu tylko winien zawdzięczyć nieskalany honor...

— Zapewniam pana...

— Pozwól mi dokończyć... Chciałem panu oświadczyć, że obelga, jaka padła przed chwilą z mych ust, nie płynęła z przekonania. Łącząc pana słowami, podziwiałem pana i, niestety! zazdrościłem mu.

Ragastens osłupiał. Niepodobna było posądzić Jana Malatestę o tchórzostwo. Czem więc należało tłumaczyć jego postępowanie?

— Kawalerze, — mówił dalej Malatesta, — przepraszam pana wobec całego zgromadzenia; obraziłem pana bowiem niecie, a pan nie zasłużyłeś na obelgę...

— Ja zaś nie pozwolę na to, aby tak godny szlachcic poniżał się przeprosinami. To, coś powiedział, zmywa wszelką zniewagę. Nietylko, że wystarcza mi to, ale nie żądałem nawet aż takiego zadośćuczynienia...

— Dziękuję ci, kawalerze, — rzekł gorączkowo Malatesta, pozwól mi jednak dokończyć; przeproszę pana i dzisiejszego wieczoru pojedynek nasz nie odbędzie się... Mimo to jednak bić się musimy...

— Nie rozumiem...

— Powiadam panu, że musimy się bić. Tak, jeden z nas musi umrzeć!

— Niech i tak będzie! Zgadzam się na pojedynek z panem, jakkolwiek postępowanie pańskie wydaje mi się...

— Godne warjata! Mów pan, co chcesz!

— Kiedy chcesz pan, żebyśmy się spotkali? — rzekł Ragastes coraz bardziej zdziwiony.

— Jutro, gdy noc zapadnie...

— Dobrze. Miejsce?

— Przy Głowie...

— Gdzie mam szukać owej głowy? Wybacz pan, nie znam jeszcze tak dobrze Monteforte...

— Miejsce to znajduje się poza murami miasta, w połowie wąwozu, którym pan tu przybyłeś, jak mi mówiono... Czy zauważyłeś pan dwie olbrzymie skały? Jedna z nich po prawej stronie podobna jest nieco do głowy mężczyzny; oto dlaczego skała ta otrzymała nazwę: Głowa...

— Dobrze. Jutro więc, w nocy, przy Głowie. Sta-
wię się.

— Dziękuję, kawalerze. — zawołał Malatesta.

— Jeszcze jedno pytanie! U diabła, przecież uczciwy szlachcic, za jakiego się uważam, nie pójdzie pod nóż drugiego zanego szlachcica, jakim pan jesteś, nie wiedząc przynajmniej, o co wogóle idzie!

— Chcesz pan wiedzieć, dlaczego cię wyzwiałem?

Chcesz pan wiedzieć, dlaczego, mimo iż żałuję wyrzeczonych przeze mnie słów niegodnych mnie, dlaczego, mimo wszystko, chcę pana zabić, albo też chcę być przez pana zabity?

— Do licha! Pewnie że chciałbym to wiedzieć!

— Otóż, dlatego, że kocham Beatrix! Czy rozumiesz mnie?! Kocham ją do utraty rozumu, jeśli już pozwoliłem sobie na fałszywe oskarżenie pana. Kocham ją tak silnie, że wolę śmierć nad pewność, że nie jestem kochany!

Ragastens zbladł.

— Kochasz pan księżnę Manfredi, — wybełkotał.. Ale w jakim stopniu ta miłość?..

Malatesta porwał go za rękę:

— Kocham ją, — szepnął, tłumiąc westchnienie.. Otóż jeden z nas musi umrzeć, a to dlatego, że o n a kocha ciebie, kawalerze!

Ragastens osłabł, oniemiał.. nogi ugięły się pod nim. Chciał zatrzymać Malatestę, ten jednak był już w połowie sali. Otarł się prawie o Primaverę. Ujrzał, jak podniosła do czoła obie ręce; usłyszał, jak wyszeptwała:

— O, ja nieszczęsna!

— Panowie, — rzekł Jan Malatesta podniesionym głosem, — panowie, wobec wszystkich tu zgromadzonych, którzy słyszeliście me obelżywe słowa, przepraszam za nie kawalera de Ragastensa. Postępowanie moje, mam nadzieję, nie zdziwi nikogo..

— Nie, nie, moje dziecko, — zawołał książę Manfredi, wszyscy znają twą dzielność i męstwo, i to też nie zdziwi ich to bynajmniej, że chcesz i masz odwagę naprawić twój błąd.

Wszystkie dłonie wyciągnęły się do Malatesty, który, śmiejąc się i rozmawiając, jakby nigdy nic, wraz z innymi wielmożami opuścił salę obrad.

Ragastens zabierał się również do wyjścia. Nagle wzdrygnął się. Drobną rączką lekko legła na jego ramieniu. Była to ręka Primavery.

— Dziś wieczór, — szepnęła, — w pałacowym ogrodzie... chcę z panem pomówić.

Ragastens skłonił się głęboko zmieszany, ledwie mogąc utrzymać się na nogach. Gdy podniósł głowę, ujrzał jak księżna Manfredi opuszczała salę. Hrabia Alma podał jej ramię. Tuż przy niej, pochylając swą wysoką postać, aby z nią mówić, szedł książę Manfredi uśmiechnięty... szczęśliwy!

— Malatesta powiedział, że ona mnie kocha! — pomyślał Ragastens, nie mogąc ruszyć się z miejsca, zmiażdżony tem odkryciem. Nie mniej jednak została małżonką księcia Manfredi'ego! Na zawsze dla mnie stracona! Stracona! Ach! Malatesta pomylił się. Oślepiła go zazdrość! Nie kocha mnie... nie może mnie kochać! Wszystko to czcze mrzonki! Szaleństwo! Jan Malatesta powiedział, że jeden z nas musi zginąć... Wiem już teraz, który z nas zostanie na placu!

VII.

KSIEŻNA BISAGLIA.

A teraz cofnijmy się o parę tygodni, przenosząc się do Pałacu-Śmiechu.

Był to jeden ze wspaniałych, tchnących wonią kwiecia wieczorów, jakie w promiennych Włoszech następują po jeszcze piękniejszych dniach.

Lukrecja Borgia, wyciągnięta jak długa na dywanie w Sali Posągów, z głową wspartą o stos poduszek — marzy. Z półprzymkniętymi oczami słucha w roz-targnieniu orkiestry mandolinistów i flecistów, grającej gdzieś zdaleka. Młoda służebna dużym wachlarzem rozsiewa dokoła Lukrecji miłą świeżość, płynącą od strony fontanny, wyrzucającej w górę snopy dżamentów i pereł, które spadają potem z lekkim szmerem do dużego, alabastrowego basenu.

Wspaniała to obraz, oprawny w cudowną ramę przepychu: młoda kobieta w całym blasku swej zdumiewającej urody, marzy o miłości i o poezji... Lu-

— — — — —
krecja Borgia marzy; Lukrecja Borgia nudzi się. Jaka zbrodnia kielkuje w jej duszy?...

Lukrecja marzy...

Na ekranie jej pożeranej gorączką wyobraźni przesuwają się mdłe, poplątane cienie jakichś ambitnych planów... Mdłe wizje zaczynają nabierać życia... Już wie... Tak... Czemu że jest w Rzymie? Jakże ma stanowisko? Żadne!.. Jest niczem! Mniej niż niczem!

...Zabawy! Nic, tylko zabawy! Kto się bawi? Ona? Ooo... nie! To bawią się możni panowie, których tłum zalewa wspaniałe komnaty jej pałacu!... a potem to całe uganianie się za dziełami nieznanych, a wielkich artystów... ta pogoń za pięknem gwoli uciechy tłumów... to tylko chęć zaimponowania Rzymowi przepychem, na jaki stać jedynie Borgiów... Zabawa! Nic, tylko zabawa!... Aby tylko możni feudalni baronowie, hrabiowie i książęta, starci przez Borgiów w proch, zapomnieli o swej niewoli, odurzeni perspektywą rozkoszy, jakie zdają się im obiecywać widok pięknych kształtów Lukrecji. Oto jakim jest jej życie.

Przeciw tej niewoli w złotej klatce, przeciw temu zgnębieniu jej silnej woli, powstaje cała jej dusza, burzy się, buntuje, chociaż usta uśmiechają się, błyskając rzędem śnieżnych ząbków. Co takiego?! Wiecznie więc ma być jedynie narzędziem w ręku Aleksandra VI i Cezara! Och! Przewodzić! Rozkazywać! Być królową! Stać się absolutną, despotyczną, nietykalną władczynią państwa, które sama sobie zbuduje!

Chcąc jednak zrealizować to marzenie, trzeba mieć przy boku mężczyznę. Mężczyznę!... Samca, siłacza, nie znającego, co to lęk, kpiącego ze wszystkich zasadzek, takiego, którego zuchwalstwo i przebiegłość byłaby potężniejsza od potęgi samych Borgiów!

Ach! znała takiego! Taki mężczyzna - tytan istniał! Zdawało jej się przez chwilę, że opanowała go!... Wymknął jej się... to prawda... Lecz nie chciała uważać się za zwyciężoną; odnajdzie go, upoi go swymi pieścizotami, odurzy swym zmysłowym czarem, a po-

tem, gdy już będzie zupełnie pod jej wpływem, na-
puści go na Włochy ze słowami:

— Czynię z ciebie króla! Uczyń mnie królową!

Tego mężczyznę kochała i podziwiała, uważając go
za pana i władcę swego losu. Sponiewierana przez nie-
go, wzgardzona, podziwiała go jeszcze bardziej. Tak!
to on musi być królem królestwa, w którym ona bę-
dzie królową! Wtedy ona będzie miała własny dwór!
Własne wojsko! Własnych poetów! Własnych rzeźbia-
rzy, muzyków, malarzy! Będzie to cały świat piękna,
którego ona zostanie władczynią; boginią, darzącą za-
szczytami, rozrywką, miłością, sławą, wszystkim tem,
co odurza, i pociąga wyobraźnię człowieka!

I oto na samym wstępie, na samym początku tej
drogi do wymarzonej przez nią potęgi... przeszkoda!
Przeszkoda! śmieszna, wstrętna, głupia: *tylko życie
jednego człowieka!* Lukrecja nie jest wolna! Nosi imię
księżnej Bisaglii.

A więc dlatego, że gdzieś tam w Rzymie istnieje
mężczyzna, którego imię nosi, któremu przysięgła w
obliczu Boga i w obliczu swego ojca wierność i posłu-
szeństwo... tylko dlatego ma się cofnąć z drogi? Co
znowu? Lukrecja Borgia nie jest stworzona do tego,
by poświęcić swe życie jednemu tylko mężczyźnie...
nawet gdyby tym mężczyzną był jej mąż!...

Następnego dnia książę de Bisaglia padł przed sa-
mym Pałacem-Śmiechu, ugodzony sztyletem w plecy
przez samego Cezara Borgia, w którego Lukrecja
w mówiła, że jej małżonek rozsiewa o nim uwłaczające
jego czci słuchy¹⁾.

Lukrecja przywdziała grubą żalobę. Wyprawiono
księciu de Bisaglia wspaniały pogrzeb. Od czasu po-
grzebu księcia Gandii Rzymianie nie widzieli nic bar-
dziej wspaniałego: teraz Borgiowie dawali ludowi ta-
kie widowiska. Rzym zaczynał bawić się tylko wtedy,
gdy Borgia - ojciec, albo Borgia - syn kogoś zabili.

¹⁾ Historyczne.

Lukrecja - wdowa po mężu, który jej nigdy nie krępował, zauważyła nagle dziwne zjawisko: większość nieżonatych wielmożów, którzy do tej chwili uwijali się koło niej, przestali nagle bywać w jej domu, ukazując się w Pałacu-Śmiechu prawdopodobnie jedynie dlatego, by nie ściągnąć na siebie gniewu Borgiów.

Lukrecja nic sobie jednak nie robiła z tej pustki, jaka się utworzyła dokoła niej. Pustka ta nawet podobiała się jej. Mogła swobodnie marzyć i tworzyć plany na przyszłość.

Pierwszym krokiem, podjętym w tym celu zaraz po pozbyciu się męża, było jej oświadczenie Cezarowi, że chce udać się wraz z nim na Monteforte.

— Jednakowoż, — odpowiedział na to, — było postanowione, że pod moją nieobecność będziesz dawała baczenie na Rzym.

— Tak; chcę jednak przyjrzeć się wojnie zbliżona. W mieście zresztą panuje spokój. Nigdy jeszcze Rzymianie nie byli tak potulni.

Cezar wiedział o tem doskonale, że gdy Lukrecja coś sobie wbiła w głowę, zamiar jej musiał być wykonany mimo wszystkie przeszkody. Nie nastawał więc dłużej. Tego więc dnia, kiedy obozujące pod Rzymem wojska ruszyły na wyprawę wojenną, Lukrecja udała się na nią również wraz ze swym bratem.

Lektyka podróżna odstawiła ich aż do Tivoli, gdzie cała armja miała się ostatecznie ukonstytuować. Lukrecja opowiedziała papieżowi o śmierci swego męża.

— Nie płacz, moja córko, — zadowolił się krótką odpowiedzią Aleksander VI; zresztą biedak ten był do szczeru zrujnowany!

Po tak lakonicznej mowie pogrzebowej, ojciec i dzieci pośpieszyli zagać rozmowę na bardziej interesujące ich tematy.

Rzecz oczywista, Aleksander VI zakomunikował im o porwaniu Rosity przez Ragastensa. Stary Borgia, siejąc dowcipami, opowiedział o tem, jak on — stary,

szczwany lis, dał się złapać w potrzask; jak uwierzył w śmierć Rosity i jak zastał jej trumnę pustą...

— A więc człowiek ten pobił kolejno całą naszą trójkę, — oświadczył Cezar.

— Tak, — odpowiedział papież, wpadając w zamyślenie, — to wielkie nieszczęście, że taka siła nie jest po naszej stronie!

— Masz słuszność, mój ojcze; tymczasem jednak zadrwił sobie z nas i wyszydził nas jak najhaniebniej. Człowiek ten musi umrzeć. Chociażby pełzał u mych nóg, błagając o łaskę, padnie z mej ręki.

Na ustach Lukrecji ukazał się lekki uśmiech. Papież ciągnął dalej:

— Umrze, powiadasz? Kto wie, gdzie jest teraz? Może we Francji!

Do pokoju, w którym toczyła się rozmowa, wszedł paź.

— Co się stało? — zapytał Cezar.

— Baron Astorre i brat Garconio przybyli przed chwilą. Proszę Waszą Świętobliwość o łaskawe udzielenie im posłuchania.

— Przywołać ich w tej chwili! — wykrzyknął papież.

Baron i mnich, którzy podsluchiwali pode drzwiami, pośpiesznie weszli.

— Sami! — zachnął się gwałtownie stary Borgia, błędąc ze złości.

— I ranni! — dodał Cezar.

Istotnie, baron miał rękę na temblaku, a mnich opatrunek, założony na ramieniu. Obaj mieli opłakany wygląd; twarze ich okrywała bladość. Mnich przyklęknął przed papieżem.

— Ojcze Święty! — zawołał. — Bóg mi świadkiem, że uczyniliśmy wszystko możliwe, aby przywieść tu hrabiego Almę...

— Odmówił więc! Należało ściągnąć go siłą, *corpo di baccho!* Co masz z tego za pożytek, że jesteś zbudowany, jak Herkules?! Co ci z tego, Garconio, że jesteś przebiegły, jak djabeł! Połączyłem obie wasze

wartości: brutalną siłę jednego i inteligencję drugiego, a tymczasem ponieśliście sromotną porażkę... Drogo zapłacicie mi za to!

— Ojcie Świąty! — wyjąkał mnich, nieprzytomny ze strachu, — hrabia Alma wcale nie odmawiał swej zgody! Udało mi się wkońcu przekonać go; pojechał z nami...

— A więc! *Per bacco*, mów, co się stało?

— Ojcie Świąty, bywają moce, o które rozbija się wszelkie przewidywanie ludzkie... Byliśmy już daleko od Monteforte, wszystko szło świetnie, gdy nagle nieszczęście chciało, abyśmy wpadli w sidła samego Szatana. Szatan rzucił się na nas! Szatan porwał hrabiego Almę i odstawił go napewno z powrotem do Monteforte!

— Ejże! mnichu! czy masz źle w głowie?! Co to ma wszystko znaczyć? Kim jest ów szatan?

Lukrecja wybuchła śmiechem.

— Ragastens! Napewno znowu Ragastens! — wykrzyknęła.

— Skąd pani wie o tem? — zagadnął mnich zdumiony.

— Zgadłam. To był on, nieprawdaż?

— Niestety! wasza książęca mość, Niestety! Ojcie Świąty, tak jest istotnie!

Garconio ją opowiadać o swych przygodach, wdając się w najdrobniejsze szczegóły.

Papież był blady ze wściekłości; Cezar czuł, że przychodzi na niego atak ślepego, szalonego gniewu, który mógł uśmierzyć jedynie przelaniem krwi...

— Głupcy! — warknął, gdy Garconio skończył opowiadanie, — Tchórze!

Chciał rzucić się na mnicha. Niewątpliwie byłby dokończył dzieło, rozpoczęte przez Spadacape'a, powstrzymał go jednak stary Borgia.

— Czy nie widzisz, — szepnął mu na ucho, — jaką tchną nienawiścią do Ragastensa? Wierzaj mi, aby się pomścić, zdolni są uczynić może nawet więcej, niż my.

Rozumowanie to uderzyło Cezara.

— Idźcie, — rzekł głośno papież. — Odejdź, baronie, i ty, Garconio; możecie liczyć na moją wdzięczność za to, coście uczynili. Nie udało wam się, lecz gra nie jest jeszcze skończona.

Baron i mnich, szczęśliwi, że cała sprawa uszła im na sucho, pośpiesznie opuścili pokój.

— Co myślisz o tem wszystkim? — zapytał stary Borgia Cezara.

— Myślę że człowiek ten jest złym genjuszem naszego domu.

VIII.

MARZENIA O SŁAWIE.

W ciągu całej tej sceny Lukrecja milczała. Uśmiechała się tylko od czasu do czasu; padłaby niezwłocznie od sztyletu Cezara, gdyby zacny braciszek mógł przeniknąć w tej chwili myśli godnej siebie siostrzyczki. Stary Borgia po pierwszym wybuchu gniewu siedział pośepny i przygnębiony. Cały jego plan rozpadł się w gruzy. Był przekonany, że hrabia Alma po powrocie do Monteforte nie da się już skusić żadną namową.

— Od pewnego czasu nic mi się nie udaje! — szeptał zgnębiony. — Ach! moje dzieci! czuję, że zbliża się koniec. Ambitne plany młodzieńczych lat, dzieło wieku dojrzałego, nadzieje uwieńczonej powodzeniem starości, wszystko roztapia się, rozpada w gruzy, ucieka!

— Co mówisz, ojcze? — Jesteśmy przecież my! jesteśmy, aby prowadzić dalej, rozpoczęte przez ciebie dzieło, aby skonsolidować...

— Cezarze! Cezarze! — mówił dalej papież z rzadkiem u niego wzruszeniem; — Cezarze, pośpiesz się przedtem, zanim umrę! Jeśli jeszcze w tym roku nie włożysz na głowę żelaznej korony, należy się pożegnać ze sławą naszego rodu. Wszystkie moje marzenia

umrą wraz ze mną! Pośpiesz się, sprawa nie cierpi zwłoki!

Cezar i Lukrecja zbledli. Po raz pierwszy mówił z nimi tak szczerze o swych planach; po raz pierwszy zrozumieli jak tragiczne i jak wielkie jednocześnie były jego myśli.

A więc zamierzał ugruntować panowanie dynastji Borgiów.

A więc marzył o wyniesieniu syna na tron włoski, o włożeniu mu jeszcze przed swoją śmiercią berła królewskiego w rękę.

Po tylu latach zrozumieli cały głęboki sens dramatu, jaki rozegrywał się w Watykanie; teraz dopiero przeniknęli najtajniejsze plany papieża. Teraz zrozumieli, dlaczego tyle głów spadło z karków; dlaczego nawet w łonie ich rodziny, każdy, kto mógł być przeszkodą, był usunięty przy pomocy żelaza lub też trucizny.

Cezar zrobił w myśli błyskawiczny przegląd tych, którzy uszli cało... Nie było żadnego groźnego współzawodnika... pozostał sam!... Sam! Przewyższał o całą głowę tych, którzy żyli jeszcze... Zrozumiał!

Ojciec pragnął utworzyć dokoła niego pustkę. Ojciec pozbył się nawet Franciszka, aby on, Cezar, mógł być zupełnie sam, aby nikt nie mógł wystąpić z nim do walki, aby on mógł być królem! Lukrecja rozumiała również sytuację. Zamyślona, zamknięta w sobie, szepnęła:

— Zobaczymy, kto zostanie królem!

Ona również żadna była władzy. Ona również chciała być jedyną władczynią. Ona również pragnęła utworzyć królestwo, wyciągnąć z nicości i z biedy człowieka, którego wyniosłaby do godności królewskiej, aby ona przy nim była królową, — a może, aby wkońcu pozostać z czasem jednak niepodzielną panią Włoch, mordując tego, którego sama kreowała na króla.

Twarz Cezara okrył rumieniec dumy.

— Co mam uczynić, mój ojcze? — zawołał zgorączkowany, pijany swą przyszłą władzą... Mów! Roz-

kazuj! Nigdy jeszcze nie zdawałeś mi się być tak wielkim, jak dziś!

— Co masz uczynić? — zapytał stary Borgia.

— Przedewszystkiem zostać zwycięzcą!

— Będę nim!

— Musisz zdobyć to gniazdo żmij — Monteforte!

— Zdobęde je!

— Zmieść z powierzchni ziemi fortecę, splondrować i zniszczyć całe hrabstwo Alma, puścić z dymem wieś, stratować pola, do krzyża, który każesz postawić na ruinach fortecy, przybić głowę Almy, dać wreszcie straszliwą naukę, zatruć całe Włochy strachem... ach! Cezarze, musisz dać tak straszny przykład kary, aby cisza grozy zawisła nad całym światem, aby w chwili, gdy będziesz wieńczył głowę koroną, w chwili gdy cię będą namaszczać na króla Włoch, aby wszystkie narody, leżące w prochu, nie ośmieliły się nawet podnieść wzroku, aby oglądać ten uroczysty akt, który ma się dokonać; aby nikt nie ośmielił się oglądać uroczystości objęcia władzy przez Borgia, który przekaże ją swym dzieciom, polecając im powiększać dziedzictwo, — powiększać je aż do chwili, kiedy świat cały stanie się jednym wielkim królestwem Bogiów!

Oszołomiony potężną wizją, którą papież roztoczył mu przed oczami, Cezar zawołał:

— Dam im przykład grozy, mój ojcze! Chcę na jesieni obsiać zbożem miejsce, na którem wznosiło się Monteforte!... Chcę, aby nikt z tych, którzy się połączyli do walki z nami, nie uszedł cało! Wystawię nie jeden krzyż, aby przybić na nim głowę zdrajcy, lecz dziesięć, sto, tysiąc krzyży! Bądź spokojny, mój ojcze: będzie to straszny widok!

Nagle rozległ się szydarczy głos Lukrecji:

— A co zrobisz ze słodką Beatrix?

Wyraz dzikiej nienawiści wykrzywił twarz Cezara.

— Och! ona! — warknął. — To ona była przyczyną wszystkich naszych niepowodzeń! To ona podjudza na nas całe Włochy! Gorze jej!

— A więc już jej nie kochasz, mój braciszku?

— Kocham ją więcej, niż kiedy. Jej zawdzięczam bezsenne noce, ona jest przyczyną, że umysł mój stracił jasność sądu, która pozwalała mi dotychczas być w walce zawsze górą. Przez nią cierpiałem straszliwie i nie przestaję znosić niewypowiedzianych mąk. Miłość moja jednak idzie w parze z nienawiścią. Moja zemsta zapewni mi zaspokojenie piekielnej namiętności, której nie jestem w stanie poskromić. Gdy już wymorduję jej obrońców, gdy ukrzyżuję jej ojca, gdy obrócę miasto w perzynę, wtedy wezmę ją! Miłość moja będzie dla niej obelgą!

— Brawo, mój bracie! Nareszcie jesteś sobą! — rzekła Lukrecja posępnym tonem. — Strzeż się jednak, stolica Almów będzie zaciekle broniona!

— Niech mają sto razy tyle żołnierzy, niech wały ich nagle się podwyższą o sto łokci, niech wszystkie ich wrota będą żelazne, a fosy napełnią się zamiast wody, ogniem... wytępię ród Almów!

Cezar wygłosił tę obietnicę tak zawziętym tonem, że nawet Lukrecję zdjął lęk; Aleksandrowi VI wydało się, że patrzy na genjusza niszczycielstwa, którego podjudził ku zagładzie całych Włoch.

Uczuł przyływ dumy, Lukrecja jednak mówiła dalej:

— Almowie mają więcej, niż to wszystko jest warte, mój ojcze!

— Cóż takiego mogą oni mieć? Kto jest po ich stronie, kogo nie zdołałbym zgnębić? Mów! Na Rany Boskie!... wiem, co chcesz powiedzieć!

— Tak! Chcę wymienić nazwisko tego, który zwycięży każdego z nas kolejno! Myślę o Ragastensie!

— Człowiek ten zwyciężył nas zniecka... chytrością. Posiada siłę istot słabych. W bitwie, jaka się przygotowuje, jego sposobiki zawiodą go. Rezerwuje go dla siebie. Od niego rozpoczne dzieło zniszczenia. Przedewszystkim dlatego, żeby zapłacić za wyrządzoną mi krzywdę, wreszcie dlatego, żeby cierpiała ona.

— Cezarze! — odezwał się papież, ja żądam tego człowieka... musi być moim łupem!

Cezar spojrział na ojca i zrozumiał, że zemsta w ręku tego starca będzie czemś, co przewyższy w swej grozie wszelką wyobraźnię.

— Dobrze! — powiedział, — będziesz go miał, ojcze! Ja go pochwycę i ja ci go przywiędę!

— Kiedy udajesz się w drogę?

— Już jutro!

IX.

NOC POŚLUBNA.

Pałac Almów, jak większość pałaców włoskich, otoczony był pięknym obszernym ogrodem. Ogromne frontowe schody wychodziły na ogromny plac, obrośnięty stuletniami klonami; drugie schody wiodły ze wspaniałego tarasu, przylegającego do tyłów pałacu, po ich marmurowych stopniach schodziło się do portu.

Primavera z nastaniem wieczornego mroku zeszła temi schodami bardzo powoli do parku, rozkazując swym służebnym, aby zostawili ją samą. Pograżona w zadumie, znalazłszy się w parku usiadła na ławce, wyciosanej z granitu. Ławka stała tuż przy marmurowym posągu, na którym Herkules klęczał u stóp Omfalji. Tuż przy posągu rosła olbrzymia, rozłożysta wierzba, której giętkie cienkie gałązki otaczały posąg potokiem bladej zieleni.

Primavera lubiła niezmiernie ten zaciszny kącik, ani się domyślając, że stanowił on przedziwną ramę dla jej piękności. Osoba jej dopełniała artystyczną harmonję tego zakątka tak w linjach, jak w kolorycie.

Jeszcze jako dziecko bawiła się na tej ławce przy boku swej matki; jako młoda dziewczyna, przychodziła tu marzyć podczas ciepłych wieczorów, kiedy horyzont o zachodzie płonął purpurą i złotem. Marzyła tu o pięknym królewiczu, również młodym jak ona, któ-

ry zjawi się pewnego dnia śmiały, promienny męstwem i rozumem...

Teraz ten, którego kochała, przyjdzie... lecz ona nie jest już panią swej woli! Nie będzie mogła uśmiechnąć się do niego, wyciągnąć doń ręki i rzec:

— Czekałam na ciebie... jestem twoją.

W chwili gdy z westchnieniem zaczęła myśleć o swych rozwianych snach, o swej młodości, którą fatalizm pchnął w ramiona starca, rozległ się lekki chrzęst żwiru pod stopami, potem w obramowaniu alei ukazała się jakaś postać, a głos, który wstrząsnął nią do głębi, odezwał się:

— Oto jestem; stawilem się posłuszny pani rozkazowi.

Primavera, nie podnosząc wzroku na przybyłego, poznała w nim Ragastensa. Stał przed nią, trzymając w ręku beret.

W zachowaniu jego nie było ani wyrzutu, ani rozmyślnego chłodu, tylko bezgraniczny szacunek, pod którym krył się smutek, jak mu się zdawało, głęboko pogrzebany na dnie jego serca. Jaką zresztą mógł mieć pretensję do księżnej Manfredi? Jakie miałyby prawo okazywać jej chłód, lub smutek?

Primavera jednak odczuła jego niemą boleść... Zmieszała się, zarumieniła, jakgdyby istotnie miała coś sobie w stosunku do niego do zarzucenia. Zbyt jednak dumna, aby się zdradzić ze swemi tajnymi myślami, podniosła na niego wzrok jasny i spokojny.

— Panie, — rzekła, — pragnęłam panu podziękować... przy świadkach nie mogłabym tego tak swobodnie, jakbym tego pragnęła, uczynić... Oto dlaczego prosiłam pana, abyś tu przyszedł...

Ragastens ukłonił się w milczeniu.

— Chciałam panu podziękować, — powtórzyła ze wzruszeniem, którego nie była w stanie całkowicie opanować. — Ja tylko mogę dokładnie zrozumieć i dostatecznie ocenić pańskie poświęcenie...

— Poświęcenie? — zapytał z prawdziwym zdziwieniem.

— Czy może być inne istotniejsze określenie? Przypuszczasz pan, że owej nocy, kiedy na moje życzenie przybyłeś do katakumb, czy sądzisz pan, że nie zrozumiałam wszystkiego: Cezar Borgia zaproponował ci świetne stanowisko! Zrozumiałam, że jesteś biedny, zrozumiałam, że pozyskałeś łaski Cezara; z biedaka mogłeś stać się bogatym, z ciemności zapomnienia mogłeś pan nagle zajaśnieć glorią zaszczytów sławy. Niejeden szlachcic rzymski poczytałby za nieoczekiwane szczęście sytuację w jakiej znalazłeś się tak nagle... Kawalerze, wyrzekłeś się majątku i zaszczytów, ściągnąłeś na siebie śmiertelną nienawiść Borgiów, naraziłeś się na straszliwy wyrok, dlatego, żeby nie być w obozie mego wroga.... Szlachetnie to z twojej strony, daremnie szukam słów, którymi mogłabym wyrazić ci moją wdzięczność...

— Pani, gdybym nawet czyniąc to, co poczytywałem dla siebie za honor, uczynił istotnie poświęcenie, słowa pani wynagrodziły mnie za nie stokrotnie.

— Wreszcie,—ciągnęła dalej Primavera—ocaliłeś pan mego ojca. Uważałabym się za niegodną pańskiej wspaniałomyślności, gdybym nie mówiła z panem zupełnie szczerze. Hrabia Alma, którego słabość tak boleśnie mi jest sądzić, zdradził swoich. Pan uchronił imię, które noszę, od plamy wieczystej hańby...

— Imię, które pani *nosiłaś!* — przerwał jej Ragastens z głuchem wzruszeniem.

Primavera zadrżała. Zrozumiała ukryte znaczenie tych słów.

— Imię, które nosiłam! — powtórzyła, błędąc.

Potem nagle duma wzięła w niej górę, to też, pełna godności, mówiła dalej:

— Zresztą, prawie nie zmieniłam nazwiska. Nie wiesz pan niewątpliwie o tem, że Manfredi'owie i Almowie to jedna rodzina. Obie jej gałęzie byłyby jednakowo dotknięte... wyjazdem hrabiego Almy... Znowu wystawiłeś pan swe życie na szwank, aby nam oszczędzić wstydu i boleści.

Nagle zamilkła jakby pod wpływem nadmiernego wzruszenia.

— Pani, — oświadczył Ragastens, — przestając służyć Borgiom, przywołując hrabiego Almę do jego stolicy, starając się w miarę sił, odsunąć od pani bodaj cię smutku, dotrzymałem jedynie słowa...

— Wytłumacz się pan!

— Czy pamięta pani dzień, w którym miałam zaszczyt spotkać się z nią w oliwnym gaju przy strumieniu? Zapomniałaś jednak pani niewątpliwie o tem wydarzeniu?

— Nie zapomniałam! — odpowiedziała Beatrix przymykając oczy.

— W takim razie może pani pamięta i to, co do niej powiedziałem wtedy... A mianowicie, że gotów jestem przelać za nią krew, jeśli tego zajdzie potrzeba, i że całe me życie jest na jej usługi. Widzisz więc, pani, że od owej chwili nie miałem prawa postępować inaczej, niż postępowałem.

Ragastens, mówiąc to, wyprostował się. W błękitnym mroku zapadającej nocy jego smukła sylwetka dziwnie śmiałymi linjami odcinała się na ciemnym tle nieba. Jego gorące słowa, tchnące jakąś niezwykłą dla niego melancholją, chwyciły Primaveraę za serce.

Uczuła, że pierś jej podnosi westchnienie, oczy napęniają się łzami, jakkolwiek nie mogła dokładnie zdać sobie sprawy z przyczyny tego wzruszenia... starała się wytłumaczyć je sobie wrażeniem, jakie wywarła na niej pełna szlachetności prostota Ragastensa. Zaległa przez chwilę cisza, pełna tajemniczych wzruszeń dla niej, a goryczy dla niego.

— Och! — pomyślał z rozpaczą, — gdyby mnie kochała, jak mówi Jan Malatesta, nie mówiłaby ze mną z takim chłodem. Przyjmuje ofiarę mego życia i sądzi napewno, że czyni dla mnie bardzo wiele, dziękując mi za to... Istotnie... tego najzupełniej wystarczy! Gdyby traktowano biednych błędnych rycerzy,

jak książąt, nie istniałaby różnica między takim Manfredem, a takim Ragastensem.

Tymczasem Primavera zabrała znowu głos, już nieco opanowana wewnątrz.

— Nietylko chciałam panu podziękować, lecz chciałam również zapytać... chciałam się dowiedzieć... czy nie zechciałbyś pan powiedzieć mi, jakie są pańskie zamiary na najbliższą przyszłość... Mój ojciec, zdaje mi się, mianował pana swym szefem sztabu... Odmówiłeś pan przyjęcia tego stanowiska?

— Tak, pani.

— To prawda, że zalety pańskie o wiele więcej są warte, niż takie stanowisko.

— Myli się pani. Godność szefa sztabu jest bardzo zaszczytna i daje duże pole do wyróżnienia się. Byłby to raczej zaszczyt, przewyższający moje marzenia...

— A więc dlaczego nie chcesz pan przyjąć tej godności? — rzekła Primavera z żywością. — Och! błagam pana, nie myśl, że jestem tak niewdzięczna, by uważać ofiarowanie tego stanowiska za wystarczający dowód uznania... W pańskiej jednak zgodzie widziałabym z kolei dowód tego, że... chcesz pan pozostać z nami... że pańskie męstwo i szpada nie opuszczą nas w tej strasznej opresji, w jakiej znaleźliśmy się... i że wkońcu... pozostaniemy na zawsze... przyjaciółmi...

Primavera wyrzekła ostatnie słowa tak cicho, głos jej był tak drżący, że Ragastens odgadł je raczej, niż słyszał. Doznał nagłego olśnienia. Chciał paść jej do nóg i wyznać... krzyżeć jej o swej miłości. Za radością jednak przyszła rozwaga, — bolesna, okrutna rozwaga...

— Uspokój się pani, — odparł z goryczą, — szpada moja będzie nadal na twe usługi... Będziemy zawsze... *przyjaciółmi*... używając pani łaskawego określenia.

Primavera nie zwróciła uwagi na ton, jakim były wypowiedziane te słowa; może nawet nie zrozumiała w nich posądzenia jej oto, że przedewszystkiem

pragnie mieć przy swym boku o jednego obrońcę więcej.

— Jeśli więc tak jest, — zawołała, — dlaczego odrzucasz pan propozycję hrabiego Almy?

— Łaskawa pani, — odparł zimno Ragastens, — jestem zwykłym żołnierzem-awanturnikiem i świetne stanowisko szefa sztabu przewyższa wszystkie moje marzenia... stanowisko to związane jest jednak z obowiązkami, które, wyznam szczerze, przerażają mnie. Żyłem dotychczas z dnia na dzień, mając za jedyne go pana moją fantazję, a za jedyne go przewodnika chwilowy kaprys; jechałem przed siebie, wracałem i znowu udawałem się w drogę, rządząc się jedynie tem, co mi fantazja podyktuje... Wybacz więc pani, że nie przystaję na tak ponętne propozycję... Wolę działać z wolnej ręki...

— Ostatecznie jednak zostaniesz pan w Monteforte!

— Nie wiem!

Raz jeszcze uczuła, że do oczu jej nabiegły łzy... Odpowiedź Ragastensa zabrzmiała sucho, nieledwie brutalnie:

— W każdym bądź razie, — mówił dalej, — jeśli zobaczą, że usługi moje mogą być pani na coś przydatne, pozostanę, aż do, jak przypuszczam, bliskiego już dnia, w którym Cezar zwyciężony będzie zmuszony cofnąć się... Wtedy jednak nic mnie już więcej nie zatrzyma we Włoszech... wtedy wrócę do Francji...

— Nic już więcej! — westchnęła Beatrix.

— Nic więcej! — powtórzył Ragastens.

— Uczynisz pan tak, jak będziesz chciał, — szepnęła.

Ragastens złożył głęboki ukłon i chciał się już oddalić. Serce miał pełne miłości, rozpaczy i gniewu. Primavera powstrzymała go skinieniem ręki.

— Wybacz mi pan... — rzekła cichutko. — Chciałam z panem również pomówić... o wypadku... jaki miał miejsce dzisiaj...

— Mów pani...

— Mam na myśli spór pański z panem Malatestą. Ragastens zdrzął. Wydało mu się, że teraz dopiero zrozumiał wszystko.

— Tu tkwi cała prawda! — szepnął do siebie, gryząc wargi do krwi, aby nie krzyczeć z rozpaczy i wściekłości. — A więc kocha Malatestę... Tam do diabła! Trzeba być takim warjatem, takim ślepcem, jak ja, aby tego nie zauważyć odrazu! Kazała mi tu przyjść, aby mnie prosić o to, żebym się z nim nie bił! Boi się o niego!

Czekał w milczeniu na wyjaśnienie. Beatrix zdawała się w tej chwili być bardzo wzruszona. Uspokoila się jednak; bardzo równym, nie zdradzającym wstrząsających ją uczuć, głosem zapytała:

— Chcecie się bić z Janem Malatestą?

— Ależ pani widziała, że pan Malatesta przeprosił mnie najlojalniej pod słońcem... Pojedynek więc, na który mnie wyzwał, nie odbędzie się...

— Wiem. Lecz wiem również, że będziecie się bić! Kawalerze, dlaczego ukrywasz przede mną prawdę? Ja nie kryję się z tem, że słyszałam, co Jan Malatesta mówił panu, stojąc w niszy okiennej...

Nadzieja błysnęła w sercu Ragastensa.

— Czy słyszałaś pani w s z y s t k o ?

Nagły rumieniec zalał twarz Primavera; w parku jednak panował już gęsty mrok i Ragastens nie widział tego rumieńca. Znowu ogarnęło go zniechęcenie, gdy księżna odpowiedziała mu najbrutalniejszym pod słońcem głosem:

— Słyszałam tylko to, że Jan Malatesta wyznaczył panu na jutro wieczór spotkanie przy Głowie. Nie chciałam słuchać dalej; zrozumiałam bowiem...

— A więc tak; Malatesta wyzwał mnie i pojedynek odbędzie się jutro....

Primavera usiłowała powstrzymać ręką gwałtowne bicie serca.

— A gdybym pana poprosiła... — szepnęła niepewnym głosem.

Zamilkła, przeżywając w duszy najcięższą walkę duchową, jaką w ciągu całego swego życia przeżyła.

— O co chcesz mnie pani prosić? — zapytał zimno Ragastens.

— Abyś się nie bił! — odpowiedziała szeptem. — Pozwól, że ci wytłumaczę... Nie może być między Malatestą, a panem żadnej istotnej nienawiści... Znam Malatestę... Ma gwałtowny charakter, lecz żyje w nim duch rycerski... Jeśli mu powiesz... jeśli dasz do zrozumienia, że ani on, ani pan nie macie w tej chwili prawa przelewać krwi... jestem pewna... że się wyrzeknie...

— Ach, pani! — wybuchnął Ragastens, — dajesz się pani ponosić uczuciu... Prosisz mnie pani o to, abym się cofnął, poniżył! Tego nie uczynię! Lecz bądź pani spokojna, — dodał chrapliwym głosem, — w pojedynku tym padnie nie Malatesta... żegnaj, pani...

Uciekł, jak szalony, wściekły zazdrością. Primavera pozostała przez chwilę zgnębiona, zmartwiała... Nareszcie zrozumiała, co miał na myśli. Nie wiedząc, co czyni, zeszywniała z bólu wyciągnęła ramiona, wołając:

— Ragastensie!

Kawaler jednak był już daleko; nie słyszał jej wołania. Padła na ławę i wybuchnęła łkaniem.

Nagle w parku zamigotały światła pochodni; rozległy się nawoływania... Beatrix drgnęła... poznała w gwarze zmieszanych głosów, głos księcia Manfrediego. Po chwili książę ukazał się przed nią.

— Nareszcie znalazłem cię, — zawołał starzec. — To ty, droga Beatrix. Dręczył mnie śmiertelny niepokój. Pozwól ofiarować sobie ramię... i odprowadzić cię do domu.

— Za chwilę! — odpowiedziała. — Chcę jeszcze chwilkę podyszeć świeżem nocnem powietrzem. — Książę zwrócił się do służących, trzymających w ręku pochodnie, i odesłał ich do pałacu skinieniem ręki. Gdy już zostali sami, usiadł przy swej młodej żonie.

— Masz słuszość, słodkie są to chwile, spędzo-

ne na samotnem dumaniu, zdala od natrętności ludzkiej... Piękną jest noc dzisiejsza! Jaka cisza! Jak dalekim zda się być od nas cały świat! Czy podzielasz moje szczęście, Beatrix?

Wziął jej dłoń w swoje ręce. Nie broniła się. Lekkim bezwiednym jedynie ruchem cofnęła się od niego, lecz starzec nie zauważył tego.

— Nieprzewidziane, nieoczekiwane szczęście! — mówił dalej książę Manfredi, — kto mógłby przypuścić, że z pośród tylu młodych, zachwyconych twą urodą, nie wyróżnisz żadnego, i że to ja — starzec, stojący już nad grobem, zostanę przez ciebie wybrany!

— Książę...

— Nie, droga Beatrix... Pozwól, niech ci się zwierzę z uczucia radosnej dumy, jaka przepęlnia mi serce...

Książę Manfredi pochylił się nad ręką Beatrix i złożył na niej gorący pocałunek. Nie był to już już jedyny konwenans... Był to pocałunek miłosny! Primavera wydała lekki okrzyk i nieledwie gwałtownie wyrwała swą rękę z jego uścisku...

— Co ci się stało, Beatrix? — zapytał książę, zdumiony jej gwałtownością.

Co jej się stało?

Gdy, przerażona propozycją Malatesty, stanęła przed alternatywą oporu, albo wyrzeczenia się i walki, i oporu, nagle przyszło jej na myśl wybrać na męża starego Manfrediego. Nie myślała w tej chwili o tem, że starzec, odmłodzony dumą i radością, zechce zostać jej małżonkiem nietylko z imienia!

Jak osaczona sarna pomyślała jedynie o uniknięciu najbliższego niebezpieczeństwa. A niebezpieczeństwem tem było zostanie żoną Malatesty, lub jednego z młodych wielmożów, których uczucia oddawna już nie były jej tajne. Schroniła się w ramiona starca, którego uważała za ojca. I oto widzi nagle, że książę Manfredi jest zakochany, płomienny miłością, skwapliwie domagający się swych praw.

Od pierwszej chwili zrozumiała swą straszliwą pomyłkę. Przeklinała teraz siebie, za to, że nie stawiała oporu, że nie odparła zakusów na swą wolność.

Stary Manfredi przez chwilę zachował milczenie. Potem zabrał głos:

— Pójdź, droga Beatrix... wracajmy do domu... — Raz jeszcze chciał wziąć ją za rękę. Tym razem jednak Primavera cofnęła się z tak widocznym przestraszeniem, że książę zbladł i ponowił zapytanie:

— Co ci jest, Beatrix?

— Nic, — odpowiedziała miękko.

— Jednakowoż zdajesz się obawiać się mnie i unikać... Od chwili, gdy tu jestem, nie wyrzekłaś do mnie ani słowa... Ach! Beatrix, nie chcę ci wymawiać tego, że uciekłaś do tego zapadłego kąta parku wtedy, kiedy cię szukałem... zaraz po naszym ślubie... Nie chcę widzieć twego dziwnego postępowania... wracajmy do domu, Beatrix!

Zaprzeczyła ruchem głowy, zbyt niespokojna, by móc mówić.

— Nie chcesz wracać?

— Zechciej pozwolić mi jeszcze pozostać tu! — rzekła z wysiłkiem.

Książę Manfredi powstał z miejsca.

— Beatrix, — oświadczył poważnie, — jaka tajemna myśl dręczy cię? Czy nie chcesz mi jej wyrazić?

— Owszem! — zawołała Primavera. — Jesteś rycerzem z dawnych czasów, jesteś wzorem nadzwyczajnej szlachetności i wielkich cnót... Nie chcę nic przed tobą ukrywać!

— Chwała Bogu! — powiedział Manfredi z gorzkim uśmiechem. — Mów bez lęku...

— Otóż, mój drogi panie, chciałabym... Nie wiem, czy zdołasz pan zrozumieć myśl, jaką mi dyktuje...

— Beatrix! Poco te kołowania?! — wykrzyknął starzec. — Rozumiem doskonale, że nie możesz żywić do mnie miłości. Lecz nie mówmy już o miłości, o jakiej, „rycerz z dawnych czasów“, jakieś mnie nazwa-

ła, nie może marzyć, mogę jednakowoż rościć sobie prawo do szczerego przywiązania z twojej strony...

— Przysięgam ci, książę, że uczucie, jakie żywię dla ciebie, jest głębokie i prawdziwe...

— No i mam również prawo do posłuszeństwa małżeńskiego! — dodał książę.

Primavera nie odpowiedziała nic na tę ostatnią uwagę...

— A więc, — ciągnął dalej Manfredi, — podejrzewam jakieś nieporozumienie, a może jakąś intrygę, której ja byłem ofiarą. Na Madonnę! Daję słowo! Na gwiazdy, które na nas spoglądają, przysięgam, że to się nie uda! Mam siedemdziesiąt dwa lat. Nikt w świecie nie natrząsał się jeszcze bezkarnie nad żadnym Manfredi'm! Mów, Beatrix! Błagam cię o szczerść!

Primavera złożyła błagalnie ręce.

— Milczysz, Beatrix, — podjął znowu książę ze wzrastającym gniewem. — Byłyżby słuszne owe straszliwe myśli, które rodzą się w mej głowie? Czyżbyś chciała natrząsać się ze mnie. Ty! Co złego ci uczyniłem? Dlaczego wybrałaś mnie? czy dlatego, aby mnie teraz dręczyć i poniżać?

Primavera głośno zaprotestowała.

— Posłuchaj mnie, książę! — rzekła drżącym głosem. — Chcę ci powiedzieć wszystko, co mam na sercu. Potem już postąpisz tak, jak ci twoja wysoka wspaniałomyślność podyktuje...

Książę Manfredi, zdjęty litością, uczuł, że gniew, jaki wrzał w jego piersi, zaczyna łagodnieć...

— Uspokój się, moje dziecko, — powiedział, — mów z właściwą ci szczerością, którą podziwiamy wszyscy i dzięki której jesteś kwiatem uczciwości; nie obawiaj się księcia Manfrediego, który w tej chwili chce pamiętać tylko o jednym: — o tem, że wczoraj jeszcze darzył cię mianem swej córki.

— Oto cała prawda, — rzekła Primavera po chwili milczenia, podczas, którego usiłowała odzyskać zimną krew... — W chwili gdy Jan Malatesta postawił

na zebraniu swój wniosek zdałam sobie sprawę z tego, ilu jest naszych, dręczonych niepewnością, być może przerażonych rozpoczynającą się walką, którzy czekają jedynie na pierwszy godziwy sposób, aby się z niej wycofać...

— Niestety, smutna to prawda! — szepnęła księżę.

— Gdybym na propozycję Malatesty nie przystała, byłoby to dla nich owym właśnie godziwym pretekstem. W owej chwili, która była dla mnie wiecznością niepokoju, zrozumiałam, że całe powodzenie naszego przedsięwzięcia zawisło od owej decyzji... Nie tylko należało wybrać przewodcę, lecz i małżonka... Postanowiłam poświęcić się...

— Okrutne to dla mnie słowo!

— Moja sytuacja była jeszcze okrutniejsza... Malatesta kocha mnie... lecz ja nie kocham go wcale... żywię dla niego jedynie siostrzane uczucie, jakim darzę wszystkich zresztą naszych przyjaciół. Nie mogłam jednak pomyśleć bez lęku o tem, że może zostać moim mężem...

— Te same uczucia żywiłam i do reszty młodych rycerzy.

Primavera zamilkła zgnębiona.

— A więc, — zabrał głos księżę Manfredi, nie mogąc ukryć zadowolenia, — a więc z pośród tych wszystkich, którzy byli obecni na zgromadzeniu, nikogo nie darzyłaś swą miłością?

— Nikogo!

— Możesz mi to przysiąc?

— Przysięgam. Lecz czyż potrzebna jest ta przysięga? Czyż nie wybrałabym na męża tego, którego-bym kochała, gdyby chociaż jeden z tych młodzików pozyskał mój szacunek i moją miłość?

— To prawda. Wybacz mi, Beatrix. Wybranie jednak mnie z pośród nich tak mną wstrząsnęło, że zaczynam rozumować, jak młodzik, drżący o swoje szczęście. Niestety! alboż tak nie jest? Mów jednak dalej, moje dziecię...

— Otóż! Stojąc wobec okrutnej alternatywy, pomyślałam o tobie, księżę, zawsze który darzyłeś mnie mianem córki! Zdawało mi się, że osłonięta blaskiem twego powszechnie poważanego imienia, będę się czuła tak bezpieczna, jak w ramionach ojca.

Księżę Manfredi westchnął głęboko.

— Rozumiem, — rzekł z goryczą, — że potrzebne ci było imię... Co zaś do siwobrodego starca...

— Księżę, — przerwała mu Primavera, — mylisz się... Pozwól mi jednak dokończyć... W pierwszej chwili byłam bardzo szczęśliwa na myśl, że zostanę twą żoną. Podniecenie jednak minęło. Wtedy stanęłam oko w oko z rzeczywistością, która dokonała się wbrew mej istotnej woli... jakkolwiek ja sama uważałam, że jest to jedyne możliwe wyjście... Otóż, mój księżę, zrozum pan słuszne przerażenie dziewczyny, która nigdy jeszcze nie pomyślała nawet o związkach małżeńskich, a która nagle widzi, że jest mężatką, nigdy nie będąc jeszcze narzeczoną!

Stary Manfredi zachnął się.

— Pozwól mi dokończyć! — zawołała. — Nie byłabym w stanie nawiązać po raz drugi podobnej rozmowy... Serce moje ściska się na myśl o niezasłużonej boleści, jaka cię spotyka. Pomyśl jednak o uczuciach, jakie wstrząsają mojem sercem... Proszę, abyś mnie traktował, jak swą narzeczoną... pozwól, że się przyzwyczaję do myśli, iż nie jestem już młodą dziewczyną... Trzy miesiące... błagam cię, księżę, o trzy miesiące... Wyobraź pan sobie, że prosiłeś mnie o rękę i że przyjąłam cię. Prośba moja nie ma w sobie nic obelżywego, przysięgam bowiem, że nie żywię do ciebie żadnej odrazy... A przytem, mój księżę, alboż nie będzie to słusznem zadość uczynieniem, danem memu ojcu, w którego nieobecności zaszły wszystkie te wypadki? Mój ojciec przystał dziś na nasze małżeństwo, musiał to jednak uczynić wobec dokonanego już faktu...

— Dosyć już, Beatrix! — zawołał stary Manfredi. — Dotknęłabyś mnie przypuszczeniem, że nie zdo-

łał ocenić tych wszystkich motywów. Słowa twe tchną mądrością, która mnie bynajmniej nie dziwi, lecz którą nie mogę nie zachwycać się.

— Jakże jesteś dobry!

— Tylko sprawiedliwy! Nie mówmy już o tem... Przyjmij teraz me ramię, moje dziecko... moja droga narzeczono... odprowadzę cię do twych pokoi...

— Nie, mój książę... tyle zaszło dziwnych wypadków, że pragnę jeszcze pozostać sama z memi myślami...

— Jednakowoż...

— Czegóż mogłabym się obawiać? Tyle już razy spędzałam tu długie godziny, pojąc się ciszą spokojnej nocy...

— Niech się więc stanie podług twojej woli! — odparł książę z ukłonem.

Powoli oddalił się.

Primavera odprowadziła wzrokiem smukłą sylwetkę księcia, niknącą w mroku. Gdy już znikł, zajęła miejsce na granitowej ławce. Wydało jej się wtedy, że jakiś niepomierne niepokojący ciężar spadł jej z piersi i że odradza się do życia.

X.

LEGENDA PRZESMYKU I SKAŁY, ZWANEJ GŁOWĄ.

Noc, która nastąpiła, była dla Ragastensa straszna. Włóczył się dokoła pałacu, wpatrując się w gasnące jedne po drugich światła, usiłując odgadnąć, które z nich jest światłem, płynącym z małżeńskiej sypialni księżnej Manfredi.

Gdy błysnął świt, stał blady i zgnębiony na placu, obrośniętym platanami.

Opanował wreszcie jako tako dręczące go uczucie zazdrości i oddalił się szepcząc:

— No, teraz wszystko dla mnie stracone!

Juljusz Orsini, który poczuł do niego żywą sympatię, ofiarował mu w swym pałacu gościnę. Ragastens przyjął ją z wdzięcznością.

Po powrocie do swej oberży, zbudził Spadacape'a, który spał snem sprawiedliwego, i kazał mu osiodłać Kapitana.

— Czy mam towarzyszyć panu? — zapytał służący.

— Nie, zaczekasz na mnie, tutaj... powrócę zresztą bardzo późno.

Gdy już Kapitan był osiodłany, Ragastens dodał:

— Ale, ale, być może, że będę musiał wyjechać na kilka dni, a może wogóle już tu nie wrócę.

— Najświętsza Panno! Chce pan mnie porzucić na opiece Boskiej?!

Zamiast odpowiedzi, Ragastens ostrzem swego sztyletu wydlubał drogie kamienie, któremi była wysadzana rękojeść jego szpady, a właściwie szpady Cezara Borgii.

Wtedy rzekł do Spadacape'a:

— Weź to! pocieszy cię to, gdy będziemy musieli się rozstać.

Spadacape jednak cofnął się, potrząsnął głową przecząco.

— No i cóż? — zapytał Ragastens, — dlaczego się wahasz?

— Proponuje mi pan ogromny majątek; dziękuję! Lecz, jeśli chcesz pan mnie odjechać, nie potrzebuję niczego. Wolę wrócić do mego dawnego fachu.

Prostota tych słów i pełna naiwności wierność tego człowieka, który jeszcze dwa miesiące temu zamordowałby bez skrupułów pierwszego lepszego mieszczanina, aby zdobyć bodaj najmniejszy z djamentów, których w tej chwili nie chciał przyjąć, — prostota słów Spadacape'a wzruszyła Ragastensa.

— A więc, nie chcesz rozstać się ze mną mimo wszystko?

— Sama myśl o rozstaniu przejmuję mnie dresz-

czem trwogi. Proszę pana, czem zasłużyłem na niełas-
kę?

— Niczem. Dobrze już. Uprzedzam cię jednak, że
opuszczę prawdopodobnie Włochy.

— Mało mnie to wzrusza.

— Jakto? Nie będziesz żałował twej pięknej oj-
czyzny?

— Proszę pana, wszystkie kraje są jednakowo pię-
kne, jeśli człek może tam korzystać z wolności.

Ragastens nie nastawał już dłużej; skinął na Spa-
dacape'a, aby udał się za nim, zmusiwszy go przedtem
do przyjęcia djamentów.

— Nic nie wiadomo, co może się przytrafić, —
powiedział.

Spadacape wskoczył wesoło na konia i zawołał:

— Tam, do licha, mości kawalerze, napędziłeś mi
pan dobrego stracha!

Ragastens nie odpowiedział ani słowa. Już po kwa-
dransie byli poza miastem. Naprawdę nie wiedział już,
co ma począć. Jednego tylko był pewny, że wszystko
dla niego jest skończone i że w walce z Malatestą nie
będzie bronił swego życia. W głębi serca jednak żywił
słabą, nieokreśloną nadzieję.

Najważniejszem w tej chwili było spędzić dzień
zdala od Monteforte. Czuł, że nie będzie w stanie spot-
kać się z Primavera, ani z księciem Manfredim. Błą-
kał się przez cały dzień w pobliżu miasta, myśląc o
czekającym go pojedynku.

Okolo czwartej popołudniu znalazł się na płaskim
szczytzie, wznoszącym się nad wąwozem, którym przy-
był wraz z hrabią Alma do Monteforte. W tej chwili
Spadacape zbliżył się do niego i, wyciągając rękę w
stronę widniejącego w dali domku, rzekł:

— Zajazd.

— Aha! Widzę, że jesteś głodny.

— I spragniony przepłókania gardła, — odpowie-
dział.

Istotnie, nie miał żadnych powodów po temu, by
stracić apetyt, jak jego pan. Od samego rana nie mieli

nic w ustach i Spadacape nie bez lęku zadawał sobie pytanie, czy jego pan nie postanowił sobie zamorzyć się głodem? Wtedy on, jako wierny koniuszy, musiałby również odbyć najściślejszą głodówkę. Ragastens uspokoił go.

— Dobrze, że mi przypomniałeś, — oświadczył, — tam, do diabła! Czuję straszliwy apetyt!

Pogalopował wprost ku oberży. Jednocześnie przyglądał się skałom, do których tulił się budynek. Stwierdził, że istotnie kontury skały przypominały ludzako kształt głowy ludzkiej.

Ragastens i Spadacape zsiadli przed oberżą z koni. Na froncie widać było szyld: „Oberża pod Głową“. Cały personel zajazdu, a mianowicie: oberżysta, jego żona, dwaj synowie i służąca byli zajęci ładowaniem na wózek mebli, ławek, stołków, słowem całego nędznego umeblowania skromnego zakładu.

— Obawiam się, że będziemy skazani na post przymusowy, — rzekł Ragastens.

— Ja będę kucharzem, — pośpieszył z odpowiedzią Spadacape. — Widzę, że mają tu jakiś kurnik, a więc będą i jaja i kurczęta. Za dwadzieścia minut gwarantuję świetną potrawkę i jajecznicę, godną stołu kardynała.

— Czy możemy dostać obiad? — zapytał Ragastens oberżystę.

— A dlaczegóżby nie, mości kawalerze?

— Przeprowadzacie się.

— To nie przeszkadza w jedzeniu. Siadaj pan przy tym stole w ogrodzie, zaraz będzie obiad.

W małym ogródku warzywnym tuż pod skałą stały dwa stoły, pomalowane na zielono.

— Świetne miejsce na pojedynek, — pomyślał Ragastens.

Tymczasem służąca zaczęła nakrywać do stołu. Ragastens zmęczony długą jazdą, bezsennością i nerwowym napięciem — usiadł w cieniu, postanawiając sobie nie pogardzić posiłkiem. Z godną podziwu energią jak na człowieka, który postanowił paść w spot-

kaniu na szpady, przypuścił atak do potrawki z kurczęcia, przygotowanej przez samego Spadacape'a.

Oberżysta, czterdziestoletni mężczyzna, wielki gadała, nie chciał ustąpić nikomu zaszczytu posługiwania klientowi, który spadł mu jak z nieba. Nalewając mu białe wino, wcale możliwe, usiłował nawiązać rozmowę.

— Sądząc z pańskiego stroju, mości kawalerze, wnioskuje, że należysz pan do rycerskiego stanu.

— Tak, mój zuchu.

— Ach, ta wojna! — westchnął czcigodny oberżysta. — Człek żył sobie spokojnie, a teraz musi uciekać. Scaronię się w Monteforte, gdzie mam nadzieję, że uda mi się zająć się handlem, sprzedając wino panom strzelcom.

— Wspaniała myśl, zwłaszcza, że tu nie myślę, abyś robił zbyt dobre interesa. Bo i któż u diabła zechce zajrzeć na to pustkowie na niedostępnej skale, na którą musiałem wdrapywać się przynajmniej przez dwie godziny.

— Hm! Interesa moje nie stały znowu tak bardzo źle, mości kawalerze. Znają mnie dobrze w promieniu kilku mil i niema podróznego, który, zwiedzając nasz kraj, nie wstąpiłby do mnie.

— A więc jesteś znakomitością, mój drogi?

— Tak, panie! — odpowiedział skromnie oberżysta.

— Skądże ta sława?

— Bo ja tylko jeden w całym kraju mogę opowiedzieć historję skały, noszącej nazwę Głowy. Historję tę przekazał mi mój ojciec, który odziedziczył ją po swoim; od szeregu bowiem wieków ród nasz mieszka ciągle u podnóża tych skał...

— A więc historia ta jest tak bardzo ciekawa? — zapytał Ragastens drwiąco.

— To straszna historia, straszna od początku do końca!

— Chciałbym ją usłyszeć.

— To bardzo łatwo, opowiadam ją za opłatą jednego talara. Jest to właściwie jedyny mój dochód.

Ragastens rzucił na stół dukata; oberżysta porwał pieniądz skwapliwie i wykrzyknął:

— Ach! wielmożny panie!

— Słucham twej historii.

— Poznasz ją pan w tej chwili! — zawołał oberżysta. — Pokażę panu nawet coś, co pokazuję bardzo rzadko. Owem czemś są moje piwnice, a w nich... w samej głębi... ślad... dziura — bardzo widoczna, która jest niezbitym dowodem prawdziwości mego opowiadania.

Słońce kryło się za linją; oberżysta obejrzał się z niepokojem.

— No i cóż? — przynaglił go Ragastens. — Czekam.

— Noc zapada, — powiedział oberżysta; — muszę się śpieszyć, nie chciałbym bowiem za żadne skarby świata mówić o tych rzeczach w nocy.

Z temi słowy, pocziwy oberżysta przeżegnał się pośpiesznie.

— Dlaczego? — zapytał Ragastens.

— Dlatego, że wymawianie imienia djabła nie jest wskazane w nocy! Wynika stąd zawsze jakieś nie-szczęście: przelanie krwi... czyjaś śmierć...

Ragastens zadrzał.

Wychylając szklankę wina jednym tchem, bąknął:

— Mów jednak.

— Otóż, — rozpoczął opowiadanie oberżysta, — historia sięga bardzo dawnych czasów, kiedy panował nam Filip III, trzeci z kolei hrabia z dynastji Almów, którzy mają rządzić naszym państwem aż do dnia, kiedy... ale nie chcę wyprzedzać wypadków.

„Był to, jak powiadają kroniki, mężczyzna trzydziestopięcioletni, silny, odważny i dobry. Kochano go za jego dobroć i zachwycano się jego odwagą.

„W owych czasach bandy straszliwych zbójów pustoszyły okolice. Nie było zamku tak dobrze bronio-

nego, posiadającego tak liczną załogę, któryby mógł się im oprzeć.

„Hrabia Filip postanowił wytepić te bandy i dokonał tego. Jedna tylko uniknęła zagłady. Była to banda Czerwonego Jakuba. Człowiek ten miał takie przewisko nie tylko dlatego, że posiadał rudą brodę i włosy, lecz i dlatego, że wymordował tylu ludzi, iż, jak mówiono, ręce jego pozostały na zawsze czerwone od krwi ofiar. Wszystkie wysiłki dzielnego hrabiego Filipa, skierowane przeciw tej bandzie, spełzły na niczem; zuchwalstwo Czerwonego Jakuba wzrastało z każdym dniem.

„Tymczasem hrabia ożenił się. Pojął za żonę Beatrix, córkę pewnego znanego barona, sławną ze swej piękności.

„Na zamku urządzono wielką zabawę. Wszyscy mieszkańcy Monteforte zostali zaproszeni na ucztę, która odbyła się na dworze. Przy końcu uczy młoda hrabina jeła obchodzić stoły, witana hucznie okrzykami. Gdy stanęła przy ostatnim stole, jakiś mężczyzna, którego nikt nie znał, a który brał również udział w uczcie, wyrósł nagle przed nią.

„— Czego chesz? — zapytała młoda hrabina, przypuszczając, że nieznajomy chce prosić ją o jakąś łaskę.

„—Pragnę powiedzieć ci, że jestem zachwycony twą pięknnością i że, jeśli nie zechcesz być moją, zniszczę wkrótce całe Monteforte!

„Hrabina Beatrix wydała okrzyk przerażenia. Jej mąż i panowie, którzy go otaczali, chcieli rzucić się na zuchwalca, w tej samej jednak chwili kilkudziesięciu górali porwało się od sąsiednich stołów, otoczyło nieznajomego i, grożąc sztyletami, osłoniło mu odwrót. Uciekli wszyscy, wołając:

„— Niech żyje Czerwony Jakub!

„Wypadek ten zmieszał straszliwie młodą hrabinę. Jeszcze nie ochłonęła ze wzruszenia, gdy zdała rozległy się dźwięki rogu. Był to herold, wysłany pośpiesznie do hrabiego przez okolicznych baronów. Spuszczono

no most zwodzony; herold wjechał na podwórze zamkowe. Oznajmił on hrabiemu Filipowi, że jakieś barbarzyńskie plemiona, przypominające starożytnych Wizygotów, zalały całe górne Włochy, i że wszyscy baronowie i hrabiowie zaczęli gromadzić wojska, aby odeprzeć wroga.

„— To dobrze, — rzekł hrabia Filip, — powiedz tym, którzy cię przysyłają, że jutro o świcie wyruszę na czele pięćdziesięciu lanc.

„Nazajutrz po swym ślubie hrabia wyruszył na wyprawę na czele swego zbrojnego oddziału, składającego się poza pięćdziesięciu lancami, z setki zbrojnych i licznych pachołków—razem blisko tysiąc mężczyzn, zdolnych do noszenia broni.

„Hrabia Filip przez rok cały wojował nad brzegami Po i Adygi. Wreszcie oddziały barbarzyńców zostały odrzucone i wygnane z kraju. Hrabia ruszył do domu na czele swej zdziesiątkowanej, lecz zwycięskiej armji. Był szczęśliwy, że wraca do swego starego zamku. Przez cały czas wojny często myślał o swej młodej żonie i o pogrózkach Czerwonego Jakuba. Nie był jednak niespokojny: w owej epoce Monteforte było nie do zdobycia. Całe miasto otaczały ze wszystkich stron niedostępne skały, a tego oto wąwozu nie było jeszcze wcale...

„Okropne rozczarowanie czekało hrabiego po przybyciu na miejsce. Banda Czerwonego Jakuba już od trzech miesięcy grasowała po Monteforte! Już od trzech miesięcy hrabina, zamknięta w wieży zamkowej, wytrzymywała oblężenie, które musiało zakończyć się śmiercią oblężonych, albo poddaniem się ich, w razie gdyby nie nadciągnęła szybka pomoc.

„Rozpacz hrabiego nie miała granic. Obronne połączenie Monteforte, z którego był zawsze tak dumny, obróciło się teraz przeciw niemu. Nie było możliwości zbliżyć się do miasta; nie było możliwości dostać się do niego, prowadziło doń bowiem zaledwie parę ścieżyn, na których mogło się zmieścić zaledwie kilku zbrojnych naraz.

„Stojąc w tem samym miejscu, co my w tej chwili, hrabia gorzko zapłakał, spoglądając zdala na wierzchołek wieży, w której była zamknięta jego żona. Kazał rozbić swój namiot w miejscu, gdzie stoi dziś oberża, i już nazajutrz rozpoczął oblężenie; wkrótce jednak musiał stwierdzić, że raczej straci swych żołnierzy jednego po drugim, niż zdobędzie niedostępną twierdzę.

„Rycerze, otaczający księcia, zaczęli mu przekładać, że obleganie zamku jest bezużyteczne, oświadczyli tedy, iż po trzech dniach opuszczą go, aby zgromadzić większe oddziały, albo zaciągnąć się do innych szeregów. Hrabia Filip uwielbiał Beatrix, to też, mimo przekonywania rycerzy, postanowił raczej zginąć, niż poniechać oblężenia.

Oberżysta zamilkł.

— No i cóż, mój drogi, — rzekł Ragastens, — opowiadasz bardzo dobrze, mów dalej.

— Ach! — jęknął oberżysta. — Doszedłem do najdziwniejszej części przygody. Otóż hrabia Filip postanowił walczyć aż do ostatniej kropli krwi. Zapadła noc... zimna, lodowata noc. Wiatr gwizdał po górskich przepaściach... Pacholek rozpałił ogień w namiocie hrabiego.

„Nagle hrabia ujrzał tuż przy sobie siedzącego mężczyznę. Nie znał go zupełnie. Mimo, iż na dworze był silny mróz, nieznajomy miał na sobie jedynie jedwabne szaty. Milczał i spoglądał na hrabiego Filipa z dziwnym uśmiechem.

„Kim jesteś? — zapytał hrabia.

„Nieznajomy odpowiedział szyderczym śmiechem, wkładając obie nogi w sam środek ognia, płonącego na kominie. Nietylko że płomień nie zrobił mu żadnej krzywdy, lecz widocznie czuł się w tej pozycji bardzo dobrze; jednocześnie hrabia zauważył, że nogi nieznajomego były zakończone rozwidlonemi kopytami. Wtedy zrozumiał z kim ma do czynienia i położył na czole znak krzyża.

„— Poznałeś mnie, — rzekł djabeł, wzdrygając się na widok znaku męki Pańskiej, — uprzedzam cię jed-

nak, że jeśli ponowisz swój gest, będę zmuszony oddalić się, a ty stracisz jedyną sposobność odzyskania twej żony. Piękna Beatrix stanie się wtedy łupem Czerwonego Jakuba.

„— Zamilcz! — zawołał hrabia, zgrzytając zębami, dręczony mękami zazdrości. Szatan zaczął się śmiać.

„— Czy chcesz wrócić do Monteforte? — zapytał.

„Czy chcesz zniszczyć Czerwonego Jakuba i jego bandę? Czy chcesz odzyskać Beatrix?

— Mów! — odpowiedział hrabia łamiącym się ze wzruszenia głosem. — Czego żądasz za to?

„— Niczego, albo prawie niczego! Mogę ci dać możliwość przełożenia drogi przez skały, dostatecznie szerokiej, aby nią przeprowadzić wojsko. Zaskoczysz bandytów i wejdiesz jako zwycięzca do Monteforte, poczem uwolnisz Beatrix...

„— Mów! co mam uczynić?

„— Nic wielkiego. Podpiszesz ten akt, ja zaś dam ci ten żelazny pierścień, który włożysz na palec. Przy pomocy tego pierścienia przełożysz drogę przez skały, które rozstąpią się, tworząc szeroką rozpadlinę. Po dziesięciu latach wrócisz na to oto miejsce i oddasz mi pierścień. Jeśli tego nie uczynisz, dusza żony twej, Beatrix, stanie się moją własnością.

„— A jeśli przyniosę pierścień?

„Zabiorę go tobie, od tej chwili dusza twoja będzie należała do mnie. Czy przystajesz na to?

„— Przystaję! — odpowiedział zdecydowanym tonem hrabia Filip. Daj mi pióro i atrament, podpiszę twój cyrograf!

„Szatan sprawdził starannie podpis, złożył cyrograf, schował go i podał pierścień hrabiemu.

„— Za dziesięć lat w nocy... pamiętaj o tem! — powiedział. — Jeśli zawiedziesz, dusza Beatrix należy do mnie!

„Z temi słowy szatan wybuchnął przeraźliwym śmiechem i zapadł się pod ziemię.

„Nie tracąc chwili, hrabia Filip wyszedł z namiotu

tu i kazał trąbić w rogi, aby zwołać żołnierzy. Wtedy oświadczył, że za chwilę ruszą do ataku. Wszyscy pomyśleli, że postradał zmysły. Hrabia jednak zwrócił się w stronę skał i wyciągnął rękę, na której miał zaklęty pierścień. Natychmiast rozległ się przerażający trzask, jakgdyby tysiąckrotnie odbite echo grzmotu.

„Zachwycone i przerażone wojsko ujrzało otwierającą się górę, rozstępujące się skały i piękną drogę, biegnącą aż pod mury Monteforte. Droga ta otrzymała nazwę Djabłego Przesmyku. Tą drogą armja Cezara Borgii podeszła pod wały miejskie podczas pierwszego oblężenia Monteforte. Tą samą drogą ruszy obecnie do ataku.

— Tak! Musi przejść tędy, — rzekł Ragastens w zamyśleniu.

— Nie potrzebuję chyba dodawać, — podjął oberżysta dalej swą opowieść, — że hrabia Filip dzięki Djabłemu Przesmykowi zdołał zdobyć miasto. Bandyeci zostali wymordowani w pień. Możesz pan sobie wyobrazić radość obojga małżonków.

„Kilka lat upłynęło w niezmaconym spokoju i szczęśliwości. Jednakowoż zbliżał się fatalny termin, i hrabia Filip posepniał z każdym dniem. Wreszcie przyszedł dzień, wyznaczony przez szatana, w którym hrabia musiał zwrócić mu czarodziejski pierścień. Wtedy udał się on do miejscowego biskupa i odbył z nim długą naradę. Nazajutrz stał już w tem samem miejscu, na którem my teraz stoimy. Wybiła północ, poczem niezwłocznie ukazał się szatan.

„— To dobrze, — powiedział, — widzę, że jesteś wierny twej obietnicy. Czy masz mój pierścień?

„— Weź go, oto jest! — odpowiedział hrabia.

„Szatan wyciągnął skwapliwie rękę, cofnął ją jednak natychmiast, wyjąc z przerażenia. Hrabia Filip, chcąc wypełnić swą obietnicę, przyniósł szatanowi pierścień, położył go jednak na dnie misy napełnionej wodą święconą!

„W myśl punktów umowy szatan miał prawo tyl-

ko w ciągu pięciu minut pretendować do odzyskania pierścienia.

„— No i cóż? Bierzesz, czy nie? — powtórzył hrabia Filip.

„Przynajmniej dwadzieścia razy szatan usiłował zanurzyć rękę w misie, którą podsuwał mu hrabia. Za każdym jednak razem z ust szatana wydzierał się krzyk straszliwego bólu. I rzeczywiście, dotknięcie święconej wody piekło go tak, jak nas piekłoby zanurzenie ręki w roztopionym ołowiu. Wreszcie, opadając z sił, z ręką zakrwawioną i straszną, zrozpaczony zawołał:

„— Jestem zwyciężony! Słuchaj jednak, pomszczę się! Pamiętaj o tem! Patrz!

„Uderzył w ziemię nasadą swych wideł. Jedna ze skał, wznoszących się tuż koło Filipa, zadrżała w podstawach. Rozsypała się w kawałki. Wtedy z pozostałej części wyłoniły się kontury, jakgdyby wyciosane dłutem rzeźbiarza. Skała przybrała kształt głowy ludzkiej. Głowa ta była uderzająco podobnym portretem hrabiego Filipa.

„— Czy widzisz tę skałę? — zawołał szatan. — Ten posąg jest teraz związany z losami rodu Almów. Gdy zniknie z powierzchni ziemi ta granitowa głowa, ród Almów zniknie również... wymrze...

„Z temi słowy szatan zapadł się pod ziemię, bluzgając straszliwem przekleństwem.

Oberżysta po skończeniu swej opowieści pokiwał z powagą głową.

— Pozostaje mi tylko pokazać panu dziurę, jaką wywiercił szatan w ziemi, uderzając o nią swemi widłami... Czy chcesz pan zobaczyć tę dziurę?

— Ależ tak, rzecz oczywista, że jestem jej niezmiernie ciekaw! — oświadczył Ragastens.

Udał się za oberżystą, który zapalił ślepa latarkę i zaczął schodzić schodami, wyciosanemi w granitowej skale.

— A więc to jest pańska piwnica? — zapytał oberżystę.

— Istotnie — tak! Wino się tu nie zagrzeje...
Chodź pan jednak.

Oberżysta schodził wciąż na dół, stanął wreszcie na samym dnie loszku. Pośrodku znajdowała się wąska dziura, prawdopodobnie wyżłobiona powolnem przesączaniem się wody... Dziura ta miała w przecięciu istotnie wymiar nasady wideł lub miotły.

— Spójrzj pan! — zawołał oberżysta z zachwytem, zmieszanym ze strachem. — Oto najoczywistszy dowód, że szatan uderzył tu w ziemię.

— Tak jest! Tak! — bąkał Ragastens, przyglądając się dziurze z wielką uwagą.

Potem, przyglądając się nie mniej szczegółowo, zbadał cały loszek, wpadając w coraz to większe zamyslenie.

— To cudowna rzecz! — powiedział wreszcie, jakby odpowiadając na zadane sobie pytanie.

— Nieprawdaż! — zawołał oberżysta zachwycony.

Wrócili na górę. Ragastens spojrział w kierunku Monteforte. Ujrzał kilku jeźdźców, galopujących w kierunku oberży; na ich czele jechał Jan Malatesta. Po paru minutach zatrzymali się przed oberżą i zsiadli z koni. Jan Malatesta pozdrowił Ragastensa.

— Obawiam się, że kazałem panu czekać na siebie!

— Bynajmniej. Nie straciłem zresztą czasu: poznałem historję Djablego Przesmyku i skały, noszącej nazwę — Głowa...

— Ci panowie, — oświadczył Malatesta, wskazując na swych towarzyszy, — ci panowie będą naszymi świadkami.

— Bardzo mi miło powitać ich, — rzekł Ragastens uprzejmie. — Czy to miejsce dogadza panu?

— Najzupełniej. Jest wspaniałe!

— Pozostaje więc nam jedynie skrzyżować broń...

Ragastens zamiast odpowiedzi, dobył szpady i stanął w pozycji obronnej.

XI.

OBÓZ CEZARA.

Cezar Borgia cały zakuty w stal, otoczony strażą przyboczną, złożoną z dzielnych Szwajcarów, w otoczeniu kilkudziesięciu panów, tworzących jego sztab, dał sygnał do wymarszu z Tivoli.

Wojska jego, ciągnące wawozami górskimi, podobne były do nieskończonej długiej żmii, która zwijała się i pełzła, posuwając wciąż naprzód swe najeżone żelazem cielsko. Głowę tego pełznącego potwora tworzyły dwa pułki Piemontczyków, małych, brodatych, rozrośniętych w barach, z okrutnymi oczami, wyśpiewujących pieśń śmierci i pobrzękujących swemi krótkimi lancami i obosiecznymi mieczkami.

Za nimi wlokły się armaty i oblężnicze maszyny, ciągnięte przez muły, nieustannie poganiane przez zwinnych Kalabryjczyków. Przy działach postępowały w ordynku bojowym najemne niemieckie oddziały; chłop w chłopą — olbrzymy, z szerokimi jak wachlarze brodami.

Wślad za nimi szli halabardnicy, podobni do Tytanów. Pochodzili oni z Flandrji; szli poważnie, niepomni na bliską bitwę, nie bardzo nawet wiedząc, po czyjej stronie mają walczyć. Za nimi ciągnął groźny pułk rzymskich strzelców.

Potem dopiero szli ciężko, obojętni, zimni Szwajcarzy, nucąc monotonnym głosem swe tyrolskie piosenki. Pośród nich jechał konno Cezar; dalej znowu pułki obcych narodowości, wreszcie lśniąca stalą kawalerja.

Jaszczce, wozy, ładowne namiotami i żywnością, zamykały pochód, eskortowały je oddziały lekkiej kawalerji, złożonej znowu z Rzymian, siedzących na młodych konikach i uzbrojonych jedynie w miecz i w lekki pancerz.

Cezar był posepny; wzrok jego błyszczał złowrogo. Nozdrzami wciągał chciwie ostre zapachy, pły-

nące z tego wojennego tłumu. Był w swoim żywiole.

Mimo jednak fizyczną zupełnie radość z wyprawy wojennej, mimo dumę, jaka napełniała jego serce, ilekrotnie z wierzchołka jakiejś góry obrzucił swą armję wzrokiem, mimo wreszcie niezłomną wewnętrzną wiarę w zwycięstwo i w to, że zostanie królem, — Cezar był posepny.

Dwa imiona dręczyły go ciągle; powtarzał je z równą nienawiścią: — Ragastens i Primavera.

Jadący za nim dworzanie rozmawiali wesoło o oczekującej ich zbrojnej rozprawie. Cezar słyszał ich rozmowę i czasem dorzuczał do niej kilka krótkich zdań. Roztrząsano sprawę systematycznie zorganizowanego rabunku i łupieży miasta. Cezar jednym słowem uśmierzał wybuchające w tej materji spory, przewodniczył przy podziale bogactw, obdarowywał jednych skarbami świątyń, dawał innym zezwolenie na wyniesienie z pałacu drogocennych obrazów, dzielił już nawet stary sprzęt srebrny. Wszyscy wybuchali głośnym śmiechem na samą myśl, o czekającej ich bogatej zdobyczy.

Od czasu do czasu wódz naczelny zbliżał się do lektyki, w której jechała Lukrecja. Lektyka była przestronna i wygodna, Lukrecja mogła w niej siedzieć i czytać zupełnie swobodnie, albo też bujać pod obłokami w marzeniach.

Tuż przy drzwiczkach powozu dreptał mnich Garconio, jeszcze blady wskutek gojącej się dopiero rany. Lukrecja często wychylała się i rozmawiała z nim szeptem, by uniknąć niedyskrecji otoczenia. Gdy Cezar zbliżał się do powozu ciche konszachty Lukrecji i Garconia ustawały.

Armja posuwała się wciąż naprzód w zgóry obmyślanem tempie. Pewnego wieczoru po kilku dniach, powolnego marszu, zatrzymała się na szerokiej dolinie i rozbiła namioty w wielkim porządku, otaczając obóz rowami. Od doliny przez skały ciągnęły się wąwozy, wiodące do Monteforte. Cezar władczy ru-

chem wskazał na miasto swoim Szwajcarom, którzy wydali straszliwy okrzyk.

Nazajutrz nad wieczorem Cezar, pragnąc zobaczyć się z siostrą, udał się do wspaniałego namiotu, w którym zamieszkała. Nie zastał jej jednak. W ciągu nocy nie zjawiła się w obozie. Gdy zaświtał dzień Cezar przekonał się, że Lukrecja znikła z obozu.

— Ogarnął ją strach i wróciła do Tivoli, — pomyślał.

Kazał przywołać do siebie Garconia, chcąc się dowiedzieć od niego jakichś szczegółów. Napróżne były wszelkie poszukiwania. Mnich znikł również.

XII.

POJEDYNEK.

Ragastens, udając się do oberży „Pod Głową“, był zrozpaczony. Postanowił paść w walce z Malatestą, załatwić ostateczne porachunki z życiem, które było dlań bez wartości, z chwilą gdy utracił Primaverę. Nie liczył się jednak z właściwą każdemu człowiekowi chęcią do życia nawet wtedy, gdy życie to daje jedynie rozczarowanie i ból.

To też zupełnie szczerze, stanąwszy do walki, nadstawił pierś pod ciosy przeciwnika. Jednakowoż, gdy walka już zawrzała, po pierwszym ataku Malatesty temperament wziął górę nad rozumowaniem, — i zaczął parować ciosy.

Czynił to nietylko wiedziony instynktem samoobrony, lecz i dlatego, że go zagrzała sama walka, Malatesta był godnym jego przeciwnikiem. Atakował ze wściekłością. Ragastens, który dałby się zabić niezdarcze, uczuł dziwne podniecenie, stwierdzając zalety swego przeciwnika, przyjął walkę dla walki; rozpalili się do niej.

To go ocaliło. Parował ciosy z zimną krwią, wytrwale, cierpliwie, z umiejętnością wytrawnego rębacza, jakim zresztą był istotnie.

Malatesta podwoił ciosy. Ragastens, broniąc się, postanowił sobie, nie zrobić przeciwnikowi żadnej krzywdy, lecz unikać jednocześnie również niebezpieczeństwa.

Świadkowie, którzy przyglądali się walce, nie mogli powstrzymać się od okrzyków zachwytu. Zrozumieli prędko plan Ragastensa i sympatja ich dla niego jeszcze się wzmogła. Kilka już razy mógł on śmiertelnie zranić przeciwnika, za każdym jednak razem zadowolił się jedynie brawurowem odparowaniem cięcia. Trzykrotnie już nawiązywała się walka, kończąc się zawsze na niczem.

Za czwartym razem Ragastens postanowił zakończyć ją ostatecznie. To też zręcznym manewrem, w której to sztuce celował, wytrącił Malateście szpadę z ręki.

Ówczesne obyczaje pozwalały zwycięscy zabić zwyciężonego. Pojedynek w owych czasach był walką na śmierć i życie, wszelkie sztuczki były dozwolone; musiało się zabić przeciwnika, albo paść w walce.

Malatesta rozbrojony skrzyżował ręce na piersiach z głuchą rozpaczą w duszy.

— Triumfujesz waść na wszystkich linjach, — powiedział z goryczą. — Zabij mnie teraz!

Świadkowie spojrzeli na Malatestę z politowaniem. W ich oczach był to już człowiek martwy. Ragastens jednak za całą odpowiedź podniósł szybko szpadę Malatesty i z wielką powagą podał mu ją.

Postępek ten był tak prosty i tak piękny w swej wspaniałości, że świadkowie nie mogli się powstrzymać od oklasku, pełni szczerzego zachwytu.

Malatesta uczuł głębokie wzruszenie. Pierś jego podniosła się westchnieniem, przemocą powstrzymał nabiegające mu do oczu łzy. Przez kilka chwil stał oniemiały, niepewny, oszołomiony. Potem nagle otworzył ramiona; wspaniałość Ragastensa zwyciężyła!

Ragastens padł w otwarte ramiona przeciwnika;

przez chwilę stali, połączeni uściskiem... serce przy sercu.

— Kochaj ją! — szepnął nieszczęśliwy młodzieniec. — Jesteś godny jej miłości!

— Tam do diabła! — odpowiedział Ragastens, — wolałbym raczej utracić prawo do zbawienia mej duszy, niż uczynić krzywdę tak szlachetnemu, jak ty, człowiekowi. Jednak, — dodał, nagle posępniejąc, — jesteś, mój drogi, w wielkim błędzie. Być może, że ona cię nie kocha, jak to zapewniasz. Lecz, rękę ci, że ja nie jestem szczęśliwszym od ciebie.

Słowa te zamienili ze sobą półgłosem. Malatesta potrząsnął głową, poczem, biorąc Ragastensa za rękę, rzekł:

— Panowie, od tej chwili jest on naszym bratem...

Słowa te w ustach zwyciężonego były również szlachetnym odruchem, jak postępek Ragastensa. Kawaler odpowiedział na nie serdecznym uściskiem ręki.

Trudnoby było określić, który z nich dwojga postąpił w tej chwili szlachetniej. Zrozumieli to dobrze świadkowie pojedynku — pojedynku raczej na dusze, niż na szpady. Juljusz Orsini, reasumując ogólne wrażenie, oświadczył:

— Kawaler de Ragastens stał się bratem nas wszystkich, będzie bowiem walczył wraz z nami... w naszych szeregach... za naszą sprawę.

Te proste słowa zdecydowały o losach Ragastensa. Przed chwilą jeszcze powiedział sobie, że teraz, gdy Primavera poślubiła inego, gdy pojedynek jest zakończony, nic go tu nie trzyma. Słowa Orsiniego nałożyły na niego więzy.

Odjechać teraz znaczyłoby to samo, co cofnąć się przed niebezpieczeństwem, co ratować się ucieczką, a Ragastens mógł znieść wszystko, prócz posądzenia o chęć ucieczki. To też bez chwili wahania odpowiedział:

— Panowie, jestem dumny, mogąc zwyciężyć lub zginąć w tak zaszczytnem towarzystwie.

Wszyscy dosiedli koni i ruszyli w stronę Monteforte.

WIERZBA PŁACZĄCA.

Pogodzenie się Ragastensa z Janem Malatestą zostało przypieczętowane nazajutrz obiadem u Orsinich. Od samego rana Ragastens wraz ze swymi nowymi przyjaciółmi zjawił się u hrabiego Almy i oświadczył mu o swem ostatecznem postanowieniu zaciągnięcia się do wojsk sprzymierzonych.

Hrabia nie posiadał się z radości i zaczął mu czynić najświetniejsze propozycje. Ragastens jednak podziękował za wszystkie honory, mówiąc, że pragnie wstąpić do szeregów, jako zwykły ochotnik. Gdy hrabia zaczął protestować, Ragastens dodał:

— Jeśli już chcesz, panie hrabio, koniecznie obdarzyć mnie jaką godnością, poprosiłbym o przydzielenie mnie do artylerji a w szczególności do prochowni.

Po załatwieniu sprawy swej przynależności wojskowej, Ragastens spędził dzień cały z przyjaciółmi. Razem zwiedzili fortyfikacje i ułożyli plan obrony, który miano przedłożyć księciu Manfredi'emu w razie rozpoczęcia oblężenia. Po obiedzie Ragastens oddalił się do przeznaczonych dla siebie pokoi, gdzie oczekiwał już na niego Spadacape.

— A więc nie opuszczamy Włoch?

— Nie. Przynajmniej na razie.

— I nie chce już pan dać się zabić?

— Skąd ci przyszła do głowy taka myśl? — zapytał Ragastens, zaskoczony jego przenikliwością.

— Tak mi się zdawało... Zresztą wobec tego, że pan żyjesz i że pan mnie nie odpędzasz od siebie... te djamenty...

— I cóż te djamenty?

— Są tam, na kominku.

— Aaa... więc o to ci chodziło? Coś mi jesteś zanedbto uczciwy; pilnuj się!

Ragastens, bardziej wzruszony, niż to chciał okazać, poklepał przyjacielsko Spadacape'a po ramieniu, co pocziwemu wesałowi sprawiło wielką przyjemność.

Gdy już zmierzył do wyjścia, Ragastens zatrzymał go. Rozpoczęła się długa i tajemnicza rozmowa, zakończona przez Spadacape'a słowami:

— Dobrze, panie. Zaczynam już dziś w nocy.

Uplłynęło kilka dni, w ciągu których Ragastens stawał się każdego poranku w pałacu hrabiego wraz z tłumem dowódców i możnych panów. Spotykając tam księżnę Manfredi, pozdrawiał ją poważnym ukłonem, nie zamienili jednak ze sobą ani słowa.

Co wieczór oddawał się dziwnemu zajęciu.

Towarzyszył Spadacape'owi, który wychodził poza mury Monteforte, tocząc przed sobą mały wózek, przykryty grubym płótnem. Ragastens eskortował ów tajemniczy wózek. Nikt z tłumu nie zwracał uwagi na owe wieczorne wyprawy kawalera i jego koniuszego.

Armja sprzymierzeńców zgromadziła się na wielkiej dolinie, położonej przed Djablim Wąwozem. Dolina ta nosiła nazwę Pianosa. Tam właśnie skoncentrował Cezar również swe wojska; to też obydwie obozy oddzielone były od siebie przestrzenią nieprzeżyższającą mili.

Pewnego wieczoru, wracając ze swej tajemniczej wycieczki, Ragastens mijał właśnie bramę miejską, gdy nagle dostrzegł w tłumie sylwetkę kobiety, jak mu się wydało, znajomej. Zadrżał i spał konia ostrogami, tłum jednak odgrodził go od nieznanym. Gdy stanął na rogu ulicy, gdzie dostrzegł ową kobietę, nie było już jej tam.

Rozejrzał się bacznie dokoła, objechał sąsiednie uliczki, poszukiwania jego jednak były daremne. Zrezygnował więc z dalszego ciągu i szepnął:

— To szaleństwo! Igraszka wyobraźni! Niepodobieństwo!

Minęło znowu kilka dni i Ragastens zapomniał całkowicie o owym wypadku.

Nagle pewnego wieczoru, książę Manfredi i hrabia Alma oznajmili, że nazajutrz rozpocznie się atak na wojska Cezara. Wyznaczono na następny ranek

urzędowe spotkanie wszystkich dowódców, a o świcie hrabia Alma i księżę Manfredi, mieli stawić się osobiście na polu bitwy. Ragastens był obecny na radzie wojennej. Beatrix była tam również.

Z posiedzenia rady Ragastens udał się do pałacu Orsinich i sprawdził starannie stan swych oddziałów. Zadowolony z wyników zjadł obiad z wielkim apetytem, potem chciał pójść spać. Czuł jednak, że nie uśnie. Myśl o Primaverze dręczyła go.

Ponieważ mógł zginąć w boju, zapragnął ujrzeć ją poraz ostatni i prawdopodobnie powiedzieć jej, co przez nią wycierpiał. Nie mogąc usiedzieć na miejscu, opuścił pałac i udał się odruchowo w stronę hrabiowskiego pałacu.

Bramy pałacowe były już zamknięte. Zaczął iść wzdłuż kraty, okalającej park.

Wkrótce zatrzymał się, przyłożył twarz do kraty, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemności. Nie ujrzał jednak nic. Olbrzymi park był cichy i pusty.

Nagle przeskoczył przez kratę i znalazł się w parku.

Dokąd zamierzał pójść? Nie wiedział. Szedł przed siebie bez określonego celu, jak nocny włóczęga, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni. Stał przed granitową ławką, przy której spotkał się przed kilkoma dniami z księżną Manfredi. Dziś była tam również.

Ukrył się w cieniu gęstych krzewów. Tuż przed nim rozciągał się duży gazon, słabo oświetlony księżycową poświatą. Po tamtej stronie świetlnego pasa, pod zwisłymi gałęzmi wielkiej wierzby płaczącej, ujrzał jasną sylwetkę Beatrix. Była sama.

Nie namyślał się długo, nie myślał wogóle o niczem, prócz tego, że tam, przed nim jest ona; zbliżył się do siedzącej. Poznała go natychmiast. Nie zdziwiła się wcale... była pewna, że przyjdzie.

— Pani, — powiedział, — proszę mi wybaczyć, że osmielałem się stanąć przed nią o tej porze.

— Wybaczam to panu chętnie. — odpowiedziała zupełnie spokojnie, — jak jednak dostałeś się pa

do parku? Bramy pałacowe są w tej chwili zamknięte...

— Przeskoczyłem przez ogrodzenie parku, — odpowiedział krótko.

Widząc, że uczyniła ruch, wyrażający zdziwienie, ciągnął dalej:

— Och! Nie tłumacz pani mego postępkę fałszywie. Przysięgam, że serce me pełne jest bezgranicznego szacunku...

Uśmiechnęła się.

— Szacunku, który podyktował panu ten ryzykowny czyn?...

— Jeśli pani każesz, odejdę.

— Nie... zostań pan.

Potem dodała głosem, w którym czuć było powściągane wzruszenie:

— Nie wymawiam panu jego ryzykownego czynu. Masz mi jednak niewątpliwie coś ważnego do powiedzenia.

— Chciałem tylko pani oznajmić, że jutro bijemy się i że ja będę w pierwszych szeregach; to też istnieje możliwość, że widzimy się dziś poraz ostatni. Otóż, jeśli zginę, uważałbym za niesprawiedliwość nie móc powiedzieć pani, że umrę szczęśliwy, ginąc za nią. Nie dbam o życie. Kim że bo jestem, mój Boże! Cudzoziemcem, żołnierzem... Co może mnie obchodzić, czy Cezar zostanie panem całych Włoch, czy też nie? Dla pani tylko ryzykuję życiem, ostatnia moja myśl będzie o pani, jak zresztą wszystkie myśli od chwili, gdy spotkałem panią na Florenckim trakcie... bo przecież kocham panią....

Nie zaprotestowała najmniejszym ruchem; słuchała go z powagą, patrząc mu prosto w twarz.

Mówił dalej głosem stłumionym wzruszeniem:

— Oto co chciałem pani powiedzieć. Wybacz mi moją szczerość, może nieco brutalną, lecz nie umiem owijać prawdy w bawełnę, nie liczę się z konwenansami... ponosi mnie uczucie! Tak, ponosi mnie, zżera mi serce i duszę... zbyt byłoby okrutnem odmówienie

mi gorzkiego szczęścia wypowiedzenia pani mych męczarni.

— Pańskich męczarni! — zawołała głucho.

— Tak, i to wielkich! — dodał drżącym lekko głosem. — Widzi pani, los mój jest bardzo dziwny! Ja — biedak, — mógłbym pokochać jakąś biedną, jak ja, dziewczynę... Ja, biedny włóczęga, mógłbym kochać jedynie moją niezależność... a tymczasem los zrządził, że spotkałem ciebie... Czy mogłem mieć nadzieję, że dzieląca nas przepaść wypełni się. Nie! Och! ileż więcej przemawiało za tem, że muszę wyrzec się wszelkiej nadziei... pani sama odebrałaś mi ją, sama rozwiałaś wszystkie moje sny, poślubiając księcia Manfredi'ego.

Wyciągnęła rękę, jakby chcąc powstrzymać go od dalszych wyznań. Toczyła ze sobą walkę, przez chwilę, potem wzrok jej zwarł się ze spojrzeniem Ragastensa. Cichutko, poważnie wyszeptała:

— Książę Manfredi nie jest moim mężem...

Uczuł zawrót głowy, nie śmiał marzyć, obawiał się, że się przesłyszał, że ją źle zrozumiał.

— Co chciałaś pani przez to powiedzieć? — wybełkotał.

— Kawalerze, jedynie zupełna szczerłość może mi przyjść z pomocą. Powtarzam panu, że książę Manfredi, człowiek szlachetny, wspaniałomyślny, bohaterski przystał na to, by widzieć we mnie jedynie swą narzeczoną.

Ragastens złożył ręce, jak do modlitwy. Wydało mu się, że niebo otwiera się przed nim.

— Zaślubiłam księcia, — mówiła dalej, — ponieważ nie chciałam poślubić żadnego z panów, dających mi poznać, że mnie kochają. Przez trzy miesiące pozostanę jedynie narzeczoną Manfrediego. Jeśli zaś po upływie tego terminu książę nie zechce być dalej wspaniałomyślnym, jeśli małżonek weźmie górę nad ojcem, jakim był zawsze dla mnie...

Zamilkła zmieszana, bynajmniej nie przerażona,

lecz tylko silnie wzruszona wyznaniem, jakie wybiegło jej na usta.

— Dokończ pani, — szepnął Ragastens, upojony miłością i szczęściem.

— Wtedy śmierć połączy tych, których życie rozdzieliło!

Ragastens padł na kolana ze stłumionym okrzykiem, okrywając pocałunkami drobną rączkę, która wyciągnęła się do niego.

— A teraz, odejdz pan, — dodała już spokojniej. — Jeśli padniesz jutro, lub w późniejszej bitwie, pamiętaj w chwili skonania, że serce moje jest przy tobie... Odejdz już... pozwól mi zastanowić się nad tak ważnym wydarzeniem w moim życiu.

Ragastens podniósł się z klęzek.

— Odchodzę, — rzekł gorąco, — lecz nie wcześniej, aż ci powiem, że nie boję się teraz śmierci i że, aby cię zdobyć, gotów jestem poruszyć z posad ziemię!

Jednocześnie, przedtem nim zdążyła uczynić jeden bodaj gest oporu, ramiona jego otoczyły jej smukłą kibić, a jego płonące wargi spadły na usta Primavery. Obsunęła się na ławkę półprzytomna pod wrażeniem pierwszego pocałunku miłości; Ragastens zaś oszalały, nieprzytomny, gryząc do krwi usta, aby nie obwieścić gwiazdom swego szczęścia, zaczął uciekać przez park.

— — — | — — — | — — — — — — — — — — —

W godzinę później Primavera wróciła do swych apartamentów.

Jak już nadmieniliśmy, granitowa ławka stała pod cokółem marmurowego posągu. Na lewo, trochę za ławką, rosła stara wierzba płacząca, której giętkie gałęzie ocieniały ławkę i posąg. Pień wierzby był spróchniały.

W kilka chwil po odejściu Primavery od pnia drzewa oddzielił się cicho jakiś cień. Cieniem tym była kobieta.

Odprowadziła posępnym wzrokiem białą postać Primavery, niknącej w mroku nocy. Tajemnicza kobieta zaśmiała się szyderczo:

— Wzruszające spotkanie! Idylla rozwija się. Para głupców! nie przeczuwają, że czyha na nich dramat.

Tajemnicza kobieta skierowała się pośpiesznie w głąb parku, w stronę małej furtki. Tuż przy furtce stał w wyczekującej pozie jeden ze służących księcia Manfrediego. Kobieta podała mu sakiewkę, którą służący pochwycił skwapliwie.

— Czy mam jutro czekać na panią? — zapytał, uchylając drzwi furtki.

— Tak, jutro i następnych wieczorów, jak wczoraj i dziś!

Kobieta wyszła powoli z parku i zagłębiła się w sieci ciemnych uliczek Monteforte.

XIV.

PO BITWIE.

Armja Borgii i wojska sprzymierzonych spotkały się nazajutrz w dolinie Pianosy.

Wynik bitwy był nieokreślony.

Najważniejszym zadaniem dla Cezara Borgii było przedostanie się do wąwozu, wiodącego pod bramy Monteforte. Wąwóz ten był jedyną drogą, którą mogło przejść wojsko nieprzyjacielskie, to też wszystkie wysiłki sprzymierzonych były zwrócone w kierunku obrony wąwozu.

Jakkolwiek Cezarowi nie udało się opanować wąwozu, a więc i pozycyji, dzięki którym mógłby się stać panem sytuacji, widocznem jednak było, że nie ośmiątko on osiągnąć tego celu. Posiadał dwadzieścia tysięcy żołnierza, sprzymierzeni zaś zaledwie dwanaście. Poza tem wiedziano, że syn papieski czeka na posiłki.

O świcie, w chwili gdy książe Manfredi dał sygnał do ataku, ujrzano młodą kobietę w białej sukni, która, siedząc na ognistym koniu, objeżdżała galopem oddziały wojska. Była to Primavera.

Końcem szpiczuty wskazała na armję Cezara rozwinętą długim falistym frontem.

Powitano ją głośnemi okrzykami. Jednocześnie zwarte szeregi wojsk sprzymierzonych ruszyły do ataku.

Wkrótce szeroka dolina zabrzmiała odgłosem setek stóp maszerujących żołnierzy, powietrzem wstrząsnęło tysiackrotnie odbite echo rzucanych przez dowódców rozkazów, rozległ się dziki ryk rzucających się do ataku żołnierzy, szczęknęła broń, a nad tym zgiełkiem zagórowały okrzyki przerażenia i bólu. Rozpoczął się bój.

Narazie walczone w wielkim porządku. Przez pierwszy kwadrans wojsko Cezara stało w miejscu, powoli jednak pierwotny ład ustąpił miejsca zamieszaniu bitewnemu, potworzyły się drobne grupy walczących.

Okolo czwartej Cezar, który od chwili wybuchu walki, objeżdżał pole bitwy na karym koniu, zbryzgany krwią postanowił przypuścić szturm ostateczny. Wiwijając mieczem czerwonym od krwi aż po rękojeść, zgromadził oddziały Szwajcarów i dwa pułki Piemontczyków. Wysłał naprzód pułk kawalerji, który przeleciał jak huragan zmiatając wszystko po drodze, gdy już teren został oczyszczony, Cezar Borgia ruszył na czele piechoty w stronę wąwozu.

Teraz sprzymierzeni musieli zgromadzić wszystkie swe siły ku obronie zagrożonej pozycji. Książe Manfredi na czele kilku zdziesiątkowanych pułków zastąpił drogę Cezarowi.

Na dany przez Cezara znak wszczęła się zaciekle walka. W ciągu godziny powietrze przeszywały niezliczone błyskawice. Każda błyskawica był to błysk stali miecza lub szpady. Głuchemu echu uderzeń, towarzyszył charkot i jęk; przekleństwa i okrzyki

wściekłości. Nagle wrzask podniósł się jeszcze silniejszy: to krzyczało odstępujące powoli wojsko księcia Manfredi'ego.

Książę zakuty w stal, z obnażoną głową, kask bowiem spadł na ziemię, zbryzgany krwią — widząc, co się dzieje, wydał okrzyk rozpaczny. Jeśli Cezarowi uda się przedrzeć, Monteforte padnie niechybnie.

Nagle Borgia usłyszał dziwny grzmot, od którego zadrżała ziemia. Nadbiegł oddziałek kawalerji z nastawionemi do ataku lancami... Na czele oddziałku, wyprzedzając go o kilka długości lancy, pędził w straszliwym tempie mężczyzna. Nie miał na sobie zbroi, jedynie skórzany, rudy kirys. Przy boku miał tylko szpadę.

Był to Ragastens.

Dopadłszy Szwajcarów, w których gronie znajdował się sam Cezar, wściekle pędzący na wroga Ragastens spieszył Kapitana ostrogami. Był to jego ulubiony manewr.

Kapitan oszalały z przerażenia, zaczął skakać, sadyć wściekle naprzód. Za kawalerem utworzyła się długa oczyszczona zupełnie droga. Okrzyki trwogi płynęły jego śladem. Parł na Cezara.

Szwajcarzy z trudem bronili się przed atakiem szwadronu konnicy, która runęła wślad za Ragastensem. Ragastens zrozumiał, że ta chwila zaważy na losach bitwy. Nie zatrzymując się ani na chwilę, dosięgnął Cezara.

— Moje uszanowanie, wasza książęca mość! — wykrzyknął.

— Zdrajco! — odpowiedział Cezar, — giń!

Wzniósł do góry miecz. Ruchem tym odsłonił kawałek ramienia nie osłoniętego zbroją, błysnęła szpada Ragastensa, ostrze jej pograżyło się w ramieniu Cezara, który wypuścił z rak cugle i zsunął się z konia.

Oddziały Szwajcarów cofnęły się na całej linii.

Ragastens, uniósł się w strzemionach i wydał okrzyk triumfu.

Nagle jakiś jeździec herkulesowej budowy uzbrojony w ciężką lancę, zaczął galopować w jego stronę. Jednym rzutem oka Ragastens ogarnął sytuację; ujrzał uciekających przed jazdą sprzymierzeńców Szwajcarów, którzy unosili ze sobą Borgię. Wtedy Ragastens zwrócił się do herkulesa: byli sami na obszernej przestrzeni, zalanej krwią i usianej ciałami umierających i padłych w boju.

Lżejszy od napastnika, nieskrępowany zbroją, Ragastens wywinął się zręcznie od pierwszego ataku nieprzyjaciela. Herkules, porwany siłą rozpędu, przejechał dalej. Wtedy Ragastens rzucił się na niego. Kilkoma susami dognał go i, w chwili gdy herkules chciał zawrócić konia, — wydał straszliwy krzyk; szpada Ragastensa przeszła mu gardło.

Jeździec zsunął się z konia na ziemię, a rumak jego uciekł, zdjęty lękiem. Z głowy spadającego na ziemię przeciwnika stoczył się szyszak; Ragastens ujrzał bladą i wykrzywioną skurczem bólu twarz zwyciężonego przez siebie wroga:

— Patrzcie! to biedak Astorre! — zawołał.

— Tak, usłyszał tchnącą rozpaczą odpowiedź. Jak pan widzisz, szukałem ósmej dziury...

— Baronie, strasznie mi przykro...

— To... to już ostatnia...

Astorre zeszywniał, zaczął kopać ziemię nogami potem oczy stanęły mu w słup... znieruchomiał na zawsze.

— Biedak! — szepnął Ragastens.

Zamyślony zwrócił konia w stronę frontu wojsk sprzymierzonych. Powitano go oklaskami i entuzjastycznym krzykiem.

Zdziwiony obejrzał się, nie dobrze wiedząc, co to miało znaczyć. Wtedy dopiero zorientował się, że okrzyki te i entuzjazm są dowodem uznania dla niego. Gdy tylko zsiadł z konia, książę Manfredi zbliżył się do niego z szeroko otwartymi ramionami.

— Ocaliłeś nas! — rzekł, ściskając go.

Potem przyszła kolej na Almę, Juljusza Orsiniego,

rannego Malatestę i dwudziestu innych wodzów... każdy z nich porywał Ragastensa w ramiona, darząc go braterskim uściskiem. W pobliżu, na jednym z pagórków Primavera, z wysokości swego wierzchołka przyglądała się całej tej scenie. Nikt z jej otoczenia ani się domyślił, jakie ożywiają ją uczucia.

Dużo dalej, z wierzchołka skalnego szczytu inna kobieta przyglądała się również wszystkim, szczegółom bitwy. Gdy ujrzała, że wszystko było skończone, zmierzyła w stronę Monteforte. Była to ta sama tajemnicza nieznajoma, która, ukryta w spróchniałym pniu wierzby płaczącej podsłuchiwała rozmowę Primavera z Ragastensem...

Wojska sprzymierzone ucierpiały strasznie, narazie jednak niebezpieczeństwo było zażegnane. Dowiedziano się przez szpiegów, że rana Cezara była dosyć poważna i że przez kilka dni napewno niezdolny będzie do żadnych kroków zaczepnych.

Hrabia Alma, książę Manfredi i kilka jeszcze wodzów wróciło do Monteforte, aby zająć się sprawą oblężenia, które należało wytrzymać. Trudno było przypuszczać, że Cezar, powstrzymany narazie w zwycięskim pochodzie brawurowem natarciem Ragastensa, nie wedrze się jednak ostatecznie do Djablego Wąwozu.

W gronie tych, których wyznaczono do powrotu do Monteforte, był również Ragastens.

Zapadła noc. Ragastens przebrał się, zjadł z Juljuszem Orsinim obiad i zamierzał już wypocząć po męczących wypadkach dnia, gdy do pokoju jego wszedł Spadacape.

— Panie, jakaś dama chce widzieć się z panem.

— Dama! — wykrzyknął Ragastens.

— Tak. Dama w masce.

— Każ ją wpuścić.

Zapowiedziana przez Spadacape'a kobieta weszła

niezwłocznie i ze zdumiewającą pewnością siebie i swobodą zdjęła z twarzy maskę.

— Pani Lukrecja Borgia! — zawołał Ragastens osłupiały.

— Tak. Dziwi to pana? Miałżebyś pan jeszcze żyć do mnie urazę o lekką sprzeczkę, jaką mieliśmy w Pałacu-Śmiechu?

— Księżna Bisaglia! powtórzył, nie mogąc ochłonąć ze zdumienia.

— Drogi kawalerze, mylisz się, — rzekła Lukrecja ze śmiechem. Nie jestem już księżną Bisaglia... Biednego księcia spotkał niemiły wypadek... Oto... zmarł, niestety!... pozostawiając mnie wdową!

— Wybacz mi, pani, moje zdziwienie... lecz tyle odwagi... Pani... w Monteforte! Patrząc na panią i zadając sobie pytanie, czy to nie sen!

— Tak! — zabrzmiała spokojna odpowiedź Lukrecji; sytuacja istotnie nie jest banalna; zupełnie się z tem zgadzam. Podczas gdy brat oblega poczciwe miasto, siostra przedostaje się do jego wnętrza i składa wizytę zwycięzcy brata... Rozumiem pańskie zdumienie...

— Pani, zawołał Ragastens z głuchą irytacją, czy pomyślałaś o tem, że, gdyby domyślono się tylko... gdyby cię ujrzano!

— Pomyślałam o tem, kawalerze; myślałam również i o tem, że wystarczy ci krzyknąć, a zostanę pochwycona i nie przypuszczam, aby pleć moja dopomogła mi wtedy do ocalenia życia. No mości kawalerze! Krzyknij! Będzie to piękny czyn!

— Jesteś tu, pani, również bezpieczna, jak w twym Pałacu-Śmiechu, odpowiedział Ragastens z wielką godnością w tonie. Lecz wobec tego, że zechciałaś tu przyjść, nie przypuszczam, abyś fatygowała się jedynie poto, by mnie lżyć, jakieś to przed chwilą uczyniła. Czekam więc na zaszczyt usłyszenia, jaki jest cel tej dziwnej wizyty.

— Nie przybyłam z zamiarem lżyć pana, wiem dobrze, co taka zabawa kosztuje, odpowiedziała z uśmie-

chem. Chciałam panu również powinszować zwycięstwa. Czy to takie dziwne?

— Błagam panią, poniechaj te okropne żarty!

— Ach! zawołała Lukrecja posępnym głosem, a wzrok jej błysnął złowieszczym ogniem; sądzisz pan, że żartuję?? Mylisz się, kawalerze! Wydaje się to panu dziwnem, że chcę mu powinszować zwycięstwa nad moim bratem i zadania mu rany? Poznaj więc Lukrecję taką, jaką jest naprawdę: powinszowania moje byłyby jeszcze gorętsze i szersze, gdybyś go nie zranił — tylko zabił.

— Pani!

— Poco tu przyszłam?... Wiesz pan o tem doskonale! Przyszłam powtórzyć ci to, co ci powiedziałam w Pałacu-Śmiechu... Przyszłam powtórzyć ci to po raz ostatni... Widzisz do czego jestem zdolna!... Ragastensie, widzę, że jesteś mężczyzną, który mógłby być moim panem, podczas, gdy ja mogę i chce być panią całych Włoch... Przyszłam powiedzieć ci: Lukrecja Borgia miała cudny sen; Lukrecja Borgia wszystko już przygotowała do zrealizowania tego snu... Lukrecja Borgia będzie królową. Czy zechcesz pan zostać królem? Czy zechcesz panować jednocześnie nad Lukrecją i nad Włochami? Proponuję ci siebie za żonę a w wianie wnoszę ci koronę królewską. Czy chcesz ją przyjąć? Przynoszę ci miłość kobiety, która wzgardziła niejednym królem! Czy chcesz tej miłości? Chwila to uroczysta, mości Ragastensie. Mówię z panem zupełnie szczerze. Nie sądzę przytem, że słowa moje są wytwornej kobiecej wyobraźni. Wszystko przygotowane! Najważniejsi wodzowie armji Cezara są mnie oddani. Rzeknij słowo, a dopełni się to, co już rozpoczął. Cezar zginie, a ty obejmiesz naczelne dowództwo. Zburzysz tę nędzną rudere, to Monteforte, a potem ruszymy na Rzym. Papież pod moją presją uwieńczy głowę twą koroną. Znam sposób zmuszenia go do posłuszeństwa... Drobne książątka, hrabiczowie i baronięta, szarpiący Włochy na części, poddadzą się: jedni dlatego, że ja ich pozyskam dla naszej sprawy, inni

dlatego, że ty ich zwyciężysz. Wtedy Włochy staną się naszą własnością. Wtedy Rzym będzie stolicą państwa, którego ty będziesz królem, a ja królową. Wtedy zbudzimy do nowego życia to zamierające miasto, przekształcimy je, oślepiemy świat cały blaskiem naszej świetności. My dwoje to moc, — to piękno! Oto co chciałam ci zaofiarować... Czy przyjmujesz?

— Nie! — odparł krótko Ragastens.

Bardzo łagodnie odparł:

— Sądzę, że nie zrozumiemy się nigdy... Podziwiam pani siłę ducha i jej szczytne ambicje — podziwiam, jak na to zasługują...

— Cóż więc cię powstrzymuje? — wykrzyknęła Lukrecja chrapliwym od gniewu głosem na myśl o tem, że Ragastens przenosi nad nią Primaverę.

Kawaler jednak był zbyt dumny na to, by gwoli zaspokojenia swej ambicji, podniecać jeszcze bardziej namiętność niebezpiecznej zbrodniarki. Jedyne jego pragnieniem było to, aby sobie poszła i aby się uspokoiła. Nie znał jednak Lukrecji!

— Powstrzymuje mnie to, rzekł łagodnie, że nie czuję się na siłach przeprowadzić tak szczytne plany. Proponujesz mi pani marsz na Rzym; tymczasem *mnie* nie nęci wcale władza; proponujesz mi pani szereg wypraw wojennych, a jedynym mojem marzeniem jest spokojny żywot. Wierzaj mi pani, jeśli istnieje wogóle człowiek, któryby mógł dopomóc ci w urzeczywistnieniu twych ambitnych planów, człowiekiem tym nie jestem ja!

— Zapominasz, kawalerze, o dwóch jeszcze przeszkodach, uniemożliwiających nam porozumienie...

— O jakich przeszkodach? — zapytał, czując nadciągającą burzę.

— Po pierwsze — nie kochasz mnie! Budzę w tobie uczucie odrazy! Widzisz we mnie tylko rozpasaną nierządnicę, jakieś mi to już kiedyś powiedział w Pałacu-Śmiechu.

— Ach, pani, jak możesz przypominać mi słowa,

które mi się wydarły w chwili gniewu i z których powodu doznaję nieraz uczucia wstydu.

— Dajmy temu spokój! — rzekła Lukrecja zimnym tonem. Drugą jeszcze poważniejszą przeszkodą jest inna okoliczność, przytem istotnie najprawdziwsza, — to twoja miłość do córki hrabiego Almy! Och! uspokój się, — dodała, widząc gniewne błyski w oczach Ragastensa, — nie mam zamiaru powtarzać sceny, jaka miała miejsce w Pałacu - śmiechu. Zadowolę się zadaniem ci po raz ostatni pytania: Czy jesteś ze mną?

— Pani, jestem w rozpacz, będąc zmuszony dać ci odmowną odpowiedź...

— Dobrze już... Nie mówmy o tem więcej... Muszę tylko pana uprzedzić, że obraziłeś mnie bardzo... i że, kto mnie obraża, rychło tego żałuje...

Ragastens nie odpowiedział nic. Lukrecja przyglądała mu się przez chwilę. Była blada, jej białe ze wściekłości wargi drżały nerwowo. Wreszcie dodała:

— A zemsta moja będzie tym razem o tyle większa, że zapłacicie mi za obelgę oboje.

Jednym susem znalazł się przy niej. Porwał ją za rękę.

— Słuchaj pani, rzekł cicho, tak, że z trudem można go było zrozumieć. Przeciw mnie możesz sobie poczynać swe intrygi bezkarnie: trucizna, sztylet; popelnij jeszcze jedną zbrodnię, niech tam! Ale wara ci od niej! Teraz ja cię uprzedzam: cokolwiekbyś uczynisz... czy dotkniesz ją na... zdrowiu, czy ściągniesz na nią jakieś inne nieszczęście... zginiesz! Odejdź, pani teraz... Nie mamy sobie już nic do powiedzenia...

— Odchodzę, rzekła Lukrecja z dziwnym uśmiechem. Opuszczę Monteforte, dokąd przybyłam z nadzieją w sercu... Bądź pan spokojny... dotknie pana moja zemsta, i to wkrótce; ona nie jest winna niczemu!

Z temi słowy zasłoniła twarz maską i znikła. Stało się to wszystko tak szybko i tajemniczo, że Ragastens, pozostawszy sam, mimowoli zadał sobie pytanie,

czy wszystko, co go spotkało, nie było snem; Spadacape jedynie utwierdził go w pewności, że tajemnicza wizyta nie była snem.

— Panie, — powiedział, — ta pani, która stąd wyszła przed chwilą...

— Co takiego?

— ...Ma hojną rękę... Patrz pan!

Zacny Spadacape otworzył zaciśniętą pięść, pełną dukatów.

XV.

ZEMSTA LUKRECJI.

Nazajutrz rano Ragastens został wezwany do księcia Manfredi'ego. Księżę posiadał własne apartamenty w pałacu hrabiego Almy. Gdy tylko się ukazał, wpuszczono go na pokoje księcia. Hrabia Alma znajdował się tam również.

— Zbliź się pan, — rzekł książę Manfredi, gdy Ragastens wszedł do salonu, zbliź się, abym mógł ci powinszować zwycięstwa lepiej, niż to mogłem uczynić wczoraj.

— Uratowałeś nas pan, dodał hrabia Alma.

— Walczyłem, jak winien walczyć każdy żołnierz.

— Nie,— zaprzeczył książę Manfredi,— walczyłeś pan jak doświadczony wódz. Pan jeden zauważyłeś słabą stronę nieprzyjaciela... gdyby nie ty, moje dziecko, wojsko Cezara stałoby już dzisiaj pod bramami miasta.

Ragastens uklonił się.

— Pomyśleliśmy o tem — rzekł hrabia Alma, aby ci ofiarować nagrodę, godną świetnego czynu, który dokonałeś.

Ragastens przymknął oczy na chwilę i pomyślał, że najwyższą nagrodą, jaką już otrzymał, było to, że Primavera widziała jego dzielność na polu bitwy. Wyprostował się.

— Wasza książęca mość, powiedział, pochlebne

słowa, z któremi zwróciłeś się do mnie, starczą mi już za nagrodę.

Książę Manfredi jednak skinął na służącego, który otworzył na oścież olbrzymie drzwi salonu. Kilkunastu panów i dowódców wojsk sprzymierzonych weszło do pokoju. Uprzedzeni niewątpliwie o tem, co ma się odbyć, ustawili się w milczeniu za hrabią Alma i za księciem Manfredim.

Ragastens spoglądał ze zdumieniem na te przygotowania. Wtedy książę Manfredi zbliżył się do niego o parę kroków i zdjął ze swej szyi wspaniałe łańcuch.

Łańcuch ten, utworzony z szeregu złotych medali, połączonych lekkimi łańcuszkami, wysadzonemi dżamentami, był zakończony czemś w rodzaju rozety z rubinów. Była to odznaka Zakonu Walecznych, najwyższego odznaczenia, ustanowionego przed kilku stuleciami przez pierwszych Almów, Order Walecznych był jednym z najwyższych orderów włoskich.

Ilość rycerzy, należących do zakonu walecznych, nie mogła przewyższyc sześćdziesięciu. Moźni książęta, dożowie weneccy, a wśród nich sam książę Ferrary z dumą obnosili podczas wielkich uroczystości order Zakonu Walecznych.

Z całego hrabstwa Alma, jedynie książę Manfredi, hrabia Alma i kilku uprzywilejowanych możnych panów posiadali tę odznakę.

Książę Manfredi, zdjawszy łańcuch z szyi, zwrócił się do Ragastensa :

— Na kolana, — rzekł uroczystym tonem.

— Książę, — odpowiedział Ragastens, blednąc ze wzruszenia, — takie odznaczenie dla mnie!...

— Na kolana! — powtórzył książę Manfredi.

Ragastens tym razem usłuchał, przyklęknął i książę Manfredi pochylił się nad nim i zarzucił mu łańcuch na szyję; potem, dobywszy szpady, uderzył go płazem po prawem ramieniu ze słowami :

— Bądź dzielny. Bądź wierny. Bądź czysty. W myślach twych i w czynach bądź godny odznaki Zakonu

Walecznych, którego jesteś kawalerem, począwszy od dziś.

Rozległy się oklaski. Ragastens podniósł się z kłęczek, przyjął uścisk od księcia Manfrediego i hrabiego Almy, którzy również, jak on, byli kawalerami zakonu.

Obecni przy tej uroczystości zaczęli składać mu powinszowania, a najwięcej go ucieszyło to, że wzrok obecnych błyszczał jedynie prawdziwą radością, że cień nawet zazdrości nie zamącił harmonji tej chwili. W zamyśleniu powtarzał w duchu uroczyste słowa, z którymi ksiązę Manfredi pasował go na rycerza:

— Bądź dzielny... Bądź wierny... Bądź czysty.

Tegoż samego dnia z nastaniem nocy ksiązę Manfredi towarzyszył Beatrix w jej spacerze po wielkim pustym parku. Wierny swemu przyrzeczeniu nie przypominał Beatrix ani słowem, że jest jej mężem. Gdy już noc zaczęła stawać się coraz chłodniejszą, ksiązę odezwał się:

— Nie wracasz do domu moje dziecko?

— Nie jeszcze — odpowiedziała; — wiesz przecie, że mam zwyczaj marzyć w samotności wieczorami... w tym parku... Zwyczaj ten mam po matce, która lubiła w piękne noce letnie spacerować ze mną po ciemnych alejach... Biedna matka! — dodała z westchnieniem.

— To była szlachetna kobieta, odpowiedział ksiązę. Czysta i wierna... kobieta z epoki bohaterskiej. Nasze pokolenie może tylko brać przykład i zachwycać się mądrością i cnotą ś. p. hrabiny Honoraty.

Primavera zadrżała. Pomyślała z boleścią o straszonym wyznaniu, jakie matka jej uczyniła umierając. Potem przeniosła się myślą do owej nieznannej siostry, którą hrabina Honorata poleciła jej odszukać i pokochać. Westchnęła głęboko.

— Biedne dziecię! — rzekł poważnie ksiązę. Przyszły ci na myśl smutne wspomnienia... Pamiętaj jed-

nak, że uczynimy wszystko, aby pomścić śmierć twojej matki!

— Tak, zgadłeś myśli moje zajęte są dzisiaj tą, której niema wśród nas, a serce zalewa gorzyc, gdy wspomnę o tem, jak była dla mnie czuła i o tem, że nigdy już nie zaznam jej pieśszcoty. Dziwnie posępne przeczucia dręczą mnie dzisiaj!

— Porzuć te smutne myśli moje dziecię, zawołał Manfredi z łękiem. Wierzaj mi, uczynisz najlepiej wracając do siebie. Jesteś wstrząśnięta ostatniemi wypadkami i potrzebujesz wypoczynku.

— Nie, przeciwnie, istotną ulgę sprawi mi przechadzka po miejscach, które ona tak kochała i gdzie zdaje mi się jeszcze przebywa jej duch. Mam wrażenie, że spotkam ją na jednym z zakrętów tej alei.

W mrocznym zakątku parku, tam właśnie, gdzie Primavera wskazała palcem, mignął jakiś cień i zniknął natychmiast. Ani Primavera, ani księżę nie zauważyli go.

— Ty jednak, księżę, — rzekła z żywością młoda księżna, ty — potrzebujesz wypoczynku...

Księżę westchnął. Zrozumiał, że Primavera chce zostać sama.

— Pozostań więc w parku, — odpowiedział z pozornym spokojem. Wierzaj mi jednak, że należy opanować dręczący cię smutek. Dobranoc, moje dziecko...

Primavera nadstawiła mu czoło, jak to czyniła zawsze na pożegnanie. Starzec złożył na niem ojcowski pocałunek, potem oddalił się z westchnieniem, którego Beatrix nie słyszała.

Księżę Manfredi z pochyłą na piersi głową udał się powoli do pałacu, wracając alejami, któremi przyszedł wraz z Beatrix pod wierzbę płaczącą. Nagle jakiś głos szepnął mu szydyczko na ucho:

— Dobry wieczór, księżę Manfredi!

Z zarośli wysunęła się zamaskowana kobieta, która powtórzyła raz jeszcze ironicznym tonem:

— Dobry wieczór, pocziwy staruszku!

— Kto jesteś? — zapytał książe. Co robisz tu o tej porze?

— Szukałam ciebie...

— Kim pani jesteś?

— To nie ma znaczenia! Jestem kobietą w masce. Nie widzisz mej twarzy, lecz poznasz me myśli. Kim jestem? Cieniem... sprawiedliwością, która przyszła do ciebie łagodny i łatwowierny małżonku; jestem prawdą, która otarła się o ciebie, ty cierpliwy i ufny starcze!

Kobieta wybuchnęła śmiechem. Książe Manfredi zbladł. Szyderstwo zamaskowanej nieznajomej zawierało w sobie straszne jakieś domyślniki. Brutalnie porwał ją za rękę, mówiąc:

— Ktoś ty? Mów, albo ci zedrę maskę z twarzy!

— Książe, ozwała się nieznajoma teraz już z powagą, nie dowiesz się mego imienia, bo niema potrzeby, abyś je poznawał. Nie ujrysz mej twarzy, niepodobna bowiem, aby książe Manfredi podniósł rękę na kobietę. Teraz, uprzedzam pana, że jeśli mnie nie wysłuchasz, niesława spadnie na twe imię.

— Niesława! — szepnął książe z przerażeniem.

— Czy chcesz jej uniknąć? zapytała nieznajoma, czy chcesz, aby nikt nie miał prawa drwić z ciebie? Jeszcze czas...

— Mów! — warknął głucho książe, a przedewszystkiem mów jasno, co chciałaś mi powiedzieć?

— Nie mam panu nic do powiedzenia — odpowiedziała spokojnie. Nie uwierzysz mi pan. Uczynię jednak coś innego. Chodź... chodź... ujrysz na własne oczy zdradę! Usłyszysz rozmowę zdrajców! Chodź za mną... tylko nie rób hałasu!

— Książe przesunął ręką po czole, zroszonym zimnym potem. Cierpiał strasznie.

Udał się za kobietą, która poprowadziła go krętymi ścieżkami parku. Nagle zatrzymała się. Stali ukryci w zaroślach. Przed nimi, na ławce, oświetlonej blaskami księżycy, siedziała kobieta, u jej stóp klęczał mężczyzna, okrywając jej ręce pocałunkami. Książe

Manfredi poznał ich odrazu. Byli to: Primavera i Ragastens.

Zamaskowana kobieta wskazała mu na nich, potem jakby już nic więcej nie miała do czynienia, cofnęła się cicho i znikła, pozostawiając Manfrediego w rozpaczy. Patrzał na młodą parę przerażony, zdumiony, przybity nieszczęściem, jakie nagle spadło na niego.

— — — — —
Lukrecja Borgia, ona to bowiem była ową zamaskowaną kobietą, zmierzyła w stronę furtki parkowej. Służący, którego przekupiła, był na stanowisku. Gdy zapytał ją, czy ma na nią czekać jutro o zwykłej godzinie, odpowiedziała:

— Nie... Teraz już wszystko skończone.

Ciemnymi uliczkami Monteforte, wróciła do małego domku położonego w pobliżu wielkiej bramy, którą hrabia Alma i Ragastens wrócili do miasta po niefortunnej próbie stronników Cezara, usiłujących porwać hrabiego. Lukrecja weszła do domku i udała się do izby, położonej na pierwszym piętrze. Izbę oświetlała jedyna pochodnia. W izbie czekał na nią jakiś mężczyzna.

— Garconio, rzekła Lukrecja, wracam do obozu.

— A ja?

— Ty zostaniesz, aby go śledzić. Nie odstępuj go na krok; musisz mi zdawać ze wszystkiego relacje.

— Dobrze. Możesz mi pani zaufać, powiedział mnich ze straszną nienawiścią w głosie.

— Wiem o tem, że masz z nim osobiste porachunki, rzekła Lukrecja z uśmiechem zadowolenia. Będziesz służył mi wiernie, bo tego wymaga twój własny interes. Strzeż się jednak! Jeśli ten człowiek zauważy ciebie, pożegnaj się z życiem... Zwłaszcza jeżeli to, o czem myślę, stanie się.

Nazajutrz, w chwili, gdy otworzono bramy miasta, Lukrecja konno, z twarzą zasłoniętą lekkim szalem opuściła miasto. Dowódca straży, widząc kobietę samą, nie czynił żadnych trudności i pozwolił jej odjechać. Puściła się galopem, po trzech godzinach drogi,

wyjechała z wąwozu i, omijając obóz wojsk sprzymierzonych, skierowała się do namiotu Cezara.

Leżał na małym polowym łożku i rozmawiał ze swymi adjutantami. Jego rana, jakkolwiek nie niebezpieczna, dokuczwała mu dotkliwie.

— Co widzę! — zawołała Lukrecja, wchodząc do namiotu. — Jesteś ranny?

— Jesteś nareszcie! — zawołał Cezar.

Skinęła na niego, dając znak, by odprawił otaczających go oficerów.

— Tak jestem ranny! — rzekł do niej, klnąc brutalnie, co nie zrobiło na Lukrecji żadnego wrażenia. Zadał mi ranę ten przeklęty Ragastens, któremu zawdzięczamy to iż od chwili, gdy go poznaliśmy, wszystko nas zawodzi. Lecz skąd przychodzisz? Skąd ta długa nieobecność?

— Wracam z Monteforte, odpowiedziała spokojnie Lukrecja.

— Z Monteforte! — zawołał Cezar.

Spokojne zuchwalstwo Lukrecji zdumiało Cezara.

— To wspaniale!

— Zwłaszcza, że ta wyprawa pozwoli ci pomścić się na Ragastensie.

— Co mówisz?

— Mówię, że trzymam Ragastensa w rękę!

Cezar wydał okrzyk szalonej radości i chciał podnieść się z pośłania, z ust jego jednak padł jęk bólu, obsunął się na poduszki, ciężko dysząc.

— Tłumacz się jaśniej — powiedział, opanowując wzruszenie.—Jeśli to, co mi powiedziałaś, jest prawdą, jeśli znalazłaś sposób wydania w me ręce tego człowieka, możesz liczyć na moją wdzięczność. Ty wiesz, że tobie dotrzymałem zawsze słowa. Żądaj ode mnie, czego tylko zechcesz.

— O tem potem, odpowiedziała Lukrecja z uśmiechem. Narazie muszę mieć odpowiedź na kilka pytań. Czy zależy ci koniecznie na zdobyciu Monteforte?

— Czy mi zależy! Zwarjowałeś chyba, zadając mi takie pytanie?

— A więc nie wyrzekłbyś się ataku na miasto?

— Nigdy! Do wszystkich djabłów! Zmiotę z powierzchni ziemi tę fortecę, jak to już obiecałem ojcu, obsieję zbożem miejsce, na którym znajdują się teraz wały obronne! Muszę dać straszny przykład!

— Zresztą przyznaj się, że kierujesz się jeszcze innemi pobudkami!

— Tak! Wiem, co chcesz powiedzieć. A więc tak, chcę zdobyć jednocześnie córkę Almy!

— W takim razie musisz się pośpieszyć. Grozi ci bowiem to, że przyjdiesz zapóźno! — zaśmiała się szyderczo Lukrecja.

— Tam do diabła! Czy przyszedłeś po to, aby mnie dręczyć? Wytlumacz się.

— Chcę tylko powiedzieć, że Ragastens czuwa i że piękna Beatrix spogląda na niego życzliwym okiem. Cezar zbladł.

— A więc powiadasz, że chcąc zawładnąć Ragastensem muszę wyrzec się zniszczenia Monteforte?

— Tak, albo raczej, musisz udać, że się tego wyrzekasz!

— Aha! Zdaje mi się, że się porozumiemy.

Wtedy Lukrecja pochyliła się nad łóżem brata i zaczęła mu coś długo opowiadać półgłosem. Cezar słuchał jej z wielką uwagą, wydając od czasu do czasu okrzyk zdumienia, gniewu lub radości.

Wreszcie rozmowa dobiegła końca; Cezar przywołał oficera, który stał na straży przed wejściem do namiotu.

— Mości oficerze, przyślij mi mego dowódcę sztabu i heroldów.

— Słucham, wasza książęca mość.

Nie upłynęło pół godziny, a po obozie rozeszła się wieść o tem, że Cezar chce wysłać do Monteforte parlamentarzysty, upoważnionych do poczynienia oblężonym bardzo korzystnych propozycyj. Jedni pochwalali ten krok, większość jednak uważała go za hań-

biący i zaczęła szemrać, mówiąc, że gwiazda Cezara Borgii zaczyna blednąć. Nikt nie podejrzewał prawdy.

XVI.

BĄDŹ DZIELNY, WIERNY I CZYSTY.

Owego wieczoru, w którym został pasowany na kawalera Zakonu Walecznych, Ragastens udał się do pałacu hrabiego Almy.

Przez cały dzień rozmyślał nad tem, co go spotkało. Zaszczytne to było odznaczenie, stawiało go ono jednak w straszną kolizję ze sobą samym.

— Bądź dzielny, wierny i czysty! — powtarzał w duchu.

Czuł, że nie jest w rozbieżności z tą dewizą, a jednak jednocześnie coś go tajemnie nurtowało. Ów starzec, który obdarzył go tem najwyższem i najszczytniejszem odznaczeniem, który sam pasował go na rycerza, starzec ten był mężem Primavera.

Czuł w duszy jakieś wyrzuty sumienia i niepokój; nie dlatego że kochał, lecz dlatego, że, mimo wszystkie rozumowania i wywody, chciał udać się tam, dokąd chodził co wieczora. Przez cały dzień powtarzał sobie:

— Nie pójdę!

Jednakowoż z nastaniem wieczoru jął coraz niepokojniej dreptać po swym pokoju. Ostatecznie, zupełnie tak, jakby czynił to, co było dawno postanowione, wyszedł z pokoju i, nie wahając się już ani chwili, stanął pod kratą ogrodzenia, którą szybko przesadził.

Zaczął wyczekiwać, aż się wszystko w pałacu uspokoi i aż nadejdzie chwila, w której, jak przypuszczał, Primavera ukaże się na swem ulubionem miejscu. Stanąwszy przy wierzbie, ujrzał Beatrix, siedzącą na ławce.

Podszedł do niej; czekała na niego; widząc, że się zbliża, uśmiechnęła się do niego.

Nie będziemy się rozwodzić nad tem, co mogli sobie powiedzieć kochankowie, nad których głową noc włoska rozpostarła swój ciemny płaszcz, usiany gwiazdami. Wszyscy zakochani są do siebie podobni! Wszyscy zapominają o całym świecie, roztapiając się w swej miłości i w zachwycie.

Nadeszła jednak chwila rozstania. Pożegnawszy Ragastensa, Primavera odeszła powoli w stronę pałacu. Ragastens nie ruszył się z miejsca, przytłoczony szczęściem, a gdy już znikła mu z przed oczu, pierś jego podniosła się westchnieniem. Oddalił się również.

Gdy już znalazł się tuż przy kracie, wydało mu się, że słyszy za sobą czyjeś kroki. Szybko się odwrócił. Istotnie szedł ktoś za nim.

Ów ktoś nie miał wcale zamiaru ukrywać się. Ragastens widział wyraźnie jego wysoką sylwetkę, wynurzającą się z mroku nocy. Ukrył się pośpiesznie za drzewem i czekał, aż mężczyzna wyminie go.

Lecz mężczyzna nie chciał go wyminąć! Zbliżył się do drzewa i, okrążywszy go, zatrzymał się przed Ragastensem.

— Książę Manfredi! — szepnął kawaler osłupiały.

Starzec skrzyżował na piersi ręce, oczy błyszczały mu złowrogo, lekko pochylony naprzód wpatrywał się badawczo w kawalera.

Ragastens zrozumiał, że książę w i e o w s z y s t k i e m !

Przerażony, pełen lęku nie o siebie, lecz o Beatrix, uczynił najwyższy wysiłek, aby zebrać myśli.

— Książę... — wyjąkał.

— Ani słowa! — rzekł starzec tak zmienionym głosem, że Ragastens poznał go z trudem. — Wszystko widziałem, wszystko słyszałem. W strasznym nieszczęściu, jakie mnie dotknęło, błogosławię niebo za to, że pozwoliło mi zachować zimną krew, że, chcąc uniknąć skandalu i plamy na mojem imieniu, nie za-

bijam pana, jak psa! Jutro... u mnie... czekam na pana...

— Stawię się! — rzekł Ragastens nagle doprowadzony do równowagi słowami Manfredi'ego.

— Liczę na to, mój panie, — jeśli ci pozostała chociaż odrobina honoru i godności!

— Stawię się! — powtórzył Ragastens wyniośle.

Pożegnał księcia skinieniem ręki. Nie kryjąc się już wcale, było to bowiem zbędne, zbliżył się do kraty ogrodzenia i przesadził ją.

Wkrótce znalazł się u siebie. Wtedy dopiero stała mu przed oczami cała groza jego sytuacji. Nie widział wyjścia! Bić się z księciem?! Zabić go! Cóż znowu? Nie mógł nic podobnego uczynić. Manfredi miał przecież siedemdziesiąt dwa lata. Zresztą zabicie księcia zmusiłoby go do wyrzeczenia się Beatrix na zawsze.

A więc? Istniało tylko jedno wyjście: okropne... książe Manfredi miał słuszne prawo zamordować go... A więc książe zamorduje go! Tymczasem Ragastens chciał żyć!

Noc była okropna. Upłynęła mu ona na obmyślaniu różnych możliwości, wszystko jednak wkońcu rozsypanywało się w gruzy, zaświtał dzień a on nie mógł nic jeszcze obmyślić. Postanowił jedynie, przed udaniem się do Manfrediego, uprzedzić księżnę Beatrix.

Gdy jednak przybył do pałacu Almy, naprzóżno przebiegał korytarze i sale, gdzie najczęściej spotykał Primaverę. Nie było jej nigdzie. Zzerany niepokojem kazał zawiadomić księcia, że jest w pałacu do jego dyspozycji, odpowiedziano mu jednak, że książe Manfredi jest na tajnej naradzie. Ragastens był zmuszony czekać.

Około południa dowiedziano się, że tego dnia nie będzie żadnej audjencji, rozeszła się również wieść, że książe Manfredi jest poważnie chory. Jednocześnie jeden z lokai księcia stanął przed Ragastensem.

— Mój pan, — powiedział, — prosi pana kawa-

lera, aby zechciał go odwiedzić jeszcze dzisiejszego wieczoru.

— Dobrze, — odpowiedział Ragastens.

Wyszedł z pałacu jeszcze bardziej wzruszony, niż w chwili, gdy tam wchodził.

— Co się dzieje? Ta niepewność jest okropna, — pomyślał. — Dlaczego Beatrix jest niewidzialna? Dlaczego księżę nie chce mnie teraz przyjąć?

Biedząc się myślami, Ragastens wyczekiwał z coraz to większym niepokojem chwili, kiedy znowu znajdzie się w pałacu księcia Manfrediego.

Księżę nie był wcale na radzie wojennej, jak to kazał powiedzieć. Poprosił hrabiego Almę, aby zatrzymał córkę pod jakimś pozorem w domu, potem przygotował się do przyjęcia Ragastensa.

Dla niego również noc była straszna, — była nocą rozpaczy. Powoli jednak rozpacz jąła przekształcać się w gniew.

On, który przyjął narazie ze spokojem i zimnym stoicyzmem cios, jaki na niego spadł, czuł teraz powoli wzbierający gniew. Gniew ten wyrugował wszelkie inne uczucia i sięgnął ostatecznych granic, dochodząc do stanu wściekłości, kiedy to umysł zatracą swobodę działania, duch tępieje, mózg przestaje kontrolować czyny, a człowiek staje o włos od zbrodni. W takiej chwili oznajmiono mu przybycie Ragastensa.

Starzec miał szybką, jak błyskawica, wizję. Ujrzał siebie, stojącego ze sztyletem w ręku i czyhającego na młodzieńca, który pada u jego stóp przebity ostrzem sztyletu. Nieopisana trwoga ogarnęła go na myśl o morderstwie, popełnionem pod wpływem gniewu, którego czuł, że nie zdoła powściągnąć. Była to tragiczna chwila.

Wreszcie postanowił odroczyć jeszcze tragiczny moment spotkania. Zyskiwał na tem całe pół dnia.

Gdy około piątej oznajmiono mu, że kawaler chce się z nim widzieć, wydało mu się, że jest całkowicie opanowany i kazał wpuścić Ragastensa. Już po chwili obaj wale stali przed sobą, spoglądając na siebie z

chorobliwym zaciekawieniem, jakgdyby nigdy przedtem się nie widzieli.

Ragastens, bardzo zimny, bardzo spokojny, czekał. Manfredi ze strachu uczuł nagle, że wstrząsa nim szalony gniew, który może zeń uczynić mordercę i nikczemnika. Widział bowiem, że zgnębiony tem, co się stało, Ragastens postanowił nie bronić się wcale.

Pierwsze dziesięć minut były okropne. Ragastens czuł, że zimny pot występuje mu na czoło. Nie myślał już wcale. Był jakby zahypnotyzowany przez tego, olbrzymiego starca ze szklanem spojrzeniem; w oczach jego wyczytał wyrok na siebie. Przygotował się na wymówki, na walkę: to martwe spojrzenie, ta blada, jak maska, twarz, mówiąca o burzy wewnętrznej, wstrząsnęła go zdumieniem i lękiem.

W chwili tej ów Ragastens, który nigdy jeszcze nie zadrżał przed sztyletem, doznał uczucia lęku, książę szukał jakiegoś obelżywego wyrazu, którym mógłby znieważać go jak najdotkliwiej.

Gniew, gniew, którego nie zdołał poskromić, gniew straszny, nieokiełznany opanował go znowu całkowicie. Jego drżąca ręka sięgnęła do rękojeści sztyletu. Ragastens widział ten ruch, nie drgnął nawet, aby się bronić przed napaścią.

Nagle olbrzymie podwoje otworzyły się na oścież i mistrz ceremonji, wyszedłszy aż na środek sali, zanonsował poważnym i donośnym głosem:

— Heroldowie i oficerowie — parlamentarjusze jego książęcej mości Cezara Borgii, przynoszą księciu Manfrediemu, naczelnemu wodzowi wojsk sprzymierzonych, warunki pokoju, proponowane mu przez ich pana...

Ragastens ani drgnął. Może nawet nie słyszał nic. Widział tylko, że podniesiona ręka Manfrediego opadła.

Widział tylko jego błędne spojrzenie, — pobiegł

wzrokiem, w stronę, gdzie wzrok księcia był utkwiony, i ujrzał szeroko otwarte podwoje.

Długi korytarz pełny był oficerów i możnych panów. Tuż przy drzwiach trzech heroldów w paradnych szatach odegrało fanfarę, potem trzech oficerów, wysłanych przez Cezara, weszło na salę... Drzwi zamknęły się.

Całej tej scenie Ragastens przyglądał się, jak we śnie. Heroldowie stanęli przy drzwiach. Oficerowie parlamentarjusze — pozostawiwszy swą świętą na korytarzu, zbliżyli się do księcia Manfrediego, składając niski ukłon.

— Z czem przychodzicie, moi panowie? — zapytał książę ochryplym i głuchym głosem, wciąż jeszcze nie spuszczać wzroku z Ragastensa.

— Wasza książęca mość, — odpowiedział jeden z parlamentarjuszy, — my, oficerowie księcia Cezara Borgii, naszego pana, przychodzimy w jego imieniu z całym zaufaniem i w dobrej wierze, aby przedłożyć warunki pokoju...

Książę Manfredi blady, jak płótno, skinął głową na znak, że skłonny jest wysłuchać propozycji.

— Oto nasze warunki, które pan, jako wódz naczelny sprzymierzonej armji, rozważysz ze znaną wszystkim wielką mądrością. Książę Cezar Borgia uważa, że za dużo już przelano krwi i że przyszedł czas, kiedy wojna domowa nekająca nieszczęsne Włochy, winna ustać. Wyrzeka się wszelkich pretensyj do hrabstwa Monteforte; zobowiązuje się cofnąć swe wojska na terytorjum Rzymu; zobowiązuje się poza tem nigdy już nie podnieść oręża przeciw Monteforte. Zobowiązuje się odbudować niektóre księstwa, które zostały wcielone do rzymskich posiadłości, między niemi — pańskie, zobowiązuje się odbudować je, przywracając wszystkie prawa, przywileje i prerogatywy, dawnymi prawami określone.

Manfredi słuchał ze zdumieniem tych nadzwyczajnych propozycji.

— Książę Cezar Borgia żąda wzamian jedynie

rozpuszczenia sprzymierzonych wojsk. Jako dowód swej dobrej woli przyśle dwunastu zakładników, wybranych z pośród swego otoczenia. Jako dowód dobrej woli sprzymierzonych, jak tego wymaga sprawiedliwość, żąda również zakładnika. Zadowolony się przytem jednym tylko. Jesteśmy upoważnieni do wyznaczenia go...

— Wyznaczcie! — rzekł krótko książę.

— Chcąc dać dowód, jak dalece jest ożywiony duchem pokojowym, pan nasz nie wybrał żadnego z blizkich waszej książęcej mości panów. Zadowolony się jednym z twych oficerów, który nie jest nawet mieszkańcem hrabstwa i którego mało znasz, książę. Owym oficerem jest kawaler de Ragastens. Skończyłem. Jaką odpowiedź mam zanieść naszemu panu, którego osobę mamy zaszczyt reprezentować?

Książę Manfredi uczuł, że ciałem jego wstrząsnął dreszcz. Spojrzał na Ragastensa.

Ten skrzyżował na piersiach ręce. Wzrok błyszczący rozmyślną zuchwałością, arogancją i nieufnością przenosił z księcia Manfrediego na oficerów-parlamentarjuszy.

Okrutna radość napełniła serce Manfrediego. Nie potrzebował szukać zemsty. Sam los mu ją zsyłał. Trudno było wymarzyć okrutniejszą. Rozumiał doskonale, że wydanie Ragastensa, jako zakładnika w ręce Cezara, było to podpisanie na niego wyroku śmierci.

— Czekamy na odpowiedź, — rzekł oficer Cezara Borgii.

Ragastens dał krok w stronę Manfrediego. Głosem cichym, drgającym wyniosłą pogardą, szepnął:

— Na cóż pan czekasz? Wydaj mnie!

Książę osłupiał. Twarz jego zbladła jeszcze silniej. Porwało go konwulsyjne drżenie, twarz wykrzywiła się straszliwie.

Uczuł na twarzy oddech Ragastensa. Wydało mu się, że owionęła go wichura wzdargy. Wyprostował się i podniósł rękę. Ragastens dał kilka kroków w

stronę parlamentarjuszy, jakby uważając się już za jeńca.

— Panie, — odezwał się wtedy Manfredi, — oto moja odpowiedź.

Głos starca brzmiał dziwnie spokojnie. Wyraz królewskiego dostojęstwa rozlał się na jego twarzy, przed chwilą jeszcze drgającej namiętnością.

— Odpowiedź moja jest odpowiedzią każdego rozumnego, że już nie powiem, każdego uczciwego człowieka. Wydanie panom kawalera Ragastensa byłoby z mej strony podłością...

Parlamentarjusze zachnęli się.

— Czekaście, panowie, — mówił dalej. — Nikomu z was nie jest tajna nienawiść, jaką żywi Cezar Borgia do kawalera de Ragastensa. Proponowanie mnie, kawalerowi orderu Walecznych, wydania go w ręce jego śmiertelnego wroga jest wielką obelgą. Uważam, moi panowie, że samo podjęcie się tej podłej misji, uczyniło was niegodnymi zaszczytu noszenia szpady...

— Książę! — przerwał mu oficer wyniosłym tonem.

— Jeszcze nie skończyłem, — ciągnął dalej Manfredi z niezmaconą powagą. — Prawdopodobnie nie zrozumiecie moich pobudek odmowy. Wy i wasz pan, zdolni do podłości, niezdolni jesteście zrozumieć tego, co szlachetne. Przytoczę wam tedy jedynie względy natury praktycznej.

Oficerowie - parlamentarjusze, pobledli z gniewu. Ragastensowi zaś zdawało się, że śni.

— Otóż, moi panowie, zakończył Manfredi, — powiedźcie księciu Borgii, że kawaler de Ragastens jest jedynym człowiekiem, którego nie mogę mu wydać, w tej chwili bowiem mianuję go swym następcą, przyszłym naczelnym wodzem, na wypadek, gdybym padł w bitwie.

— Książę! — zawołał Ragastens, wstrząśnięty do głębi słowami Manfrediego.

Manfredi jednak skinieniem ręki nakazał mu mil-

czenie. Potem, zwracając się do posłów Cezara, dodał:

— Oddalcie się, panowie! Nie mamy już sobie nic więcej do powiedzenia.

Trzej oficerowie pożegnali go ukłonem. Wielkie drzwi otworzyły się. Heroldowie otrąbili krótką fanfarę, poczem parlamentarjusze wyszli na korytarz, za nimi ruszyła ich eskorta. Sprzymierzeni, stojący w szeregach, pozdrowili ich pożegnalnym ukłonem.

Księżę i Ragastens zostali sami. Kawaler z sercem przepelnionem zachwytem, zwyciężony wspaniałomyślnością swego przeciwnika, spoglądał na starca z szacunkiem. Gdy jednak chciał się do niego zbliżyć, księżę podniósł ciężką od myśli głowę i rzekł:

— Panie, nie winienesz mi żadnej wdzięczności. Uczyniłem to dla siebie... chciałem jedynie pozostać wiernym dewizie Zakonu, która opiewa: dzielny, wierny i czysty!

— Dewiza ta, — odpowiedział Ragastens głosem łamiącym się ze wzruszenia, — może pana obowiązywać do nie wydania mnie w ręce wroga, lecz nie może obowiązywać do mianowania mnie pańskim następcą.

Wtedy księżę podszedł do Ragastensa i rzekł, porywając go za rękę:

— Młodzieńcze, nie zrozumiałeś mnie... Objaśnię ci jasno, czego czekam po tobie...

— Mów pan. Zgóry piszę się na każde pańskie życzenie.

— Tak! Wiem, że pańskiemu słowu można zaufać. Przysięgnij mi więc, że uszanujesz mą wolę! Każdą moją wolę!

— Przysięgam na honor, — rzekł Ragastens z powagą. — Przysięgam na tę odznakę — symbol honoru i rycerskich cnót — którą sam zarzuciłeś mi na szyję, jak kajdany, skuwając mnie na zawsze z sobą...

— Dobrze! — mruknął starzec z posępnem zadowoleniem. — Żądam więc od pana przede wszystkim,

abyś nigdy nie odkrył p r z e d n i ą, tego, co między nami zaszło.

— Przysięgam panu...

— żądam tego, na wypadek, gdyby los postawił cię w jej obecności. żądam jednak równocześnie obietnicy, nie widywania się z nią nigdy, do czasu, aż ja żyję.

Ragastens zawahał się przez chwilę.

— Przyrzekam to panu, — rzekł wkońcu. — Uży-skaleś pan nade mną prawa, z których korzystasz bez cienia litości.

— Korzystam z nich z wielką względnością, — od-powiedział starzec z rozbłysłem okiem. Opanował się jednak natychmiast i mówił dalej:

— Panie, w okrutnej sytuacji, jaka się wytworzy-ła za pana przyczyną, nie myślałem o pojedynku, któ-regobyś pan nie przyjął. Pańska młodość, siła i zręcz-ność we władaniu bronią nie pozwoliłaby panu sta-wać przeciw mnie, siedemdziesięciu dwu letniemu starcowi. Pomyślałem wtedy o zamordowaniu pana, o tem, by wyczekać pode drzwiami na twe przyjście i, w chwili, gdy będziesz przekraczał próg, o wbiciu ci w gardło sztyletu. Ogarnął mnie jednak wstyd przed tym zbrodniczym czynem. Zdołałem się opanować w porę, lecz wierzaj mi pan, że nieskończenie wiele mnie to kosztowało... Życie jednak pańskie należy te-raz do mnie.

— Oddaję je panu! — rzekł twardo Ragastens. — Przed chwilą jeszcze, widziałem, jak ściskałeś pan rękojeść swej szpady, a nie uczyniłem jednego gestu ku swej obronie...

— Wiem o tem!

Obaj ci ludzie spojrzeli na siebie z zachwytem. Zrozumieli, że wzajemny szacunek, jaki żywili do sie-bie, górował nad wszystkimi innymi uczuciami. Żadne jednak słowo nie wybiegło im na usta, naj-mniejsze drgnienie twarzy nie zdradziło ich myśli.

— Jeśli życie pańskie należy do mnie, — podjął

książę dalszą rozmowę lodowatym tonem, mam więc prawo rozporządzać niem według mego uznania!

— Tak, panie.

— A więc, oto co postanowiłem: w najbliższej potyczce z Cezarem Borgia poszukasz śmierci na polu bitwy...

Ragastens drgnął. Zrodził się w nim instynktowny bunt. Ujrzał jednak na ustach Manfrediego gorzki uśmiech i uczył, że obniża się w jego oczach. Odpowiedział więc głucho:

— Pozwolę się zabić.

Stary Manfredi obrzucił pełnem zachwytem spojrzeniem człowieka, który tak prosto dał tak straszną odpowiedź.

— Mam pańskie słowo, — powiedział.

Ragastens skinął głową.

— A teraz odejdz pan, — zakończył rozmowę książę, powolnym ruchem wskazując na drzwi. — Oddał się. Jesteś godny mnie! Nie mówię już w tej chwili: bądź dzielny, bądź wierny, bądź czysty! Mówię ci teraz: Jesteś dzielny, jesteś wierny, jesteś czysty!

Ragastens złożył przed starcem głęboki ukłon i wolnym krokiem opuścił salę.

XVII.

CAPRERA.

Gdy posłowie zakomunikowali odpowiedź księcia Manfrediego Cezarowi, wściekłość jego nie miała granic.

— Widzisz, na co mnie wystawiasz, — rzekł gorzko do Lukrecji, która była obecna przy ich rozmowie.

Lukrecja nie dała żadnej odpowiedzi. Zamyśliła się, starając się zrozumieć pobudki księcia. Przeczynała niejasno całą prawdę.

— Ci ludzie mają żelazną wolę! — rzekła wreszcie do Cezara. — Powinnam była przeczuć, co się stanie. Masz rację, popełniłam wielki błąd! Może jednak nie wszystko jeszcze stracone.

— Co masz na myśli?

— Pozwól mi działać... Wracam do Monteforte.

— Skończy się na tem, że wpadniesz w ich ręce! Lukrecja wzruszyła ramionami.

— Daj mi czterech pewnych i silnych ludzi do pomocy, — odpowiedziała.

— To bardzo łatwo.

Cezar przywołał oficera i wymienił mu imiona czterech z pośród żołnierzy swej straży przybocznej, rozkazując jednocześnie, by oddać ich do rozporządzenia Lukrecji.

— Teraz rozegram wielką grę, — rzekła do brata. — W razie zwycięstwa, wyniknie z niego podwójna korzyść: dla ciebie i dla mnie.

— Tłumacz się jaśniej.

— To niepotrzebne. Zobaczysz, o co chodzi. Jeszcze tylko słowo. Kiedy zamierzasz przypuścić szturm?

— Za kilka dni; jak tylko stan mojej rany pozwoli mi dosiąść konia.

— Dobrze; to mi wystarczy.

Mimo wszystkie nalegania Cezara, Lukrecja nie chciała dać żadnych bliższych wyjaśnień.

Po rozmowie z księciem Manfredim, Ragastens zamknął się w swym pokoju, nie opuszczając go ani na chwilę. W ten sposób pragnął dotrzymać danego księciu słowa. Obiecał mu przecież, że będzie się starał nie widywać z Beatrix.

Owe kilka okropnych dni, jakie nastąpiły, stały się dla Ragastensa całą wiecznością powolnej agonji. Pewnego wieczoru Spadacape oznajmił mu, że po mieście rozeszły się słuchy, jakoby nazajutrz miała zawrzeć bitwa; podobno w obozie Cezara wszczął się ruch; przewidywano więc bliski szturm.

— Nareszcie! — westchnął Ragastens z bolesną ulgą.

— Co się z panem dzieje? — zapytał Spadacape. — Nie jada pan prawie wcale. Nie sypia pan po nocach. Niknie pan w oczach... Jestem pewny, że rzucono na pana urok...

— Tak sądzisz?

— Do djaska! Czemże innem mam objaśnić te wszystkie zmiany?!

— Może masz rację! A tymczasem wyczyść broń na jutro.

— Jednak będziesz się pan bić? Mimo rzucone uroki?

— Co mają one do bitwy?

— Bo... widzi pan... jeśli jesteś pan urzeczony, zginiesz napewno w pierwszej potyczce!

Ragastens zadrżał, potem szepnął z dziwnym uśmiechem:

— Tem większa racja!...

Spadacape nic nie zrozumiał i spojrział na niego ze zdumieniem. Na dany przez kawalera znak, oddalił się, kiwając głową.

Tymczasem Beatrix zżerał śmiertelny niepokój.

Nazajutrz po ostatniem widzeniu się z Ragastensem przyszła wieczorem, jak zwykle, na swe ulubione miejsce dumań.

Jak zwykle książę Manfredi w ciągu godziny dotrzymywał jej towarzystwa. Nic w słowach, ani w zachowaniu jego nie zdradzało myśli, które go dręczyły. Był dla niej więcej niż kiedy ojcowsko czuły. Primavera ze swej strony starała się odplacić mu zdwojoną serdecznością. W duszach tych dwojga wielkich i czystych ludzi zrodziła się jednocześnie potrzeba wielkiego oddania i wspaniałomyślności. Książę zrobił już w duszy ofiarę ze swej do Beatrix miłości. Ona wyrzucała sobie swą miłość do Ragastensa, miłość czystą, jak łza, nie zbrukaną nawet cieniem zdra-

dy! Uczucia te, nurtujące ich serca tajemnie, złożyły się na nieskończenie czułą rozmowę.

Wreszcie Manfredi oddalił się, albo raczej udał, że odchodzi. Śledził Beatrix z ukrycia. Ragastens nie przyszedł.

— Człowiek ten jest godny jej miłości! — pomyślał książę z westchnieniem.

Primavera po powrocie do siebie nie mogła się uspokoić, zadając sobie po tysiąc razy pytanie:

— Dlaczego nie przyszedł dziś?

Nazajutrz i następnych wieczorów powtórzyło się to samo. Niepokój młodej kobiety wzrastał z każdym dniem. Nie śmiała nikogo zapytać o Ragastensa, a już tembardziej księcia. Zdawało jej się, że z chwilą gdy z ust jej padnie imię ukochanego człowieka, zdradzi się na całej linii.

Pewnego wieczoru siedziała sama w ogrodzie, pełna śmiertelnego niepokoju, gdy nagle stanęli przed nią książę Manfredi i hrabia Alma.

— Ruszamy do obozu! — rzekł książę pełnym wzruszenia głosem.

Hrabia Alma zaś dodał:

— Nasze placówki czołowe przyniosły nam wiadomość, że w obozie Cezara wszczął się wielki ruch. Nie ulega wątpliwości, że jutro rano przystąpi on do szturm. Musimy jeszcze dzisiejszej nocy udać się do obozu. Żegnaj, moje dziecię... Żywimy wszelką nadzieję, że atak Cezara zostanie odparty.

Hrabia uściskał serdecznie córkę. Primavera zbłądła, jak ściana. W uszach uczuła szum, świat zawirował jej przed oczami; miała wrażenie, że lada chwila padnie zemdlona. Dręczące ją pytanie paliło jej usta, lecz z zaciśniętego gardła nie mogło wydrzeć się ani słowo. Wreszcie, gdy książę Manfredi z kolei przystąpił do niej, aby ją pożegnać, postanowiła za wszelką cenę dowiedzieć się czegoś:

— Przypuszczam, — rzekła stłumionym głosem, — że wszyscy nasi obrońcy zajęli już wyznaczone sobie stanowiska?

— Wszyscy! — odpowiedział Manfredi. — Ricordo, Trivulce, Malatesta, Orsini... wszyscy!

— A... pan de Ragastens?

Zaledwie wyrzekła to imię, twarz jej okryła się najpierw purpurą, a potem kredową bladością.

— Kawaler de Ragastens? — powtórzył za córką hrabia Alma.

Manfredi jednak nieznacznie ścisnął go silnie za rękę, potem głosem pozornie spokojnym odpowiedział:

— Kawaler de Ragastens już od kilku dni opuścił miasto w pewnej doniosłej misji...

— Sprawa niebezpieczna, nieprawdaż? — zapytała ledwie dosłyszalnym szeptem.

— Och! — rzucił Manfredi nieledwie brutalną odpowiedź — misja jest bardzo niebezpieczna... niewątpliwie przyplaci ją życiem. Żegnaj, księżno!

Oddalił się gwałtownie, pociągając za sobą hrabiego Almę. Wrzało w nim wszystko. Dusił się. Cała drżemiąca w sercu jego zazdrość zbudziła się nagle, buchając posepnym płomieniem.

Primavera, chwiejąc się na nogach, cofnęła się do ławki, padła na nią, kryjąc twarz w dłoniach, i wybuchła bolesnem łkaniem. Potem nagle uczuła, że mgła przesłania jej wzrok... padła nawznak zemdlona.

— — — — —

Gdy odzyskała przytomność, ujrzała pochyloną nad sobą twarz nieznanym kobiecie. Kobieta ta była ubrana w strój wieśniaczki z okolic Monteforte.

— Ach! signora, — zawołała wieśniaczka, — narazie odzyskałaś przytomność.

— Kto jesteś? — zapytała Primavera, przesuwając ręką po czole.

— Poddana jaśnie pana hrabiego.

— Pociągła tu przyszła?

— Szukam signory Beatrix. W pałacu zamieszanie z powodu wymarszu do obozu. Zapewniono mnie, że księżna jest w parku, lecz nikt nie miał czasu zaprowadzić mnie do niej... Czy nie widziałaś jej pani

gdzieś w pobliżu? Wysłano mnie do niej w bardzo gwałtownej misji.

— Księżna Beatrix — to ja! Mów!

— To pani?! Och, jakże jestem szczęśliwa! Już od tak dawna pragnęłam ujrzeć panią! Ludzie powiadają, że dotknięcie skraju twej sukni przynosi szczęście dziewczętom, które mają wyjść za mąż!

Przedtem, nim Beatrix zdążyła się cofnąć, wieśniaczka pochwyciła za rąbek jej sukni, składając na niej pocałunek.

— Teraz jestem pewna, że małżeństwo moje będzie szczęśliwe, — rzekła z naiwną pewnością w głosie.

Primavera nie mogła powściągnąć uśmiechu.

— Powiedziałaś, że masz do mnie jakieś zlecenie.

— Tak, signora, do ciebie! do ciebie osobiście, kazono mi rozmówić się z tobą tak, aby nikt inny tego nie mógł usłyszeć.

— Mów więc... Jesteśmy tu zupełnie same, pewne, że nikt nas nie podsłucha! — rzekła Primavera, pełna dziwnych jakichś przeczuć. — Kto cię przysyła?

— Młody, piękny, dumny i dzielny rycerz... nosi jednak jakieś dziwne, obce nazwisko... Zaraz... zaraz... nie mogę sobie przypomnieć...

— Kawaler de Ragastens! — zawołała Primavera z mimowolnym drżeniem.

— Właśnie, właśnie, — przytaknęła wieśniaczka.

— Mów! mów prędzej! Gdzie się on znajduje? Dlaczego cię przysyła? Czy przynajmniej nie jest ranny?

— Widzisz... signora... — zaczęła bąkać wieśniaczka widocznie zmieszana.

— Jest ranny! — padł z ust Primavery pełen rozpaczy okrzyk.

— Niestety... tak!

Primavera zachwiała się na nogach; nagle jednak skupiła całą swą energję.

— Opowiedz mi wszystko! — rzekła opanowanym już zupełnie głosem.

— Otóż, było to tak. Nie znasz pani naszej fermy. Znajduje się o dwie godziny drogi od Monteforte, tak, coś około tego... Otóż pewnego wieczora, już po zachodzie słońca, pomagałam mojej matce przy gospodarstwie. Bracia nie wrócili jeszcze z pola... pole nasze jest dosyć daleko od domu... Nagle, patrzę, na nasze podwórze wjeżdża jakiś pan... Podchodzę do niego, aby zapytać, czego sobie życzy. A tu jeździec zsiada z konia, robi kilka kroków, chwając się na nogach; ręką trzyma się za pierś, potem nagle pada tuż pod naszym progiem!

— Gorze mi! — szepnęła Primavera, zaciskając kurczowo ręce.

— Moja matka i ja podniosłyśmy biedaka, położyłyśmy go na łóżku, wtedy ujrzałam, że ma ranę w piersi, po prawej stronie... Oczyszczyłyśmy ją, obmyłyśmy, położyliśmy szarpie i bandażę... wreszcie młody pan otworzył oczy... spoglądał na nas z wdzięcznością, która wzruszyła mnie do głębi duszy!

Primavera porwała wieśniaczkę za rękę.

— Jak się nazywasz? — rzuciła pytanie.

— Bianca, — odpowiedziała zdziwiona wieśniaczka.

— Otóż, droga Bianco, masz narzeczonego, nieprawdaż? Nie kłopotz się o wiano! Dam ci takie, że wszystkie dziewczęta z całej okolicy będą ci go zazdrościć!

— Ach! signora! Niedarmo mówiono mi, że zbliżenie się do ciebie przynosi szczęście!

— Mów jednak dalej... pośpiesz się... — rzuciła Primavera gorączkowo.

— Biedny młody pan dał znak, że chce mówić. Pochyliłam się nad nim. Zapytał słabym, jak podmuch wietrzyka, głosem, czy jest jakiś mężczyzna w naszej fermie... Odpowiedziałam mu przecząco... Zdawało się, że wpadł w rozpacz. Wtedy powiedziałam mu, iż w razie potrzeby jestem dostatecznie krzepka i zdrowa, by zastąpić mężczyznę... Przyjrzał mi się, a potem, zbierając wszystkie swe siły, powiedział: „Dobrze...

jeśli chcesz, żebym nie umarł w rozpacz, pójdź do Monteforte, do pałacu hrabiowskiego, odszukaj księżną Beatrix, rozmów się z nią bez świadków i powiedz jej, że kawaler de Ragastens, leżący na łożu śmierci, będzie ją błogosławił zato, jeśli zechce przyjść do niego z ostatnią, najwyższą pociechą". Tak powiedział, signora. Powtarzałam te słowa przez całą drogę, aby je dobrze zapamiętać. Zaraz potem młody pan opadł na poduszki zemdlony, a ja wsiadłam do wózka i udałam się w drogę, nie tracąc ani chwili czasu. Oto, jakie miałam zlecenie do ciebie, signora!

Primavera podniosła się z ławki i rzekła nerwowo:

— Jedźmy! Wieź mnie!

Wieśniaczka drgnęła, wzrok jej błysnął radością.

— Ach! signora, — zawołała, — jakże biedny młody pan będzie szczęśliwy! Pozwól jednak prostej wieśniaczce udzielić ci pewnej rady. Trzeba zachować ostrożność. Czy nie możesz tak urządzić, żeby nikt nie widział cię wychodzącej z pałacu? Podejmuję się odprowadzić cię z powrotem jeszcze przedtem, nim zaświta dzień. Tym sposobem nikt o niczem się nie dowie...

— Tak! masz słuszość! Księżna Manfredi, — dodała z goryczą, — nie może być o nic podejrzewana! Chodź... Wyjdziemy małą furtką w głębi parku, nikt nie będzie nas widział. Chodź! śpieszmy się...

Poszła szybko przodem, pierś jej podnosiło westchnienie, tłumiała w sobie wydzierający się na usta szloch. Wieśniaczka szła za nią.

Beatrix nie mogła widzieć tego, że wieśniaczka, znalazłszy się na zakręcie alei, dała jakiś dziwny znak ręką. Cień ludzki, ukryty w pobliskich krzewach, czatował na ten znak.

Beatrix stanęła przy małej furtce parkowej. Nie zdziwiła się nawet, widząc, że furtka jest uchylona. Gdy już znalazły się poza obrębem parku, wieśniaczka zbliżyła się do Beatrix.

— Gdzie jest twój wózek? — zapytała Primavera.

— Zostawiłam go za murami miejskimi; za duży ruch na ulicach miasta. Przywiązałam konia do płotu.

— Chodźmy więc!

Po upływie kwadransu obie kobiety stanęły przed bramą miejską. Była zamknięta.

— Przejście wzbronione! — rzekł wartownik.

Beatrix zawahała się przez chwilę. Nagle powzięła decyzję. Weszła do wartowni i zwróciła się do oficera.

— Każ pan otworzyć wrota! — rozkazała.

Oficer rzucił się wypełnić jej rozkaz. Wieśniaczka przez ten czas stała pod wartownią, kryjąc twarz w fałdach swego szala. Po chwili kobiety znalazły się za miastem.

— Chodź, droga pani, — rzekła wieśniaczka, chwytając Primaveraę za rękę.

Drgnęła pod wpływem gwałtownego dotknięcia. Zdawało jej się, że ręka wieśniaczki zacisnęła się dookoła jej ręki z niezwykłą mocą — groźnie jakoś i strasznie. Wrażenie to jednak szybko minęło.

— Chodź, — powtórzyła Blanca, — wózek stoi stąd o jakieś dwieście kroków. Ach! jakże ten biedny młody pan będzie szczęśliwy!

Primavera pobiegła naprzód. Wkrótce ujrzała wózek, zaprzężony w jednego konia. Koń był uwiązany u płotu przy drodze, która ciągnęła się pod wałami miejskimi. Bez chwili namysłu wsiadła do wózka. Wieśniaczka zabrała miejsce obok niej. Energicznie zacięła konia batem, przynaglając go ustawicznie do biegu.

Ta nocna jazda trwała blisko dwie godziny. Kobiety nie rozmawiały ze sobą. Primavera była pogrążona w rozpacz. Energiczna jednak jej natura wzięła górę nad rozpaczą.

— Ocalę go! — powiedziała w duchu.

Myśl ta opanowała ją całkowicie. Monotonny zgrzyt kół o kamienie ukołysał ją i uspokoił. Milczały

obie, czasem tylko wieśniaczka pokrzykiwała na konia.

Wreszcie Bianca wskazała batem na ciemny kontur domu, rysujący się zdała na tle jeszcze ciemniejszego nieba.

— Nasza ferma, — powiedziała.

Głos jej zadrżał dziwnie, Primavera jednak nie zwróciła na to uwagi. Spojrzała chciwie na dom, w którego oknach błyszczało światelko.

— Jest tam, nieprawdaż? — zapytała, zdjęta nagłym niepokojem.

— Tak, — powiedziała wieśniaczka. — Leży w izbie parterowej.

Po chwili wózek wjechał na podwórko i zatrzymał się. Bianca zeskoczyła na ziemię i podała rękę Beatrix, która wysiadła pośpiesznie z wózka i udała się za Biancą do domku. Serce biło jej gwałtownie.

Nagle znalazła się w niskiej sali. Obejrzała się dokoła.

— Gdzie jest on? — zapytała półgłosem.

Wieśniaczka wybuchła śmiechem. Dreszcz strasznego przecucia nieszczęścia wstrząsnął ciałem Beatrix.

— A więc? — rzekła marszcząc brwi, — czy nie słyszałaś mego pytania, Bianco?

— Nie nazywam się Bianca, — odpowiedziała wieśniaczka.

— Gdzie jest kawaler de Ragastens? mów nieszczęsna!

— Pan de Ragastens jest w Monteforte.

Primavera wydała okrzyk przerażenia i skoczyła do drzwi; w tej samej jednak chwili usłyszała zgrzyt klucza w zamku.

— Och! — szepnęła. — To ohydne... a więc nie nazywasz się Bianca! — zawołała, zwracając rozbłyśniętym gniewem spojrzenie na wieśniaczkę. — Kim więc jesteś?

— Nazywam się Lukrecja Borgia! — usłyszała przerażająco spokojną odpowiedź.

Primavera cofnęła się. Przez chwilę uczuła, że ogarnia ją bezgraniczna rozpacz. Nie chciała jednak zdradzić się przed swym wrogiem ze swej słabości, to też nadludzkim wysiłkiem woli opanowała lęk i, podniósłszy dumnie głowę, z pogardliwym wyrazem twarzy powiedziała:

— Lukrecja Borgia tu! Kogo mają tu zamordować?

— Uspokój się pani! — odpowiedziała Lukrecja, zgrzytając gniewnie zębami.

— Nie potrzebuję uspokajać się: nie boję się śmierci!

— Nie chcę pani zabijać... przynajmniej narazie.

— Czegóż więc chcesz?

— Chcę odebrać panią Ragastensowi.

— A powód?...

Lukrecja uśmiechnęła się szyderczo:

— Powód bardzo kobiecy. Kochasz go pani... otóż ja kocham go również.

Te kilka słów zamieniły ze sobą z błyskawiczną szybkością... padły one, jak szczęk skrzyżowanej broni. Po ostatnich słowach Lukrecji zaległa chwila ciszy.

Primavera, rażona jej słowami prosto w serce, gromadziła siły do straszliwego pojedynku, w którym córka papieża usiłowała zabić ją złością, przedtem nim jej się uda zamordować ją za pomocą sztyletu. Zadrżała.

— Pilnuj się, Lukrecjo Borgia! — rzekła wreszcie. — Kawaler de Ragastens nigdy nie przebacza zadanej sobie obelgi, a twoja miłość jest najsrozsą z obelg!

Lukrecja zbladła. Ona, która postanowiła wziąć serce Beatrix na tortury, ona właśnie została przez Beatrix zraniona w samo serce. Straciła panowanie nad sobą.

— Tak, — warknęła, — wiem dobrze! Ragastens gardzi mem uczuciem! Lecz ostatecznie co mi tam! Czego pragnęłam, to wykonałam. Rozdzieliłam was.

Oderwałam was jedno od drugiego. Nigdy już więcej nie zobaczycie się, nigdy! Czy słyszysz?

Zamilkła zdyszana, onieśmielona wyniosłym uśmiechem Primavera. Natarła na nią, jakby pragnąc rozszarpać ją pazurami.

— Nigdy, słyszysz! Ty umrzesz pierwsza... a gdy już nie będziesz żyć, pójdę do niego! oznajmię mu twoją śmierć, powiem mu, że przed zamordowaniem ciebie, uczyniłam z ciebie nierządnicę!

— Nieszczęsna! — wybuchła Beatrix.

— Wiedz bowiem, — mówiła dalej Lukrecja, — nieprzytomna ze wściekłości, — wiedz, że jest ktoś, kto cię pragnie, kto pożąda twego ciała, kto skala twą niewinność swemi pocałunkami! Owym kimś, którego ty nienawidzisz, przed którym czujesz lęk, jest mój brat — Cezar! Odwiozę cię do niego, wydám cię na łup jego namiętności.

— Nie uda ci się to, — zawołała Primavera, nie panując nad sobą, — umrzesz, nędznicu!

Gwałtownym ruchem dobyła z za gorsu krótki, ostry sztylet, z którym nie rozstawiała się nigdy. Lukrecja jednak odskoczyła wtył... Zanim Primavera zdążyła rzucić się na nią, ostre gwizdnięcie przeszło powietrze, drzwi izby otworzyły się gwałtownie i czterech mężczyzn rzuciło się na księżnę, obezwładniając ją.

— Wyprowadzić ją stąd, — rzuciła rozkaz Lukrecja, ochryplym głosem.

Straszliwe ręce, ręce brutalne i gwałtowne porwały Primaverę. Po chwili znalazła się w zamkniętym na głucho powozie.

Lukrecja przebrała się szybko w strój męski, potem wypadła na podwórko, dosiadła konia, którego jeden z jej ludzi trzymał za uzdę, dogoniła powóz pędzący drogą.

Szalona jazda trwała przez całą noc.

Powóz toczył się urwistemi, górskimi drogami. O świcie byli już daleko od Monteforte i od obozu

wojsk sprzymierzonych. Wjechali teraz na dolinę, zniżając się ku morzu.

Podróż trwała trzy dni i trzy noce. Lukrecja przez cały czas nie komunikowała się wcale ze swą branką. Jedynie tylko co rano i co wieczór, któryś z eskortujących powóz mężczyzn uchylał drzwiczki, wstawiał do wnętrza koszyk z jedzeniem, potem zamykał drzwiczki na klucz.

Primavera, gdy ochłonęła z pierwszego wrażenia po brutalnym napadzie na nią żołdaków Lukrecji, odzyskała zimną krew. Przedewszystkiem sprawdziła, czy ma przy sobie swój niedostępny sztylecik; gdy się upewniła, że jest, zaczęła rozmyślać nad możliwościami uniknięcia straszliwej hańby, jaką zagroziła jej Lukrecja. Na ustach jej wykwitł dumny i śmiały uśmiech.

Postanowiła sobie, że jeśli nie zdoła wymknąć się z rąk Lukrecji, może zawsze szukać ucieczki w śmierci. Jej smukła rączka poglaskała złotą rękojeść sztyletu. Przeniosła się myślami do Monteforte; myślała już to o ojcu, już też o księciu Manfredim, lecz najczęściej o Ragastensie. Myśl o tem, jak musi on cierpieć, doprowadzała ją do rozpacz.

U schyłku trzeciej doby, w nocy powóz zatrzymał się na wybrzeżu morza Śródziemnego. Tuż przy brzegu, w osłoniętej od wiatrów zatoczce stał na kotwicy mały stateczek.

Lukrecja zapaliła latarkę, weszła na siedzenie powozu i dała sygnał.

Po chwili na statku odpowiedziano podobnym sygnałem. Wtedy Lukrecja skreśliła parę wierszy ołówkiem na dwóch kartkach. Pierwszą kartkę podała jednemu ze swych przybocznych ze słowami:

— Do Tivoli!

Drugą wręczyła drugiemu...

— Dla księcia Cezara Borgii.

Obaj posłowie znikli natychmiast w mroku nocy, udając się w dwie różne strony.

Upłynęło kilka minut, poczem usłyszano miarowy

szum wioseł, a następnie z ciemności wynurzyła się szalupa i przybijając uderzyła dziobem o piaszczysty brzeg. Wtedy Lukrecja zwróciła się do dwóch pozostałych mężczyzn:

— Odstawicie powóz do Rzymu, — rzekła.

Kilku marynarzy, w ich liczbie kapitan stateczku, zeskoczyło na ziemię, pozdrawiając ukłonem Lukrecję, która otworzyła drzwiczki powozu mówiąc:

— Wyjdź pani, uprzedzam, że wszelki opór na nic się nie zda.

Beatrix wysiadła z powozu, oglądając się ciekawie dokoła. Spojrzenie to upewniło ją, że wszelki opór, lub też próba ucieczki istotnie na nic się nie zdały.

— Signora, — rzekł uprzejmie kapitan, podchodząc do Beatrix z odkrytą głową, — poproszę panią o wejście na pokład.

Podał rękę Primavera, chcąc pomóc jej wejść na statek; gardząc jednak ofiarowaną sobie pomocą, wsiadła sama do szalupy, zajęła miejsce na ławeczce i owinęła się w szal, pozornie obojętna na wszystko, co się dokoła niej działo. Lukrecja weszła do szalupy za nią. Szalupa odbiła od brzegu a po kilku minutach zatrzymała się przy stateczku.

Znalazłszy się na pokładzie, Primavera uczuła nowy przyływ rozpacz. Nie wiedziała, co się z nią stanie? Dokąd zawiedzie ją straszliwa nienawiść Lukrecji Borgii? Musiała dowiedzieć się prawdy za wszelką cenę.

— Dokąd mnie pani wieszysz? — zapytała wyniosłym tonem.

— Do mego pałacu na Caprerze! — odpowiedziała Lukrecja.

Primavera zadrżała zdjeta trwogą.

— O, Ragastensie! — szepnęła, gdzie jesteś?

Rzuciła na majaczące w dali morskie wybrzeże błędny wzrok, pełen bezgranicznej rozpacz.

XVIII.

UPADEK DOMU ALMÓW.

Ragastens święcie wypełnił pierwszą część przysięgi, uczynionej na żądanie księcia Manfredi'ego. Nie tylko że nie starał się spotkać z księżną lecz, aby nie ulec pokusie, zamknął się u siebie i nie ruszył się z domu ani krokiem. Pozostawało jeszcze wypełnić drugą część.

Jak wiemy, przysiągł pozwolić się zabić w najbliższej potyczce z wojskiem Cezara. Jako pan jego życia, książę Manfredi nakazał mu samobójstwo. Nadeszła decydująca chwila.

Nagle Ragastens uczuł ostry żal za życiem, z którego miał zrezygnować. Umierać, będąc kochanym! To straszne!

— Och, szepnął, umrę z godnością. Pragnę, by śmierć moja była apoteozą ogni ofiarnych! Chcę, aby *ona* żalowała tego, że zginę...

Potem nagle pomyślał:

— Umrzeć, nie widząc się z nią po raz ostatni! Ujrzeć ją bodaj zdaleka! Bodaj przez chwilę!

Zaczął przemierzać krokami pokój w gorączkowym podnieceniu. Wkrótce myśl o tem, że umrze, nie ujrzawszy Primavery, opanowała go całkowicie.

— Gdy pomyślę, że wystarczy tylko chcieć...

Rozmawiał ze sobą na głos. Przestraszył się metalicznego dźwięku swego głosu.

— Tak, powtórzył, wystarczy tylko chcieć! Kto może mi przeszkodzić? Jeśli spotkam tego starca, postawię się, powiem mu, że może mnie zasztyletować jeśli zechce... Lecz to zbyt okrutne zakazywać mi widzenia się z nią! To szaleństwo ten posłuch dla rozkazów zazdrosnego! Niech sobie ma prawo uśmiercenia mnie... niech tam! Lecz ona? Dlaczego mam o niej zapomnieć? Dlaczego skazywać ją na cierpienia? Ona jest również nieszczęśliwa, jak ja... może nawet więcej! Co myśli o mem nagłym zniknięciu?

Roześmiał się szeroko.

— A ten starzec, który sądził że czyni akt wielkiej wspaniałomyślności, nie zabijając mnie! Nie, nie! To nie może być. Obiecałem, że zginę; a więc zginąć muszę! Przysięgłem, że jej więcej nie zobaczę... otóż pod tym względem będę krzywoprzysięcą, ot i koniec!

Czoło płonęło mu gorączką, był półprzytomny. Rozkazał Spadacape'owi mieć na pogotowiu osiodłane konie. Chciał pójść do pałacu, aby ujrzeć Primaverę, bodaj nie rozmawiając z nią wcale; potem chciał wrócić do domu, dosiąść konia i pognać do obozu. .

Jeszcze przez kilka minut wahał się, kręcił się po pokoju, otwierał drzwi i zamykał, wkońcu zdecydował się nagle, zbiegł schodami, a już po chwili znalazł się na ulicy. W tej samej chwili wybuchły donośne okrzyki... ukazały się liczne pochodnie, popłynął długi orszak jeźdźców... Na czele jechał hrabia Alma i książę Manfredi!...

Ragastens spoglądał na nich osłupiały, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Orszak zatrzymał się przed nim. Książę dostrzegł go:

— Mości Ragastensie, zabieramy cię ze sobą... Hrabia Alma chce cię zaprosić na radę wojenną, jaka ma się odbyć w obozie.

Ragastens zachwiał się na nogach, jakby rażony obuchem. Natychmiast jednak jego ogromna siła woli przemogła wzruszenie. Szepnął cichutko z uśmiechem:

— Żegnaj, Primavera, żegnajcie: wiosno, życie i moja miłość!

Dodał donośnym głosem:

— Konia! Oręż!

Spadacape był już przy nim, trzymając za uzdę Kapitana. Ragastens szepnął Spadacape'owi słów kilka na ucho. Ten odpowiedział mu skinieniem głowy. Ragastens skoczył na siodło i orszak ruszył stępą ulicami Monteforte, odprowadzany w przejeździe o-

krzykami ludności, wymachującej pochodniami. Godzina była późna... prawie północ.

W chwili gdy orszak hrabiego Almy i księcia Manfrediego mijał bramy miejskie, jakiś jeździec przyłączył się do orszaku i z nim razem wyjechał za miasto. Jeździec ten trzymał się nieco na uboczu.

Powoli pozwolił się wyminąć, i niezauważony przez nikogo, pozostał w tyle. Wtedy zsiadł z konia; zaraz potem jął powoli, poomacku wspinać się po skałach. Po dwugodzinnej pracy znalazł się na płaskim szczycie, zwisającym nad Djablim Wąwozem.

Mężczyzna ten usiadł przy skale, u której podnóża rozciągał się gęsty dywan mchu i traw. Wkrótce usnął twardo.

Był to mnich Garconio.

Spadacape nie wyruszył do obozu sprzymierzonych wraz ze swym panem.

Zaraz po jego przyjeździe udał się również w drogę, opuścił miasto i, dając się poznać straży jako koniuszy kawalera de Ragastensa, pojechał drogą, wiodącą do oberży „pod Głową“.

Oberża ta była teraz opuszczona i samotna. Spadacape, minawszy skałę, mającą kształt głowy, pogalopował wprost na opuszczoną oberżę. Do tyłu siodła miał przytroczone duże zawiniątko, z wyglądu podobne do wiązki zwiniętych powrozów.

Wkrótce stanął przed oberżą „pod Głową“. Jej właściciele i mieszkańcy zbiegli do Monteforte.

Dawny łotrzyk, obecnie koniuszy i zaufany kawalera zszedł do piwnic. Ciągnęły się one już pod zwalami skał, głęboko pod ziemią.

Na wysokości dwóch pięter schodziło się i wchodziło do piwnic wykutemi w skale schodami. Spadacape zszedł na niższe piętro. Dzieliło się ono na trzy oddziały; pierwszy z nich zamykały zwykle drzwi, drugi i trzeci — żelazna bardzo mocna krata. W ostat-

niej to piwnicy znajdowała się owa sławetna dziura, wykopana przez samego szatana, jego widłami.

Gdy Spadacape dotarł do ostatniej piwnicy, ukląkł przy otworze, który oberżysta pokazał swego czasu Ragastensowi, jako namacalny dowód prawdy swych słów. Spadacape przyniósł ze sobą ów tajemniczy tobolek, podobny z wyglądu do wiązki powrozów. Istotnie był to powróż. Spadacape uciął z niego kawał kilkumetrowej długości i spuścił jeden jego koniec do wnętrza otworu...

Po zakończeniu swej tajemniczej roboty Spadacape, zabrawszy resztki powrozu, opuścił piwnicę.

Teraz zmierzył w kierunku Monteforte, posuwając się wzdłuż skał, piętrzących się nad Djablim Wąwozem. O sto kroków od oberży przystanął na dziesięć minut przed jedną ze skał; to samo uczynił nieco dalej, jeszcze dalej i jeszcze dalej.

Gdy wrócił do oberży nie zostało mu już nic z tajemniczego powrozu, przywiezionego z Monteforte.

Księżę Manfredi i hrabia Alma przybyli do obozu o pół do trzeciej rano, pędząc cały czas galopem lub ostrym kłusem. Natychmiast zwołano w namiocie hrabiego Almy radę wojenną.

Z wiadomości dostarczonych przez najbardziej wysunięte pikiety, wynikało, że armja Cezara po przegrupowaniu się rozłożyła się przed jego obozem, tworząc silnie zwartą jednostkę bojową. Nie ulegało wątpliwości, że już o świcie nastąpi wściekły atak.

W namiocie hrabiego Almy radzono.

Ragastens wyprowadzony z równowagi nagłem spotkaniem z księciem Manfredi'm, powoli odzyskał zimną krew.

— Mości de Ragastens, chcemy usłyszeć pańskie zdanie, zagadnął hrabia Alma.

— Przeciw skoncentrowanym siłom Cezara należy pchnąć również wszystkie nasze siły. Panie hrabio, uważam, iż cała armja sprzymierzonych musi za-

stąpić nieprzyjacielowi drogę i bronić przedewszystkiem wężu.

— Opinia kawalera jest bardzo mądra, rzekł książę Manfredi z ironją, która zdziwiła wszystkich obecnych, jestem jednak wręcz przeciwnego zdania: winniśmy skorzystać ze skoncentrowania armji nieprzyjacielskiej, aby ją otoczyć i zaatakować ze wszystkich stron...

Jedynie plan Ragastensa był wykonalny ze względu na stan ilościowy wojsk sprzymierzonych w porównaniu do liczebności wojsk Cezara.

Plan księcia Manfrediego był zbyt śmiały. Do niego jednak przychyliła się cała rada. Ragastens nie upierał się przy swoim.

Około czwartej zakończono obrady. Zaświtał dzień. Na rozkaz Manfrediego zagrały trąby, oddziały wojsk sprzymierzonych ruszyły na obóz Cezara rozwijając linię w miarę posuwania się naprzód. Hrabia Alma, książę Manfredi i Ragastens znajdowali się w samym środku otwierającego się coraz szerzej wachlarza atakujących oddziałów.

Armja Cezara nie ruszała się z miejsca. Nagle wojska sprzymierzone przy dźwiękach trąb i piszczałek rzuciły się na wroga. Atak był gwałtowny i bitwa zawrzała na całej linii.

Cezar pozwolił się otoczyć. Teraz jednak obawy Ragastensa ziściły się. Nie odpierając napaści z boków, Cezar pchnął naprzód wszystkie swe siły. Jak olbrzymi klin, ukuty z żelaza i stali, cesarowe oddziały werżnęły się z nieprzepartą mocą w sam środek armji sprzymierzeńców.

Przez pierwszą godzinę sprzymierzeńcy trzymali się dzielnie... popłynęła krew, jęły gromadzić się stosy trupów. Ragastens na czele konnego oddziału szarżował raz po raz. Parł prosto przed siebie, nie osłaniając się wcale, pchał się w największą zawieruchę — szukając śmierci.

Śmierć jednak nie chciała go!

W chwili gdy wracał z jednego z takich wypadów, paraliżujących ruchy wojsk tezarowych, ujrzał nagle, że hrabia Alma i książe Manfredi zostali otoczeni oddziałkiem Szwajcarów. Rzucił się w ich stronę na czele paru dziesiątków konnych. Nagle hrabia Alma padł z szyją, przebitą ostrzem lancy. Padł martwy z rozkrzyżowanymi ramionami, i kureczowo zaciśniętymi pięściami... pławiąc się w kałużach krwi.

Dokoła jego zwłok zawrzała zaciekły bój. Gdy Ragastens ujrzał, że książe Manfredi pozostał sam, otoczony nieprzyjacielem ze wszystkich stron, olśniła go nagle myśl.

— Teraz wybiła moja ostatnia godzina!

Jednocześnie przypuścił szarżę do wroga, wydając straszliwy okrzyk wojenny, potężny i chrapliwy.

Okrzyk taki pada z piersi walczących na polu bitwy, okrzyk taki dobywa z ludzkich piersi groza śmierci.

W mgnieniu oka spadł już na kark Szwajcarów, otaczających księcia. Starzec bił się z gołą głową, był zalany krwią... straszny... Na widok Ragastensa uśmiechnął się. Ragastens widział ten uśmiech i zawołał:

— Dotrzymuję słowa!

Atak jego był cudem szaleństwa! Odrzucił precz szpadę i spadł na nieprzyjaciela, jak huragan, pchając swego rumaka wprost na las lanc. Po paru minutach niesamowitego zamieszania zdrów i cały stał po środku dużej pustej przestrzeni... przed sobą widział wał uciekających, oszalałych zabobonną trwogą żołnierzy.

Nagle o parę kroków od niego rozległ się huk wystrzału z rusznicy. Kula gwizdnęła mu koło ucha. Za plecami usłyszał głuchy okrzyk, w którym zabrzmiała bezgraniczna rozpacz.

Odwrócił się. Ujrzał księcia Manfrediego, staczającego się z konia i padającego na ziemię tuż przy zwłokach hrabiego Almy.

Ragastens zeskoczył z siodła i podbiegł do księcia.

Starzec otrzymał postrzał w samą głowę. Żył jeszcze. Toczył konwulsyjnie wzrokiem dokoła, czyniąc nadludzkie wysiłki, aby się podnieść, gdy Ragastens pochylił się nad nim, Manfredi uspokoił się... Szukał go wzrokiem.

— Panie, rzekł Ragastens, jakimś dziwnym głosem, jesteś świadkiem, że czyniłem wszystko możliwe, aby dotrzymać słowa.

— Tak, — rzekł książę, potakując kiwnięciem głowy.

— Nie udało mi się... lecz jeszcze bitwa nie skończona... Umrzyj pan w spokoju... Dogonię pana na tamym świecie...

— Nie trzeba! — wybełkotał z trudem starzec.

— Jakto nie trzeba?

— Nie... chcę... nie... chcę!

— Nie chcesz pan mojej śmierci? — wykrzyknął Ragastens, pijany radością.

— Tak... nie chcę...

— Dlaczego? och! dlaczego?

— Żyj... dla... niej!...

Ragastens ukląkł, łzy zaczęły spływać mu po policzkach, wymywając dwie jasne brózdki na czarnem od pyłu i prochu obliczu. Manfredi chciał jeszcze mówić. Głowa jego podniosła się powoli, a potem ciężko opadła. Westchnął... Wszystko było skończone... Książę Manfredi wyzionął ducha.

Wtedy Ragastens pochylił się nad zwłokami, podniósł jego bladą... zakrwawioną głowę i złożył długi pocałunek w miejscu, gdzie przeszła ją kula. Gdy się podniósł, był blady, jak trup... usta jego były czerwone od krwi... Twarz miał podobną do jakiejś straszliwej, krwawej maski.

Potoczył dokoła spojrzeniem i ujrzał Kapitana, który, nie chcąc odstąpić swego pana, powłókł się za nim aż na opustoszałe pobojowisko.

Ragastens podniósł szeroki miecz księcia Manfrediego, wskoczył na konia i, wstrząsany burzą sprzecznych uczuć, zaczął zastanawiać się nad sytuacją.

Szefowie wojsk sprzymierzonych, którym los pozwolił pozostać przy życiu, zgromadzili się dokoła niego. Bitwa była przegrana, a porażka zakrawała na ostateczną klęskę. Wojska sprzymierzone uciekały we wszystkie strony, porzucając broń i śpiesząc ukryć się w szyi wąwozu.

— Jesteśmy zgubieni, — rozległ się tuż przy Ragastensie jakiś głos.

Kawaler odwrócił się i ujrzał Juljusza Orsiniego.

— Cezar zamierza iść na Monteforte, — mówił Orsini dalej.

— Niech sobie idzie! — odpowiedział Ragastens.

Zwrócił się półgłosem do Orsiniego:

— Mój drogi, postaraj się zgromadzić możliwie największą ilość naszych i rzuć się do ucieczki przez wąwóz... Pozwól Cezarowi gonić za tobą aż pod mury Monteforte.

— Nie rozumiem twego planu...

— Czy ufacie mi?

— Bezgranicznie...

— A więc uczynicie tak, jak powiedziałem...

— A ty?

— Ja?.. przygotuję dla jego książęcej mości księcia Cezara Borgii niespodziankę w moim stylu...

— Dobrze więc... ty jesteś naszą ostatnią ucieczką... liczymy jedynie na ciebie...

Podczas gdy Juljusz Orsini kazał odtrąbić odwrót, i wraz z pozostałym oddziałem niedobitków zagłębił się w szyi Djablego Wąwozu, Ragastens oddalił się pędem z pola bitwy.

Już po pół godzinie zaczął wspinać się mozolnie po niedostępnej poprostu spadzistości gór. Wkrótce był zmuszony zsiąść z konia. Kapitan jednak szedł za swym panem; dzielny towarzysz jego doli i niedoli, nie odstępował go ani na krok, węsząc za nim i rżąc... Po godzinie takiego wspinania się Ragastens znalazł się u szczytu góry, na jej płaskim wierzchołku. W tej samej chwili ujrzał tyły armji Cezara, zagłębiające się w wąwozie, wiodącym do Monteforte.

Ragastens dał odsapnąć na chwilę Kapitanowi. Płaski wierzchołek był jak okiem sięgnąć pusty. Wtedy kawaler dosiadł znowu konia i pomknął, jak huragan, w kierunku skalnej Głowy.

Mnich Garconio spędził noc całą spokojnie pod gołym niebem na pościeli ze mchów. Chłód rosy porannej. zbudził go. Podniósł się z ziemi, otrząsnął się i wybuchnął śmiechem.

— Oto Cezar sunie ze swemi wojskami... dwadzieścia tysięcy żołnierza!... — rzekł głośno. To klęska dla sprzymierzonych... Ach! mości Ragastensie, wybił dzień wielkiego odwetu!

Mnich upatrzył sobie wygodne miejsce, z którego mógłby przyjrzeć się ostatecznej porażce sprzymierzonych i przekonać się naocznie, czy Ragastensowi uda się uniknąć śmierci. Szedł górami, aż wreszcie znalazł się przy oberży „pod Głową“. Nie zatrzymał się tam jednak. Udał się nieco dalej i obrał sobie wygodne stanowisko, skąd mógł wspaniale widzieć wszystko, co się działo w wąwozie.

W tej właśnie chwili rozpoczęła się walna bitwa, której odgłosy dochodziły do uszu Garconia. Mijały godzina za godziną. Garconio, który zaopatrzył się przezornie w żywność, zabrał się z zimną krwią do jedzenia, nie przestając przyglądać się wąwózowi i bitwie.

Nagle zgiełk bitewny przybliżył się. Spojrzał na dół ciekawie. Ujrzał biegnących żołnierzy z oddziałów wojsk sprzymierzonych; byli to pierwsi uciekinierzy, którzy wpadli w wąwóz, zmierzając w stronę Monteforte. Po chwili za pierwszymi nadbiegli inni, coraz więcej wreszcie całe oddziały zaczęły pędzić w panice odwrotu... teraz gnał już cały tłum... tłocząc się, rzucając broń w przerażeniu, tratując słabszych i tych, którzy padli na ziemię w ucieczce... Ranni wlekli się z trudem kamienistą ścieżką, konni śpieszyli naprzód, pragnąc wyprzedzić tłum pieszych.

— A mówiłem, że tak będzie — wykrzyknął Gar-

conio, nieprzytomny z radości. Lecz nie widzę jakoś Ragastensa! Pójdę nie zwlekając na pobojuwisko... przeszukam je starannie... muszę go odnaleźć. Gdyby nawet przyszło mi oglądać wszystkie trupy jednego po drugim!

Teraz w wąwozie roilo się od ludzi. Zdawało się, że jakieś nieskończenie wielkie ludzkie mrowie, zaskoczona niesamowitą katastrofą, płynie, przelewa się, wylekła, osłupiała... prażone gorącymi promieniami obojętnego, nielitościwego słońca.

Za tą wylekłą bandą ciągnęły oddziały regularnego wojska, które również cofało się, staczając z nieprzyjacielem walkę.

Krzyki i wrzaski, płynące z tego bezładnego tłumu, były straszne. Wreszcie ukazały się czołowe oddziały wojsk Cezara.

Posuwały się one we wzorowym porządku, zwartymi szeregami, pełżyły naprzód, jak potworne zwierzę, najeżone kolcami...

— Monteforte lada chwila zostanie zdobyte! — wykrzyknął mnich.

Potem dodał dławiąc się wzruszeniem:

— Śród nich niema Ragastensa! Padł na pobojuwisku! Zaraz się przekonam!

Armja Cezara posuwała się naprzód. Mnich wychylony z poza skał, wisiał nad samą przepaścią, dygotał z radości i wył.

Nagle straszliwy huk w stronie Monteforte wstrząsnął powietrzem.

Wychylił się jeszcze bardziej i ujrzał gęsty słup dymu, ulatujący w powietrze, a wraz z dymem olbrzymie bryły skalne i drobniejsze kamienie; potem dym się rozproszył; rozległy się jęki, wycie, oddziały Cezara zaczęły się cofać. Deszcz drobnych kamieni posypał się na cofających się zwycięzców... zabijając i raniąc całe plutony.

— Co się stało? — szepnął mnich osłupiały z przerażenia.

Po chwili rozległo się echo nowej detonacji, tym razem już o wiele bliżej od Garconia.

Znowu podniósł się słup dymu, znowu spadł deszcz kamieni, znowu rozległy się jęki ludzkie i wycia wściekłości i bólu. Wojska Cezara chciały się cofnąć, tylne jednak szeregi napierały na front... dzięki czemu wynikło niesamowite zamieszanie.

Mnich zaklął straszliwie. Potem poskoczył na płaski szczyt, zmierzając w stronę oberży. O kilkaset kroków od siebie ujrzał wtedy, mężczyznę, pochylającego się tuż nad ziemią i zapalającego lont. Gruchnął trzeci jeszcze straszliwszy huk. Na dole rozległy się znowu jęki i wrzask zmieszanych głosów.

Tajemniczy mężczyzna sam jeden zamierzał zniszczyć całą armję.

Garconio podniósł do nieba zaciśnięte pięście, wydając głośnie przekleństwo. Poznał w nieznanym Ragastensa.

Kawaler, przeskakując przez skały, zbliżał się wciąż do upuszczonej oberży. Raz jeszcze pochylił się, raz jeszcze błysnął ogień... raz jeszcze rozległo się echo wybuchu.

Podobny do mitycznego Tytana, Ragastens druzgotał skały, aby zmieść całą armję z powierzchni ziemi. Poskoczył raz jeszcze... piąty wybuch wstrząsnął olbrzymami skalnymi.

Mnich wylękły i przygnębiony tem, co widział, spoglądał na tragiczny obraz zniszczenia, jak na jakąś straszliwą senną zmore.

Ujrzał wreszcie, jak Ragastens wpadł do wnętrza oberży, której drzwi przed chwilą otworzyły się, aby go wpuścić. Teraz kawaler zaczął zbiegać pośpiesznie schodami, wiodącymi do lochów.

— Och! Szatan w ludzkim ciele! Straszliwy Szatan! — zgrzytnął Garconio.

Blady, ze zjeżonym ze strachu włosem, oszalały wściekłością, rzucił się za kawalerem na schody i jął schodzić na dół... coraz niżej i niżej... Przebiegł pędem dwie pierwsze piwnice, tonąc w półmroku, i ujrzał na-

gle Ragastensa, zapalającego długi lont, połączony z prochem.

Lont zaczął się już tlić. Wtedy Ragastens podniósł się z klęczek, wyszedł z ostatniego loszku i odruchowo zasunął za sobą żelazną kratę. Podeszedł do drugiej kraty, nie śpiesząc się wcale.

Nagle usłyszał wybuch przeraźliwego, ostrego śmiechu, śmiech ten przypominał śmiech Demonów z Dantejskiego piekła. Krata, za którą się w tej chwili znajdował, zatrzasnęła się powoli... Ragastens był uwięziony w drugiej piwnicy między dwoma żelaznymi zakratowanymi drzwiami.

Za jego plecami, w ostatniej piwnicy tlił lont, a ogień posuwał się powoli lecz nieubłaganie coraz bliżej... do kupy prochu, zsypanego na podłodze. Nie mógł zgasić lontu! W pierwszej piwnicy, tuż przed sobą, poprzez kratę, która się zamknęła, ujrzał jakiś czarny kształt... Był to mnich! Był to Garconio, który śmiał się, przylgnąwszy twarzą do żelaznej kraty.

— No i cóż, mości Szatanie? — warczał. Oto wpadłeś w swój własny potrzask!

Ragastens wzruszył ramionami i odwrócił się do niego tyłem.

— Zgiń! — ryknął mnich. Zgiń, ty przeklęty!

Wyskoczył z piwnicy. Próżno kawaler usiłował otworzyć dzielącą go od płonącego lontu kratę. Krata była zamknięta na klamrę, wwierconą do skały, bez klucza niepodobna było otworzyć...

Lont wciąż się tlił!

Ragastens obliczył, że pozostała mu najwyżej minuta życia. Skrzyżował na piersiach ręce, usiadł w kącie... zamknąwszy oczy, zaczął myśleć o tej, której obraz tak głęboko był wyryty w jego sercu.

— Żegnaj, Primavera! — szepnął.

Nagle zadrżał... na schodach rozległ się straszliwy tętent nóg pędzącego z całych sił człowieka. Do piwnicy wpadł mężczyzna z ciężkim młotem w rękę.

— Spadacape! — ryknął wielkim głosem Ragastens i przeskoczył do samej kraty.

Spadacape nic nie odpowiedział na jego okrzyk. Jął walić w kratę młotem, a uderzenia te były tak potężne, że mogłyby skruszyć bronzowe podwoje Zamku Świętego Anioła. Za trzeciem uderzeniem krata pękła. Ragastens wybiegł na schody.

Wtedy dopiero Spadacape porwał za kołnierz ciemną postać, leżącą na ziemi. Był to Garconio. Miał on związane ręce i nogi.

— Łaski! Łaski! Łaski! — wył, skręcając się jak robak...

Spadacape bez słowa odpowiedzi powlókł go do piwnicy i cisnął na ziemię tuż przy żelaznej kracie, za którą płonął lont. Sam rzucił się do ucieczki. Paroma susami dogonił swego pana, poczem obaj wybiegli pośpiesznie z lochu.

Nie zdążyli ujść więcej nad pięćdziesiąt kroków, gdy jeszcze straszliwszy od poprzednich wybuchów wybuch wstrząsnął powietrze ponurem echem. Ogromne bryły kamieni zachwiały się i zadygotały, a potem jęły wylatywać w powietrze. Śród tego deszczu kamieni Ragastens ujrzał szerniałe i okryte pyłem szczątki zwłok ludzkich. Potem cały ten upiorny deszcz lunął na ścieżki wąwozu z przerażającym trzaskiem.

Gdy obłoki kurzu i dymu spowodowane wybuchem, rozwiały się, — na miejscu, gdzie przed chwilą jeszcze stała oberża, nie było nic... Głowa skalna rozpadła się w proch, rozsypała, również, jak oberża..., znikła... W miejscu, gdzie stała skała i budynek, widać było jedynie olbrzymi, potwornie rozwarty, jak paszcza bajkowego zwierzęcia, otwór.

Podczas, gdy niedobitki armji Cezara uciekały, zdjęte panicznym strachem, Ragastens ze szczytu jednej z ocalałych skał, przyglądał się obrazowi zniszczenia, które było jego dziełem. Śród uciekających, wdali, ujrzał Cezara. Poznał go po jego karym koniu i po kicie na hełmie. Zaśmiał się nerwowo, głośno, niepowściągliwie. Całe jego długo tłumione zdenerwowanie znalazło wyraz w tym śmiechu.

W tej samej właśnie chwili, zupełnie tak, jakby mimo tumult i gwar uciekającej rzeszy, mógł usłyszeć ten śmiech, Cezar podniósł głowę. Zauważył Ragastensa. Pogroził mu wyciągniętą w jego stronę pięścią ruchem pełnym bezsilnej rozpacz.

— Do zobaczenia, wasza książęca mość! — wykrzyknął Ragastens całą siłą płuc.

Cezar porwany falą oszalałych przerażeniem uciekinierów, znikł nagle na zakręcie wąwozu. Wtedy Ragastens zwrócił się do Spadacape'a.

— Dziękuję! — rzekł wyciągając do niego rękę.

— Ach! panie! Cóż to za okropne bydlę było z tego mnicha!

— Tak... Gdyby jednak nie ty, nie on, lecz ja fruwałbym pod niebiosami... A więc widziałeś go, jak się skradał?

— Zupełnie przypadkowo. Ponieważ powiedziałeś mi pan, że chcesz osobiście podłożyć ogień pod przygotowane przez nas miny, usunąłem się na bok, w pewnym oddaleniu od oberży, aby móc podziwiać skutki wybuchu... Nagle, o kilkadziesiąt kroków ode mnie ujrzałem, że się grzebie coś czarnego... Wybuchy już rozpoczęły się... widok był wspaniały... Patrzą i widzę — to bydlę... chciałem powiedzieć: tego mnicha... Widzę, jak zaczyna biec nagle, jak szalony, zaczynam śledzić go bacznie... Nagle — rzuca się w stronę oberży, ja biegnę za nim... przybiegam w porę, aby słyszeć, jak wybuchnął swym szatańskim śmiechem... Podnoszę wtedy ciężki młot, leżący na podłodze w kuchni, staczam się po schodach... resztę zna już pan.

— Dziękuję ci, mój wierny towarzyszu! Już po raz drugi uratowałeś mi życie...

— Dobrze już! Ja zawdzięczam panu jeszcze więcej... Jeszcze się dostatecznie nie wywdziękuję za to, co pan dla mnie uczynił.

— Ale, ale, gdzie jest Kapitan?

— Przywiązałem go tam, na dole, pod klonami...

— Dobrze! odprowadzisz go do Monteforte.

— A pan?

— Ja wrócę wąwozem pieszo.

Istotnie zszedł zboczem płaskiego szczytu, trochę przed miejscem, na którym była założona pierwsza mina, potem zaczął schodzić coraz to niżej.

U podnóża skał zatrzymały się wojska sprzymierzone. Narazie nikt nie mógł zrozumieć, co mogą oznaczać owe następujące po sobie grzmoty. Gdy jednak ujrzano deszcz olbrzymich kamieni, gdy ujrzano rozsypującą się w gruzy skałę, która padając zmiażdżyła nacierające wojska Cezara, podniosły się entuzjastyczne okrzyki. Wszyscy zrozumieli, że Monteforte jest ocalone i że wojska Cezara uległy zagładzie.

Zapanowała powszechna obłędna radość. Zaczęto wznosić okrzyki na cześć nieznanego, który ocalił wojsko i miasto. Pozostali przy życiu dowódcy zgromadzili się, by przyjrzeć się i zdać sobie dokładnie sprawę z rozmiarów porażki nieprzyjaciela. Oni również zadawali sobie pytanie, kim był ów tajemniczy wybawiciel, który w ostatniej chwili, przy pomocy prochu, jak jakiś bożek, — władca piorunów, postanowił ocalić ich wszystkich. W tej właśnie chwili ujrzeli postać męską, schodzącą zboczem skalnym na dół.

— To Ragastens! — wykrzyknął Juljusz Orsini. Jak mogłem nie domyśleć się odrazu!?

Imię Ragastensa zaczęło przebiegać z ust do ust. Gdy wreszcie kawaler zszedł nadół, nie zdążył zeskończyć ze skały na ziemię; tysiące rąk wyciągnęło się do niego; porwano go w ramiona, zaczęto ścisnąć, dusząc nieledwie w uściskach. Po niebezpieczeństwie wylecenia w powietrze wraz z miną groziło mu teraz nowe: uduszenie przez przyjaciół.

Gdy już pierwszy wybuch entuzjazmu uspokoił się nieco, udano się w drogę do Monteforte. Ragastens dosiadł konia i jechał na przedzie, jak prawdziwy wódz naczelny, powracający do domu ze zwycięskiej wyprawy. Takie było życzenie wszystkich oficerów i pozostałych przy życiu dowódców.

Ragastens z bijącym sercem zbliżył się do pałacu hrabiego Almy.

— Już niema żadnego Almy, ani Manfrediego, któryby mógł poślubić księżnę! — powtarzał sobie w zamyśleniu.

Zobaczył, że się znajduje u stóp olbrzymich schodów, wiodących do pałacu. Podniósł wzrok, spodziewając się ujrzeć Primaveraę. Nie było jej jednak nigdzie...

— Pewnie dowiedziała się o śmierci ojca i księcia Manfrediego, pomyślał.

Zsiadł z konia. Dowódcy otoczyli go.

— Pójdź, kawalerze, — rzekł do niego Orsini. Tobie należy się zaszczyt opowiedzenia pani Beatrix, o przebiegu bitwy, ona bowiem jest teraz jedyną panią całego hrabstwa.

Ragastens w otoczeniu wojowników i panów wstąpił na schody, tłum zaś zalał plac przed pałacem.

Serce Ragastensa biło gwałtownie. Zbliżała się decydująca chwila w jego życiu. Wszyscy weszli na wielki korytarz.

Nagle podeszłego już wieku kobieta, rodzaj starszej dwórki księżnej Beatrix, zbliżyła się do Ragastensa i dwóch dowódców, którzy wraz z nim wstąpili na schody.

— Panowie, — rzekła, — muszę wam zwiastować straszliwą nowinę...

— Księżna! — wykrzyknął Ragastens, blednąc.

— Księżna Manfredi znikła, wielmożni panowie!

— Znikła?

— Zauważyliśmy to w nocy, mniej więcej w dwie godziny po odjeździe hrabiego i księcia. Czyniliśmy poszukiwania przez całą noc i dzień; niepodobna było natrafić na jej ślad. Jeden tylko oficer straży zapewnia, że widział ją opuszczającą Monteforte, nie może jednak nic powiedzieć o tem, w jaką udała się stronę.

Grobowa cisza zaległa przedsiónek pałacowy po tych słowach. Ragastens przez chwilę był oszołomio-

ny... Potem nagle padł, jak kłoda, z rozkrzyżowanymi ramionami.

XIX.

SYN PAPIESKI.

Upłynęło kilka dni. Cezar po wysłaniu do Tivoli posła, który miał polecone opowiedzieć Aleksandrowi VI o porażce w Djablim Wąwozie, zgromadził niedobitki swej armji o dwa dni drogi od Monteforte.

Liczba zabitych sięgała przeszło tysiąca. Rannych było trzy razy tyle. Wszystko to jednak było niczem wobec strasznej paniki, jaka ogarnęła jego wojsko. Lęk był tak wielki, że całe pułki odłączyły się od głównej kwatery i zdezerterowały.

Gdy Cezar stanął na swem nowem miejscu postoju, stwierdził z rozpaczą, że pozostało przy nim tylko trzy tysiące żołnierza.

Była to niepowetowana niczem klęska! Był to koniec jego dumnej kariery, był to zmierzch sławy niezwyciężonego kapitana, z którym dotychczas nie uważali sobie za ubliżenie traktować tacy monarchowie, jak np. Ludwik XII, król Francji.

Był to zmierzch wszystkich jego górnych marzeń. Na domiar złego po ośmiu dniach niepewności i niezdecydowania dowiedział się, że papież, przerażony również i obawiający się powszechnej rewolty, zbiegł do Lukrecji na wyspę Caprerę.

Przed dwoma dniami przybył do Cezara jeden z czwórki wiernych sług, których oddał do rozporządzenia Lukrecji. Wysłannik ten wręczył mu od siostry kartkę, zawierającą tylko te słowa:

„Gdy tylko zdobędziesz Monteforte, przyjeżdżaj natychmiast na Caprerę... Czeka cię tam miła niespodzianka“.

— Gdy tylko zdobędziesz Monteforte, przyjeżdżaj. Ta warjatka ani się domyśla, co się stało, nie przeczuwa również, jakie czekają nas teraz nieszczęścia!

Istotnie wiadomości, otrzymane z Rzymu, były co-raz to mniej pocieszające. Lud burzył się. Można było spodziewać się w najbliższej przyszłości powstania.

Pewnego wieczoru, gdy pogrążył się w smutnych rozmyślaniach, oficer, który trzymał straż przed jego namiotem, oznajmił mu przybycie margrabiego Rocasandy. Margrabia piastował urząd szefa rzymskiej policji.

Był on typowym dworakiem. Czuł wężem każdą katastrofę, jak również i przyszłe uśmiechy losu, wytężał całe swe siły, aby unikać pierwszych a wyzy-skać drugie. Cezar znał go dobrze, wiedział tedy, że przybycie jego nie zwiastuje nic pomyślnego. Kazał wprowadzić go niezwłocznie do namiotu.

— Przedewszystkiem, — rzekł Rocasanta, — stanąwszy przed obliczem Cezara, pozwól mi wasza ksią-żęca mość, że ci powinszuję tego, że cieszysz się już dobrem zdrowiem. Słyszeliśmy o tem, że byłeś ranny i cały Rzym przeżył chwile wielkiego niepokoju...

— Rana ta — to błahostka, — warknął Cezar. Mam twardą skórę, do wszystkich djabłów, a żelazo, któreby mnie miało wyprawić a d p a t r e s jeszcze nie ukute, przypuszczam jednak, że nie odbył pan po-dróży jedynie poto, aby upewnić się o stanie mego zdrowia, jakkolwiek jest ono dla pana drogocenne?

— Istotnie, wasza książećca mość,—odpowiedział Rocasanta, nie zwracając pozornie uwagi na ironję, z jaką słowa Cezara były wypowiedziane. Istotnie przywożę waszej książećcej mości ważne nowiny... Och! nic jeszcze niema straconego!

— Tam do diabła! — sprawy muszą stać źle, je-śli z ust twoich padają takie słowa!

— Osądź, wasza książećca mość, sam... Lud Rzymu jest w stanie całkowitej rebelji. Wieś podnosi również głowę. Wszędzie tworzą się bandy powstańców.

Cezar wymierzył pięścią straszliwy cios w lekki stolik, na którym stały napoje. Stół wraz z szklankami przewrócił się na ziemię. Margrabia ani drgnął.

— Ci nędznicy, ciągnął dalej nie ośmielili się wy-

ruszyć na Watykan, albo na zamek Św. Anioła; nie mają oni przywódcy i sami się boją swego zuchwalstwa. Nie mogę jednak ukrywać, że za kilka dni, może najpóźniej za tydzień, powstańcy opanują Zamek.

Cezar przez chwilę spacerował po namiocie gorączkowym krokiem. Potem, stając przed szefem policji, rzekł:

— Lecz kto mógł podniecić umysły tych głupców?

— Kto? Nikt; — powiedziałem już: nie mają żadnego przywódcy, wobec czego nic jeszcze niema straconego. Uciekłem się do jedyne go sposobu, który rząd zawsze ma do rozporządzenia, ilokrotnie ci żebracy ośmielają się wyrazić swe niezadowolenie. A więc: masowe areszty, doraźne egzekucje na chybił trafił... Tym razem jednak, niestety, nic to nie pomogło! Ach! wasza książęca mość, świat schodzi na psy!... poczucie posłuszeństwa niknie... znajdują się ludzie, którzy śmiało rozumować!

Cezar spojrział zezem na margrabię. Wyczuł w tonie jego głosu ukrytą ironję. Postępowanie to ze strony takiego, jak on, człowieka wstrząsnęło Cezarem więcej, niż się do tego chciał przyznać przed sobą samym. Wstrząsnęło nim również więcej nawet, niż przywiezione przez niego złe nowiny.

— Nadomiar złego, ciągnął dalej Rocasanta, Jego Świętobliwość uważał za odpowiednie w takiej właśnie chwili udać się w podróż na Caprerę. Uchowaj mnie Boże od sądzenia czynów Ojca Świętego, któremu oby Bóg dał długi żywot! Jednakowoż...

— Jednakowoż ojciec mój przestraszył się, nieprawdaż? Pozwalam ci być szczerym, margrabi...

Rocasanta rozłożył bezradnie ręce. Cezar jął krążyć po swym namiocie, jak dzikie zwierzę po klatce. Przyglądał się margrabiemu, pragnąc odgadnąć jego intencje.

— Co mi radzisz? — zapytał go nagle.

— Nareszcie! — pomyślał margrabia.

— Powiedz mi, co o tem wszystkiem myślisz, drogi margrabi? Znasz doskonale sytuację. Nikt, prócz

ciebie, nie jest w stanie udzielić mi lepszej i skuteczniejszej rady.

— Wasza książęca mość, — rzekł poważnie Rocasanta, — czy upoważniasz mnie do zupełnej szczerości?

— Rozkazuję ci mówić zupełnie szczerze!

— A więc dobrze, oto jest moje zdanie. Jedna jest tylko władza, która może mieć wpływ na zbuntowany tłum, władzą tą jest władza duchowna. Jedyne majestat papieski może jeszcze zmusić buntowników do ugięcia czoła. Potrzebny tu jest papież, któryby powrócił do Rzymu w całym blasku swej władzy, otoczony tysiącem księży, kardynałów i biskupów. Lecz do tego wszystkiego potrzeba papieża innego... nie starca... Potrzebny jest nam teraz papież młody, silny, odważny, któryby pod swą sutanną miał ukryty sztylet, aby przebić nim pierwszego szaleńca, któryby się odważył pisnąć bodaj słowo!

Mówiąc to wszystko, margrabia spoglądał badawczo na Cezara. Ten zbladł.

— Tak, myśl jest śmiała i wielka...

— A gdyby taki młody papież, o którym wspominałem, był jednocześnie wielkim i sławnym ze swych zwycięstw wojownikiem, gdyby za baldachimem papieskim kroczyło regularne, silne wojsko, podczas gdy księża intonowałyby kościelne śpiewy, podczas, gdy przed pochodem pobłyskiwałyby złoty krzyż, a pod niebo wzbijałyby się kadzidlane dymy... rzecz zrozumiała, że wszelki bunt wygasłby tak szybko, jak się zrodził. Wtedy władza papieska skonsolidowałaby się, przypuszczam, na długo, a przynajmniej na tak długo, ażby się udało ostatecznie stłumić buntownicze zakusy tłumy.

— Dosyć, Rocasanta, dosyć! — zawołał Cezar podnieconym głosem.

Zajrzał badawczo w oczy margrabiemu.

— A więc chcesz, abym ja przywdział tjarę?

— Tak, wasza książęca mość, — odpowiedział

szczerze Rocasanta. — Jest to jedyny sposób uratowania sytuacji.

— Ale, — rzucił Cezar posępnym tonem, — na to, żebym został papieżem, ojciec mój musi być złożony z piastowanej przez niego godności. Nigdy konklawe...

— Może przecież umrzeć! — przerwał mu stanowczym tonem Rocasanta. — Bóg mi świadkiem, że chętnie oddałbym życie, aby przedłużyć dni Ojca Świętego! Lecz... ostatecznie .. jest już stary... morze przy brzegach Caprery i Sardynji — burzliwe... o wypadek nie trudno...

Cezar nie słuchał go. Nie słuchał już dłużej słów demona-kusiciela, który wsiał w jego duszę ziarno ojcobójczych zamiarów. Pogrążył się w posępnych rozmyślaniach. Tyle już razy błyskała mu w głowie myśl zamordowania ojca, tyle razy podczas bezsennej nocy, dręczony ambitnymi marzeniami, rozmyślał o tem, by z prostego kondotjera, bijącego się na czele swych najemnych wojsk, stać się nagle, za jednym zamachem równym największym władcom tego świata... królem!

Rozmyślania Cezara trwały długo. Teraz Rocasanta milczał i czekał. Wreszcie Cezar podniósł głowę i szepnął:

— Trzebaby mieć człowieka pewnego... aby go móc posłać na Caprerę...

Margrabia zrozumiał, co chciał przez to powiedzieć: był to wyrok śmierci na Aleksandra VI.

— Wasza książęca mość, — powiedział, tak obojętnym głosem, jakgdyby nic strasznego nie zostało przed chwilą postanowione. Wasza książęca mość, jeśli jest jakieś dyskretne zlecenie na Caprerę, mogę wskazać odpowiedniego człowieka...

— Któż to taki?

— Młodzieniec, którego zalety mogłem dostatecznie ocenić: jest to lektor Jego Świętobliwości.

— Ksiądz Angelo! — zawołał pogardliwie Cezar.

— On właśnie, wasza książęca mość. Nie mów o nim nic złego; posiada on nieocenione poprostu zalety!

Przedewszystkiem jest ambitny! Otóż ambicja, wasza książęca mość, to świetna broń! Ten, kto działa z przywiązania, może się pomylić; nieraz błądzi po ciemku, szuka... ten, kto działa pod wpływem zemsty, złym jest sługą: zapomina o wszystkim, chcąc jedynie działać na własny rachunek; ambitny zaś, przebiegły sługa, gotowy do spełnienia najzawilszego zadania, osiągnie zawsze dobre wyniki, jeśli posiada zimną krew. Rozwiń, wasza książęca mość, przed przeciętnym człowiekiem, powiem więcej nawet, przed zwykłą miernotą perspektywy jakiejś godności, do której wzdycha w głębi serca, wskaż mu możliwość zdobycia jej, połącz jego ambicję... a człowiek taki stanie się najbardziej oddanym ci sługą. Zdradzi, jeśli każesz mu zdradzić; przyzwyczai się do myśli o zdradzie. Niechby go wtedy Aleksander VI darzył największymi nawet łaskami, on marzy w swem ukryciu o mitrze biskupiej; dziś jeszcze zdradzi Aleksandra Borgia, jeśli Cezar Borgia obieca mu ową wymarzoną mitrę. Ach! wasza książęca mość, jeśli będziesz chciał kiedy przeprowadzić jakąś trudną sprawę, nie wybieraj na jej wykonawcę ani człowieka oddanego sobie, ani takiego, któryby działał pod wpływem nienawiści, wybierz ambitnego, wybierz sobie księdza Angela!...

— Zdaje mi się, że masz, margrabio, rację, — rzekł Cezar w zamyśleniu. — Powiadasz więc, że ksiądz Angelo chce zostać biskupem?

— W oczekiwaniu czegoś jeszcze lepszego...

— Nie widzę żadnych przeszkód...

— W takim razie pośpiesz się, wasza książęca mość, już powiedziałem: czas nagli. Rzym buntuje się. Należy uczynić wielkie posunięcie, stworzyć dokoła siebie atmosferę podziwu, albo też i lęku.

— Gdzie jest ten klecha? — zapytał nagle Cezar.

— Pozostał w Tivoli. Czy każesz mi się z nim widzieć, wasza książęca mość?

— Nie. Sam pojedę do Tivoli. Wracaj wprost do Rzymu! Ile czasu możesz się jeszcze trzymać?

— Kilka dni. Lecz, jeśli będę wiedział, że okolicz-

ność, o której była mowa, dojdzie do skutku, doda mi to sił. Kilka zręcznie puszczonej po mieście wieści dużo zdziałać może.

— Odejdź tedy, drogi margrabio. Wiedz, że twoja karjera jest ściśle związana z moją.

— Czy byłbym tu w tej chwili, żebym w to nie wierzył?

Z temi słowy Rocasanta pożegnał Cezara i udał się natychmiast w drogę powrotną.

XX.

KSIĄDZ ANGELO.

Cezar Borgia po powierzeniu dowództwa swemi wojskami jednemu ze starych żołdaków, jakimi się zwykł otaczać, udał się do Tivoli w otoczeniu kilku zaufanych. Nazajutrz przed wieczorem był już na miejscu.

Zaledwie wszedł do apartamentów, które zamieszkiwał zawsze jego ojciec, kazał przywołać księdza Angelo. Gdy ten stanął przed nim, zaczął mu się przyglądać z zaciekawieniem.

Ksiądz Angelo miał około dwudziestu czterech, a może dwudziestu pięciu lat. Wyglądał jednak najwyżej na dwadzieścia. Pozornie przynajmniej był typowym kapelanem dworu: układny, grzeczny, uperfumowany, wyróżzowany, zawsze ubrany według ostatniej mody. Cerę miał różową, świeżą, wyraz twarzy niewinny, budzący zaufanie. Jego siwe oczy potrafiły jednak czasem rzucać niepokojące spojrzenia.

— Mój księżu, — rzekł Cezar, zasiadając w fotelu, — co myślisz o sytuacji?

Ksiądz Angelo drgnął. Nigdy jeszcze Cezar nie rozmawiał z nim poważnie. Nieraz bywał obecny na naradach rodzinnych, Borgiowie nie krępowali się bynajmniej jego obecnością: stał się meblem, do którego przyzwyczajono się... i już.

— Wasza książęca mość, — odpowiedział, siląc się na rumieniec, — tak poważne pytanie... zadane mnie, biednemu lektorowi Jego Świątobliwości... cóż za honor!

— Honor, czy nie, czekam na twą opinię. Mało jest ludzi inteligentnych... a jeszcze mniej prawdziwie oddanych sług... Ty jesteś jednym z owych rzadkich wyjątków: mów więc szczerze i nie owijając w bawełnę. Dobra rada w obecnej sytuacji, warta jest tyle, co wygrana bitwa.

Książdz nabrał pewności siebie. Narazie odurzony nagłym uśmiechem losu, nie omieszkał sobie powiedzieć, że, jeśli już Cezar chce zaszczycać go taką łaską, mając w Tivoli tylu doradców w osobach licznych kardynałów i biskupów, oznaczało to, że Cezar właśnie ma do niego jakiś ważny interes. To też odrzucił z twarzy maskę wesołości, jaką zwykle wobec ludzi przywdziewał. Spoważniał.

— Wasza książęca mość, oto moje szczere zdanie: jeśli nie zajdzie jaki pomyślny i niespodziewany wypadek, tak jak jest — jest rozpaczliwie źle. Najpoważniejsze i najtragiczniejsze zło polega wcale nie na tem, że wojska twoje, wasza książęca mość, doznały najniespodziewaniej pod słońcem porażki. Niepowodzenia, nawet największe, można naprawić... Najstraszniejsze jest to, że Jego Świątobliwość jest w tej chwili w takim usposobieniu, które skłania go do odgrozdzenia się od Rzymu morzem...

— Czy wiesz, waść, że jesteś bardzo inteligentny? Wszystko, coś mi powiedział, jest szczerą prawdą. Żałuję, że nie skorzystałem wcześniej z twego rozumu i przenikliwości. Człowiek tego pokroju, co ty, nie może zajmować podrzędnego stanowiska. Wszyscy nasi biskupi są zbyt starzy. Potrzebni nam są dusz pastersze energiczni i młodzi, tacy jak ty, Angelo. Jestem pewien, że ojciec mój nie pomyślał o tobie... A tymczasem w mitrze byłoby ci bardzo do twarzy...

Angelo lekko pobladł.

— Jeśliby Bóg i Ojciec Święty zechcieli powierzyć mi zarząd djecezją, sądzę istotnie, że nie pożałowaliby tego..

— Niestety jednak, jak już powiedziałem, ojciec mój nie myśli wcale o tobie...

— To prawda, wasza książęca mość!

Cezar milczał przez chwilę, jakgdyby pozostawiając księdzu czas do właściwego zrozumienia tego, co było powiedziane. Potem zaczął mówić dalej:

— Powiedziałeś, że jakiś doniosły wypadek mógłby zmienić na korzyść obecną sytuację. Jaki wypadek miałeś na myśli?

Ksiądz milczał. Podniesionym do góry palcem wskazał na niebo, jakby chcąc tem powiedzieć, że wypadek ten stanowi jeszcze tajemnicę, znaną jedynie Bogu. Cezar wstał z miejsca i zbliżył się do księdza:

— Co sądzisz o moim ojcu? — zapytał nagle.

Ksiądz zadrżał. Zrozumiał, że myśli ich obu błędzą jednakowo krętymi ścieżkami. Podniósł wzrok na Cezara i odpowiedział głucho:

— Papież jest bardzo stary... tylko tyle myślę...

— Wytłumacz się jaśniej... Mów... nie obawiaj się niczego...

— To, co już powiedziałem, jest wszystkim... Papież jest za stary... Jest zmęczony... Panowanie jego było bardzo świetne, po trzykroć święte... lecz panowanie wyczerpuje...

— Sądzisz więc, że Rzymowi potrzebny byłby papież młodszy?

— Sądzę, że sile rewolty należy przeciwstawić siłę pięści...

Cezar przeszedł się parę razy po pokoju. Nagle zbliżył się do Angela:

— Co uczyniłbyś dla człowieka, za którego sprawą zostałbyś biskupem?

— Wszystko!

— Lecz aby obdarzyć cię tą godnością, należy być papieżem, nieprawdaż? Gdybym nim został, posiadałbyś, mój Angelo, mitrę.

Ksiądz czekał na dalszy ciąg rozmowy poważny i posepny. Zrozumiał, że wszystko, co teraz by się powiedziało, byłoby niepotrzebną gadaniną. Drżał nerwowo na całym ciele.

— Angelo, — ciągnął dalej Cezar półgłosem, — czy chcesz być biskupem, a nieco później kardynałem?

Ksiądz uklonił się nisko, prawie uklęknął i ledwo zrozumiałym głosem wyszeptał:

— Czekam na twe rozkazy, O j c z e Ś w i ę t y !

— Dobrze, — odpowiedział Cezar. — Widzę, że nie uczyniono mnie zawodu, polecając ciębie.

Teraz Cezar usiadł przy stole i zaczął pisać. Gdy już skończył, podał księdzu pergamin, na którym położył swój podpis.

— Przeczytaj to, — powiedział do Angela, — nie mamy już teraz przed sobą tajemnic. Zresztą poznanie treści tego listu uświadomi cię, czego czekam od ciebie.

Ksiądz Angelo jął odczytywać pismo bardzo uważnie, ważąc w myśli każde słowo:

„Droga Siostró!

„Ksiądz Angelo, oddawca niniejszego, w którym pokładam całkowite zaufanie, powie ci, dlaczego nie mogę natychmiast przyjechać na Caprerę. Za kilka jednak dni mam nadzieję odwiedzić cię. Spodziewam się, że ojciec nasz cieszy się dobrem zdrowiem, nie chcę jednak łudzić się zbyt pięknymi nadziejami. Gdy go widziałem po raz ostatni, zdawało mi się, że nie czuje się dobrze, to też obawiam się, że smutny koniec się zbliża. Gdyby nieszczęście to miało nas dotknąć w bliskiej przyszłości, ksiądz Angelo zawiadomi mnie o tem. Żegnaj, moja droga siostró. Ksiądz Angelo dopomoże ci w pielęgnowaniu naszego biednego ojca, co jest koniecznym w jego stanie. Obawiam się tylko, czy leki, które zabiera ze sobą dla chorego, będą w stanie radykalnie usunąć zło. Ciągnę na Rzym, gdzie będę

czekał od ciebie wiadomości z niepokojem, który chyba jest zrozumiały.

„Twój brat,

„C e z a r“.

Gdy ksiądz skończył czytanie tego listu, Cezar Borgia przyjrzał mu się badawczo.

— No i cóż, mój kochany, — rzekł ze straszliwym spokojem, tem straszniejszym, że, jak wiemy, podpisał przed chwilą wyrok śmierci na własnego ojca, — czy zgadzasz się ze mną co do stanu zdrowia mego ojca? Mów szczerze, nie owijaj prawdy w bawełnę, jakkolwiek smutną by ona była.

— Często i blisko obcowałem z Jego Świętobliwością, — odpowiedział zimno Angelo, — a doświadczenie dni ostatnich mówi mi, że wasza książęca mość, niestety, nie jest w błędzie!

— I l e w i ę c j e s z c z e d n i ż y c i a d a j e s z m u ?

Ksiądz Angelo pomyślał, jakby obliczając coś, potem dodał bez cienia niepokoju w głosie:

— N a j w y ż e j o s i e m d n i !

Okropne pytanie wyrodnego syna i nie mniej ponura odpowiedź księdza były wypowiedziane półgłosem.

Dwaj zbrodniarze zamienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenie. Zrozumieli, że wszystko już zostało dostatecznie omówione. Cezar otworzył okno i westchnął całą piersią, potem, zwracając się do księdza, rzekł:

— Natychmiast wracam do obozu. Potem, nie zwlekając, pociągnę na Rzym. A ty, księżę Angelo, kiedy zamierzasz wyjechać?

— Jutro rano...

— Dlaczego nie zaraz?

— Ponieważ muszę się zobaczyć z kimś, kto mi da nie od z o w n i e p o t r z e b n e l e k a r s t w a, a z tą osobą mogę się widzieć nie wcześniej, niż dziś w nocy.

NOCNE SPOTKANIE.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Cezar Borgia szykował się do ataku na Djabli Wąwóz, papież, który podówczas jeszcze mieszkał w swej willi w Tivoli, wyszedł pewnego wieczoru poza jej obręb w towarzystwie kilku osób ze swej świty, chcąc użyć przechadzki. Przechadzka ta przeciągnęła się dłużej, niż zamierzano pierwotnie.

W chwili gdy zawrócił do domu, była już ciemna noc. Ksiądz Angelo towarzyszył swemu panu, jak zwykle. Lubił on kolekcjonowanie owadów i ziół. Zatrzymał się tedy, chcąc włączyć do swej kolekcji wyjątkowo jasno lśniącego świetlika. Gdy powstał z ziemi i obejrzał się, ujrzał nagle jakiś cień ludzki, kryjący się za skałą.

Nie ruszył się z miejsca. Wkrótce po baczniejszym przyjrzeniu się przekonał się, że była to kobieta.

Gdy stary Borgia oddalił się, kobieta stała jeszcze czas jakiś bez ruchu. Potem Angelo zauważył, że przesunęła ręką po czole, wydając głębokie westchnienie. Wreszcie usłyszał wyraźnie, jak wyrzekła prawie głośno:

— Idź, Rodrygu, idź sobie spokojnie... bądź spokojny, chociaż ja cierpię... Zbliża się jednak godzina, w której odkupisz naraz wszystkie twoje grzechy...

Angelo nie ruszył się z miejsca i powstrzymał oddech, czekając, aż tajemnicza kobieta oddali się. Potem ruszył jej śladem, przemykając się pomiędzy skałami. Kobieta nie zachowywała żadnych ostrożności.

Ksiądz Angelo ujrzał, że weszła do groty Anio. Przez kilka dni z kolei śledził ją. Kto wie, czy nie dowiedział się, kim ona jest i na kogo wyczekuje.

— — — — —
Pewnej nocy, wkrótce po tym wypadku, o którym

nie mówił z nikim, ksiądz Angleo nie mógł usnąć. Szeptał do siebie:

— Napewno przyjdzie dziś... jestem pewny, że przyjdzie... Ach! to przyzwyczajenie samotników rozmawiania ze sobą głośno... Poznałem najtajniejsze myśli starej Magi...

Drgnął... Na końcu korytarza zauważył jakiś czarny cień, sunący powoli pod ścianą.

Stał bez ruchu przy uchylonych drzwiach. W pokoju jego nie było światła. „Cień“ zbliżał się... Wkrótce stanął tuż przy nim.

Nagle Angleo wyciągnął rękę. Ręka ta dotknęła i pochwyciła gwałtownie inną rękę, wciągnął „cień“ do swego pokoju i zamknął drzwi. Wszystko to stało się bardzo szybko i w zupełnym milczeniu. Ksiądz szepnął:

— Milcz! W przeciwnym razie krzyknę i zadenuncjuję cię!

Zapalił pochodnię. W jej mdłym świetle ukazała się postać Magi. Spojrzała bez gniewu na człowieka, który stanął pomiędzy nią a papieżem. Angleo wzięił ciągle w swem ręku jej dłoń.

— Usiądź, — rzekł półgłosem, — musimy ze sobą pomówić. Wiem, że przyszłaś, aby zabić Ojca Świętego. Jedno słowo z mej strony, a zostałabyś areztowana, a to byłoby twoim wyrokiem śmierci... Wiesz jednak, że tego słowa nie mówię...

— A więc, — odpowiedziała Róża Vanozzo, z dziwnym spokojem, — jest to dowód oczywisty, że goździsz również na życie Rodryga Borgii!

— Nie! Nie życzę mu śmierci wtedy, gdy śmierć jego nie przydałaby mi się, jak to jest w tej chwili. Lecz możliwe, a nawet pewne, iż kiedyś śmierć papieża może mi się na coś przydać...

— Czegóż więc chcesz ode mnie?

— Ażebyś nieco zaczekała.

— A jeśli nie mogę, albo nie zechcę czekać?

— W takim razie zacznę krzyczeć, wołać, zbudzę wszystkich, pochwycą cię i oddadzą pod sąd. Umrzesz

w straszliwej rozpacz, że nie mogłaś dokonać swego dzieła zemsty.

Róża Vanozzo przyjrzała się uważnie księdzu. Na jej udręczonej twarzy, na której nie odbijały się już żadne żywsze uczucia, odmalowało się nagle coś w rodzaju ciekawości, ożywiając na chwilę tę martwą maskę.

— Jesteś młody, — rzekła powoli, — jesteś w wieku, kiedy się kocha i kiedy się nienawidzi gorąco i silnie, w wieku, kiedy uczucie dominuje nad rozsądkiem. A jednak twarz twoja jest dla mnie zagadką. Jakie tajemne uczucie ożywia cię?

— Ambicja! — odpowiedział Angelo, chwytając ją za rękę. — Tobie mogę to powiedzieć, nie masz już bowiem w sobie nic ludzkiego... zdajesz mi się być jedynie widmem zemsty... Ambicja! Czy ty rozumiesz, co to jest ambicja?! Widmo to jest godnem twego widma.

— Tak, rozumiem! — odpowiedziała Róża, kiwając powoli głową. — Żyłeś w zatrutej atmosferze Borgiów i trucizna przepoiła ci duszę. Zrozumiałeś, jak to jest wygodnie stanąć nagle ponad poziomem tych wszystkich służalczych tłumów, aby tylko udało się zdławić w sobie miłość, wszelką nienawiść, jednym słowem wszystkie ludzkie uczucia. Masz rację. Jesteś siłą, a siła twoja godna jest mojej.

— A więc zechcesz zaczekać?

— Czekałam przez lata całe, mogę zaczekać kilka dni. Kiedy jednak przyjdzie odpowiednia chwila?

— Uprzedzę cię!

Róża Vanozzo spuściła głowę i, zdawało się, zapadła w głęboką zadumę.

— Zgoda! — oświadczyła wreszcie. — Zaczekam. Wiesz gdzie mnie możesz znaleźć.

Po tem spotkaniu ksiądz odbył kilkakrotną naradę z Magą w jej grocie. W dniu kiedy stary Borgia odjechał z Tivoli pośpiesznie, przyszedł znowu do Magi:

— Papieża niema już w Tivoli, — oświadczył jej.

— Wiem o tem, — odparła spokojnie Róża Vannoza.

— Uciekł na Caprerę, do swej córki Lukrecji. Armja Cezara poniosła prawdziwą klęskę. W Rzymie szerzy się rebelja, a i w innych miejscowościach również.

Stara słuchała tych szczegółów z wielkim napozór spokojem. Szepnęła tylko:

— Zbliża się dzień kary! Przypadek przeszkodził mi zamordować go tamtej nocy. Niech będzie błogosławiony przypadek! Rodryg bowiem będzie musiał przeżyć zmierzch swej potęgi! Teraz jednak, młodzieńcze, śpiesz się..

Potem już ciszej, jakby do siebie, dodała wzdygając się:

— Caprera! Dobrze!

XXII.

OJCIEC I CÓRKA.

W godzinę po odjeździe Cezara, wracającego do obozu, ksiądz Angelo udał się do grotty Anio. Z jego zdenerwowania, z posępnego blasku oczu Róża Vannoza odgadła całą prawdę:

— Nadeszła godzina czynu? — zapytała zimnym tonem.

— Tak... jadę...

— Chcesz powiedzieć: jedziemy!

Angelo przez chwilę zachował milczenie. Zmarszczył czoło. Róża przyglądała mu się z nateżoną uwagą.

— Posłuchaj, — odezwał się wreszcie ksiądz Angelo. — Nadeszła istotnie godzina czynu. Nim tydzień minie, papież nie będzie już żył, ręczę za to. POCO masz jechać na Caprerę? Obecność twoja mogłaby wszystko zepsuć. A tymczasem, działając sam, jestem pewny powodzenia. No bo i czego ostatecznie chcesz? Jego śmierci... Otóż... on umrze. Two-

ja chęć zemsty zostanie zaspokojona... Daj mi ową straszliwą wodę, którą umiesz przygotowywać... I... jadę!

Maga wzruszyła ramionami.

— Jesteś dzieckiem, — szepnęła, — i nie wiesz, co to jest zemsta. Nie chc, aby papież umarł, *ja chcę go zabić!* Ocaliłam mu życie kiedyś, kiedy był poważnie chory; dałam mu możliwość *śmiertelnej przewagi* nad wrogami, którzy godzili na jego życie. Wszystko to, moje dziecko, uczyniłam dlatego, *aby go zachować dla siebie*. Chcę być *tam*... Musi mnie widzieć, musi mówić ze mną w swej ostatniej godzinie. Mam mu bowiem *tylę rzeczy do powiedzenia!*... tylę rzeczy, które powtarzam sobie od długiego szeregu lat; śmierć nie powinna nań spaść nieoczekiwanie; *musi on czekać, aż przyjdzie ostatnia godzina*... Sądzisz więc, że chroniłabym Rodryga zazdrośnie przed wszelkiem niebezpieczeństwem, że wyczekiwałabym przez całe me życie sprzyjającej chwili, a potem nagle zgodziłabym się, odstąpić ci całą rozkosz zemsty?

Zaśmiała się ponurym śmiechem.

— To ja naleję mu trucizny... Nikt inny... tylko ja....

Ksiądz milczał, patrząc z niewypowiedzianym lękiem na posępną twarz starej, która była w owej chwili uosobieniem zemsty.

— Przerażasz mnie, — wybełkotał wreszcie. — Uczynię wszystko, co zechcesz...

— Będziesz mi posłuszny aż do końca?

— Będę ci posłuszny...

— A więc... w drogę!

W dwie godziny po tej rozmowie zamknięty powóz opuścił Tivoli i udał się w kierunku Ostji, małego portu, położonego tuż pod Rzymem, przy samem ujściu Tybru.

Stary Borgia ukrył się istotnie na Caprerze.

Wiadomość o klęsce w Djablim Wąwozie, zadała

Aleksandrowi VI tem straszliwszy, bo nieoczekiwany. cios. Starzec ten, który nie bał się niczego na świecie i którego energja była wciąż jeszcze zdumiewająca, w głębi duszy drżał ze strachu przed synem swym Cezarem. Przejrzał go nawylot. Wiedział doskonale, że nie cofnie się on w razie potrzeby, przed ojcobóstwem, to też, ułatwiając mu coraz to nowe podboje, wikłając go w coraz to inną wojnę, dbał przede wszystkim o to, by odciągnąć jego uwagę od swej osoby...

Porażka zburzyła wszystko... górne marzenia Cezara rozwiały się... Teraz Aleksander VI zaczął drzeć o swoje życie.

To też, gdy wysłannik Lukrecji oznajmił mu, że zamierza ona udać się na Caprerę, powziął on nagłą decyzję. Już nazajutrz zebrał się w drogę, prawie potajemnie, oznajmiając swym zaufanym, że jedzie do córki: „na kilka dni“. Na czwarty dzień wylądował na Caprerze.

Lukrecja powitała go ze wszystkimi objawami najżywszej, dziecięcej miłości. Nieoczekiwany jednak przyjazd ojca zbudził w jej duszy głuchy niepokój a jednocześnie głuchą irytację. Wszystko w zachowaniu papieża zwiastowało jej, że przyszła chwila wielkich katastrof. Podejrzeniem było i to, że zaraz po swem przybyciu, mimo zmęczenia podróżą, wyraził chęć zwiedzenia pałacu.

Pałac ten był położony nad brzegiem morza, od strony Włoch. Od tej strony był on niedostępny. Brzeg cały był najeżony skałami, a u ich stóp szumił nieustannie błękitny przestwór morskiej toni.

Od strony lądu szeroka fosa, pełna wody, stanowiła drugą przeszkodę nie do przebycia. Stary Borgia, po zbadaniu terenu, wyraził żywe zadowolenie.

— *Per bacco*, moja córko, — powtórzył kilkakrotnie, — jesteś świetnym wojennym inżynierem. Zamek ten jest nie do zdobycia.

Lukrecja, która zawsze się trochę obawiała zmienności łask fortuny, już przed kilku laty otrzymała od

swego ojca na własność małą posiadłość: wysepkę Caprerę, oddzieloną wąskim kanałem od Sardynji. Posiadała stateczek własny, zawsze gotowy do udania się w drogę. Statek ten, zwykły sobie żaglowiec, posiadający załogę, złożoną z dziesiątka marynarzy, których sobie zdobyła za pieniądze, statek ten i jego załoga czekali na nią w porcie Ostji, o kilka mil od Rzymu. Inny stateczek, jeszcze mniejszy, lecz nie mniej szybki, stał na kotwicy przy wschodnim wybrzeżu Caprerę, nawprost Sardynji. Lukrecja tym sposobem, przewidując wszelkie możliwości, zapewniła sobie ucieczkę w nagłym wypadku niebezpieczeństwa.

Sam pałac składał się z pokaźnej liczby zabudowań z nich największe i główne stanowił obszerny, czworokątny budynek. W pałacu znajdowało się około czterech dziesiątków służby, nie licząc kobiet, stanowiących personel żeński. Służba ta, każdej chwili gotowa była zamienić się w żołnierzy i stworzyć garnizon sił obronnych, wszyscy oni byli aż do śmierci oddani swej pani.

Po zwiedzeniu całego pałacu, papież ulokował się we wspaniałym apartamencie, urządzonym, jak i rzymskie pokoje księżnej de Bisaglia, z właściwym jej wdziękiem. Apartament składał się z kilkunastu pokoi. Stary Borgia obejrzał starannie wszystkie drzwi i zamki. Wtedy tylko uspokoił się ostatecznie.

Odprawił służbę, która skupiła się dokoła niego, i pozostał sam z coraz to bardziej niespokojną Lukrecją. Czekwała na to, aż zechce jej wytłumaczyć w jakim celu przybył na Caprerę. Jakkolwiek jednak dobrze znała swego ojca, okazuje się, że znała go zbyt mało. Istotnie Borgia, zamiast tego, by przystąpić do wyjaśnień, zwrócił się do niej nagle z zapytaniem:

— Powiedz mi teraz, moje dziecko, pociąg tu przyjechała?

— Ależ, mój ojczy, wiesz dobrze o tem, że nieraz przyjeżdżam tu na odpoczynek.

— A więc nie miałaś żadnego specjalnego celu?

— żadnego, mój ojczy, — odparła najnaturalniej pod słońcem.

— Nie wiesz tedy o niczem?

— Alboż co się stało szczególnego? — zawołała Lukrecja z widocznym niepokojem.

— Stało się to, że Cezar poniósł formalną porażkę, że Rzym burzy się i że konklawe być może zbiera się w tej chwili, aby złożyć mnie z godności.

Lukrecja słuchała go ze zdumieniem i strachem.

— A więc, — odezwała się drżącym głosem, — powodem twego przybycia na Caprerę?...

— Jest strach... — odpowiedział jej głucho.

— Strach! Ach! mój ojczy, nigdy jeszcze nie słyszałam w twych ustach tego wyrazu... nigdy... w żadnych okolicznościach... Opanuj twój lęk... Sytuacja nie jest może tak groźna?...

Aleksander VI pokiwał głową. Potem wstał z miejsca i zaczął spacerować po pokoju, mówiąc dalej:

— Uczyniłem raz w życiu coś, co musiałem potem oblać krwawymi łzami. Jakiś obłęd zaćmił mi tego dnia mózg? Nie wiem... jaki szatan podszeptał mi tę niefortunną myśl, która była pierwszą przyczyną naszych nieszczęść?

— Nie rozumiem cię, mój ojczy!

— Kiedyś pewien człowiek, tam, w Watykanie, zuchwale odmówił wykonania proponowanego sobie zadania... Cezar rzucił się na niego ze sztyletem... powstrzymałem podniesione do ciosu ramię Cezara...

— Ragastens! — wykrzyknęła Lukrecja z powściąganą wściekłością.

— Ten dzień zadecydował o naszej przyszłości, — ciągnął dalej Borgia. — Lud, który dotychczas drżał przede mną, podniósł głowę, gdy się dowiedział o porażce Cezara... Zrozumiałem, że Rzym wymyka mi się... Nawet w Tivoli widziałem dokoła siebie posępne, złowróżbne spojrzenia... Uczułem strach! Tyle zmarnowanych wysiłków! Tyle władzy, która poszła na marne!... Sądziłem, że buduję przyszłość na skale, a tymczasem ujrzałem, że podwaliny mej sławy wspie-

rają się na piasku. Boję się! powtarzam ci, boję się... Lukrecjo, Lukrecjo! Ufam dziś tylko tobie! Wiesz, jak cię zawsze kochałem, jak cię zawsze wyróżniałem przed braćmi, nawet przed Cezarem! Ty znałaś wszystkie moje myśli, tyś była sędzią we wszystkich najtajniejszych mych zamiarach, jakie dyktowała mi dyplomacja, przed którą chylili czoła najpotężniejsi monarchowie świata... Lukrecjo, będziesz broniła twego staro ojca, nieprawdaż? Staro lwa, opuszczonego przez wszystkich, na którego zawzięła się zgraja wszystkich tych wilków i lisów... Będziesz broniła twego ojca?

— Ach, mój ojcie, czyż możesz w to wątpić? — zawołała Lukrecja. — Tu jesteś zupełnie bezpieczny. Nie obawiaj się niczego! Lecz mój ojcie, pozwól sobie powiedzieć, że twój strach jest przesadzony. Cezar, jakkolwiek pobity, zbierze jeszcze armję nową... Jedna przegrana nie może przekreślić tylu zwycięstw. Co zaś do tego nędznika Ragastensa... wkrótce, mój ojcie, będziesz pomszczony całkowicie... zemsta będzie tak straszna, że ten szaleniec umrze w najstraszliwszych torturach rozpaczy.

— Co mówisz? Ach! gdyby to mogło być prawdą!

— Nie obawiaj się, mój ojcie! Wyślę niezwłocznie kogoś zaufanego do Cezara. Musi tu przyjechać!

Papież wyprostował się.

— Cezar, — zawołał ze wściekłością, a zarazem z tajonym lękiem. — Cezar! Dowiedz się więc, co myślę... dowiedz się całej prawdy! Śród tylu kardynałów czyhających na tiarę i spiskujących przeciw mnie, śród tylu możnowładców, oczekujących z drżeniem serca na moją śmierć, najzacieklejszym mym wrogiem jest właśnie Cezar, twój brat, a mój syn! Nie oburzaj się... Nie zaprzeczaj... poznałem go... Dopatrzyłem się w jego oczach dziwnych blasków, są to straszne ognie ojcobójczych myśli... Odgadłem go! Powiadam ci to... Cezar pragnie zostać papieżem na mojem miejscu... Jeśli Cezar się tu zjawi, to jedynie poto, aby mnie zamordować!...

— Mylisz się, mój ojczy! Przysięgam ci... Ja również zbadałam głąb duszy Cezara.

— Lukrecjo, Lukrecjo! — zawołał starzec z widocznym przerażeniem. — Przysięgnij mi, że nie sprowadzisz tutaj Cezara!

— Jeśli cię to ma uspokoić, mój ojczy, przyrzekam ci to...

— Dobrze, moja córko... Wiedziałem, że zechcesz stanąć w obronie twego ojca! Pójdź, niech cię uściskam!

Lukrecja podeszła do Aleksandra VI i nadstawiła mu czoło do pocałunku.

— Teraz możesz odejść, — powiedział stary Borgia. — Potrzebuję odpoczynku. Jutro pogadamy o tej zemście, którą zamysłasz przeciw temu łotrowi Ragastensowi.

Lukrecja oddaliła się. Gdy tylko znalazła się w swych pokojach, z twarzy jej znikł wyraz litości i miłości dziecięcej, w który zamaskowała się podczas rozmowy z ojcem.

Nie upłynęło godziny, a posłaniec Lukrecji odjechał do Włoch, mając zlecenie oddać Cezarowi pismo, zawierające te tylko słowa:

„Potrzeba koniecznie, abyś przyjechał na Caprę. Sprawa niecierpiąca zwłoki. Czekam“.

XXIII.

RAGASTENS ROZPOCZYNA POSZUKIWANIA.

Tymczasem Ragastens gryzł się w sobie. Mimo jednak, że nie miał właściwie żadnego określonego planu działania, jego czynne i ruchliwe usposobienie nie pozwalało mu siedzieć z założonemi rękami. Pierwsze wrażenie po zadany mu przez Lukrecję ciosie było straszne. Sława, jaką zdobył, zadając porażkę Cezarowi, zbladła w jego oczach, pograżył się w głęboki smutek, dowiedziawszy się o zniknięciu Primavery.

Gdy jej nie było, wszystko inne nic go nie obchodziło. Wszystko, co dotychczas uczynił, miało na celu jedynie zdobycie Primavery. Jeśli nie żyje, lub nawet jeśli tylko znikła, wszystkie jego trudy były niepotrzebne.

Gdy odzyskał przytomność po omdleniu, odprowadził na bok starą dwórkę, która zwiastowała mu nie szczęsną wiadomość, i zaczął ją długo wypytywać. Pocziwa staruszka nie mogła jednak dać mu żadnych bliższych wyjaśnień. Większą część nocy strawił na wypytywaniu całej pałacowej służby; nikt również nic nie wiedział; nawet oficer, który w nocy stał na straży przy bramie miejskiej, nie wniósł nic nowego do badania.

Złamany znużeniem po pracowitym dniu, zrozpaczony, wrócił do siebie i zapadł wkońcu w głęboki sen, przerywany jedynie sennemi zmorami.

Nazajutrz rano do pokoju jego wszedł Juljusz Orsini.

— Drogi przyjacielu, — oznajmił, — rada dowódców zbiera się w pałacu. Należy teraz uradzić coś, aby obmyśleć sposoby wyzyskania zwycięstwa. Cezar poniósł całkowitą porażkę. Wojsko jego jest w rozsypce. Ruszemy na Rimini, stamtąd na Bolonję, Piombino. Jeśli plan się uda, Włochy zrzucą ze siebie jarzmo niewoli... Uważamy, że ty powinieneś objąć dowództwo nad sprzymierzonymi wojskami. Aby więc ofiarować ci tę najwyższą władzę, zebraliśmy się w pałacu.

— Nie pójdę na zgromadzenie, — odpowiedział Ragastens.

— Co mówisz! — zawołał Juljusz Orsini ze zdumieniem.

— Mówię, że nie przyjmuję tej tak zaszczytnej dla mnie godności, którą ty i twoi przyjaciele ofiarujecie mi. Dziś jeszcze opuszczę Monteforte. Dostyc macie nieustraszonych dowódców, którzy powiodą wojska wasze ku przyszłym zwycięstwom. Co do mnie, życie moje nie należy do mnie: młoda księżna znikła z Mon-

teforte: odnajdę ją, albo padnę sam.

Orsini, wzruszony, wyciągnął do Ragastensa rękę:

— Wybacz mi, przyjacielu, zapomniałem, my wszyscy, w egoistycznej radości zwycięstwa zapomnieliśmy o twojej miłości... i o twojej boleści... Tak, masz słuszność, nie miałbym odwagi bodaj jednym słowem odwozić cię od twego zamiaru... Lecz to tylko ci powiem, że i my gotowi jesteśmy wyrzec się wszystkiego, a przede wszystkim dopomóc ci w urzeczywistnieniu twych zamiarów...

Ragastens potrząsnął przecząco głową:

— Wolę działać sam, — powiedział. — Jeśli kiedyś, później, będę potrzebował waszej pomocy, mój drogi przyjacielu...

— Rozporządzaj mojem życiem i życiem każdego z nas!

— Zapiszę sobie dobrze w pamięci te słowa. W tej chwili jednak nie chodzi o walkę... teraz należy uciec się do przebiegłości. Nie wystąpię do walki; udaję się na poszukiwania... a do tego nie potrzebuję pomocy... przeciwnie... lepiej będzie, gdy podejmę się tego sam...

— W każdym bądź razie nie zapominaj o tem, że pozostawiamy w Monteforte garnizon, złożony z trzech tysięcy żołnierza. Wojsko to jest do twego rozporządzenia, możesz je mieć na pierwsze skinienie. Co do pieniędzy, których możesz potrzebować, skrzynie moje stoją przed tobą otworem, za chwilę przyślę ci swego intendenta, któremu wydasz odpowiednie rozkazy. Jeszcze słowo, mój drogi, czy nie przyjdiesz pożegnać twych przyjaciół?

— Liczę pod tym względem na ciebie... potrafisz godnie zastąpić mnie w tem...

— Już dobrze... jedź więc z Bogiem, i oby ci szczęście sprzyjało...

Dwaj przyjaciele zamienili serdeczny uścisk dłoni i padli sobie w ramiona. Potem Orsini oddalił się, smutnie kiwając głową. Był przekonany, jak zresztą wszyscy dowódcy, że Beatrix padła ofiarą swej nieustraszonej odwagi.

Jedynie Ragastens nie stracił ani na chwilę nadziei. Primavera znikła... tak! Lecz, żeby miała nie żyć!... nigdy w świecie! Wszystkie jego podejrzenia skoncentrowały się dokoła osoby Lukrecji Borgii.

Lukrecja przedostała się do Monteforte; Lukrecja widziała się z nim i mówiła; Lukrecja, widząc, że odrzucił wszystkie jej propozycje, zagroziła mu swą zemstą. Lecz co mogła uczynić z Primaverą? Jakie jest prawdopodobieństwo, że siostra Cezara przedostała się do pałacu Almów?

Ragastens posądzał o porwanie Beatrix Lukrecję Borgię. Nie mógł jednak sformułować jaśniej swego posądzenia. Powtarzał jedynie uparcie, z głębokim przekonaniem, że Primavera żyje, że czeka na jego pomoc i że dlatego musi ją odnaleźć.

Przywołał Spadacape'a i wydał mu rozkaz, aby się przygotował do dalekiej podróży. W tejże chwili zjawił się intendent Juljusza Orsiniego, który przyszedł oddać się do jego dyspozycji. Ragastens rozkazał napełnić dukatami worek przy siodle Spadacape'owego wierzchowca. Uważał, że ubliży Orsiniemu, jeśli nie zechce skorzystać z jego usługi.

Wkrótce udał się w drogę w towarzystwie Spadacape'a. Juljusz Orsini przygotował mu niespodziankę. W chwili gdy przekraczał próg pałacu Orsinich, w którym zamieszkiwał, ujrzał na ulicy szereg żołnierzy ustawionych dwójkami, którzy na jego widok stanęli na baczność.

Śród hucznych wiwatów i okrzyków wojska i zgromadzonego tłumu, Ragastens posuwał się naprzód.

W pobliżu drzwi wejściowych stali dowódcy, oczekujący na jego przybycie... pozdrowili go również okrzykami. Ragastens gwałtownie wzruszony, nie chciał zatrzymać się. Zadowolił się okrzykiem:

— Do widzenia!

Puścił konia galopem i szybko znikł im z oczu.

— Dokąd jedziemy, panie? — zapytał go wtedy Spadacape.

— Jedziemy szukać przygód? — odpowiedział Ragastens.

Powiedział prawdę. Ragastens istotnie nie wiedział dokładnie, co ma uczynić i jaki jest jego cel... Istotnie prawdziwym celem było szukanie przygód.

Gdy Ragastens zapytał dyżurnego w nocy oficera straży miejskiej, w jakim kierunku oddaliła się Primavera, oficer zrobił nieokreślony ruch ręką i powiedział:

— W tamtą!...

Wskazał na drogę, biegnącą wzdłuż wałów miejskich, następnie droga ta zagłębiała się w szczerem polu. Wskazówka oficera była bardzo niejasna. Ragastens jednak musiał się nią zadowolić. Puścił się tedy drogą, wskazaną mu przez oficera.

Po godzinie dobrego klusa, Ragastens stanął przed samotną oberżą. Nie spotkał po drodze dotychczas ani zajazdu, ani jakiegokolwiek domu. Zsiadł więc z konia i wszedł do wielkiej sali opuszczonej fermy, bez wielkiego przekonania do tego, by mógł znaleźć tu jakąś nić przewodnią.

Stara niewiasta przędła na kołowrotku. W pobliżu niej dwunastoletni chłopiec zajęty był wyplataniem koszyka. Mężczyźni byli prawdopodobnie w polu.

— Pokój temu domowi i tobie, matko, — rzekł Ragastens, witając starą ogólnie przyjętą formułką.

— Pokój i dobre zdrowie, — odpowiedziała stara na pozdrowienie. — Andreo, pójdź, i przynieś dzban chłodnego winka dla tego podróżnego, którego nam Bóg zsyła.

— Dziękuję ci, matko! Nie potrzebuję niczego... niczego, prócz paru informacji.

Andrea, dwunastoletni chłopiec, który powstał już, aby wypełnić rozkaz babki, usiadł z powrotem i zaczął dalej wyplatać koszyk trzciniowy, otwierając szeroko oczy na widok pięknego kapitana.

— Mów, panie, — zabrała głos wieśniaczka, — i jeśli będzie to w mej mocy, postaram się zaspokoić pańską ciekawość.

Ragastens przyjrzał się staruszce badawczo.

— Czy nie widziałaś dzisiejszej nocy... mniej więcej około dwunastej, lub pierwszej, przejeżdżającej młodej, damy... prawdopodobnie jechała konno.

Wieśniaczka drgnęła.

— Nic nie widziałam! — odpowiedziała, żegnając się.

Ragastens zanotował sobie to jej drgnięcie. Jeszcze bardziej ściągnęło na siebie jego uwagę to, że położyła na czole znak krzyża. Wiedział o tem, jak różne są znaczenia znaku krzyża, czynionego na czole przez wieśniaków włoskich. Znak krzyża św. towarzyszy najczęściej kłamstwu, jakie popełniają w mowie. Znak ten ma ubłagać u Boga przebaczenie za popełnione kłamstwo.

Ragastens dobrze wiedział o tym zwyczaju i o tej dyplomacji, stosowanej przez nich w rzeczach sumienia, był więc przekonany, że wieśniaczka coś widziała. Przemówił więc głosem bardzo surowym:

— A więc rzecz oczywista, nie widzieliście nic zgoła ani nikogo, ktoby przejeżdżał tą drogą w nocy? I nikt również nie zaglądał do wnętrza waszej fermy?

— Rzecz oczywista nikt, wielmożny panie! — odpowiedziała stara wieśniaczka, potrząsając głową.

Słowom tym towarzyszył ponowny znak krzyża położony na piersiach. Gest ten uczyniła jeszcze gorliwiej, niż poprzednio.

— Babko! — zawołał nagle chłopak, — a piękna pani, która wstępowała do nas? Zapomniałaś, jak widzę, o niej?!

— Milcz, Andreo! To dziecko, samo nie wie, co mówi, wielmożny panie! Idź, bawić się na dwór!

Ragastens zwrócił się do wieśniaczki:

— Wybacz mi, matko. Mimo cały szacunek, jaki wzbudza we mnie twój wiek, będę zmuszony zastosować gwałtowne środki, jeśli nie powiesz mi całej pra-

wdy. Dowiedz się, że popełniono zbrodnię, wielką zbrodnię. Wszystko każe mi przypuszczać, że zbrodnię popełniła kobieta, że zbrodniarka tędy obrała drogę. Mieszkasz na ziemiach Almów i podlegasz jurysdykcji Monteforte. Jeśli nie wyznasz mi całej prawdy, dziś jeszcze zostaniesz prawdopodobnie aresztowana, jak również reszta mieszkańców tej fermy.

— Chryste Jezu! ulituj się nade mną! Co robić?! ONA zagroziła nam śmiercią, jeśli któreś z nas piśnie bodaj jedno słówko...

— A ja przysięgam ci, że nic ci się złego nie stanie, jeśli wyznasz całą prawdę. Pomyśl tylko, że hrabia Alma jest dosyć potężny, aby cię wziąć pod swą opiekę, jego zaś gniew mógłby cię kosztować drogo...

— Otóż, mój drogi panie, przed kilku dniami przybyła tu pewna pani...

— Kto to był?

— Nie wiem... nikt tego nie wie... Teraz mówię istotną prawdę... Prosiła nas o to, by mogła zostawić u nas powóz i czterech żołnierzy... Miała nam za to dobrze zapłacić... Przystaliśmy na jej propozycję... Prosiła nas również o to...

— Mów dalej! — rzekł ostro Ragastens, widząc, że stara zawahała się...

— Prosiła nas również o to, by pozostawić do jej rozporządzenia na jedną noc wielką salę naszej fermy, kazała nam również przysiąc, że nie będziemy usiłowali dowiedzieć się, co się tam będzie działo. Za to dała nam dużo pieniędzy...

— Dalej, dalej... Przedwczorajszej nocy wróciła, nieprawdaż?

— Tak, — rzekła steroryzowana wieśniaczka.

— Sama?

— Nie... Z jeszcze jedną panią!

Ragastens stłumił okrzyk. Teraz widział już jasno całą straszliwą prawdę.

— Dokończ! — rzekł, blednąc. — Co się potem stało?

— Słyszeliśmy odgłosy kłótni... potem weszli do wnętrza żołnierze... porwali młodą panią...

— Och! nędznicy!

— Wtrącili ją do powozu... i... wszyscy odjechali...

— W jakim kierunku? — zapytał Ragastens bez tchu.

— Droga, wiodącą na dół... na równiny...

Ragastens nie słuchał dłużej. Rzucił się na dwór i wskoczył na konia.

— To ta djablica Lukrecja! — warknął, pędząc galopem we wskazanym kierunku. — Porwana!... Ona ją porwała! Ach! przebaczyłem jej już dwa razy... Lecz teraz... gorze jej!...

XXIV.

GIACOMO.

Ragastens mógł teraz z łatwością dążyć za śladem Lukrecji aż do podnórza gór. Jedna tylko było dostępna dla powozu droga, drogą tą jechał wciąż dalej i dalej. Od czasu do czasu mijał jakąś oberżę, lub fermę. Wchodził do wnętrza, zbierał jaknajściślejsze informacje, potem ruszał w dalszą drogę.

Gdy jednak stanął na dolinie, u podnórza góry, wszelki ślad uciekinierów zaginął. Krzyżowały się tu liczne drogi. Na którą należało się zdecydować? Przybity i zgnębiony, Ragastens zatrzymał się w niedużym topolowym lasku i usiadł w cieniu drzew.

Sytuacja zdała się być przerażająca. Do jakiej nory wciągnięto Primaverę?

Czując potrzebę mówienia o swem nieszczęściu, a także w nadziei usłyszenia jakiejś dobrej rady, zaczął opowiadać Spadacape'owi całą swą tragiczną przygodę. Spadacape wysłuchał opowieści z wielkiem zainteresowaniem, które wyraziło się serją wykrzykników i gwałtownych westchnień.

— Ależ ta baba jest szalona! — zawołał, gdy ka-

waler poniechał opowiadania. — Djabła ma za skórą! Nie odrodziła się od całej swej godnej rodzinki!

— Niestety, jest to niezbitą prawdą! Lecz czy nic ci nie przychodzi na myśl? Nie przewąchałeś niczego? Nie wpadłeś na jakiś cień bodaj śladu?

— Nie, panie! Lecz jeśli się czego możemy dowiedzieć, to chyba jedynie w Rzymie.

— W Rzymie! — wykrzyknął głucho Ragastens.

— Ach! wiem, że to rzecz niebezpieczna. Nie dla mnie... rzecz oczywista... W gruncie rzeczy sprawiłoby mi tylko wielką przyjemność nadstawienie karku za pana... Lecz dla pana byłoby to wyrokiem śmierci. Jest w Rzymie niejaki margrabia Rocasanta, z którym nieraz już miałem na pieńku. Mogę pana zapewnić, że jest to urzędnik pierwszej klasy.

— Jedźmy do Rzymu! — zawołał Ragastens. — Rada była dobra.

— Jeszcze chwilę, mości kawalerze. Na pańską głowę nałożono cenę. Pozwól, że cię umieszczę w pewnym okolicznym domku, gdzie będziesz zupełnie bezpieczny, jak byłeś bezpieczny w oberży „Pod Widłami“. Wtedy ja udam się do miasta i podejmuję się dowiedzieć wszystkiego, o co nam chodzi.

Ragastens pokiwał głową, nie dając żadnej odpowiedzi i ruszył w kierunku Wiecznego Miasta. Spadacape jechał za nim z nosem spuszczonej na kwintę. Widział, że pan jego był zrozpaczony.

Dzięki wytrwałości swych rumaków stanęli przed wrotami Rzymu czwartego dnia wieczorem. W miarę tego, jak zbliżali się do miasta, Ragastens zauważył niezwykle jakieś ożywienie. Okolice podmiejskie zazwyczaj puste i głucho, pełne były dnia tego ludzi, wyglądających dziwnie wojowniczo. Wjechano wreszcie do Rzymu. Serce biło mu gwałtownie.

Minął ze drżeniem Pałac-Śmiechu, teraz milczący i ponury. Dziwny widok uderzył go: wszystkie szyby w oknach były powybijane; posągi z podsienia galerji — poobalane... pałac zdawał się być przewró-

cony do góry nogami... Całe zresztą miasto przedstawiało dziwny widok.

Grupy mieszczan snuły ulicami; wszyscy byli uzbrojeni w halabardy, albo szpady, niektórzy z nich mieli na ramieniu rusznice.

Ragastens wyminął owe wojownicze grupy, nie niepokojąc się wcale o swe bezpieczeństwo; tłum stawał się coraz liczniejszy i hałaśliwszy, w miarę tego, jak się zbliżali do centrum miasta.

— Co powiesz o tem wszystkiem? — zapytał Spadacape'a, który jechał tuż za nim.

— Powiem, że dzielni Rzymianie mają już dosyć swej niewoli. Niewolnictwo ma swe dobre strony, nie przeczę... Uwalnia tłum od obowiązku myślenia i działania. Lecz ostatecznie niema takiej rzeczy, któraby wkońcu nie sprzykrzyła się, nawet szczęście, jakiego doznaje chudopachołek zaciachany przez któregoś z ksiąząt.

Ragastens nie odpowiedział, myślał znowu o Primaverze, która znajdowała się w tej chwili w rękach Lukrecji Borgii.

Klucząc po mieście, Ragastens znalazł się wreszcie przed swą dawną gospodą „Pod Pięknym Janusem“. Stanął na podwórzu i zsiadł z konia. Bartłomiej, czcigodny oberżysta, widząc wjeżdżającego na swe podwórko kawalera, rzucił się w jego stronę. Zatrzymał się jednak szeroko rozdziawiając usta.

— Imć pan kawaler de Ragastens! — szepnął.

— We własnej osobie, drogi panie Bartłomieju... Dlaczego obecność moja wprawia cię w takie zdumienie?

— Bez powodu, mości kawalerze... to znaczy, prawie bez powodu... Kiedy tylko pomyślę o tem, jak ci nicponie — Borgiowie, skazali cię na śmierć! Lecz... nic dziwnego... jesteś pan jednym z ich najzaciekleszych wrogów... Jakiż to honor dla mej oberży! Niech żyje pan de Ragastens, wróg Cezara Borgii!

Oberżysta mógłby długo jeszcze wyrażać swój en-

tuzjizm na widok Ragastensa, gdyby ten nie poskoczył do niego i nie porwał go za ucho.

— Ojczy Bartłomieju, — rzekł do niego, posłuchaj tego, co ci powiem... będzie to w twoim własnym interesie; jeśli nie przestaniesz wykrzykiwać moje imię, obetnę ci ucho, które trzymam w tej chwili w ręku.

— Nic już więcej nie powiem, — zaczął zapewniać imię pan Bartłomieju.

— W takim razie pozostaniemy po dawnemu przyjaciółmi. Zaprowadź mnie do małej izdebki, wychodzącej na Tybr...

— O, o, o, nie! Dam panu najpiękniejszy pokój z całej mej oberży... dam panu pokój książęcy...

Ragastens jednak zaczął nastawać na tem, że chce najskromniej pod słońcem zamieszkać po dawnemu w małym pokoiku, w którym mieszkał zaraz po przyjeździe do Rzymu. Pokoik ten był pełen wspomnień i jakkolwiek bohater nasz nie był marzycielem, musiał jednak opłacić haracz pełnemu czaru uczuciu melancholji, jakie ogarnia zawsze człowieka, gdy opadną go wspomnienia przeszłości. Poza tem, nie należy zapominać o tem, że Ragastens był pływakiem pierwszej klasy; Tybr już raz jeden stał się dla niego drogą ocalenia; liczył więc na to, że w razie jakiegoś nagłego alarmu, skorzysta z tej drogi po raz drugi.

Tegoż jeszcze wieczoru w towarzystwie Spadacape'a rozpoczął poszukiwania. Wszystko jednak było nadaremno. Minał tydzień, Ragastens przez ten czas spenetrował Rzym cały i okolice jego, nigdzie jednak nie natrafił na najlżejszy bodaj ślad Lukrecji Borgii.

Ragastens uczuł, że ogarnia go rozpacz. Nie widział już żadnego prawdopodobieństwa i możliwości odnalezienia Lukrecji, a tem samem i Primavery.

Tydzień ten cały spędził jak w gorączce, czując wciąż wzmagający się śmiertelny niepokój. Tymczasem powstanie w Rzymie rozwijało się normalnym trybem. Lud oblegał teraz Zamek Św. Anioła.

Dziewiątego dnia Ragastens przejeżdżał właśnie około ruin zburzonego Pałacu Śmiechu. Po przybyciu na plac, zauważył małego, czarno ubranego człowieka, który odruchowo podniósłszy wzrok na przejeżdżającego poznał go.

— Pan de Ragastens! — zawołał.

Ragastens zadrżał i najechał swym koniem na nieznanego.

— Kto waśc jesteś? — zawołał.

— Nie poznajesz mnie pan? Powiem wnet panu, kim jestem, nie tutaj jednak, mości kawalerze, — rzekł, oglądając się dokoła z pewnym lękiem. — Muszę z panem pomówić! Poto tylko przybyłem do Rzymu. Przyjeżdżam z Monteforte...

— Z Monteforte! — zawołał Ragastens, czując rodzący się w sercu cień nadziei. — Pójdź za mną! Pójdź! Prędko!

Weszli do oberży pod „Pięknym Janusem“. Nieznajomy, wchodząc w jej progi, starannie zakrył sobie twarz połą od płaszcza. Gdy już znaleźli się w małej izdebce wychodzącej na Tybr, mały człowieczek po sprawdzeniu, że nikt ich nie podsłuchuje, zbliżył się do Ragastensa i szepnął mu na ucho:

— To ja przynosiłem tu panu mieszek z dukatami... Jestem Giacomo...

— Intendent Lukrecji Borgii! — wykrzyknął głucho Ragastens.

— Tak, panie! odpowiedział Giacomo, a twarz jego wykrzywiła się, zdradzając wielką radość i niezwykłą uciechę. — Jestem bardzo szczęśliwy, że pana spotkałem.

Ragastens porwał go za rękę.

— Gdzie twoja pani? — zapytał głosem drżącym ze wzruszenia. — Mów! Albo, do wszystkich djabłów! nie ujdiesz stąd z życiem!

Giacomo uśmiechnął się.

— Zbędne groźby, mości kawalerze. Jestem pańskim przyjacielem, gnałem za panem, aby mu powie-

dzieć, gdzie możesz znaleźć to, czego niewątpliwie na próżno szukasz.

— Ty jesteś moim przyjacielem! — zawołał Ragastens podejrzewając jakiś podstęp, — ty moim przyjacielem! Ty sługa Lukrecji Borgii.

— Jestem jej sługą, to prawda! Albo raczej nim byłem. Z powodów jednak, o których za długoby mówić, nienawidzę tę kobietę. Mieszkałem w jej domu, nienawidząc ją tak samo, jak nienawidziłem jej ohydneho brata.

Twarcz starca w miarę tego, jak mówił, zaczęła nabierać wyrazu nienawiści tak nieubłaganej, że trudno było w nią nie uwierzyć. Ragastens zrozumiał, że człowiek ten nie kłamał.

— Mów więc, — rzekł do niego. — Porozumiemy się ze sobą, łączy nas bowiem wspólna nienawiść.

— Panie, — odpowiedział mu na to Giacomo, — byłem w Monteforte, aby się tam z panem zobaczyć. Dowiedziałem się, że pan objechał i domyśliłem się, że mogę pana znaleźć najprędzej w Rzymie.

— Skąd jednak przyjechałeś do Monteforte? Dlaczego szukałeś mnie?

— Jechałem z obozu Cezara, dokąd towarzyszyłem pani Lukrecji. Szukałem pana, aby go uprzedzić, że Lukrecja Borgia knuje przeciw panu straszliwą zemstę. Podśluchałem jej rozmowę z braciszkiem... słysząc ich zwierzenia, uczułem, że włosy stają mi dęba na głowie...

— Zemsta jej udała się! — mruknął głucho Ragastens.

— Jakto? — zapytał Giacomo ze zdziwieniem.

Ragastens jednak nie odpowiedział już ani słowa, ostatecznie zgnębiony.

— Dziękuję ci, — powiedział wreszcie; — uprzedziłeś mnie jednak nieco zapóźno. Wiedziałem zresztą doskonale o tem, że Lukrecja knuje plany zemsty. Możesz mi teraz jednak przynajmniej dopomóc w naprawieniu zła, jakie ona popełniła... jeśli wogóle da się coś jeszcze naprawić.

— Jestem cały na pańskie usługi. I to nietylko dlatego, że uczułem do pana sympatję od pierwszej chwili naszego spotkania w tej oto oberży, lecz również dlatego, że wchodzi tu w grę moja nienawiść do Borgiów...

— A więc, — zapytał niepewnym głosem Ragastens, — czy możesz mi powiedzieć, gdzie znajduje się w tej chwili Lukrecja?

Czekał odpowiedzi Giacomo z drżeniem serca, z czołem, zroszonym zimnym potem.

— To bardzo łatwo, — brzmiała odpowiedź...

— Pani Lukrecja jest na Caprerze.

— Jesteś tego pewny?

— Absolutnie, ponieważ mam się tam z nią spotkać.

— Udamy się tam razem!

— Chcesz pan pojechać na Caprerę! — wykrzyknął Giacomo.

— Tak, jeszcze dziś wieczór zaczynam zbierać się w drogę.

— Ach! kawalerze! nie wiesz więc, co to jest ta Caprera! Nie wiesz więc, że Lukrecja znęca tam wszystkich tych, kogo chce się w tajemnicy pozbyć, a kogo nie śmie kazać zamordować w Rzymie!

Ragastens zadrżał, myśląc o Primaverze.

— Nie wiesz tedy, — zawołał z nie dającym się stłumić szlochem. — Lukrecja porwała kobietę, którą kocham! Jest ona w tej chwili może przedmiotem jej mściwych praktyk...

Nie mógł nic więcej powiedzieć. Cierpiał straszliwe męki od dnia, w którym dowiedział się o zniknięciu Primavery. Teraz przyszła reakcja, straszliwa reakcja u tego człowieka, który potrafił znosić najsroższe cierpienia bez słowa skargi.

Padł na łóżko, ukrył głowę w poduszkach i jał szlochać, jak małe dziecko. Spadacape wyciągnął Giacomo z izdebki.

— Pozwólmy mu się wypłakać, — powiedział, — biedny kawaler potrzebuje tego.

Potem poczciwy służący zaczął wypytywać intendenta Lukrecji o to, jak możnaby najłatwiej i najprędzej trafić na Caprerę. Zaczął przygotowywać się do drogi, przewidując, że atak rozpaczy Ragastensa nie będzie trwał długo i że, gdy tylko przeminie, kawaler zechce niezwłocznie udać się w drogę. Istotnie, nie upłynęło pół godziny, gdy rozległ się głos Ragastensa, wzywający go do izby. Nakazał mu przygotować się do drogi.

— Wszystko już gotowe, proszę pana, — odpowiedział Spadacape.

— W takim razie, na koń! W drogę do Ostji i na Caprerę!

XXV.

PORT OSTJA.

W chwili gdy Ragastens wsiadał na konia, Giacomo przyszedł go pożegnać.

— Wszelkie moje starania aby odwrócić pana od tego przedsięwzięcia na nic by się nie zdały, — oświadczył. — Ja również jadę na Caprerę, aby służyć w dalszym ciągu pani Lukrecji, nie skończyłem z nią jeszcze mych porachunków.

— Dlaczegoż więc nie mielibyśmy odbyć wspólnej podróży?

— Pani dowiedziałaby się o tem niewątpliwie, a tego wystarczyłoby na to, aby wszystkie pańskie plany spełzyły na niczem. Wystarczyłoby tego, abym i ja zginął marnie. Jedź pan swoją drogą, ja pojedę swoją. Oto co tylko chciałem panu powiedzieć. Po lewej stronie pałacu znajdują się domki rybaków. Wejdz pan do trzeciego, powiedz, że przychodzisz w imieniu Giacomina, a będziesz bardzo dobrze przyjęty. Wszędzie indziej zadenuncjują cię napewno.

Ragastens ścisnął energicznie dłoń staruszka i odjechał. Odległość Rzymu do Ostji nie przewyższa

kilku milik. Ragastens odbył drogę bardzo pośpiesznie i z nastaniem nocy był już w porcie.

Należało spędzić noc w Ostji. Ragastens zaczął rozglądać się za oberżą, w której mógłby wraz ze Spadacape'm spędzić noc. Wszystkie jednak światła były pogaszone, a wszystkie drzwi pozamykane.

— A więc spędzimy noc pod gołem niebem? — rzekł, spoglądając na Spadacape'a. — Zresztą nie będzie to po raz pierwszy...

— Panie, — odparł Spadacape, — jeśli zechcesz udać się za mną, podejmuję się wynaleźć schronisko...

— Znasz więc Ostję?

— W moim dawnym fachu należało umieć przewidzieć wszystkie okoliczności, a w liczbie owych wszystkich była również i możliwość ucieczki morzem. Utrzymywaliśmy pewnego rodzaju stosunki z nadbrzeżnymi rybakami, przypuszczam tedy, że wśród nich znajdziemy pomoc do przedostania się na Caprę. Uprzedzam pana jednak, że nie są one elitą społeczeństwa...

— Co mnie to może obchodzić! Prowadź mnie!

Po paru minutach Spadacape zatrzymał się przed małym, niskim domkiem o ponurym wyglądzie, którego drzwi i okna były starannie zamknięte.

Spadacape i Ragastens zsiadli z koni przed progiem domku. Spadacape gwizdnął jakoś osobliwie i natychmiast prawie drzwi wejściowe uchyliły się. W progu stanął jakiś mężczyzna. Twarz jego i całe zachowanie się zdradziły wielkie zdumienie na widok dwóch jeźdźców, wyglądających na wojaków. Spadacape jednak zbliżył się do niego i szepnął parę słów, będących niewątpliwie hasłem; mężczyzna uspokoił się natychmiast, klasnąwszy w dłonie wezwał pachołka, który zjawił się niezwłocznie.

— Odprowadź do stajni konie tych panów, — rzekł gospodarz domku. — Może panowie raczą wejść do wnętrza oberży, — dodał.

Usunął się z drogi, wpuszczając ich do niskiej zajazdnej sali. Pełno tam było stołów i ław. Na stołach

stały dzbany i kubki cynowe. Na ławach siedzieli marynarze i kilka dziewczek.

Z chwilą gdy Ragastens i Spadacape weszli do wnętrza, zaległa nagła, pełna nieufności cisza. Oberżysta jednak uczynił ręką jakiś tajemniczy znak, poczem goście tej spelunki, nie troszcząc się już więcej o przybyłych, wdali się znowu w ożywione rozmowy.

Ragastens i Spadacape zasiedli przy niezajętym przez nikogo stole. Gospodarz przyniósł dla nich kubki i postawił na stole dzban z winem.

— Powiedziałeś mi, że znajdziemy tu rybaków, skłonnych do przewiezienia nas na Caprerę, — rzekł po chwili Ragastens.

— Zaczekaj pan... Przedewszystkiem bądź pan pewien, że żaden właściciel barki, ani też stateczku nie zechce wziąć pana na swój pokład, jeśli się dowie, że chcemy jechać na Caprerę.

— A to dlaczego?

— Bo pani Lukrecja nienawidzi ciekawych; to kobieta ostrożna i wszyscy nadbrzeżni rybacy wiedzą, czem mogą przypłacić przewiezienie jakichś obcych ludzi w okolice, położone w pobliżu jej pałacu!

— Cóż więc pocniemy?

— Przypomnij pan sobie, że zacny oberżysta przyjął nas tak życzliwie, tylko dlatego, że jesteśmy zbiegami; udajemy się do Sardynji, przynajmniej dałem mu tak do poznania, rozmawiając z nim przed chwilą. A więc gdy oberżysta wie o tem, po kilku minutach będą o tem wiedzieli i wszyscy rybacy. Zasypią nas propozycjami.

— W takim razie zaczekajmy!

Oczekiwanie nie trwało długo. Istotnie po kilku minutach jakiś stary już rybak z siwą brodą zbliżył się do nich, przewalając się z nogi na nogę, i, nie czekając na zaproszenie, zajął miejsce przy Ragastensie, nalał sobie kubek wina, wychylił go jednym tchem, potem mrugnął przebiegle i rzekł:

— Jestem właścicielem „Stelli“, szelmutki, która

mknie z podmuchem wiatru, jak jaskółka morska. Nazywam się Giuseppe.

Ragastens kiwnął głową z powagą.

— Zdaje mi się, — ciągnął dalej marynarz, — że na ładzie grunt pali wam się pod nogami?

— Masz rację, panie Giuseppe.

— A więc, nie mielibyście nic przeciw temu, gdyby wam zaproponowano wycieczkę na Sardinję, aby się przyjrzeć, co tam się dzieje?

— Masz słuszność!

— Otóż, jeśli sobie tego życzyacie, zabiorę was na pokład „Stelli“; podniesiemy kotwicę o czwartej rano. Całej parady po dwa dukaty od osoby... Po dukacie przy odjeździe, a po drugim przy lądowaniu...

— Zgoda na cenę, — rzekł Ragastens.

— Dobrze! — oświadczył Giuseppe. — Nie zapomnijcie więc: o czwartej.

— Niema obawy!

Właściciel „Stelli“ wraz z czterema marynarzami, stanowiącymi prawdopodobnie jego załogę, opuścił progi oberży.

XXVI.

ŻAGLOWIEC „STELLA“.

W dwie godziny po nich Ragastens i Spadacape wyszli również z dziwnej traktjerni i udali się do portu. Spadacape prowadził za uzdę oba wierzchowce. Wkrótce odnaleźli „Stellę“, stojącą przy pewnego rodzaju pomoście.

Załadowano konie. W urządzeniu małego stateczku, którego właściciel prowadził najprzeróżniejsze interesy, wszystko było przewidziane. O czwartej rano, jak to imć pan Giuseppe zapowiedział, rozwinięto żagle i podniesiono kotwicę.

Właściciel statku jednak był jakiś zmieszany i.

zdawało się, chciał coś powiedzieć. Wreszcie zdecydował się:.

— Ale, ale, zapomniałem dziś w nocy uprzedzić panów... och! to nic poważnego. Płyniemy na Sardinję, nawet wprost na Sardinję, lecz, zdaje mi się, że to panom zbyt nie pokrzyżuje planów, jeśli zatrzymamy się po drodze...

— Mamy się zatrzymać! Gdzie?

— Och! to nie zajmie dużo czasu... tylko kilka okrążeń, potem przybicie do brzegu wyspy Caprery i natychmiast ruszymy w dalszą drogę!

— Macie przybić do brzegu Caprery! — wykrzyknął Ragastens.

— Odpowiadam za wszystko, — zawołał Giuseppe półgłosem. — Niema najmniejszego niebezpieczeństwa. Zresztą zatrzymamy się tylko poto, by wysadzić dwoje podróżnych.

Serce Ragastensa zaczęło bić gwałtownie. Zbladł lekko. Giuseppe zauważył tę bladość i mrugnawszy przebiegle dodał:

— Nie obawiaj się pan niczego! ci dwaj podróżni nie są niebezpieczni. Są to: jeden młodzieniec, a druga stara kobieta.

— A więc oni udają się na Caprerę?

— Tak! Zawarłem z nimi interes wczorajszego wieczoru; noc całą spędzili już na statku. Możliwe, że wiącej jeszcze muszą się ukrywać, niż wy...

— Gdzież są oni?

— W swoich kabinach, które zostały dla nich wczasu przygotowane... Lecz ostatecznie, nie przeszkadza wam to chyba, że przybijemy do wybrzeża Caprery?

— Nie... przeciwnie!

Giuseppe spojrział na Ragastensa ze zdziwieniem. Nic nie rozumiał. Jako jednak człowiek przyzwyczajony do szanowania tajemnicy, gdy mu za to płacono, zamilkł. Ragastens był oszołomiony jego wyznaniem.

— Gdzie jest moja kajuta? — zapytał po chwili.

— Tam... Zejdź pan po tych schodkach... znajdziesz pan dwa hamaki, jeśli zechcesz się przespać.

— Bardzo potrzebuję snu. Ale, ale, mości Giuseppe, nie trzeba, słyszysz, nie trzeba, żeby tamci pasażerowie wiedzieli o mej obecności na pokładzie.

— Rozumiem! — odparł marynarz, mrugając znacząco.

Ragastens skinął na Spadacape'a i obaj zeszli schodkami do przeznaczonej dla nich kajuty pewni, że właściciel „Stelli“ dochowa święcie ich tajemnicy.

— Spadacape, — rzekł Ragastens, gdy zostali sami, — mamy dwóch pasażerów na statku.

— Wiem, słyszałem.

— Ci dwaj pasażerowie wylądują na Caprerze!

— Tak. A więc będziemy mieli sposobność wylądować również.

— Musimy bezwzględnie wiedzieć kim są ci pasażerowie i poco jadą na Caprerę.

— Właśnie to samo miałem na myśli.

Tak rozmawiając Spadacape myszkował po ciasnej klitce, pompatycznie przez właściciela „Stelli“ kajutą zwanej, a która właściwie była składem na rupiecie.

Wreszcie odkrył gdzieś w kącie frygijską czapkę, koszulę i czerwony pas, noszony przez marynarzy.

— Dobra nasza! — szepnął.

W parę minut dokonał całkowitego przeobrażenia. Stał przed Ragastensem boso, w rozchełstanej na piersiach koszuli, we frygijskiej czapce na głowie. Tak ubrany, a może raczej rozebrany, niczem się nie różnił od marynarzy z załogi „Stelli“.

— Mości kawalerze, nie wychylaj się stąd i nie pokazuj się. Jeszcze przed upływem godziny przyniosę ściśle informacje.

Z temi słowy Spadacape rzucił się małemi schodami na pokład, gdzie imć pan Giuseppe spacerował tam i z powrotem pilnując żagli i rzucając chwilami krótki rozkaz.

Spadacape podszedł do niego.

— Gdzie są ci dwaj pasażerowie? — zapytał półgłosem.

— Na przodzie statku. Zdaje mi się, że niepokoi was ich obecność? Jednakowoż ja odpowiadam za wszystko!

— Ostrożność nigdy nie zawadzi!

Spadacape na palcach skierował się na przód okrętu, gdzie otwierała się również luka, podobna do luki przy której wyznaczono im schronisko. Tuż około luki leżała góra lin. Spadacape ułożył się tuż obok. Każdy wziąłby go za majtkę, który nie mając nic lepszego do roboty, zabiera się do solidnej drzemki. Zaczął tak manewrować, że głowa jego powoli, powoli znalazła się na brzegu luki.

Na razie nie widział nic; potem wzrok jego, oswojony już z ciemnościami, jakie panowały w małej klitce pod pokładem, dostrzegł w najciemniejszym kącie, jakąś starą, nigdy nie widzianą kobietę. Przy niej ujrzał młodzika, którego nieraz widywał w papieskim orszaku podczas wielkich procesyj na ulicach Rzymu. Był to nikt inny tylko ksiądz Angelo, uchodzący w całym Rzymie za wielkiego faworyta Jego Świętobliwości.

Przez dwie przeszło godziny Spadacape czuwał i nadśluchiwał. Nic jednak takiego nie usłyszał, coby rzuciło światło na intencje podróżującej pary. Nieco uspokoiony, podniósł się ze swego posłania i wrócił do Ragastensa.

— No i cóż? — zapytał ten ostatni.

— Niema obawy, mości kawalerze. Poznałem mężczyznę; to młody księżulek, członek domu cywilnego papieża, to ksiądz Angelo.

Imię to nic nie mówiło Ragastensowi.

— Co zaś do kobiety, — dodał Spadacape, — nie znam jej; mam jednak wszelkie dane do przypuszczeń, że to jakaś ochmistrzyni, albo służąca pani Lukrecji. Jasnym jest, że oboje udają się do pałacu na Caprerze.

— I nic do siebie nie mówią?

— Nic.

Okolo szóstej wieczór stateczek zbliżył się do Caprery o tyle, że widać już z niego było wysepkę. Ragastens wyszedł na pokład i ukrył się na samym dziobie za zwojami lin. Chciał koniecznie rzucić wzrokiem na księdza i na starą kobietę, która mu towarzyszyła.

Wybrzeże Caprery zjeżone skałami rysowało się już wyraźnie na horyzoncie, a nad wszystkim górowały białe mury pałacu Lukrecji. Ragastens wpatrywał się chciwie w wynurzające się, kontury potężnej budowli. Nieopisane wzruszenie ścisnęło go za serce.

Bieg myśli Ragastensa przerwał nagle manewr, jaki na rozkaz Giuseppa wykonał stateczek. Statek skręcił gwałtownie, zmieniając kierunek. Zdziwiony tem niepomiernie Ragastens przywołał Giuseppa.

— Nie przybijacie do brzegu? — zapytał marynarza.

— Jeszcze nie; narazie reguluję żagle, aby nie oddalać się od brzegu.

— Kiedy przybijecie?

— W nocy.

— W nocy, — pomyślał Ragastens.—A więc dwójgu podróżnym zależy na tem, żeby się nie pokazywać zbyt wielu ludziom? Lecz jeśli udają się do pałacu, jak nam się to zdaje, dlaczego obawiają się wylądować za dnia.

Tymczasem słońce zaszło. Jeszcze przez dwie godziny stateczek manewrował w pobliżu Caprery. Zapadła noc; noc czarna, bezksiężycowa. Stateczek nagle jął sunąć wzdłuż skał; po godzinie zatrzymał się, to znaczy zwinał żagle, lecz nie zarzucił kotwicy. Szalupa podjechała pod samą linową drabinę, wyrzucona ze statku.

Wtedy Ragastens ujrzał parę tajemniczych podróżnych, których odwożono na Caprerę. Nie miał jednak czasu przyjrzeć im się dokładnie.

Już siedzieli w szalupie, która oddaliła się, poruszana wiosłami przez dwu majtków ze „Stelli“.

— Widzicie, — rzekł Giuseppe do Ragastensa, — że nie patyczkowaliśmy się zbyt długo. Za pół godziny szalupa powróci i ruszymy na Sardinję.

— Gdzie jest pałac? — zapytał Ragastens.

— Ach, pozostał o dobrą milę od miejsca zakotwiczenia... na prawo.

Ragastens nie dał żadnej odpowiedzi i czekał na powrót szalupy; po upływie pół godziny, zgodnie ze słowami imć pana Giuseppe, rozległ się plusk wiosel.

Giuseppe wydał westchnienie ulgi. Nie był zupełnie pewny, wiedząc, że znajduje się na wodach Caprerzy.

— No będziemy teraz mogli udać się w dalszą drogę! — oświadczył. — W jakim punkcie Sardynji chcecie wylądować?

— Nie jadę na Sardinję, — odpowiedział Ragastens.

— Aaa! Dokądże więc?

— Chcę wylądować na Caprerze. Dasz mi swą szalupę.

Właściciel „Stelli“ uczuł zdziwienie z powodu tak nagłej zmiany planów, nie okazał jednak tego po sobie.

— Jak się panu podoba... — odpowiedział poważnie. — Oto szalupa, możecie jechać...

— Tak, lecz przed odjazdem muszę wam powiedzieć coś takiego, o czym nikt nie powinien wiedzieć.

— Pójdź pan za mną, — ciągnął dalej Giuseppe z niezmaconym spokojem.

Po kilku minutach Giuseppe i Ragastens znaleźli się w małej kajutce kapitana.

— Czy chcesz za jednym zamachem zrobić majątek? — zapytał kawaler.

— Wielmożny pan niech rozkazuje... Co mam uczynić?

— Udam się na Caprerę; pozostanę tam przez kilka dni, może dwa, a może dziesięć. Potrzebuję statku na powrót... Czy zechcesz krążyć w okolicy wybrzeża, abym mógł dać znać, gdy będę potrzebował szalupy?

— Tak, — powiedział szybko Giuseppe. — Będzie to kosztowało dziesięć dukatów dziennie.

— Dziesięć dukatów... dobrze... Poza tem jeszcze pięćdziesiąt dukatów w dniu, kiedy wyląduję we Włoszech.

Właściciel „Stelli“ zadrzał z radości.

— Możesz pan liczyć na mnie! — rzekł do Ragastensa. — Posłuchaj pan, jeśli będziesz potrzebował szalupy w dzień, daj trzy strzały z wysokości skały u której podnóża wysadzę cię na ląd. Jeśli to będzie w nocy, rozpal trzy ogniska na samej skale...

Ragastens omówił z Giuseppem resztę szczegółów, poczem wrócił na pokład.

— A konie? — zapytał Giuseppe.

— Pozostaną na statku; będziemy ich potrzebować dopiero na lądzie stałym.

Wraz ze Spadacape'm zszedł do szalupy, a po dwudziestu minutach był już na piaszczystem wybrzeżu Caprery.

Wdrapali się niezwłocznie na przybrzeżny skalisty brzeg. Na górze ujrzeli drózkę, wijącą się równolegle z linią wybrzeża. Zaczęli posuwać się naprzód szybkim krokiem.

Wkrótce zbliżyli się do małej wioszczyny, zamieszkałej prawdopodobnie przez rybaków i złożonej z kilku domków.

Ragastens zaczął szukać chatki, wskazanej mu przez Giacoma. Gdy już ją znalazł, zauważył, że była jeszcze oświetlona, podczas gdy cała wioszczyna tonęła już w ciemnościach. Zapukał do drzwi.

Jakiś mężczyzna w stroju rybackim, noszonym przez nadbrzeżnych rybaków, stanął w progu z latarnią w ręku.

— Czego chcecie? — zapytał dosyć ostrym tonem.

— Przychodzimy z polecenia Giacomo, — brzmiała odpowiedź Ragastensa.

— Wejdźcie! — rzekł mężczyzna. — Znajdziecie

tu jeszcze jedną osobę, również jak wy, poleconą przez niego.

Ragastens nie dosłyszał tego, co mówił doń gospodarz małego domku, a może nie zrozumiał jego słów. Wszedł do wnętrza, za nim Spadacape. Obaj znaleźli się w małej, wąskiej izdebce.

Przy kominie, jakkolwiek nie płonął na nim ogień, siedziała kobieta, trzymając nad wygasłym ogniskiem wyciągnięte ręce z bezwiednym ruchem człowieka grzejącego się. Spadacape pochwycił Ragastensa za rękę i wskazując mu na kobietę, zawołał:

— Stara, którą widziałem na pokładzie „Stelli“.

Ragastens spojrział na nią ciekawie i zadrżał również:

— Maga! — zawołał.

XXVII.

SKRZYDŁA ŚMIERCI.

Aleksander Borgia wiódł w pałacu swej córki żywot skazańca. Starzec ten, który dotychczas odznaczał się niewyczerpaną prosto energią, wpadł nagle w niedającą się określić depresję duchową. Klęska zadana Cezarowi przygnębiła go niezmiernie. Co wieczór przed usnięciem zarygłowywał się starannie. Rzadko się zdarzało, aby spał przez kilka dni z kolei w tym samym pokoju.

Powoli jednak zaczęła mu wracać równowaga duchowa. Lukrecja zresztą czyniła wszystko, co było w jej mocy, aby go przekonać, że w tym tak dobrze strzeżonym pałacu nie może mu nic grozić.

Starzec po kilku dniach nabrał takiej odwagi, że zaczął nawet wychodzić z pałacu sam po nocy. Spacerować te odbywał najczęściej po ogrodzie, który sobie specjalnie upodobał, przypominał mu bowiem jego ogrody w Tivoli. Jak ongiś w Tivoli lubił spacerować samotnie.

Pewnego wieczoru zszedł swoim zwyczajem do ogrodu na samotne rozmyślenia. Niewypowiedziane czyste powietrze, przesycone krzepiącymi wyziewami morskimi, cichy wieczór, majestatyczna cisza, panująca dokoła, wszystko zdawało się uśmierzać burzę namiętności, szalejącą w duszy starca. Kroczył powoli alejami ogrodu, głaszcząc leciutko kiście kwiatów, podnoszących do góry swe korony korzystając ze świeżości wieczoru.

Aleksander Borgia usiadł na ławce w cieniu gęstych zarośli i zaczął wciągać pełną pierśią ożywczą świeżość nocnego wietrzyka, przepojonego zapachem mirtów i ostrą wonią fal morskich. Czuł, że do duszy jego spływa bezgraniczny spokój i ukojenie.

Nagle uczuł, że go przerażenie przygwaźdża do ławki... Spoglądał przed siebie osłupiały, błędny z czołem, okrytem zimnym potem.

Na końcu alei ukazała się postać niewieścia w białej szacie i bardzo powoli jęła kroczyć w jego stronę. Był to cień niewiasty... Jej długa suknia wlokła się po zwirowanej dróżce, nie czyniąc najmniejszego szmeru. Biały szal przykrywał do połowy jej czoło... Twarz tylko słodka i smutna była lekko oświetlona blaskiem księżyca.

— Honorata! — szepnął głucho starzec, szcękając zębami.

Nie miał siły uczynić bodaj jednego kroku.

Był przerażony tem zjawiskiem.

Powoli, cicho widmo zbliżało się do niego.

— Och! — pomyślał, dygocąc, — to ona! To napewno ona! Poznają ją!... To ona!... lecz jakże odmłodniała!... Jest w całym blasku swej piękności! Zgroza!...

Chciał krzyknąć. Głos zamarł mu w gardle.

Widmo wciąż się zbliżało. Przeszło tuż koło niego; Jego biała szata otarła się o starca.

Nie spuszczał przerażonych oczu ze zjawiska... Kobieta oddaliła się powoli... znikła... Wtedy Rodryg wy-

dał głośny okrzyk i padł nawznak na ławkę... Zemdlał.

Gdy wrócił do przytomności, ujrzał skupionych dokoła siebie: Lukrecję i służących.

— Co ci się stało? mój ojciec! — zawołała Lukrecja.

Nie chciał jej nic powiedzieć. Pośpieszył wrócić do swych pokoi, podtrzymywany przez dwóch służących. Dopiero wtedy, gdy się znalazł sam na sam z Lukrecją, zabrał głos:

— Teraz już koniec ze mną, moja córko, — wybełkotał.

— Ależ, na Boga, mój ojciec, co ci się przytrafiło? Odwagi!

— Koniec ze mną! Nie mam już odwagi! Koniec ze mną, powtarzam! Umarła dotknęła mnie dzisiajszego wieczoru!

Biała zjawa, która otarła się w przejściu o przeżalonego Borgię, zagłębiła się w ciemnej alei ogrodu w chwili, gdy Lukrecja pośpiesznie odprowadzała ojca do jego pokoi. Biała pani weszła do białego skrzydła pałacu, wszedłszy na pierwsze piętro, znalazła się w obszernym pokoju, bardzo skromnie umeblowanym. Zjawa ta, owa tajemnicza kobieta, zrzuciła z głowy szal i oparłszy się o parapet okna zaczęła błdzić spojrzeniem po morzu, na którego powierzchni kładły się jasne smugi księżycowej poświaty...

Ktokolwiek znał hrabinę Honoratę, otrutą przez Rodryga Borgię, mógłby istotnie przypuścić, że odżyła w osobie białej pani.

Ową zjawą, była córka nieszczęsnej hrabiny: Beatrix, albo inaczej tak zw. Primavera.

Od chwili, gdy została zamknięta w pałacu na Caprerze, żyła zupełnie zdala od całego świata.

Osiem pierwszych dni jej więzienia minęły w przygnębiającym smutku i trosce duchowej, jaką odczuwają wszyscy, skazani na samotność i na absolutne milczenie.

Wszystkie jej myśli, wszystkie pytania, jakie rozdziły się w jej głowie, obracały się dokoła jednego imienia: imieniem tem był Ragastens. Wymawiała je pocichu ustawicznie, aby dodać sobie odwagi w chwilach wielkiej rozpacz. Wywoływała w myśli wspomnienie jego dumnej subtelnej twarzy, już to uśmiechniętej, już też przebiegłej, a czasem nawet melancholijnej. Było to dla niej jedyną ucieczką, obraz ten był obrazem jedynej istoty ludzkiej, z którą czuła się związana tajemniczemi i mocnemi węzłami.

Pewnego dnia usługująca jej służąca nie zjawiała się: zamiast niej do pokoju weszła Lukrecja. Primavera szybkim ruchem upewniła się, czy ma przy sobie sztylet. Przypuszczała, że wślad za Lukrecją do pokoju wejdzie Cezar. Nie było go.

Uspokojona pod tym względem nie raczyła nawet spojrzeć na przybyłą. Ta przez chwilę przyglądała się dziewczynie w milczeniu. Potem zaczęła mówić powoli a ironicznie, z powstrzymywanym gniewem:

— Nadzwyczaj jesteś pani podobna do twej matki. Moznaby cię wziąć za nią... gdyby nie miała ona w ostatnich czasach zmęczonej twarzy życiem... a może i troskami, jakie ją dręczyły... niewątpliwie... miała zupełnie siwe włosy...

Każde jej słowo było pchnięciem sztyletu w samo serce.

Dziewczyna jednak trzymała się dzielnie, ani drgnęła, zmusiła się do zupełnej obojętności.

Lukrecja ciągnęła dalej po długiej przerwie:

— Przyszłam do pani, zapytać ją, czy nie masz jakiego życzenia... Musisz mi przyznać, że nie jesteś źle traktowana... Nienawidzę cię... to prawda... Nienawidzę jeszcze więcej kochanego przez ciebie człowieka... Nie jestem jednak ordynarnym katem. To, na co was skarzę, powinno zranić serca was obojga do głębi... powinno udręczyć ciebie i jego... Będzie szukać ciebie... Niech się uzbroi w cierpliwość... Dam mu znać o tem, gdzie się znajdujesz, gdy przyjdzie po

temu pora... Ale, ale, muszę ci oznajmić, że wkrótce przybędzie tu mój brat Cezar...

Lekki dreszcz, jaki wstrząsnął ciałem Primavera, był dla dla śledzącej bacznie każdy jej ruch Lukrecji znakiem, że tym razem cios był wymierzony celnie. Córka Borgii zaśmiała się z zadowoleniem.

— Czy wizyta ta nie podoba ci się? — zapytała z przesadnym zaniepokojeniem. — Błoby to wielka szkoda. On cię tak bardzo kocha! Poczciwy Cezar!

Primavera znowu odzyskała panowanie nad sobą.

Lukrecja oddaliła się, rzucając na biedną dziewczynę długie spojrzenie. Primavera wydała przeciągłe westchnienie. Zaczynała już tracić siły do walki. Wybuchła płaczem i jęła gryźć szal, aby stłumić szloch.

Lukrecja wróciła na swe pokoje, rozmyślając:

— Tak! Zdumiewająco jest podobna do swej matki... Kto wie, czy to nie przyda mi się na co? Och! Móc wytrącić z równowagi jego dotychczas jeszcze ciągle potężny umysł! Opanować go, ujarzmić siłą zabobonnego strachu! A wobec tego, że miewa w nocy widziadła... pokazać mu którejs nocy jeszcze jedno. Wtedy, panując całkowicie nad tym starcem, ogarniętym przerażeniem, kto wie, czy nie będę mogła pokusić się o podbicie Rzymu?!

Popłynęły znowu dni okropne dla Primavera, skazanej na ciszę w pokoju, w którym była zamknięta na klucz. Jedyłą jej pociechą było wyglądanie oknem. Przez długie godziny wpatrywała się teraz w majaczące wdali lazurowe wody morza Śródziemnego.

Pragnęła gorąco móc z kimś zamienić bodaj parę słów, wszystko jedno, z kim, albo też móc pospacerować przez kilka bodaj minut alejami pięknego ogrodu, który rozciągał się za oknami.

Pewnego poranku po przebudzeniu nie znalazła na zwykłym miejscu swych sukien. Zamiast nich ujrzała długą białą szatę i również biały wełn. Postanowiła sobie na razie pozostać w łóżku. Zdawało jej się, że ta dziwaczna zamiana sukien kryje w sobie jakiś wstrętny podstęp. Wkrótce jednak rozmyśliła się. Postana-

wiając sobie mieć się na baczości, ubrała się w białą suknię, w której wyglądała prześlicznie.

Po upływie godziny ujrzała Lukrecję, wchodzącą do jej pokoju. Zdawało jej się, że wyraz twarzy prześladowczyni zmiekl, że nienawiść znikła ze spojrzenia.

— Nie będę pani długo dokuczała swą obecnością, — rzekła Lukrecja z pewną nawet słodyczą. — Muszę tylko ci powiedzieć, że, począwszy od dnia dzisiejszego, wolno ci będzie co wieczór schodzić do ogrodu na spacer.

W duszy Primavery zrodziła się straszna nieufność i niewiara w tę dziwną słodycz Lukrecji.

Wieczorem, gdy usłyszała, że drzwi wejściowe otworzono z klucza, pozostała w swoim pokoju. Nazajutrz i dnia następnego wytrwała w swem postanowieniu i pozostała u siebie. Wreszcie uległa pokusie. Przestraszona, niepewna, ściskając w rękę swój sztylecik, zeszła do ogrodu, zrobiła kilka kroków, wreszcie odważyła się i zaczęła przebiegać aleje, szczęśliwa aż do łez, że może dotykać rękami i wdychać ożywczą woń kwiatów, które tak bardzo kochała.

XXVIII.

SKARB LUKRECJI.

Lukrecja Borgia, jak już powiedzieliśmy, towarzyszyła swemu ojcu do jego pokoi. Ukryta za gęstemi krzewami przyglądała się, nie będąc widziana przez nikogo, zaaranżowanej przez siebie scenie. Słyszała, jak starzec zdjęty przerażeniem, bełkotał słowa, tchnące lękiem, a w których przewijało się ustawicznie imię hrabiny Almy. Gdy Primavera znikła, a Aleksander VI zemdłał, rzuciła się do niego, wzywając pomocy. Teraz usiłowała za wszelką cenę uspokoić zabobonny przestach swego ojca.

— Ależ, — wołała, — mój ojczy, co ci się stało? Czy podobna, abyś ty pozwalał sobie na podobnie dzie-

cinne strachy? Ty, który nigdy dotychczas jeszcze nie zdradzałeś lęku przed żadnym najstraszniejszym nawet wrogiem?

— Taką masz rację, moja córko, — odpowiedział stary Borgia, który powoli zaczął odzyskiwać zimną krew. — Ten paniczny strach, to uczucie niegodne mnie. Powiedz mi jednak, moja dobra Lukrecjo, czy ty nie wierzysz w to, że umarli mogą wyjść ze swych grobów? Mów, droga Lukrecjo! Nie pozostawiaj mnie na pastwę tego strasznego, zabójczego milczenia! Och! zapal te pochodnie, zapal je... tam... w kącie!... te ogromne ruszające się cienie!... czy nie widzisz?!...

Starzec wpadł w niezwykle podniecenie. Znowu dużą jego załapała fala zabobonnego, szalonego strachu. Lukrecja spokojnie zapaliła pochodnie.

Aż do późnej nocy czuwała nad ojcem. Wreszcie starzec usnął niespokojnym snem. Wtedy córka jąła przyglądać mu się z jakimś dziwnym uśmiechem na ustach.

Powoli uśmiech ten znikł jej z ust. Zaczęła się cofać ku wyjściu, wpatrując się nieustannie w śpiącego ojca. Gdyby stary Borgia w tej chwili zbudził się, wzrok Lukrecji, spoczywający na jego twarzy, napęłniłby serce jego jeszcze większem przerażeniem, niż widok wszystkich najstraszliwszych zmor, jakie zrodziła jego oszalała lękiem wyobraźnia.

Lukrecja, po wyjściu z pokoi ojcowskich, zeszła schodami, wiodącemi do ogrodu, kierując się na miejsce, gdzie Rodryg Borgia ujrzał widmo kobiece.

Jedyne okno było lekko oświetlone: było to okno od pokoju Primavery, która, ciągle mając się na baczności, nie gasiła pochodni aż z nastaniem dnia. Lukrecja zwróciła głowę w kierunku jej okna.

— Tak, — szepnęła z nie dającą się opisać nienawiścią, — boisz się mnie, nie ufasz mi?... Wszystkie twe jednak ostrożności na nic się nie zdadzą...

Skierowała się w głąb ogrodu. Zachwycająca po-

waga pięknej, gwiaździstej nocy tworzyła gwałtowny kontrast z szalejącą w sercu młodej kobiety burzą.

W głębi duszy knuła śmierć tej czystej i niewinnej dziewczyny, śpiącej tam, na pięttrze. Knuła wyrafinowaną, hańbiącą śmierć, śmierć po torturach gwałtu na jej niewinności. Gdy się przeniosła myślą z dziewczyny na ojca... znowu stawało przed nią widmo śmierci... o niej marzyła w obliczu cudownego morza, szemrzącego hymn miłości, w obliczu niezliczonych miliardów gwiazd, rozsianych po niezmiernym firmamencie niebieskim.

Szła wciąż ogrodem, dalej i dalej. W głębi wznosił się stary, napół zburzony pawilon, który rozpadał się nieledwie w gruzy i którego kapryśna Lukrecja nie chciała nigdy odrestaurować.

Do tego pawilonu prowadziły zzieleniałe ze starości drzwi. Przynajmniej miało się wrażenie, że można nimi wejść do wnętrza. Lukrecja włożyła klucz do zamku. Drzwi otworzyły się z pewnym wysiłkiem. Wtedy dopiero ukazały się drugie drzwi żelazne, które Lukrecja otworzyła dużo szybciej i łatwiej, niż poprzednie.

Weszła do wąskiego pokoiku bez okien. Przy jednym ze ściennych *panneaux* stał olbrzymi kufer, pokryty grubą warstwą wilgotnego kurzu. Był to pozornie bardzo masywny mebel i zdawałoby się, że kilku nawet mężczyzn nie zdołaloby go przenieść z miejsca na miejsce.

Lukrecja pochyliła się, odgięła jeden żelazny róg, tworzący boczne okucie kufra, pchnęła kufer, który posunął się bezszelestnie. Ukazały się nowe drzwi, które Lukrecja otworzyła za pomocą małego klucza.

Od drzwi ciągnęły się schody. Lukrecja weszła na nie... zesza jakieś pięćdziesiąt stopni i, znalazłszy się w głębi, zapuściła się w długi korytarz.

Nagle na końcu korytarza ukazały się zwały skalne, zdawało się zalegające ten kąt od wieków.

W lewym jednak kącie korytarza skały tworzyły występ. Okopała ziemię dokoła tego występu. Pocią-

gnęła skałę do siebie. Skała obróciła się z łatwością, jak w zawiasach... Nie była to skała, był to kawał twardego drzewa, pokryty specjalną warstwą, z którą były zmieszane kawałki kamieni. Iluzja była zdumiewająca. Mechanizm funkcjonował z niezwykłą dokładnością.

Wkrótce Lukrecja znalazła się w olbrzymiej pieczarze. Była to naturalna grotta, znajdująca się pod wysokimi, nadbrzeżnymi skałami. Drobnny, suchy piasek, przypominający piasek, który wyścielał wybrzeże morskie, tworzył grubą warstwę na dnie pieczary.

Lukrecja skierowała się do jednego z kątów grotty, zapaliła pochodnię i zaczęła obmacywać ręką nierówności skały.

Nagle nacisnęła jedną z wypukłości. Rozległ się lekki trzask, zdawało się, że ściana skalna pęka, cały kawał jej odłączył się, obrócił w zawiasach, ukazał się rodzaj szerokiej, wysokiej i głębokiej szafy.

W szafie tej stały przykute do ściany olbrzymie kufry. Lukrecja jęła otwierać je, nie śpiesząc się, jeden po drugim. Dziwny był to widok...

Pierwsza skrzynia zawierała djamenty, rubiny, ogromne gemmy, które zaczęła przesypywać przez palce, a bajkowe klejnoty spływały, mieniając się tysiącem promieni w blasku pochodni, rzucając tysiące dziwnych ogni: migotliwych ogni djamentów, z których każdy byłby majątkiem dla niejednego z nieszczęśliwych, czerwonych ogni rubinów, połyskujących jak szkarłatno - krwawe skry; zielone ognie szmaragdów, błyskających djabelsko, strasznie...

Lukrecja przebierała w kamieniach, przesypywała je pełnemi garściami, mieszała rubiny ze szmaragdami, podrzucała w górę, tworząc jakieś niesamowite wodotryski blasków, a każda nowa połyskliwa fala była wspanialsza od poprzedniej i błyszcząca, jak gwiazdy... Potem wzrok jej padł na dalej stojące skrzynie.

Leżały w nich stosy dukatów, monety obiegowe wszystkich księstw połwyspu, tworząc mozolnie i ciepłiwie uciulane majątki... majątki, które przynio-

sły zarzucane w morze sieci.. były to bajkowe jakieś bogactwa, nagromadzone w tym zakątku skalnym na stromem pustem wybrzeżu skalistej Caprery. Były to skarby Lukrecji Borgii.

Zniesiono je tu powoli, jako części łupu, przypalającego po grabieżach, dokonywanych przez nienasycone chciwego ojca i nienasycone rozrzutnego brata.

Lukrecja przykucnięta na ziemi, z podbródkiem ukrytym w dłoni, przyglądała się swym skarbowi prawie przez dwie godziny.

— To jest, — myślała, — prawdziwa potęga! Tak, będę królową! Będę!

Lekki szmer wyrwał ją z kontemplacji. Skoczyła i z pochodnią w ręku obeszła szybko całą pieczarę. Nic podejrzanego nie dostrzegła! Wtedy nabrała odwagi.

— Niewątpliwie jakaś wielka jaszczurka strąciła kilka grudek ziemi, uciekając.

W głębi duszy jednak pozostał głuchy lęk. Pośpiesznie pozamykała wszystkie skrzynie i kamienną szalę: mur pieczary wrócił do dawnego pierwotnego wyglądu. Podczas, gdy starała się pośpiesznie zatrzeć wszystkie ślady tajemniczej kryjówki, ciągle miała wrażenie, że jakieś niewidzialne oczy śledzą ją z ukrycia.

Zdawało jej się, że ktoś kryje się w głębi pieczary.

Spojrzała na wąski korytarzyk, którym przedostała się do pieczary, zamknęła starannie wejście do niego, wróciła do pawilonu, który zamknęła również na podwójne drzwi. Wtedy rozejrzała się dokoła. Nie było nikogo. Gdy wróciła do swych pokoi, mniej więcej w godzinę po opuszczeniu tajemniczego pawilonu, służący, który stale stał na straży w przedpokoju, rzekł do niej:

— Jakiś mężczyzna z kontynentu oczekuje na panią...

Lukrecja zadrżała gwałtownie. Wydało jej się bez-

wiednie, że przybycie tego człowieka ma jakiś związek ze szmerem, zasłyszonym w grocie ze skarbami.

— Kiedy przyjechał? — zapytała.

— Mniej więcej przed pół godziną.

— I powiadasz, że przyjeżdża z Włoch?

— Przysłany przez jego książęcą mość Cezara.

Lukrecja wydała radosny okrzyk i skinęła na służącego. W kilka chwil potem wysłannik z Włoch stał już przed nią.

— Książd Angelo! — wykrzyknęła.

Książd skłonił się przed nią z wielkim wdziękiem, co czynił istotnie po mistrzowsku i według zasad ostatniej mody i zwyczajów. Nie! Gdyby nawet komuś przyszło na myśl śledzić Lukrecję Borgię, nie uczyniłby tego nigdy w świecie ten laluś... Nie! Nie!...

Jednakowoż, jakkolwiek wszelka myśl o zdradzie z jego strony rozviała się jak mgła, zapytała go:

— Kiedy wysiadłeś na brzeg, mój drogi księżę Angelo?

— Mniej niż przed godziną, wasza książęcą mość.

Z temi słowy Angelo wyjął z kieszeni płaszcz list Cezara i wręczył go Lukrecji.

— Jego książęcą mość, — powiedział, — upoważnił mnie do wręczenia pani tego pisma, którego nie chciał powierzyć nikomu innemu, jak tylko niezachwianie oddanemu człowiekowi.

Lukrecja przebiegła wzrokiem znany już nam list. Spojrzała na księdza badawczo i długo. Potem usiadła i powoli, wyraz po wyrazie odczytała raz jeszcze list. Gdy się jej wydało, że wreszcie zrozumiała cały jego ukryty sens, podniosła wzrok na księżynę.

— Jak Cezar mógł powierzyć taką misję takiemu idjocie? — pomyślała.

Potem dodała głośno:

— Znasz prawdopodobnie treść tego listu?

— Tak, pani: treść... i... znaczenie.

Głos księdza nagle spoważniał, stał się twardy i ostry. Lukrecja spojrzała na niego ze zdumieniem. Angelo ciągnął dalej:

— W razie gdyby treść tego listu nie odpowiadała pani planom, odjadę jutro, aby powiadomić o tem mego pana. Lecz w razie, gdyby, jak przypuszczaliśmy, przystała pani na otoczenie zdrowia Jego Świętobliwości do spółki z nami pieczołowitą opieką, należy się co do szczegółów porozumieć bliżej. Śpieszy mi się bowiem z powrotem do Włoch, aby włożyć na głowę mitrę, na posiadanie której pani znakomity brat pozwolił mi mieć nadzieję.

Słowa te były jednocześnie wyjaśnieniem, które Lukrecja doskonale rozumiała. Odpowiedziała poważnie:

— Mój drogi Angelo, nie znalazłam cię dotychczas... Pomówimy ze sobą... nieco później... Wart jesteś istotnie więcej, niż mitry!...

— Jestem tegoż samego zdania! — rzekł zimno Angelo.

— Tymczasem załatwimy specjalnej ważności sprawę, która cię przywiodła na Caprerę. Zajmij miejsce... tam...nawprost mnie..

Rozmowa Lukrecji i Angela, prowadzona szeptem, trwała bardzo długo.

— — — — —
Jak już wiemy, imć pan Giuseppe wysadził na brzeg Różę Vanozzo i księdza Angela o milę od pałacu Lukrecji Borgii. Oboje udali się pośpiesznie w stronę pałacu, przecinając drogę ciągnącą się równoległe do wybrzeża morskiego. Przybyli wreszcie do skupienia domków rybackich, skromnie wsią zwanego. Róża Vanozzo zatrzymała się przed jedną z takich chatek.

— Tutaj trzeba będzie mnie szukać, gdy wybije godzina, — rzekła. — Jedź wprost do pałacu. Ja tu zostanę.

Ksiądz zapamiętał sobie dokładnie położenie chałupki rybackiej. Był to trzeci domek od strony pałacu... Potem zagłębił się w mroku nocy... Lecz zamiast tego, by iść dalej drogą, zszedł na piaszczyste wybrzeże i zaczął iść powoli. Już zupełnie blisko celu An-

gelo zawahał się na chwilę, ogarnęło go jakieś dziwne przeczucie tego, co ma się stać.

Ksiądz Angelo był młody. Ten, którego miał zabić, traktował go zawsze z wielką serdecznością. Ambitne myśli zgangrenowały duszę młodzieńca. Przystał na morderstwo, chciał bowiem zostać biskupem.

Teraz jednak płacił daninę na rzecz życia. Nieświadomie burzył się, stwierdzając, że stanie się przyczyną śmierci jednej ludzkiej istoty.

Usiadł na złomie skalnym i, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, zaczął w roztargnieniu wrywać kępki wrzosu.

W tej samej chwili wzrok jego padł na mdłe światelko, które zdawało się płynąć z luk po wyrwanym wrzosie, który tam rósł jeszcze przed chwilą. Z zaciekawieniem zaczął się przyglądać.

— Skąd może płynąć to światło? — zadał sobie pytanie.

Zaintrygowany tem dziwnem zjawiskiem przykleknął, rozgrzebał ziemię i wyrwał jeszcze kilka kępek wrzosu. Luka rozszerzyła się; krąg światła stał się jaśniejszy. Ksiądz przylgnął twarzą do otworu, który uczynił. To, co ujrzał, zdumiało go.

Ogromne zagłębienie gruntu, które miał przed oczami, było oświetlone nikłym światłem. Powoli kontury pieczary zarysowały się wyraźniej; ujrzał boki tego oryginalnego podziemia; jeden z tych boków był jasno oświetlony; ujrzał pochodnię; przy pochodni siedziała w kucki kobieta; przed kobietą w głębi szerokiej szafy stały skrzynie, a w tych skrzyniach spoczywały jakieś błyszczące przedmioty, niektóre z nich lśniły jakimś blaskiem.

Oczy Angela rozszerzyły się, zdało się, że wyjdą z orbit. Gwałtowne wrażenie, jakiego doznał, rozsadało mu serce. Już nie było żadnych wątpliwości. Skrzynie te zawierały niezmierzone bogactwa, których nie dałoby się policzyć, lecz które przekraczały wszystko, co tylko mógł sobie wyobrazić.

Nie mógł powstrzymać gestu radości i trwogi... kilka drobnych kamyków potoczyło mu się z pod nóg... kobieta odwróciła się... poznał ją: była to Lukrecja Borgia! Książd cofnął się pośpiesznie, jakgdyby w obawie, że zostanie poznany...

Potem wzruszył ramionami, drwiąc w duchu ze swych obaw i jął obserwować dalej. Lukrecja zgasiła swą pochodnię. Wszystko pograżyło się w ciemnościach.

Książd nie ruszył się z miejsca przez parę minut, jakby zmiażdżony potężną radością, jakiej doznał; zamknął oczy, aby móc po ich otworzeniu stwierdzić, że skarb istnieje; zadawał sobie pytanie, czy nie śni, czy nie postradał zmysłów. Potem nagle zadrżał.

Przybył na wyspę, aby zamordować papieża i oto teraz w duszy jego zrodziła się chęć dokonania jeszcze jednej zbrodni! Decyzja ta dojrzała w ciągu jednej sekundy. Zamorduje papieża, tak! Ale zamorduje i Lukrecję Borgia! A potem... zagarnie jej skarb!...

Bardzo żywo, gorączkowo zaczął zatykać dziurę, którą uczynił, zawałił ją kamieniami, zakonotował sobie w pamięci miejsce, aby się nie pomylić, nakreślił ołówkiem kilka znaków na kawałku papieru, aby łatwiej zapamiętać miejsce, wreszcie oddalił się.

Gdy stanął przed wielkimi wrotami pałacu, był już całkowicie spokojny. Twarz jego nie wyrażała żadnego innego uczucia prócz niecierpliwości człowieka, który chce złożyć uszanowanie czczonemu przez siebie swemu panu, Aleksandrowi Borgii i jego znakomitej córce, dla której przywoził list od jego książęcej mości Cezara Borgii.

XXIX.

TA, KTÓRA ZGADUJE MYŚLI.

W chatce rybackiej, wskazanej przez Giacomę, Spadacape poznał w siedzącej przy wygasłym komin-

ku kobiecie nieznaną, którą widział na pokładzie „Stelli“, Ragastens zaś stwierdził ze zdumieniem, że kobietą tą była dziwna protektorka małej fornariny, Rosity.

Gdy Ragastens i Spadacape weszli do nędznej lepianki, Maga nawet nie drgnęła. A jednak od pierwszego wejrzenia poznała Ragastensa. Nieszczęśliwą jednak kobietą, która po długim życiu, wypełnionem jedynie miłością, żyła obecnie tylko zemstą, dzikiem, uporczywem i cierpliwem pragnieniem zemsty, koncentrującej się na Aleksandrze VI Borgii.

Owa zemsta wyrobiła w niej powoli pewien kult fatalizmu. Wierzyła w to głęboko, że poza zemstą nic innego nie istnieje. Żyła teraz po to, aby zabić Aleksandra Borgia.

To też cały szereg wypadków i wrażeń z otaczającego ją świata pozostawiał ją zupełnie obojętną na siebie. Widok więc wchodzącego do jej izdebki Ragastensa nie wzruszył jej bynajmniej.

Rybak, który wprowadził do wnętrza Ragastensa i Spadacape'a, przyjrzał się pierwszemu badawczo:

— Wobec tego, że przychodzisz pan w imieniu Giacomo, powiedz mi, czy chcesz, żeby cię nikt z mieszkańców wyspy nie widział?

— Właśnie, — odparł Ragastens, nie spuszczać przez cały czas oczu z Róży Vanozzo, jakby chcąc ściągnąć na siebie jej uwagę.

— Otóż tutaj będziecie zupełnie bezpieczni. Nikt wam tu nie przeszkodzi. Pokażę wam mój pokój, który jest dostatecznie na uboczu, aby was tam w razie czego nie znaleziono, nawet gdyby zaczęto poszukiwać. Poprosiłbym was, abyście powiedzieli Giacomo wi, że uczyniłem wszystko, aby wykonać jak najlepiej jego wolę.

— Nie omieszkać tego uczynić, mój drogi, — odpowiedział Ragastens. — Nie będę z tem nawet długo zwlekał, w chwili bowiem, gdy udam się stąd w powrotną drogę, Giacomo opuści Rzym, aby zamienić się z nami miejscami i przybyć na Caprerę.

Na te słowa Rosa Vanozzo podniosła głowę.

— Giacomo przybędzie na Caprerę? — zapytała.

— Tak, pani...

— Dobrze...

Pogrążyła się w dawny bezruch i odrętwienie.

— Nie poznajesz więc mnie, pani? — zapytał, zbliżając się do niej.

— Poznaje...

Wyrzekła te słowa mniej gorzkim tonem, niż zazwyczaj. W głosie jej zabrzmiały nuty pewnej słodyczy: Ragastens był przecież tym, który ocalił Rositę. Patrzała nań przez chwilę martwym wzrokiem, potem dodała:

— Pan cierpisz również...

Ragastens zadrżał.

— Z czego pani to wnosisz? — zapytał.

— Widziałam to jeszcze w grocie Anio... Zająłeś mnie, młodzieńcze... Życzyłam ci wtedy szczęścia... Widzę teraz, że życzenie moje nie ziściło się.

Ragastens pozostał przez chwilę w milczeniu. Był głęboko wzruszony.

— Cierpiałem wtedy, — rzekł wreszcie przyciszonym głosem, — cierpienia te jednak nie były tak srogie, jak dziś...

— Tak, — powiedziała stara, — wtedy kochałeś i przypuszczałeś, że ona cię nie kocha; dziś wiesz, że jesteś kochany, lecz ta, którą kochasz i która przysięgła ci wierność, została porwana... Ja wiem doskonale, że ten ból jest okropny!...

— Skąd wiesz pani to wszystko? — zawołał Ragastens osłupiały ze zdziwienia.

— Sam mi to powiedziałaś.

— Ja?!

— Pan! jeśli nie bezpośrednio słowami, to zachowaniem, czynem, gestem... Kochasz córkę hrabiego, Almy, tę, która ma na imię Beatrix. Już w pieczarze Anio widziałam, że jesteś nieszczęśliwy, że starasz się ukryć twoje nieszczęście i ból pod pozorami niefrasobliwości i wesela... Jakgdy-

by miłość można było zataić! Twoja wesołość była jedynie gorączkowym podnieceniem... widziałam wyraźnie, że kochasz... Jeszcze lepiej zdałam sobie z tego sprawę nieco później, kiedy zauważyłam z jaką rozpaczliwą zawiścią spoglądałeś na twego przyjaciela Rafaela... Powtarzam, zainteresowałeś mnie, moje dziecko... Ze skwapliwości, z jaką starałeś się wywiedzieć o ruchu wojsk Cezara, o kierunku, jaki obrały one, wszystko to wskazywało mi wyraźnie, że interesujesz się tem, co się dzieje w Monteforte... Dowiedziałam się potem od Giacomina, który codzień przychodził do mnie posłańca, ja również interesowałam się tem, co robi Cezar... z tych więc wiadomości dowiedziałam się również o twych poczynaniach w Monteforte... To ty powstrzymałeś atak Cezara... Uczyniłeś to przytem po odrzuceniu świetnych propozycji Cezara. Od tej chwili cała prawda stanęła mi już jasno przed oczami... Kochałeś młodą hrabiankę...

Martwy wzrok Magi ożywił się. Błyszczał teraz żywą sympatją, co było bardzo rzadkim objawem u tej tak bardzo udręczonej przez los istoty. Ragastens niemy ze zdziwienia, słuchał rozumowań Róży Vanozzo.

— Pani, — rzekł wreszcie, — nie mam celu ukrywać uczuć, które wyczytała pani w mem sercu, jak w otwartej księdze! Tak, kocham hrabiankę Beatrix... a wobec tego, że odgadłaś pani moje uczucia, przyznaję się więc do tego, że jej zniknięcie jest przyczyną mego cierpienia.

— Czy przybyłeś tu w poszukiwaniu jej?

— Nie wiem dlaczego, czuję do ciebie zaufanie bez granic... Tak, pani, jeśli tu jestem, to jedynie w nadziei odnalezienia jej. Nadzieja tą być może przyniesie mi zawód, którego nie będę w stanie znieść.

— Obawiasz się więc, aby Lukrecja nie pozbawiła życia tej, którą kochasz?

— A więc tak, — odpowiedział Ragastens ze drżeniem, — obawiam się tego... Być może przybywam za późno!...

— Uspokój się pod tym względem...

— Co chcesz pani powiedzieć? Czyżbyś wiedziała coś o niej? Ach! pani, jeśli tak jest istotnie, mów na Boga! zaklinam cię...

— Nie wiem nic zgoła, — odpowiedziała spokojnie Maga, tylko rozumię i robię przypuszczenia... ot i wszystko... Powiedz mi jednak, czy byłeś kiedy w jakich stosunkach z Lukrecją? Czy ją kiedy widziałeś? Czy rozmawiała z tobą?

— Niestety, tak! na moje nieszczęście!...

— Lukrecja kazała zamordować swego męża, nieszczęśliwego księcia Bisaglię, istotę bezbronną, który nie przeszkadzał ani jej ambitnym planom, ani jej wybrykom miłosnym. Jedyne jakieś uczucie, silniejsze od innych uczuć, które dotychczas doznawała, mogło pchnąć Lukrecję do tego kroku... A więc kochała cię?

— Być może, — odpowiedział Ragastens z pewną rezerwą.

— Jestem tego pewna. Lukrecja ze swą żywą wyobraźnią musiała zacząć budować jakieś plany, które wkońcu jednak zawiodły. Stąd chęć zemsty.

— Wszystko, coś pani w tej chwili powiedziała, jest najistotniejszą prawdą!

Maga uśmiechnęła się blado.

— Znam dobrze Lukrecję! — powiedziała, kiwając głową.

— Więc, powiadasz pani, że Lukrecja nie będzie godziła na życie Beatrix? Co każe pani być tego zdania?

— Powiedziałam, że znam dobrze Lukrecję. Starła się ugodzić cię w samo serce. Nietylko chciała zadać ci ból, lecz chce również wymyśleć jakąś wyrafinowaną torturę dla rywalki.

— Przerażasz mnie pani, — szepnął Ragastens bez tchu, blednąc z przerażenia.

— Śmierć w oczach Lukrecji nie jest wcale karą, — mówiła dalej stara, — przyzwyczajona do mordowania, przestała już uważać śmierć za coś straszniejszego. Zabija tylko dlatego, aby usunąć ze swej drogi przeszkodę. Gdy jednak chodzi o zemstę, Lukrecja

boi się, by śmierć nie zabrała jej przedwcześnie jej ofiary. Lubi wtedy mordować lecz powoli; nie za pomocą sztyletu, lub trucizny; nie, godzi w serce, sprowadza hańbę, postawi ją przed tobą wtedy, gdy nie-
szczęsna będzie wolała śmierć raczej, niż twoją obecność. Wtedy dopiero będzie mogła nasycić się do syta rozpaczą twoją i jej; pójdzie za wami jak cień, niewidzialna, będzie obecna przy waszej agonji.

— Och! to straszne, co pani mówisz! — wykrzyknął chrapliwie Ragastens, oszalały z przerażenia. — Ależ ta kobieta jest istotnie szatanem!

Potem, porywając Magę za rękę, dodał:

— Skąd jednak znasz ją tak dobrze? Jak ci się udało tak przeniknąć wszystkie jej myśli? A jednak dla niej jesteś tu, na wyspie? A więc i przeciw tobie uknuła ona jakiś spisek... A więc jest ona i twoją również śmiertelną nieprzyjaciółką? Nieprzejednanym, okrutnym wrogiem?

Maga przyjrzała się Ragastensowi swem martwym spojrzeniem, a potem ze spokojem, tak dziwnym, że aż budzącym dreszcz grozy, odpowiedziała:

— To moja córka!

— Pani córka! — zawołał kawaler przerażony i pełen niewymownego zdziwienia.

— Tak! moja córka! Wydaje się to panu potwornem, że matka może tak się odzywać o swej córce, jak ja się przed chwilą odzywałam o niej? Istotnie trzeba być potworną matką, aby wydać na świat takie dwie plagi, jakimi są dla świata: Lukrecja i Cezar Borgiowie!

Maga ukryła w dłoniach twarz, a głuchy szloch wstrząsnął jej ciałem. W głosie jej było tyle bezbrzeżnej goryczy, rozpacz tej biedaczki zdała się być tak głęboka, że Ragastens, wstrząśnięty litością, zapomniał na chwilę o swem nieszczęściu.

— Jesteś bardzo dobry, — odezwała się do niego Maga, opanowując powoli swe wzruszenie, — jesteś dobry, bo litujesz się nade mną; nie myliło mnie moje przecucie.

Podniosła się z miejsca, jakby zamierzając oddalić się do pokoju, który przeznaczyl dla niej rybak na mieszkanie.

— Nie obawiaj się śmierci dla twej narzeczonej! Śmierć, jak już powiedziałam, nie jest dostateczną zemstą dla Lukrecji.

— Czegóż się więc mam dla niej obawiać? — zapytał głucho.

— Lukrecja pisała do Cezara... i Cezar w tej chwili jest już być może w drodze na Caprerę!

Maga oddaliła się, pozostawiając Ragastensa przybitego przerażeniem. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, wyszeptał z coraz to wzmagającym się przerażeniem i wściekłością, imię, które padło z ust Magi, jak jakieś złowieszcze ostrzeżenie:

— Cezar!...

XXX.

STARY BORGIA NABIERA NIECO ODWAGI.

Upłynęło kilka dni od chwili przybycia księdza Angelo do pałacu na Caprerze. Lukrecja oczekiwała z gorączkową niecierpliwością przyjazdu Cezara, do którego znowu wysłała posłańca. W duszy, tak samo, jak jej brat, skazała już na śmierć swego ojca. Jednocześnie jeszcze czekała...

Angelo przedstawił jej swój plan. Należało wprowadzić do pałacu starą czarownicę. Wtedy ona zacznie działać.

Lukrecja zasypywała Angela pytaniami o kobietę, którą przywiózł ze sobą. Angelo jednak nic nie mógł jej na nie odpowiedzieć, a przynajmniej tyle tylko, co sam o niej wiedział, a to równało się prawie niczemu.

Postanowiła tedy zostawić wolną rękę Angelemu.

Ten przedewszystkiem postarał się obudzić w starcu bezgraniczne zaufanie do swej osoby. To mu się

udało. Jeśli nawet stary Borgia wciąż jeszcze zamykał się na noc na trzy spusty, jeśli zmieniał co wieczór pokoje, obawy jego zmniejszyły się jednak znacznie, a to dzięki wysiłkom Angela.

Zaczął nawet sam zupełnie wydalać się poza obręb pałacu. Czasem wieczorami wyruszał nad morze; wolnym krokiem zaczynał spacerować tam i z powrotem, rozmyślając nad wiadomościami, jakie otrzymywał co rano, układając w myśli odpowiedzi do Cezara i do margrabiego Rocasanty...

Wieści, nadsyłane mu z Wielkiego Miasta stawały się coraz lepsze. Powstanie, do którego zaczął gotować się lud pod wrażeniem wiadomości o porażce Cezara, jęło, jak się zdawało, wygasać.

Papież zaczął obmyślać już chwilę, w której najlepiej i najpolityczniej będzie mógł powrócić do Rzymu. Tłumaczył to właśnie pewnego wieczoru swemu powiernikowi księdzu Angelemu, z którym w kilka dni po jego przyjeździe udał się na spacer po skalistym morskiem wybrzeżu. Przed i za papieżem postępowało w pewnym od niego oddaleniu kilku żołnierzy ze straży papieskiej.

— Na Madonnę z Pedigrotty, wcale nie jestem zły, że zmieniłem miejsce pobytu, mój drogi Angelo. Tivoli sprzykrzyło mi się ostatecznie. Tutaj mam przynajmniej morze, owo niewyczerpane źródło zdrowia moralnego i fizycznego. Zdaje mi się, że odmłodziłem o dziesięć lat... Jak ci się zdaje?

— Nigdy jeszcze nie widziałem Waszej świętobliwości w tak dobrym zdrowiu...

— To wszystko zasługa morza... tak, tak... Spójrz, jakie spokojne! Tak, Angelo, czuję od paru dni, że przybyło mi sił... Zawdzięczam to w dużej mierze mej córce... Cóż za zdumiewające usposobienie ma ona! Na chwilę nawet nie straciła na minie! Dodaje mi ducha! Ale to jeszcze nie wszystko, Angelo. Przybyłem tu pełen gorzkich myśli i gniewu, a tymczasem nie jestem w stanie obmyślać kar dla zbuntowanych... Chcę aby nastąpiło powszechne odpuszczenie win.

Chcę aby otworzono wszystkie więzienia; chcę, żeby szczytny przykład pobłażliwości, która wprawi świat cały w zdumienie, chcę aby ten przykład stał się przykładem dla przyszłych pokoleń... Jakże słodkim jest przebaczenie! Gdybyś ty wiedział, jak łagodni ono udrękę duchową!

Potem głucho, jakby mówiąc do siebie, dodał:

— Gdy ja przebaczę, może i mnie będzie przebaczone!

W tej samej chwili nad brzegiem morza ukazał się jakiś czarny cień. Starzec ujrzał go i nagle, ogarnięty nową falą obaw, porwał za rękę swego księdza — lektora.

— Czy widzisz! — zawołał niespokojnie.

— Tak, widzę... Niech Wasza Świętobliwość nie boi się... Przywołam straż...

Cień zbliżył się do nich. Była to kobieta w czerni. Angelo poznał ją i zdumiał się. Kobietą w czerni była **M a g a!**

XXXI.

ŻYCIE ZA ŻYCIE!

Usta księdza otwierały się już, aby przywołać straż. Nie wydały jednak żadnego dźwięku. W głowie błysnęła mu myśl, że teraz wybiła ostatnia godzina papieża.

— Niema potrzeby wzywać straż, — szepnął starcowi na ucho, to nieszkodliwa nędzarka z nadbrzeżnej wsi.

Cofnął się o parę kroków, z błyszczącym wzrokiem, bladą twarzą, widząc już oczami wyobraźni całą scenę, jaka będzie miała miejsce na tem odludnem wybrzeżu.

Róża Vanozzo zbliżyła się powoli i zatrzymała się przed papieżem, który nie mógł ujrzeć jej twarzy, osłoniętej czarnym szalem.

— Czego chcesz? — zapytał ostro papież.

— Pomówić sam na sam z Rodrygiem Borgia, — odpowiedziała nędzarka, pochylając się w jego stronę. Słowa te padły z jej ust cicho, że on tylko je usłyszał. Natychmiast potem dodała:

— Czuję w powietrzu zbrodnię. Życie twoje jest zagrożone. Jeśli mnie usłuchasz, będziesz uratowany... Jeśli mnie nie usłuchasz, zginiesz... Wybieraj... Prędko!

Na dźwięk jej głosu Borgia wzdrygnął się. Gdzie go już słyszał? Och! ta kobieta mówiła prawdę! Tak, istotnie, życiu jego groziło niebezpieczeństwo. A więc jego przecucia nie omyliły go!

— Powiadasz, że możesz mnie ocalić? — szepnął cicho.

— Tak. Ja tylko mogę to uczynić! Oddał tego człowieka, który nas podsłuchuje...

Stary Borgia przez chwilę nie wiedział, co ma począć. A jeśli ta kobieta kłamała? A jeśli to był podstęp z jej strony?... Lecz jeśli ona mówiła prawdę?! Jeśli istotnie mogła go uratować! Alboż w jej głosie nie brzmiały akcenty prawdy, tak.. istotnie mówiła prawdę.. czuł, że tak było... zbyt dobrze mu były znane najlżejsze odcienie kłamstwa, aby tu mógł się pomylić!

— Angelo! — rzekł nagle. — Odejdź, moje dziecko.

— Wystarczy, aby odszedł tylko tak daleko, by nas nie mógł słyszeć... może nie tracić nas z oczu...

— Czy słyszysz, Angelo? — zapytał wesoło stary Borgia... Odejdź na chwilę, pozostań jednak na wybrzeżu, tak, abym miał cię na oku.

Książdz usłuchał i odszedł o jakieś dwadzieścia kroków.

— Mów, poczciwa kobieto! — rzekł papież.

Róża Vanozzo zrzuciła wtedy z głowy szal, okrywający jej całą prawie twarz.

— Czy poznajesz mnie, panie? — zapytała.

— Maga! — wykrzyknął papież. — Jak trafiłaś tu za mną, stara czarownico? Jak śmiesz stanąć przede mną po tem, co się stało w Tivoli? Nieba! Nie memu życiu grozi w tej chwili niebezpieczeństwo, lecz twemu!

— Możesz kazać mnie pojmać, jeśli zechcesz... — rzekła zimno Róża; — uprzedzam cię, że jesteś zgubiony, jeśli nie będzie mnie wpobliżu, aby cię ocalić. Nikt na świecie, z wyjątkiem mnie, nie jest w stanie ocalić cię!

Znowu lęk ogarnął Borgię.

— Mów że! — powiedział z niepokojem.

— Trzeba przedewszystkiem, abyś miał do mnie zupełne zaufanie... Otóż muszę ci dowieść, że możesz czuć do mnie takie zaufanie. Ongiś byłeś bardzo poważnie chory... Medycy stracili już nadzieję uratowania ci życia. Ja wtedy wydarłam cię śmierci. Nieprawdaż?

— Istotnie... uratowałaś mi życie...

— Byłeś otoczony zaciekłymi wrogami; przyszedłeś do mnie, do mej lepianki w dzielnicy Ghetto, i powiedziałeś: „Daj mi środek, którym mógłbym walczyć z moimi wrogami“. Przygotowałam ci wtedy straszliwą truciznę, której użycie miało cię zabezpieczyć przed tem, by ktokolwiek ośmielił się podnieść wzrok na twoją tiarę... Nieprawdaż?

— Prawda! Ty pomogłaś mi pozbyć się mych wrogów... Lecz dlaczego zadrwiłaś ze mnie w Tivoli?...

— Dlatego, że chciałam przeszkodzić czynowi, któryby zaciężył kamieniem na twem życiu... Wiedziałam o tem, że Rosita jest twoją córką!

Papież spuścił głowę i zamyślił się.

— Tak, — oświadczył po chwili, — możliwe, że w Tivoli uczyniłaś dla mnie o wiele więcej, niż kiedykolwiek... Uratowałaś mnie od siebie samego! Masz rację, Mago! Pozwoliłaś mi uniknąć zbrodni... zbrodni, popełnionej coprawda w nieświadomości!

W oczach Róży zapaliła się błyskawica nienawiści i pogardy.

— Miałam więc słuszną, twierdząc, że musisz mi całkowicie zaufać!

— Jednakowoż — ciągnął Borgia dalej, nie odpowiadając na jej pytanie, — dlaczego w najstraszliwszych chwilach mego życia znajduję cię zawsze na mej drodze? Chcę wiedzieć, dlaczego tak się interesujesz memi losami? Dlaczego uratowałaś mnie od śmierci i od zbrodni kazirodztwa? Dlaczego znowu chcesz mnie ratować? Kto jesteś? Jaką wyświadczylem ci przysługę, że tak się troszczysz o moje życie i o me sumienie?

Podczas gdy starzec mówił, Róża Vanozzo dygotała, jak w gorączce.

Bo oto składała najwyższą ofiarę: stłumiła żyjącą w sercu nienawiść, rezygnowała ze swej zemsty, składała ofiarę ze swego życia! Od trzydziestu bowiem lat żyła jedynie myślą o zemście!

Co się działo w sercu tej nieszczęśliwej?

Uczyła najwyższy wysiłek, aby opanować wstrząsające ją wzruszenie, i głosem zaledwie lekko drżącym, odpowiedziała:

— Stawiasz mi pytania, na które nie mogę dać odpowiedzi. Niech ci wystarczy ta odpowiedź, że fatalizm połączył nasze dwie egzystencje... Nie pytaj mnie o nic więcej. Nie mów ze mną o mej przeszłości, ani o tem, dlaczego interesują mnie twoje losy, jeśli chcesz, żeby mi wystarczyło sił na uratowanie ci życia jeszcze tym razem.

Słowa te przypomniały Rodrygowi o groźnej rzeczywistości.

— Niech i tak będzie, — oświadczył, — masz jakąś tajemnicę, nie będę usiłował poznać jej. Czekam jedynie na to, abyś mi powiedziała, kto godzi na me życie? dlaczego? i jakie grozi mi niebezpieczeństwo?

— Tego jeszcze ci nie powiem, — rzekła Maga już po dawnemu zimnym tonem... — Nie mogę ci tego powiedzieć...

— Czegóż więc chcesz ode mnie? — zapytał papież z powściąganą irytacją.

— Chcę zaproponować ci pewną zamianę. Dwie egzystencje są w tej chwili zagrożone: twoja i pewnej nieszczęsnej, o której chcę z tobą pomówić... Możesz ją ocalić: jeśli ty ją ocalisz, ja ocale ciebie! Jeśli mi odmówisz, oddaję dalszy bieg wypadków losowi!

— Nic nie rozumiem! Kto jest owa nieszczęsna, o której wspomniałaś?

— Księżna Beatrix, córka hrabiego Almy.

— Beatrix! — zawołał Rodryg ze zdziwieniem. — Mówisz, że ja mogę ją ocalić?

— Posłuchaj, — jęła mówić pośpiesznie. — Zabiłeś matkę... musisz ocalić córkę... Beatrix została porwana z Monteforte... A wiesz przez kogo? Przez Lukrecję!

— Przez Lukrecję! Dziwne opowiadasz mi rzeczy!

— Beatrix została porwana i przywieziona tutaj... do pałacu... gdzie jest obecnie więziona... skąd nie wyjdzie nigdy... Powiedz jedno słowo... narzuć twą wolę Lukrecji, twojej córce, a Beatrix odzyska wolność...

— A jeśli nie zechce tego uczynić?

— Powiedziałam już: proponuję zamianę; życie twoje za życie Beatrix! życie za życie! Jeśli Beatrix odzyska wolność, jeśli ujrzę na własne oczy, że opuszcza Caprerę bez przeszkód, że nie uczyniono jej tu żadnej krzywdy, życie twe ocalone. Jeśli nie — nie będzie w stanie wydrzeć cię śmierci!

Stary Borgia wzdrygnął się.

— Uratuję Beatrix!

— Przysięgasz?

— Na ewangelję i na krzyż...

— A więc, — rzekła Maga bardzo wolno... — jesteś ocalony... Jeśli wierzysz w Boga, podziękuj mu zato, że dał ci możliwość wymiany twego życia na jej...

Papież chciał jeszcze zadać kilka pytań dziwnej starej, cofnęła się jednak szybko w mrok i znikła mu z przed oczu. Stał przez kilka minut drżący, zdi-

wiony i przerażony. Wreszcie przywołał Angela. Ten nadbiegł pośpiesznie.

— Miałeś rację, — odezwał się do niego stary Borgia obojętnym tonem. — To jakaś nieszkodliwa biedaczka, która przywlokła się prosić mnie o łaskę dla kogoś z jej bliskich.

— I Wasza Świętobliwość spełniłeś jej prośbę?

— Tak, Angelo; już ci powiedziałem — to wielka radość czynić łaskę i przebaczać. — Lecz, dodał szybko, jakby zdjęty nagłem podejrzeniem, — czy znasz tę kobietę?

— Ja? Ani mi się śniło!

— Jednakowoż... Powiedziałeś przed chwilą...

— To było jedynie przypuszczenie, Ojczy Świąty.

Papież obrzucił swego lektora — faworyta nieufnem spojrzeniem. Ten jednak miał tak naiwny wyraz twarzy, że podejrzenie zgasło natychmiast.

— Wracajmy! — rzekł stary Borgia. — Łacno mógłbym po nocy nabawić się malarji.

Zaczął iść pośpiesznie w stronę pałacu; za nim postępował Angelo oszołomiony tem, co się stało, bardzo niespokojny i zmieszany... pełen lęku zadawał sobie w duchu pytanie:

— Co mogła ona mu powiedzieć? Co się stało? Czy wydała mnie? Jeśli tak — zginałem!

Obejrzał się dokoła. W tejże chwili stanęli przed drzwiami wejściowemi pałacu. Stała w nich Lukrecja, otoczona służbą trzymającą pochodnie.

Na widok ojca brwi jej przez sekundę gniewnie się ściągnęły; znać było, że spotkał ją srogi zawód. Może liczyła na to, że go już nigdy więcej nie ujrzy?

— Ach! mój ojczy, — zawołała, — szłam ze służbą, aby rozpocząć poszukiwania... byłam tak niespokojna!

— Dobra Lukrecjo! Nigdy jeszcze tak jasno, jak w tej chwili, nie miałem sposobności ocenienia twej tkliwości dziecięcej... Pójdź, moje dziecko, muszę z tobą pomówić o bardzo ważnych sprawach.

Papież wrócił do swych apartamentów, za nim postępowała Lukrecja. Ksiądz Angelo sunął za nimi...

XXXII.

ROZPACZ.

Róża Vanozzo, oznajmiając Ragastensowi bliski przyjazd Cezara Borgii, zadała mu straszliwy cios. Biedak, pozostał przez chwilę poprostu osłupiały tą wieścią. Teraz dopiero zrozumiał całą straszliwą prawdę, teraz dopiero wiedział, jaką zemstę ukuła Lukrecja.

Z tego stanu moralnego letargu wyrwał go rybak, który dotknął jego ramienia i poprosił go o to, aby szedł za nim. Ragastens uczynił to zupełnie odruchowo.

Chatka rybaka posiadała dwa tylko pokoiki.

Pierwszy, ten, w którym Ragastens i Spadacape znajdowali się przed chwilą; — otóż ten pierwszy służył jednocześnie jako; kuchnia, sypialnia i jadalnia.

Drugi — był jakgdyby komorą, w której leżał stos wiązek chróstu do palenia, w kominie z sufitu zwieszały się sieci.

Rybak odsunął na stronę pęki chróstu i zwoje żaglowego płótna. Ukazała się kłapa, zamykająca wejście do podziemi. Po podniesieniu kłapy, rybak wprowadził swych gości do małej piwniczki, do której wiodły schody. Piwniczka ta w porównaniu z nędzą, panującą w izdebce, była umeblowana z pewnym zbytkiem. Stały tam trzy żelazne łóżka, stół, kilka taboretów, i szafa; w szafie tej były ukryte zapasy żywności. Widocznem było, że loszek ten służył niegdyś i jeszcze miał posłużyć jako tajemnicza kryjówka, dla tych, co się kryć musieli. Dla kogo? Ragastens nie zastanawiał się wcale nad tem. Podziękował jedynie gospodarzowi, który, milczący, jak mruk, załedwie bąknął pod nosem.

— Tu jesteście bezpieczni... Nie opuszczajcie kryjóWKi nigdy inaczej, niż po nocy.

Ragastens padł w ubraniu na jedno łóżko; Spadacape wybrał sobie drugie, stojące tuż przy jego łóżku.

Łatwo sobie wyobrazić temat rozmyślań Ragastensa. Wkrótce jednak myśli jego zaczęły przyoblekać się w praktyczną szatę; nakazał sobie znaleźć wyjście z tej smutnej sytuacji. Po godzinie wewnętrznej walki — był jeśli już nie pocieszony — trudno było narazie o pocieszenie — lecz przynajmniej gotowy mężnie stanąć do walki i czynu.

Wyskoczył z łóżka i skinął na Spadacape'a, wzywając go ruchem. Wierny jednak koniuszy nie był zakochany, to też natychmiast usnął twardo.

Ragastens spojrział na niego z zawiścią. Potem nie budząc go ze snu udał się do izdebki parterowej rybackiego domku. Zastał tam rybaka, zajętego naprawą sieci, z którymi skoro świt miał wyjechać na morze.

— Gdzie jest stara? — zapytał Ragastens.

— W izdebce podobnej do waszej.

— Nie wiesz, czy ma tu zabawić kilka dni?

— Nie zjechaliście się chyba w jednej i tej samej sprawie? — zapytał rybak z niepokojem.

— Może tak, może nie... powiedz mi tylko, czy zastanę ją tu jutro?

— Napewno i jutro i dni następnych.

Ragastens wyszedł z chatki i zaczął iść w kierunku pałacu. Noc była ciemna. Nie znał okolicy. Jednakowoż szedł, nie namyślając się, kierowany instynktem, który podszeptał mu, aby zszedł z drogi i obrał sobie nadbrzeżną ścieżkę... Wkrótce ciemna sylwetka pałacu wyłoniła się z mroku nocy.

Ragastens wdrapał się na skały zaczął przyglądać się chciwie budowli, za której murami mieszkały: Lukrecja i Primavera! Jego miłość i jego nienawiść! Zauważył, że pałac obwiedziony jest fosą, pełną wody... Zaczął iść brzegiem fosy. Po godzinie wrócił na to samo miejsce. Obszedł, obejrzał mury i prze-

szedł przed głównymi wrotami. Z każdej strony pałac był nie do zdobycia.

Wtedy siadł na kamieniu i wsparł głowę na rękach. Czuł, że niema już ratunku. Na usta wybiegł mu szloch, ramiona opadły bezwładnie, siedział, szepcząc imię Primavera.

Powoli mrok nocy zaczął blednąć, na niebie ukazały się białe smugi, pałac jakby się wynurzył z obłoków cieni.

Teraz Ragastens był w stanie zdać sobie dokładnie sprawę z sił groźnego nieprzyjaciela, którego miał zaatakować. Stwierdził, że przed nim wznosi się straszliwa, nieprzenikniona przeszkoda. Nieszczęsny pogрузzył obie ręce we włosy, i wyjąc z rozpacz, uciekł do lepianki rybackiej, dokąd przybył zupełnie wyczerpany. Dzień, który nastąpił, był straszny. Ragastens dręczył się przeświadczeniem, że jest zupełnie bezsilny. Hańba i śmierć Primavera stała się klęską nieuniknioną w jego oczach. Nie spał i nie jadł.

Przez cały dzień Maga była niewidzialna. Około dziesiątej Ragastens ruszył znowu ku pałacowi, tym razem w towarzystwie Spadacape'a. Przez całą noc wążęśli się w pobliżu.

Gdy o wschodzie słońca znaleźli się w rybackiej chatce, Ragastens był dziwnie spokojny; decyzja była powzięta.

Plan Ragastensa był bardzo prosty, zwierzył się z niego Spadacape'owi. Ten, bardzo rozczarowany do wszystkiego poczynionemi przez siebie obserwacjami, szedł w milczeniu przy boku Ragastensa, podnosząc na niego od czasu do czasu wzrok. Wyraz twarzy Ragastensa był przerażający; był to wyraz twardej i zamkniętej w sobie bezbrzeżnej rozpacz...

— Panie, — przemówił wreszcie, — jeszcze nie wszystko skończone, co u diabła! Wykaraskałeś się pan z niejednego już nieszczęścia, wierzaj pan, że rozpacz nic tu nie pomoże....

— Skąd wyssałeś, że jestem zrozpaczony?

— Widzę to z pańskiej twarzy...

— Mylisz się, obmyślałem plan ataku i znalazłem właśnie jeden... Przedstawię go tobie... liczę bowiem na ciebie...

— Do diabła, spodziewam się!

— Oto co postanowiłem: dziś wieczór staniemy u wrót pałacu, jako dwaj wysłannicy Cezara do Lukrecji... Mamy powierzoną bardzo ważną misję... Otwierają nam... wchodzimy do wnętrza...

— Jeśli wogóle pozwolą nam wejść!

Ragastens zmarszczył brwi. Był w stanie tak silnego podniecenia nerwowego, że każda najmniejsza przeciwność zdawała się być nieszczęściem.

— Milcz! — zawołał, jakby odsuwając od siebie wszelką możliwość ziszczenia się przypuszczeń Spadacape'a. — Wchodzimy do wnętrza — powtarzam!...

— Dobrze! A gdy już będziemy we wnętrzu?

— Wtedy jedno z dwojga: albo zaprowadzą nas do Lukrecji i wtedy reszta należy do mnie; albo nie zechcą nas wprowadzić do jej pokoi. W tym wypadku posłuchaj mnie uważnie, co będzie należało uczynić: napadasz na oponentów, walczysz z nimi, dasz się zarębać na placu; wystarczy pieciu minut, pięć minut, tylko pięć minut, Spadacape! Czy słyszysz!

Kawaler płonął coraz bardziej. Spadacape spoglądał na niego z głębokim smutkiem.

— Panie, — rzekł z prostotą, — jeśli tylko potrzebne jest, żebym dał się ubić, możesz liczyć na to. Tam do kata! Raz jeden tylko człek umiera! Możesz pan na mnie liczyć!

Jednocześnie były łotrzyk powiedział do siebie z westchnieniem:

— Już koniec! Przyszła kreska na jednego i na drugiego.

Pełna prostoty i bez najmniejszych zastrzeżeń wierność Spadacape'a wzruszyła Ragastensa do łez. Porwał go w ramiona i uściskał serdecznie. Wzruszenie to było bardzo zbawienne dla niego, spowodowało reakcję, której nie mogły wywołać żadne słowa pociechy.

Drugi dzień wyczekiwania był również okropny, jak poprzedni. Ragastens spędził go na łóżku, z głową przytkniętą do muru; zapytywał siebie chwilami; czy nie lepiej będzie skończyć ze wszystkim odrazu.

Z nastaniem wieczora nie mówił z nikim o swym planie; dał sobie jeszcze jeden dzień zwłoki, spodziewając się, że wpadnie na jakiś bardziej dostępny plan działania.

Nazajutrz, gdy już zapadł w gorączkowy sen, zbudził go nagle dźwięk głosów.

Poznał natychmiast jeden z nich: był to głos Magi. Zaczął nadśłuchiwać i nie omieszkiał poznać w drugim rozmawiającym Giacomo.

— Wejdiesz do pałacu i zarządzisz tak, żebym ja również mogła się tam znaleźć, — mówiła Maga.

— Dobrze się namyśliłaś, signora?

— Ani słowa, Giacomo! Co ma się stać, to się stanie. Żadna siła na świecie nie może teraz ocalić Rodryga Borgię. Lecz powiadasz, że Cezar ma tu przybyć?

— Jutro rano przybija statek... Będzie na miejscu jutro wieczorem, albo około północy.

Ragastens wyskoczył z łóżka. W chwilę potem osłupiały, straszny wchodził gwałtownie do pokoju Magi i porwał Giacomo za ramię:

— Co mówisz? Cezar Borgia przyjeżdża tutaj? To mówiłeś?

— Pan de Ragastens! — wykrzyknął Giacomo.

— Odpowiadaj! — warknął kawaler, potrząsając staruszką za ramiona.

— Cezar przyjeżdża! — rzekła Maga. — Giacomo widział właściciela stateczku, który ma go tu przywieźć.

Ragastens obsunął się na taboret. Był zupełnie wyczerpany. Giacomo i Maga patrzyli na niego ze współczuciem... Zwłaszcza Maga.

— Och! — szepnęła nieszczęsny, — nie móc nic... Nic!

Nagle powstał z miejsca.

— Dokąd idziesz? — zapytała go Maga, zdumiona poprostu sympatją, jaką obudził w jej sercu ten dzielny młodzik... w niej... której już nic nie było zdolne zainteresować...

— Do pałacu! — odpowiedział Ragastens spokojnym i twardym głosem, jaki miewał zawsze w chwilach największego nerwowego napięcia. — Do pałacu! Będę zabijał wszystkich, kto wejdzie mi w drogę, aż wreszcie padnę sam!

Maga zdrząła. Jego głos, tchnący rozpaczą, wstrząsnął jej sercem.

— Zaczekaj, — zawołała, nie zastanawiając się nawet nad tem, co chciała powiedzieć.

Ragastens zatrzymał się, wstrząśnięty dreszczem nadziei, wbijając w starą kobietę rozbłysłe gorączką oczekiwania oczy. Teraz Róża Vanozzo milczała.

Patrzała na Ragastensa, pożerając go wzrokiem. Widziała jasno, jaki dramat szaleje w jego sercu; fałda nieprzebranej litości zalała jej serce.

— Pozostaw mnie, Giacomo, samą... Odejdź i ty, mości Ragastensie... Za godzinę przyjdiesz tu do mnie... Za godzinę powiem ci, czy masz iść do pałacu i dać się zabić...

Ragastens i Giacomo opuścili izdebkę. Godzinę tę kawaler spędził pod drzwiami izdebki Magi; stał nieruchomy, wyprostowany jak drut, a serce jego szarpały najsprzeczniesze myśli, to łudząc go nadzieją, to znów niecąc rozpacz w duszy.

Maga pozostawszy sama powstała z drewnianego taboretu, na którym siedziała, i usiadła w kucki na ziemi, wspierając podbródek o kolana, jak to stało się jej zwyczajem.

— On ocalił Rositę... lecz czy jest to wystarczający powód?

Słowa te wydarły się z jej piersi, donośnym okrzykiem... to krzyczało jej sumienie... W głowie panował dziwny zamęt... Myśli wirowały, tłoczyły się... zadawała sobie głośno pytania... odpowiadała na nie...

— Ocalił Rositę... Gdyby nie on, Rosita nie ży-

łaby już... Ta mała cząstka radości, jaka jeszcze chwila-
mi żyje w mem sercu, uleciałaby wtedy na zawsze...
Tak, tak jest istotnie... O moja maluchna Różyczko,
biedne moje małeństwo... Jeśli doznaję radości przy
myśli, że ona żyje, jemu to zawdzięczam... Lecz wy-
rzec się ukarania Rodryga!... Co?... Przecież tylko
tem żyłam!... W ciągu trzydziestu lat czułam, jak
zółć zbiera się w mem sercu kropla po kropli... ży-
łam jedynie myślą i nadzieją zemsty... to tylko ucho-
niło mnie przed samobójstwem! I jedna minuta, jed-
na chwila wzruszenia miałaby zburzyć cały gmach
mych nadziei, usunąć z serca zgromadzoną tam la-
tami zółć?... Jedna sekunda ma zetrzeć ślad trzydzie-
stoletnich tortur?... Mam ułaskawić Rodryga?... Och!
niepodobna! Niech sobie ten młodzik ginie, co mnie
może to obchodzić?

Przy ostatnim okrzyku Róża poderwała się z zie-
mi i zasłoniła twarz rękami.

— Rosita! Rosita! Dlaczego ją tak pokochałam?
Dlaczego serce moje teraz oblewa się krwią na myśl,
o tym, który ma teraz umrzeć, podczas gdy sprawił
to, że Rosita żyje.

Wreszcie złamanym głosem wezwała do siebie Ra-
gastensa, który wszedłszy do izby przerażony był jej
bladłością.

— Bądź spokojny, — powiedziała, — pójdę poku-
sić się dla ciebie o rzecz nieprawdopodobną. Jeżeli coś
na świecie może uratować Beatrix, moja próba to
sprawi. Nie pytaj mnie teraz o nic... Dziś wieczór,
jeśli mój plan nie zawiedzie, ujrzysz ją żywą i zdro-
wą.

Tegoż wieczoru udała się do pałacu Lukrecji. Wie-
my już, że przypadek dopomógł jej na wybrzeżu zbli-
żyć się do Rodryga i wszcząć z nim rozmowę, po któ-
rej wróciła do chatki rybackiej. Po drodze spotkała
Giacomo, który wyczekiwał na nią.

— Wrócisz do pałacu, — rzekła do niego. — Urza-
dzisz się tak, aby dać znać Rodrygowi, że jego syn
przyjeżdża na Caprerę.

— Dowie się o tem za godzinę. Czy to już wszystko?

— Na razie tak! Co wieczór dasz mi znać o tem, co się dzieje w pałacu.

XXXIII.

KŁÓTNIA RODZINNA.

Gdy papież wszedł do swych apartamentów wraz z Lukrecją, Angelo zakradł się, do sąsiedniego pokoju, aby nie stracić ani słowa z tego, co będą ze sobą mówili.

Papież rzucił na córkę nieufne spojrzenie i bez żadnego wstępu zabrał głos bardzo obojętnym tonem:

— Nie powiedziałaś mi wcale, że córka hrabiego Almy jest twoją branką.

Lukrecja ani drgnęła. Przyzwyczaiła się już od dawna do ukrywania swych uczuć i wrażeń. Zadowolila się odpowiedzią:

— Nie mówiłam ci nic o tej dziewczynie, mój ojcie, bo miałeś dosyć innych powodów do zmartwień, a następnie i dlatego, że jest to zupełnie osobista moja sprawa... Mam z nią porachunki... Miałam zresztą pomówić o tem z tobą, w odpowiedniej chwili.

— No i ta chwila nie przyszła jeszcze?

— Nie, mój ojcie, jeszcze nie przyszła.

Papież zamknął oczy. Rozumiał doskonale, że ton, jakim Lukrecja mówiła o Beatrix jest straszny i nie wróży nic dobrego dla dziewczyny.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi. Lukrecja zachwycona, że pozwala jej to przerwać niemiłą rozmowę, pośpieszyła otworzyć drzwi, mimo okrzyku staro Borgii:

— Niechże nam nie przeszkadzają, do diabła!

Przy drzwiach Lukrecja ujrzała służącego, który przeprosiwszy zato, że przeszkodził w rozmowie, oznajmił swej pani o przyjeździe Giacomina i o tem, że prosi ją o posłuchanie bez chwili zwłoki.

— Niech wejdzie! — rzekła Lukrecja szeptem; jednocześnie wyszła do sąsiedniego pokoju i zamknęła pośpiesznie drzwi za sobą, aby ojciec nie mógł wiedzieć o co chodzi. Do pokoju wszedł Giacomo.

— Signora, — powiedział — w myśl twych rozkazów udałem się do Pałacu-Śmiechu, aby zabrać stamtąd, pani wie co. Otóż Pałac-Śmiechu już nie istnieje, lud zburzył go, a potem spalił.

— Ach! — rzekła Lukrecja spokojnie.

Jedynie lekka bladeść świadczyła o jej wściekłości. Pałac-Śmiechu bowiem był jej ukochanym dziełem.

— Jakie masz nowiny? — zapytała.

— Jego książęca mość Cezar jest w drodze na Caprerę.

Lukrecja nie mogła powstrzymać się od okrzyku radości.

— Czy jesteś tego pewny?

— Absolutnie pewny, signora!

— Posłuchaj, Giacomo! Za złą nowinę o pałacu, miałam wielką chęć wyznaczyć ci karę w postaci dziesięciu razów kijem... lecz za dobrą nowinę o przyjeździe mego brata, dostaniesz dziesięć dukatów. Pójdź, i każ je sobie wypłacić! Drogi brat! Jakże jestem szczęśliwa!

Na wieść o dziesięciu dukatach wyprostował się z uśmiechem radości. Lukrecja widziała ten uśmiech, zanotowała go sobie i wróciła do pokoju, w którym oczekiwał na nią ojciec. Giacomo opuścił przedsięwzięcie, w którym rozmawiał z Lukrecją. Z twarzy jego znikł uśmiech.

— Żmija! — mruknął. — Zbliży się godzina, w której wyrwę ci twe jadowite zęby!

Stary Borgia przez ten czas rozmyślał nad sposobami zmuszenia córki do wypuszczenia na wolność Beatrix. Wreszcie Lukrecja wróciła. Wzrok jej błyszczał, miała uśmiech na ustach.

— Otrzymałaś jakąś dobrą wiadomość? — zapytał Rodryg.

— Może... mój ojciec... Proszę cię jednak, wróćmy do rozmowy którą musieliśmy przerwać... Nie wiesz nawet, jak mnie bawi każda sposobność mówienia o tej małej Beatrix...

— Co ona zrobiła ci złego? — zapytał starzec, widząc nienawiść, jaką zabłysnął wzrok Lukrecji na sam dźwięk tego imienia.

— ONA? Nic! Lecz powiedziałam ci już, że jeszcze nie pora mówić o tem... ani zwierzać się przed tobą z tem, co chcę począć z córką hrabiego Almy... Otóż, mój ojciec, omyliłam się... przyszła odpowiednia chwila... a jakże... Lecz przedewszystkiem powiedz mi, jakieś się o tem dowiedział, że ona tu się znajduje?

— Powiem ci to za chwilę... Czekam wyjaśnień z twej strony...

— To bardzo proste, — rzekła Lukrecja z wielkim spokojem. — Wiesz z jakim uznaniem byłam zawsze dla twej polityki, mój ojciec... jak zawsze starałam się korzystać z udzielanych mi przez ciebie lekcji. Dałeś mi sam dobry przykład, mój ojciec! Hrabina Honorata przeszkadzała ci... Usunąłeś ją. Jej córka przeszkadza mnie... a więc ja usuwam ją również.

— A jeśli poproszę cię o łaskę dla tej dziewczyny?

— Odmówię ci, mój ojciec! — odpowiedziała krótko Lukrecja.

— Nie unoś się, moje dziecko... A jeśli nietylko, że poproszę cię o łaskę dla niej, lecz poproszę cię, abyś jej pozwoliła już jutro udać się w powrotną drogę do Włoch?!...

— żartujesz, mój ojciec!

— Widzę, że masz jakiś bardzo ważny powód do nienawiści dla tej małej... Lecz jeśli ci powiem, że życie moje zależy od tego, czy ona odzyska wolność, czy też nie...

— Jakto? — zapytała Lukrecja ze zdumieniem.

— Posłuchaj! Pewnie słyszałeś o znanej czarownicy rzymskiej, zwanej Magą? Otóż owa Maga, sam nie wiem z jakiego powodu, przywiązała się do mnie. U-

ratowała mi życie. Pomogła mi pozbyć się mych wrogów. To też mam wszelkie dane po temu, żeby żywić dla niej bezgraniczne zaufanie. Teraz posłuchaj mnie uważnie... Maga jest tu, na Caprerze... Rozmawiała ze mną...

— Rozmawiała z tobą?

— Tak, przed chwilą, na wybrzeżu morskiem... Spotkała się tam ze mną... podeszła do mnie. Jest to najlepszym dowodem, że twoja straż nie funkcjonuje zbyt dobrze... Począwszy od dzisiejszego dnia, nie opuszczę pałacu ani na krok. Otóż owa Maga rozmawiała ze mną... Oznajmiła mi, że życiu memu grozi niebezpieczeństwo.

— Urojenie! — rzekła Lukrecja blednąc.

— Powtarzam ci, że kobeta ta cieszy się mojem bezgranicznem i zasłużonem zaufaniem. Życiu memu napewno coś zagraża... jestem tego pewien... To, co mi powiedziała Maga, zgadza się z memi przecuciami... I wiesz, co dodała? Jeśli ocale życie Beatrix, będę uratowany od grożącego mi niebezpieczeństwa.

Lukrecja słuchała ojca bardzo uważnie, doszukując się w jego słowach prawdy i pobudek, jakimi rzadzić się mogła Maga, uprzedzając go.

Wreszcie zdecydowała, że czarownica chciała tylko w ten sposób wzbudzić do siebie jeszcze większe zaufanie Borgii, aby potem móc łatwiej przeprowadzić swój plan. Nie należało więc przeszkadzać jej...

— Mój ojcze, zupełnie możliwe, że kobieta ta żywi do ciebie tak gorące uczucie, jak zapewniasz. Nie wątpię w to wcale. Lecz właśnie w tem gorącym uczuciu i w tej trosce o ciebie widzę przyczynę zbyt przesadnych obaw. Mogła się pomylić w zupełnie dobrej wierze. Ufaj jej w dalszym ciągu, mój ojcze, lecz jednocześnie uspokój się... żadne niebezpieczeństwo nie grozi ci...

Stary Borgia jednak pokiwał głową.

— Proszę cię ponownie, wypuść na wolność Beatrix. Powtarzam, że chodzi tu o moje życie. I ty się wahasz?!

— Nigdy w świecie! — odpowiedziała z nieznanym spokojem. — Nie poświęcę jednak mych planów dla chimery i urojonych obaw starej warjatki, jakkolwiek wielkiem pałam do ciebie uczuciem. Teraz ty mnie posłuchaj! Przysięgam ci, że życiu twemu nie zagraża nic zgoła. A nawet gdyby istniał jakiś spisek na twe życie, rozbije się on o mury tego pałacu. Cała wyspa roi się od mych szpiegów, brzegi są ochraniające również. Żaden okręt nie może tu przybić bez mojej wiedzy. Możemy wytrzymać oblężenie nawet przez cały rok. Mamy garnizon, a każdy żołnierz rzuci się chętnie do morza z wysokości skały na każde moje skinienie. Mamy broń, mamy żywności pod dostatkiem. Wszystko jest przewidziane. Jesteś tu naprawdę bezpieczniejszy, niż w twoim Watykanie.

Słowa te wywarły odpowiednie wrażenie. Borgia zdawał sobie z tego sprawę, że Lukrecja nie przesadza: niepodobna było ani siłą, ani podstępem dostać się do pałacu. Lukrecja zauważyła widocznie pożądaną zmianę w nastroju ojca.

— Mój ojczu, — dodała jeszcze, — alboż nie byłeś dotychczas ofiarą urojonych strachów? I to ty?! Zdawało ci się, że widmo Honoraty prześladowuje cię, a tymczasem widziałeś najzwyczajniej w świecie jej córkę, spacerującą po ogrodzie.

— To prawda... — szepnął papież.

— Żadne niebezpieczeństwo ani istotne, ani nadprzyrodzone nie istnieje. Prawdą jest to tylko, że powinieneś wrócić do Rzymu jeszcze potężniejszy, niż kiedykolwiek nim byłeś... A czy pomyślałeś o tem, że wystarczy, aby się zjawił jakiś śmiały i energiczny człowiek, a cała władza twoja rozsypie się w gruzy? Taki człowiek istnieje... To on jest przyczyną wszystkich naszych nieszczęść! Jemu to Cezar zawdzięcza zmierzch swej sławy! On sprawił, że ty musiałeś tu się ukryć!

— Ragastens, — przerwał jej papież. — Ach, nienawidzę go z całej duszy, nienawidzę tak silnie, że

chętnie naraziłbym nawet me życie, aby tylko do-
sięgnąć go!

Lukrecja zadrżała z radości. Teraz trzymała oj-
ca w rękę.

— Życzenie twoje, mój ojczy, zostanie spełnione!
— powiedziała z mocą.

— Co mówisz?! Ragastens-zwycięzca jest panem
Monteforte!

— To, co ty z twemi zdolnościami dyplomatycz-
nemi napewnobyś uczynił; czego Cezar dokonałby
przy pomocy swych wojsk, tego ja dokonałam rów-
nież przy pomocy mej taktyki i przebiegłości kobie-
cej. Zraniłam Ragastensa w samo serce, albo raczej
zranię go...

— Jeśli tego dokonasz, moja córko, możesz z du-
mą powiedzieć, że jesteś dobrym genjuszem naszej
rodziny..

— Dokonałam tego dzieła, — rzekła Lukrecja z
posepną dumą. — Zrozumiesz wszystko od jednego
słowa. Ragastens zakochał się w pewnej samiczce. Mi-
łość jego jednak nie jest słomianym ogniem, który za-
pala się i gaśnie bez wiadomej po temu przyczyny. Ko-
cha całą duszą, całą myślą i zmysłami. Kocha tak, że
umrze we łzach, lęku i rozpachy, jeśli miłość jego o-
trzyma śmiertelny cios. Ta, którą kocha, jest Beatrix,
hrabianka Alma.

— Ach! to wspaniałe! to zachwycające! to godne
istotnego podziwu!

— Podczas gdy Cezar ratował się ucieczką, pod-
czas gdy ty, mój ojczy umyśliłeś zbiec na Caprę, ja
medytowałam...

— Myślałam nad tem, że ów Ragastens stał się
dla naszego domu małym ziarnkiem piasku, które
zmienia nieraz równowagę wielkich rzeczy... mia-
łam dobry cel! Człowiek ranny wychodzi z rany, za-
danej szpadą lub lancą. Lecz nie wychodzi z rany ten,
kogo ugodzono prosto w serce, pozbawiając go tej,
którą ukochał. Otóż ja również wypowiedziałam woj-
nę; wzięłam w jassyr Beatrix, przywiozłam ją tutaj.

Czy rozumiesz, mój ojczy? Czy wciąż jeszcze żądasz ode mnie, abym jej wróciła wolność?

— Nie, *corpo di bacco!* Nawet gdyby mi rzeczywiście groziło niebezpieczeństwo, nie zażadam tego od ciebie! Nawet gdybym miał przy tem utracić życie! Ach! pomścić się na Ragastensie! Oddałbym za tę wielką radość najpiękniejszą prowincję włoską! Lecz ostatecznie co chcesz z nią zrobić, moja mała? Czy ten człowiek nie zechce pokusić się o odzyskanie jej? A może nawet odnajdzie jej ślad?

— Nie będzie jej długo szukał! — odpowiedziała Lukrecja z triumfem. — Zamierzam odesłać mu ją wkrótce!

— Nic nie rozumiem...

— Odeślę mu ją zbeszczeszczoną.

Stary Borgia wzdrygnął się, zdjęty przerażeniem, tak nienawistny był głos Lukrecji. Mówiła dalej w jakimś chorobliwym uniesieniu:

— Cezar przyjedzie tu jutro... Ach! mój ojczy, wiem, że żywisz względem niego jakieś niesprawiedliwe podejrzenia! Cezar zdolny jest do zbrodni, wiem o tem; lecz Cezar umie również rozumować. Cezar wie o tem dobrze, że bez ciebie jest niczem; że gdy ty umrzesz, cała jego władza rozpadnie się również w gruzy. Nie masz się czego obawiać z jego strony. Zwłaszcza w chwili obecnej.

— To prawda!

— Cezar przybędzie jutro, — mówiła dalej. — Jutro córka hrabiego Almy zostanie kochanką Cezara. Kocha ją namiętnie... Gdy Ragastens przyjedzie tu, żądając wydania mu jego narzeczonej, wydamy mu zbeszczeszczony ochłap kobiecego ciała... Kochają się! Przysięgli sobie wierność i miłość! Żyją myślą o sobie. Czy wyobrażasz sobie, mój ojczy, ich spotkanie? Czy możesz sobie wyobrazić niewysłowny wstyd jej i straszną rozpacz jego?

— Dosyć, moja córko, dosyć! Jesteś godna nosić me imię!

— Tak, szczycę się tem, że jestem prawdziwą córką rodu Borgiów!

Ojciec i córka spojrzeli po sobie. Wreszcie Lukrecja oddaliła się. Nie przeszła jednak przez pokój, w którym rozmawiała z Giacomem. Skręciła do gabinetu, przylegającego z jednej strony do pokoju starego Borgii, z drugiej zaś strony wychodzącego na korytarz. Szybko przeszła przez ten pokój, jakgdyby w obawie, że zastanie tam kogoś. Nie było w nim nikogo.

Otworzyła pośpiesznie przeciwległe drzwi i wtedy dopiero wzrok jej błysnął radością. W przeciwległym końcu korytarza ujrzała oddalający się pośpiesznie cień. W cieniu tym poznała księdza Angelo.

Po wejściu do małego saloniku, w którym zwykła była przebywać, Lukrecja kazała przywołać księdza. Zjawił się po paru minutach.

— No i cóż, — zapytała obcesowo, — jak stoimy, mój drogi? Zdaje mi się, że twoja czarownica zwleka z przystąpieniem do dzieła?

— Czeka na twe rozkazy...

— Niech dłużej nie czeka. Czy jesteś jednak pewny, że zdecyduje się na czyn?

— Tak, signorø!

— Dobrze! Jednakowoż trzeba wszystko przewidzieć. Gdyby zdradziła chęć czekania jeszcze przez jeden lub też parę dni, musisz jej tylko powtórzyć moją rozmowę z ojcem...

— Jaką rozmowę?...

— Tę, którąś podsłuchał z małego gabinetu. No, nie bądź dzieckiem... Idź i pociesz się!

XXXIV.

NAJWYŻSZA DECYZJA.

Nie sam tylko Angelo słyszał rodzinną dyskusję. Drugim, który ją podsłuchał, był Giacomo. Znał on

wszystkie zakątki i kryjówki pałacu na Caprerze. O-tóż, wobec tego, że podjął się śledzenia Lukrecji, nie tracił jej z oczu.

Dzięki potajemnemu okienku, których Lukrecja miała w swym pałacu poddostatkiem, mógł on wszystko słyszeć, o czem się mówiło w pokoju papieża. Po odejściu Angela on również opuścił pałac.

Była już blisko północ, kiedy ksiądz Angelo stanął przed chatką rybaka. Róża Vanozzo nie zdziwiła się wcale, widząc go o tej godzinie. Przypuszczała, że przychodzi dowiedzieć się, co chciała powiedzieć Aleksandrowi VI.

Lecz Angelo miał również swoją taktykę. Umiał być hipokrytą, obcując z Cezarem, i okrutnikiem, gdy rozmawiał z Lukrecją.

— Przyszła chwila, kiedy trzeba przystąpić do dzieła, — rzekł obcesowo. — Kiedy zaczynamy?

— Musimy zaczekać jeszcze trzy dni, — odpowiedziała Róża. — Nie jestem jeszcze gotowa.

— Chcesz się przekonać, czy Borgia obdarzy wolnością córkę hrabiego Almy, jak to jej przysiągł?

Maga spojrzała przenikliwie na księdza.

— Skąd wiesz o tem? — zapytała.

— Starzec zadzwilił z ciebie, — ciągnął dalej. — Panna Beatrix nie zostanie obdarzona wolnością. Poniesie karę, na którą została skazana. Ty zaś opuścisz dobrą sposobność. Potem może już być za późno.

Teraz Maga zbladła. Ksiądz mówił z wielką pewnością siebie. Widocznem było, że wiedział o wszystkim i, że mówił prawdę.

Beatrix była stracona. Głosem martwym zadała ponowne pytanie:

— Skąd wiesz o tem?

Wtedy dopiero Angelo opowiedział jej scenę, której był niewidzialnym świadkiem. Maga słuchała go nie przerywając.

Jedynie lekki dreszcz zdradzał jej wzruszenie. Gdy skończył mówić, milczała przez chwilę. Angelo czekał z gorączkową niecierpliwością, aż zabierze głos.

- A więc jutro! — rzekła nagle Maga.
- O której? — zapytał skwapliwie.
- Wieczorem.
- Kiedy chcesz wejść do pałacu?
- Jeszcze dzisiejszej nocy. Czy możesz mnie tam ukryć przez cały jutrzejszy dzień?
- Z łatwością. Chodź ze mną.
- Nie. Będę pod bramą pałacową za dwie godziny. Muszę zakończyć przygotowania.
- Dobrze. Będę tam również. Wtedy wprowadzę cię.
- Teraz odejdź! Pozostaw mnie samą.

Angelo oddalił się.

Róża pozostała sama. Była oszołomiona tem, co usłyszała. — A więc Rodryg zdradził ją jeszcze i tym razem. Ułaskawiła go, a on... Wyrzekła się swej zemsty. Zażądała zato jedynie życia niewinnej istoty. I oto stary Borgia skazał niewinną istotę, chcąc osiągnąć Ragastensa.

— Ach! przeklęty on! Beatrix umrze... Ragastens umrze: Lecz on przeklęty umrze pierwszy. Teraz już koniec! Teraz wyrok na niego zapadł ostateczny. Powoli przeszła do piwnicy, w której mieszkał Ragastens. Spadacape skinął na nią, nakazując jej milczenie. Wskazał na Ragastensa, który spał.

Nastąpiła reakcja, natura upomniała się o swe prawa. Maga powiedziała mu przecież:

— Beatrix będzie uratowana. Odpowiadam za to.

Po pierwszym wybuchu nastąpiły pytania, na które Róża odpowiadała mu z całą pewnością siebie. Uwierzył, że cud się stanie. Wtedy to przyszła reakcja.

Teraz Maga spojrział z litością na uspiętego:

— Biedak! — szepnęła.

Uczyniła ruch, jakby chcąc go zbudzić ze snu. W tej samej chwili usłyszała nowe kroki. Ktoś jeszcze nadchodził. Był to Giacomo.

Nie widząc nikogo w pokoju Magi, intendent Lu-

krecji wszedł do pokoju, przeznaczonego dla Raga-
stensa. Spostrzegł Magę.

— Wiadomość ważna dla tego biedaka! — szepnął
do Magi. — Borgia postanowił poświęcić Beatrix.

— Wiem, — odpowiedziała Maga. — Ksiądz
wszystko mi powiedział.

— Trzeba uprzedzić kawalera!

— Niestety... Czy będę w stanie uczynić to?

Tymczasem Spadacape usłyszał ostatnie jej sło-
wa. Zrozumiał, że jakiś nieszczęśliwy wypadek zaszedł
od chwili, kiedy Maga oznajmiła Ragastensowi, że Be-
atrix będzie uratowana. Dał znak, aby udali się za
nim.

— Co się dzieje? — zapytał zacny koniuszy, gdy
się znaleźli w pokoju Magi.

Ta opowiedziała mu wszystko. Spadacape był przy-
tłoczony straszliwą wiadomością. On również był te-
go zdania, że należy uprzedzić kawalera. Nie tracąc
czasu na namysły, dotknął ręką jego ramienia.

— Panie, — rzekł — stara... nasza sąsiadka...
chce mówić z panem...

— Przyszło nieszczęście! — wykrzyknął Raga-
stens.

— Nieszczęście jeszcze nie przyszło, — odpowie-
działa Maga, wchodząc w tej samej chwili do pokoju
w towarzystwie Giacoma. — Uspokój się, nie wszyst-
ko jeszcze stracone...

— Próżne słowa! — rzekł głucho Ragastens. —
Powiedz mi szczerą prawdę...

— Oto ona: stary Borgia przysiągł mi, że uzyska
od swojej córki wolność pańskiej narzeczonej. Teraz
się cofa. Zdradza. Kara jego jest już blisko. Lecz nie
mniej jednak, mój biedny przyjacielu, cios, jaki cię
dotknął, jest straszny.

Ragastens zaklął wściekle, a potem z piersi jego
wydarł się jakiś niesamowity ryk. Obie zaciśnięte
pięście podniosły się do nieba. Tego było już za wiele.

Ostatnim wysiłkiem woli zrozumiał, że oszaleje,

jeśli pozwoli sobie na rozpacz, lub na gniew. Starał się zapanować nad sobą.

— Opowiedz mi wszystko ze szczegółami, — powiedział głosem, w którym człowiek mniej go znający nie dostrzegłby najmniejszego wzruszenia.

Krótko, z wielką dokładnością Maga streściła wiadomości, przyniesione przez Angela. Nowiny te potwierdził Giacomo, każde z nich rządziło się innymi względami.

— Uczyniłam wszystko, aby ją ocalić, aby ocalić ciebie i tę, którą kochasz. Nie uczyniłabym tego nawet wtedy, gdy chodziłoby o moje życie. Biedne ofiary! Serce moje krwawi się na myśl o waszym bólu... Fatalizm zawisł nad wami! Borgia zdławił was, jak dławi wszystko na swej drodze!...

Ragastens słuchał opowiadania ze spuszczoną głową, z czołem przeciętem zmarszczkami, bez ruchu, bez jednego dreszczu bólu... Płakał po cichu. Okropny był to widok, ciche łzy tego młodzieńca, który zdawał się być stworzony do radości i szczęścia...

— Będziesz pomszczony, — dokończyła stara Maga, wstrząśnięta wzruszeniem, jakiego nie zaznała od chwili, gdy dowiedziała się o zniknięciu Rosity. — Będziecie oboje pomszczeni. Przysięgam, że tak będzie! Lecz, niestety! nie wróci wam to utraconego szczęścia!

Ragastens podniósł głowę.

— Dziękuję pani, — rzekł z dziwną słodyczą. — Dziękuję za pani serce i za współczucie, jakie czuję w pani słowach. Błogo mi jest czuć sympatję w chwili, gdy śmierć czyha na mnie...

— A więc, jesteś zdecydowany pójść na pewną śmierć? Czy możesz jednak przeczekać do jutra?

— Spróbuję, jeśli to pani może być potrzebne. W tej chwili nie mogę pani niczego odmówić. Lecz czekanie do jutra to najwyższy wysiłek, na jaki mogę się zdobyć.

— Dziękuję ci, — odparła z żywością Maga. — Twoje wystąpienie w dniu dzisiejszym mogłoby po-

krzyżować wszystkie me plany. Tymczasem jutro wieczór wszystko będzie skończone.

Zawahała się na chwilę. Potem głosem drżącym ze wzruszenia dodała:

— Czy nie zechcesz uściskać mnie, moje dziecko? Proszę cię o to... widzisz... ja również idę na śmierć...

Ragastens bez słowa odpowiedzi padł w ramiona starej Magi. Odeszła.

Wtedy Ragastens zwrócił się do Giacomu.

— Jutro postaram się sforsować drzwi pałacu. O której godzinie, sądzisz, że byłoby to najłatwiej uczynić?

— Posłuchaj pan, — rzekł mały staruszek, którego mefistofelesowska twarz zdradzała dziwne wzruszenie. — Tak będzie źle... To tak nie może być... Chcesz przyjść pod bramę pałacową... Zginiesz, zanim uda ci się ją sforsować... To nie może być...

— Czy możesz mi co innego zaproponować? — zapytał Ragastens martwym głosem.

— Może... Nie wiem jeszcze dokładnie sam. Zobaczę... Posłuchaj... umawiamy się na... jutro, na dziesiątą...

— Wszystko zależy od tego, kiedy przyjedzie Cezar. Muszę wdrzeć się do pałacu przed jego przybyciem... Oto wszystko! — zakończył.

— Oto wszystko! Oto wszystko! — zawołał Giacomo. — Zresztą z tobą nie powinienem niczemu się dziwić... Cezar przybędzie około północy... Zgoda więc na dziesiątą?

— Niech będzie i o dziesiątej...

— A więc o tej godzinie, zamiast stawać przed bramą pałacową, bądź na nadbrzeżnych skałach, w miejscu, gdzie przekopana jest fosa i gdzie mur występuje ponad skałę... Jeśli nie ujrzysz nic... będzie to oznaczało, że nie byłem w stanie nic uczynić... wtedy działaj, jak będziesz uważał za wskazane... A teraz do widzenia...

Giacomo poskoczył na schody i znikł. Ragastens szepnął:

— Jeszcze jeden dzień! Obym mógł się doczekać!

Nagle zauważył Spadacape'a, który czyścił szpady i sztylety. Wtedy przyszło mu na myśl pożegnać się z zacnym sługą. Bo czyż miał prawo wciągać go do walki, która nie była niczem innym, jak tylko ukrytem samobójstwem? Nie! nie mógł skazywać na niepotrzebną śmierć człowieka, który mu tyle razy złożył dowody swego oddania. Zaczął przemyślać nad sposobami oddalenia go.

— Co tam robisz? — zapytał.

— Widzi pan, czyszczę *naszą* broń na jutro. Nieprawdaż, że jutro mamy bitwę?

— Poco masz włązić w tę brzydką historję?

— Panie, — odpowiedział Spadacape, — ponieważ mamy umrzeć jutro, chcę, abyśmy umarli w czystości. Będzie to moją ostatnią kokieterją.

XXXV.

STATEK NA HORYZONCIE.

Dzień oczekiwania wydał się Ragastensowi całą wiecznością niepokoju. Nie zmrużył oka przez całą noc i nie siedział nawet w swoim pokoju. Gdy tylko Giacomo odszedł, kawaler udał się na wybrzeże i przesiadzał tam na kamieniu aż do rana. Wstał świt. Niebo było zdumiewająco czyste.

Ragastens uporeczywym i martwym wzrokiem spoglądał przed siebie, nic nie widząc.

W głowie jego wirowały myśli, tłoczyły się wspomnienia... z błyskawiczną szybkością, jak we śnie.

Wszystko obracało się dokoła postaci młodej dziewczyny w bieli, siedzącej na ognistym koniu. Dziewczyna zrównała się z nim i wołała:

— Panie, kimkolwiek jesteś, weź mnie pod swą opiekę, uwolnij mnie od tego człowieka!

Tak, widział to wszystko, przeżywał powtórnie...

Godziny płynęły powoli. Zbliżył się wieczór. Ragastens siedział wciąż na dawnym miejscu. Nagle usłyszał głos, który wyrwał go z zadumy:

— Spójrz pan na ten żagiel na horyzoncie!

Ragastens zerwał się na równe nogi. Spojrzał z przerażeniem na mężczyznę, który zadał mu to obojętne pytanie. Poznał rybaka, swego gospodarza; porwał go gwałtownie za rękę i potrząsnął nią.

— Co mówisz? — mruknął. — Widać żagiel! To on, nieprawdaż? To on!

Rybak zdumiony cofnął się z przerażeniem na widok wściekłości, jaka odbiła się na twarzy Ragastensa. Kawaler dostrzegł przerażenie, jakie wywołał jego wygląd.

Puścił rękę rybaka.

— Wybacz mi, — powiedział ze smutkiem. — Nie wiem, co robię. Jestem taki nieszczęśliwy.

— To nic... to nic! — wybełkotał rybak.

Zaczął znowu przyglądać się morzu. Ragastens jął chodzić po wybrzeżu. Skąd zresztą można było wiedzieć, czy okrętem tym przyjeżdża właśnie Cezar Borgia?

A może to był zwykły tylko przejeżdżający koło brzegów wyspy statek.

— Patrz pan! — wykrzyknął rybak, — sunie prosto na Caprerę! Niech mnie porwą diabli, jeśli ten statek nie płynie z Ostji. Patrz pan! Teraz musisz go już widzieć!

Ragastens odwrócił głowę. Czy nie wszystko jedno, czy widzi, czy nie! Statek płynął z Ostji! Sunął na Caprerę! To wszystko, co musiał wiedzieć: to nadjeżdżał Cezar! Za kilka godzin będzie w pałacu! Za kilka godzin dokona się straszliwa ofiara! Zbliżył się do rybaka i spojrzął na morze. Tym razem ujrzał wyraźnie statek.

— Jak prędko może tu przybyć?

Rybak spojrzął uważnie na niego.

— Jeśli pogoda dopisze, mogą przybyć do brzegu o szóstej wieczorem. Nie rozumiem tylko dlaczego nie

rozpięli wszystkich żagli. Może zależy im na tem, żeby wylądować jaknajpóźniej. Jeśli tak pójdzie dalej, przybędą na Caprerę zaledwie około północy.

— Około północy!

— Och! napewno... Widzisz pan! Teraz naciągają jeszcze jeden żagiel... Jakoś im się nie śpieszy! Dlaczego jednak pana tak interesuje ten statek? Od samego rana, a i przez całą noc nie ruszyłeś się pan stąd...

— Czekam na przyjaciela..

Gdyby rybak był przyzwyczajony do obserwowania, zdrząłaby, słysząc ton, jakim Ragastens wymówił te słowa. Rybak jednak nie był obserwatorem, chyba tylko gdy chodziło o morze. Pożegnał gospodarza, a potem zaczął znowu wpatrywać się w okręt. Wkrótce jednak mrok wieczoru przysłonił kontury żaglowca... Ragastens nie widział już nic więcej.

— Panie, dziewięta! — szepnął nagle Spadacape, stając przy swoim panu.

Ragastens, zdawało się, zbudził się z długiego, ciężkiego snu i przesunął ręką po płonącym czole.

— Chodźmy!

Tak! był to Cezar Borgia! Spieszył na Caprerę, dokąd gnała go namiętność. Namiętność gwałtowna, doprowadzona do ostateczności, namiętność żołdaka, podniecona oporem.

Ta Beatrix! Tak jej gwałtownie pożądał! Teraz czuł nawet coś w rodzaju czulego bicia serca. A jak cierpiał! Cierpiał o n! Był wściekły! Aby ją zdobyć, wypowiedział wojnę! I został pobity!

W pierwszych dniach po porażce pod Djablim Wąwozem Cezar czuł, że namiętność jego wzrasta. Chwila ambicji, zbudzonej w nim przez margrabiego Rocasante, przeszła poprostu w ból fizyczny, we wściekłe cierpienie. Wkrótce jednak już tylko obraz Primavery opanował wszystkie jego myśli. Nie mógł już myśleć o niczem innem, jak tylko o tej miłości, któ-

ra, jak się wyrażał, spalała go, wlewała do jego żył potoki ognistej lawy.

Pewnego wieczoru gwardziści, stojący na warcie, słyszeli jak w namiocie wydawał prawdziwe ryki. Wreszcie przybył kurjer. W pięć minut po jego przybyciu Cezar jął wydawać swemu zastępcy szereg sprzecznych rozkazów, a potem wskoczył na konia i pognął w stronę Ostji.

Już na statku Cezar zaczął odczytywać po raz setny list od swej siostry. Zawierał on kilka jedynie wyrazów:

„Czy będziesz zwlekać z przyjazdem na Caprerę, aż piękna Beatrix ucieknie z pałacu, w którym trzymam ją w zamknięciu?“

Jakim sposobem Beatrix dostała się w ręce Lukrecji? Co go to zresztą mogło obchodzić? Była tam... Miał ją nareszcie w swej mocy!...

Miłość jego, po nabraniu pewności, że ją posiadzie, jeszcze bardziej wzrosła. Do miłości tej domieszał się wściekły gniew, wywołany długiem oczekiwaniem.

Jego pieśczoły będą jednocześnie zemstą, jego pocałunki — będą ukąszeniem... Sen o miłości nabrał wszystkich cech zbrodni...

Gdy stateczek znalazł się już blisko Caprery, Cezar rozkazał zwolnić bieg statku. Chciał wylądować w nocy.

Około dziesiątej wieczór Cezar Borgia wyskoczył na brzeg i odesłał szalupę, która go przywiozła. Był sam. Nie miał przy sobie jednego nawet służącego. Zawahał się przez chwilę. Potem, potrząsnąwszy głową, jak odyniec, który ma zaatakować, jął biec w stronę wrót pałacowych, okalających mury. Po kwadransie był już u Lukrecji.

— Nareszcie jesteś! — zawołała.

Cezar przyjrzał się jej badawczo. Była blada... prawie kredowo biała... Obrzucił pokój ponurem spojrzeniem przekrwionych oczu, poczem głosem ochryplym,

jak głos człowieka, który krzyczy przez sen, gdy go dręczy zmora, zapytał:

— Czy ona jest tam?

— Pójdź i przyjrzyj jej się!

Nie padło jedno słowo powitania ani niepotrzebnej czułości z ust brata i siostry. Spotkali się przecież jedynie w zbrodniczych celach. Poza zbrodnią nic dla nich więcej nie istniało!

— Ujrzysz ją, — rzekła Lukrecja, — chodź!

— Dlaczego drżysz?

— Cóż cię to może obchodzić? Chodź!

Porwał ją za rękę, zdecydowany zupełnie na zabicie jej, w razie gdyby jego przypuszczenie sprawdziło się.

— Gdzie jest ona? — zapytał.

Lukrecja powlekła Cezara za rękę po korytarzach. Przed jakimiś drzwiami zatrzymała się zdyszana i wyrzekła:

— Jest tam! Jeśli będzie ci się opierać, zabij ją. Jeśli ty jej nie zabijesz, ja zabiję! Idź!!!

XXXVI.

PUHAR SREBRNY I PUHAR ŻŁOTY.

Róża Vanozzo przybyła ubiegłej nocy pod samą bramę pałacu. Przypominamy sobie, że ksiądz Angelo miał na nią oczekiwać, aby wprowadzić ją do pałacu. Szła krokiem powolnym lecz pewnym, nie śpiesząc się, jakgdyby rozmyślając nad czemś fatalnem, czego się nie da uniknąć ani zmienić.

Gdy stanęła już pod wrotami, z gąszczu krzewów wyłoniła się jakaś postać i zbliżyła się do niej.

— Pójdź za mną. Signora Lukrecja chce z tobą pomówić...

Róża Vanozzo udała się za księdzem. Zachowanie Angela zdradzało gorączkowe wzruszenie nie dlatego, żeby go miała wzruszyć bliska śmierć papieża, która,

jak mu się zdawało, była nieunikniona, lecz odczuwał niepokój, jaki ogarnia człowieka, mającego pewność, że jego ambitne plany już, już mają się ziścić. Wpuścił Różę do słabo oświetlonego pokoju, gdzie pozostawił ją samą. Po kilku minutach zjawiała się Lukrecja.

Wzrok matki był ponury, zdecydowany... W tej chwili zaczęła badać swe serce i stwierdziła, że pozostało ono lodowato zimne... Ach! Wszystkie uczucia jednak wymarły w niej istotnie... Dojrzała do zemsty... Lukrecja przyjrzała się nieznajomej. W spojrzeniu tem wyczytać można było namietną ciekawość.

— Jesteś gotowa? — zapytała.

— Jestem...

— Kiedy chcesz zacząć działać?

— Potrzeba najpierw, żebym go ujrzała... potem muszę z nim pomówić... Nie obawiaj się niczego... znam sposób ściągnięcia go, nie ryzykując niczem!

— Nie ujrzysz go aż jutro.

— A więc to się stanie jutro wieczór. Muszę jednak przedtem wejść do jego pokoju tak, żeby on nic o tem nie wiedział.

— To bardzo łatwo. Co rano wychodzi do ogrodu. Skorzystasz z tej chwili.

— Dobrze, przyjdę po ciebie o odpowiedniej godzinie.

Lukrecja zadumana zmierzyła ku wyjściu. Nagle wróciła do Róży i głuchym głosem, drżącym z wewnętrznego wzruszenia, zapytała:

— Jaki masz cel zabijając go?

Róża Vanozzo podniosła głowę. Jej dziwny wzrok, pusty i nieprzenikniony przeraził Lukrecję. Róża odpowiedziała pytaniem:

— A ty jaki masz cel?

Lukrecja podskoczyła, jakby dotknięta rozpalonym żelazem. Już nie śmiała więcej zadawać pytań.

— Ja, jako córka, mogę zapytać, dlaczego chcesz zabić mego ojca. Jestem szalona... Jestem istotnie zbyt zdenerwowana, lecz gdzie słyszałam głos tej starej?

Gdzie słyszała głos starej? Nie mogła dać sobie odpowiedzi. Zdawało jej się jednak chwilami, że wspomnienie jego związane jest ze wspomnieniem pięknego ogrodu, pełnego drzew granatowych i pomarańczowych, ogrodu, rozbrzmiewającego śmiechem dziecięcym, ogrodu, w którym młoda, piękna kobieta siedziała w cieniu rozłożystych drzew...

— Gdzie ja słyszałam ten głos?

Długo myślała nad tem, wreszcie, nie mogąc nic sobie przypomnieć, odrzuciła tę myśl. Nie kładła się spać wcale, wyczekując świtu z niecierpliwością. Błysnął dzień, godzina płynęła za godziną, lecz papież nie zszedł do ogrodu. Lukrecja drżała z niecierpliwości i gryzła pięście.

Stary Borgia przygotowywał się do wyjazdu z Caprery. Koło czwartej wydał rozkaz przygotowania wszystkiego do odjazdu. O ósmej, już po zachodzie słońca papież rzekł do księdza Angela:

— Chcę po raz ostatni przespacerować się po ogrodzie i pożegnać kwiaty, które tak kochałem.

Zszedł do ogrodu, idąc wolno, głaskał końcami palców specjalnie ulubione przez siebie kwiaty. Jednocześnie rozmyślał w duszy nad straszną zbrodnią, jaka się przygotowywała: nad gwałtem i zamordowaniem niewinnej, którą poświęcał, chcąc zaspokoić swą zemstę.

Podniósł wzrok na okno pokoju Primavery, a wspomnienie cierpienia, jakie czekało Ragastensa, wywołało uśmiech na ustach starca. Powiedział do księdza Angelego:

— Jakże pachnące są te kwiaty... ach! zaiste pięknem jest życie!

Spokojna i cierpliwa Róża spędziła cały dzień w pokoju, przeznaczonym jej przez Lukrecję. Nie tknęła posiłku, który przyniosła jej rodzona córka. Wieczorem, już trochę po ósmej, Lukrecja otworzyła gwałtownie drzwi i dała Róży znak, nie mogąc ze wzru-

szenia wymówić ani słowa. Róża udała się za nią. Po kilku minutach obie stały już w pokoju papieża.

— Czy trwasz w postanowieniu rozmowy z nim?

— zapytała Lukrecja przerywanym głosem.

— Tak trzeba!

— Odpowiadasz za wszystko?

— Odpowiadam! bądź spokojna: t w ó j o j - c i e c umrze...

Lukrecja wzdrygnęła się i zbladła.

— Czy ma o n zwyczaj pić coś przed usnięciem?

— zapytała Róża.

— Tak! wzmacniające wino... stoi tam...

Lukrecja wskazała palcem na małą szafkę, w której stary Borgia trzymał różne podręczne rzeczy. Tylko on posiadał od szafki klucz. Przynajmniej tak przypuszczał.

— Możesz otworzyć szafkę, nieprawdaż? — rzekła Róża, z góry wiedząc, jaka będzie odpowiedź.

Lukrecja wyjęła pośpiesznie z kieszeni mały klucz i otworzyła szafkę.

— Prędko! — warknęła.

Róży jednak nie śpieszyło się. Przyglądała się wnętrzu szafki. Było tam trochę zapasów żywnościowych, kilka flaszek specjalnego wina, którego naparstek wypijał starzec co wieczór przed pójściem spać. Na jednej z półek stały dwa puharki: złoty i srebrny. Papież używał czasem jednego, czasem znów drugiego. Róża porwała do ręki srebrny puhar.

— Pośpiesz się! — powtórzyła Lukrecja gorączkowo.

Stara wzruszyła ramionami, potem włożyła rękę za gors i wyjęła we czworo złożony kawałek czerwonego pergaminu.

— Oto trucizna, — powiedziała. — To trucizna, która nie przebacza. Nie znam na nią żadnego antidotum.

Lukrecja pokiwała głową.

— Potarłszy o brzeg puharu kawałkiem tego pergaminu, — mówiła dalej Maga, — pokrywa się sre-

brny brzeg niewidzialną warstewką pyłu... pyłu, który należy wetrzeć w metal... przylega doń — nawet gdy się go chce zetrzeć siłą. Ten, kto dotknie ustami brzegu takiego pucharu, jest człowiekiem skazanym na śmierć. Nic w świecie nie jest zdolne ocalić go.

Róża zamilkła. Milczała przez chwilę. Podała wreszcie Lukrecji srebrny puchar i we czworo złożony kawałek czerwonego pergaminu. Lukrecja cofnęła się z lękiem...

— Chcesz, żebym ja to uczyniła? — wybełkotała.

— To będzie sprawiedliwie! — odpowiedziała Róża Vanozzo. — Trzeba, żeby padł z ręki własnego dziecka! Trzeba również, abyś ty, jego córka, która pragniesz jego śmierci, trzeba, żebyś ty właśnie pamiętała przez całe twoje życie o dzisiejszym wieczorze. No! czyżbyś się bała, Lukrecjo?! Czy w żyłach twych nie płynie już krew Borgiów?!

— Milcz, nieszczęsna!

— Weź ten srebrny puchar, jeśli chcesz, żeby nas nikt nie słyszał! Dobrze! Teraz trucizna! Dobrze!... Teraz natrzeć brzeg! Trzyj dobrze, moja córko! Bardzo dobrze! Jesteś zachwycającą trucicielką! Jeszcze trochę! Tak trzeba... Trzeba, abyś później, w twych snach mogła przypomnieć sobie tę scenę... Siebie... zatruwającą brzeg srebrnego pucharu, na którym spoczną usta twego ojca!

W miarę tego jak Róża mówiła, Lukrecja słuchała jej słów i wykonywała nakaz, jakby w jakimś upiornym śnie. Strach było na nią patrzeć... Białe plamy okryły jej twarz... Nie zdawała sobie z tego sprawy, że czarownica dała jej miano „córki“.

Nagle Róża porwała srebrny puchar.

— Już dosyć! — oświadczyła. — Możesz odejść! Reszta należy do mnie... Idź już!

Błada, chwiejnym krokiem, Lukrecja wyszła z pokoju, cofając się w tył, powoli, ze wzrokiem obłąkanym ze strachu, wbitym w czarownicę.

Róża Vanozzo, gdy została sama, odstawiła srebrny puchar na dawne miejsce. Potem ruszyła nieco

z miejsca, tak, aby to było widoczne, złoty puhar. Wtedy dopiero zamknęła drzwi szafki, jednakowoż nie na klucz. Wreszcie zmierzyła do gabinetu, przylegającego do tego pokoju, usiadła tam i zaczęła wyczekiwać. Nagle wyprostowała się: w pokoju Rodryga Borgii słychać było rozmowę. Zaczęła nadśluchiwać...

XXXVII.

DOBRY GENJUSZ ALEKSANDRA VI.

Był to papież, który po odbytym spacerze wrócił do swego pokoju. Starzec, jak już powiedzieliśmy, był w bardzo dobrym humorze. Obawy jego zupełnie rozwiały się. Myślni był już w Rzymie. Uwolniony od Ragastensa, o którym przypuszczał, że odbierze sobie życie, zamierzał rozpocząć w trybie normalnym swe podboje, a o ciężkich wypadkach z dni ostatnich chciał zapomnieć zupełnie.

O tem rozmyślał, zabierając się do snu. Służący, po przygotowaniu wszystkiego na noc oddalił się, starzec zaś porozmawiał jeszcze przez parę minut z Angelem, potem pożegnał go. Gdy pozostał sam, zamknął drzwi na dwa spusty i obejrzał starannie zamek, jak to zwykle czynił wieczorem. Gdy się odwrócił, ujrzał Różę Vanozzo, stojącą pośrodku pokoju.

Zdumienie starca było tak wielkie, że nie zdobył się nawet na okrzyk. Śmiertelnie blady zaczął się cofać powoli, sądząc, że ma do czynienia z nadnaturalnem zjawiskiem. Maga spoglądała na niego z dziwnym spokojem, co, widząc, uspokoił się również i zdołał wyjąkać:

— Co tu robisz?

— Przychodzę ocalić cię, panie! — odpowiedziała Róża.

— Ocalić mnie! — zawołał papież, odzyskując zimną krew. — Przedewszystkiem jednak powiedz mi, jak się tu znalazłaś?

— Weszłam przed chwilą do pałacu pod pretekstem zaofiarowania kupna kilku klejnotów. Przyszłam do signory Lukrecji. Wiedziałam, że jesteś w ogrodzie; skorzystałam z tego, aby się wślizgnąć do tego gabinetu i poczekać tu na pański powrót.

Borgia zdrzął. Morderca mógł uczynić to samo, co się udało Madze. Rozejrzał się z lękiem i nieufnością.

— Dlaczego jednak nie chciałaś zobaczyć się ze mną w ogrodzie?

— Mogłoby to zwrócić uwagę mordercy.

— Mordercy? A więc jest on w pałacu?! — zapytał papież z przerażeniem.

Maga wzruszyła ramionami.

— Nie byłabym tutaj, — powiedziała, — gdyby niebezpieczeństwo nie było tak strasznie bliskie!

Słowa te wypowiedziała jakimś dziwnym tonem, przerażony jednak starzec nie zwrócił na to uwagi.

— Przywołam służbę! każe zrewidować wszystkie kąty.

Skierował się do drzwi. Maga zatrzymała go skieniem ręki.

— Nie wołaj nikogo, — wyrzekła dziwnie uroczystym tonem, — do pokoju tego weszłaby wtedy śmierć!

Zbliżył się do niej skwapliwie.

— Co chcesz powiedzieć? No? Pozwól, że zbiorę nieco myśli... Mówisz tedy, że morderca znajduje się w pałacu... A więc ktoś chce mnie zamordować? Siadaj, moja poczciwa Mago... Po powrocie do Rzymu ożłocę cię, wszyscy najwięksi bogacze zbledną z zawiści... Chciałaś mnie ocalić, jak to już uczyniłaś wcześniej... Poczciwa Mago! Jakże cię kocham! Jesteś jedynym człowiekiem, do którego mam zaufanie... Powiedz mi wszystko.

Maga widziała, że jest w takim nastroju, kiedy ogarnięty przerażeniem i niezdolny do rozumowania, może uczynić wszystko, co mu podsunie.

— Chciałam uratować ci życie jeszcze tym razem, — oświadczyła wciąż jednakowo łagodnym głosem, — chcę bowiem stanowczo wyrwać z rąk Lukrecji córkę hrabiego Almy. Ty tylko masz władzę uczynić to.

— Masz słuszość. Bez mego wstawiennictwa Beatrix zginie. Lecz ja ocalę ją. Moja przysięga jest rzeczą świętą.

— Wiem o tem, panie.

— Tak, tak! Ale mów, mów... powiedz mi wszystko.

Maga zamiast odpowiedzi wzięła starego Borgię za rękę i podprowadziła go do małej szafki, w której stały dwa puhary.

— Otwarta! — wykrzyknął papież. — Kto mógł ją otworzyć?

— Ksiądz Angelo.

— On! powiniennem był domyśleć się tego... Ach! zmija! Zatrul moje wino, nieprawdaż?

Maga potrząsnęła przecząco głową.

— Spójrz na te puhary, panie.

— Ktoś poruszył złoty puchar! — zawołał stary Borgia, drżąc. — Zawsze staram się zapamiętać miejsce, na którym stoją postawione przeze mnie własnoręcznie... Puchar srebrny nie ruszony z miejsca... Puchar złoty przesunięty.. Ach! teraz rozumiem, dlaczego ten nędznik był taki błądy. Przed kwadranssem opuścił mnie na chwilę, poczem powrócił błądy, jak trup. Wyszedł stąd przed chwilą.

— Zatrul puchar złoty w nadziei, że dziś wieczór, albo jutro będziesz, panie, pić z niego wino.

Papież słuchał jej słów, szcękając zębami.

— Istotnie, — powiedział, — używam i jednego i drugiego...

— Puchar złoty jest zatruty, — mówiła dalej Maga. — Ten, który wypije ze złotego pucharu, umrze...

— Mój Boże! czy podobna, aby ludzkie serce mo-

gło zawierać tyle złości!

Nagle porwał za rękę starą czarownicę.

— Czy jesteś zupełnie pewna! — zgrzytnął zębami. — Czy zupełnie pewna, że nie zatrul wina, albo obu puharów? Czy dobrze widziałaś?

Maga uśmiechnęła się. Wzięła w rękę srebrny puhar i jedną z butelek wina, napełniła go niem w dwóch trzecich, a potem wychyliła wino powoli, aż do ostatniej kropli. Stary Borgia śledził skwapliwie każdy jej ruch.

— Patrz, panie, — rzekła Maga, uśmiechając się, — wino nie jest zatrute, ksiądz Angelo zatrul złoty puhar.

Starzec gorączkowo pochwycił otworzoną flaszkę wina i postawił ją na stole. Obok flaszki postawił dwa puhary, potem odwrócił się do Magi z okrutnym śmiechem, podobnym do czkawki.

— Zobaczysz... mrucał, śmiejąc się, zobaczysz... Ukryj się w gabinecie i patrz... Zobaczysz piękną farsę, w której przeznaczam doskonałą rolę temu biedakowi Anielemu...

Róża Vanozzo jakimś automatycznym krokiem; jakgdyby podtrzymywana jedynie nadzwyczajną siłą woli, udała się do gabinetu. Tymczasem papież uderzył dwa razy w gong.

— Przysłać mi tu mego lektora! — rozkazał nadbiegającemu służącemu.

W kilka chwil potem do pokoju wszedł Angelo. Wtedy starzec zwrócił się do niego.

— Angelo, moje dziecko, zawołałem cię, ażebyś napił się ze mną tego wina.

— Ojcie święty! — wyjąkał ksiądz, zdjęty przerażeniem.

— Cóż ci jest! — zaśmiał się szyderczo Borgia.— Czynię ci tyle honoru. Masz złoty puhar! a ja wezmę sobie skromny srebrny...

— Och! to straszne! — szepnął lektor.

Od chwili przekroczenia progu drżał on na całym ciełe.

— Wydano mnie. Teraz umrę!

Myśl ta zjawiała się w jego głowie szybko, jak błyskawica. Zachowanie się papieża upewniło go w tem przeświadczeniu. Borgia nalał wina do dwóch puharów, podał Angelemu złoty, a sam wziął w rękę srebrny.

— Pij! — powiedział.

— Łaski! — zacharczał Angelo, padając na kolana.

— Czy oszalałeś?

— Jestem za młody, aby umierać...

— Umierać! A któż każe ci umierać? Alboż człowiek umiera po wypiciu odrobiny wina? Patrz, spojrzysz!

Stary Borgia podniósł wysoko swój puhar, jakby błogosławiąc nim swego towarzysza uczt, a jednocześnie szydząc z niego okrutnie. Powoli, kropla po kropli, delectując się dobrem winem, wychylił swój srebrny puhar do dna.

— Pij teraz ty! — rzekł głosem, który zabrzmiał jak straszliwy wyrok w uszach księdza, — pij, powiadam ci, pij!

Angelo wziął w rękę złoty puhar i, zamknawszy oczy wychylił go... Papież roześmiał się jakimś donośnym piekielnym śmiechem. Porwał za rękę księdza.

— No i co, Angelo! — krzyknął. — Czy udała ci się twoja zbrodnia! Czy jesteś zadowolony z tego, że chciałeś otruć twego dobroczyńcę? Umrzyj, nędzniku! umrzyj, i oby zgon twój był tak straszny, na jak straszne chciałeś mnie skazać męczarnie.

— Ten młodzieniec nie umrze!

Nagły ten okrzyk zmusił papieża do odwrócenia głowy, a jednocześnie zabrzmiał w jego duszy jak odgłos pogrzebowego dzwonu. Ujrzał Różę Vanozzo, która blada jak widmo, wpatrywała się uporczywie w niego. Zdjęty przerażeniem, stał przed nią bez mowy, osłupiały... Potem z rykiem poskoczył w jej stronę.

— Coś powiedziała, ty, czarownico z piekła? Coś powiedziała, przyjaciółko szatana?

— Powiedziałam, zabrzmiał dziwnie radosny głos Róży, że ksiądz ten nie umrze! Powiedziałam, że to ty, Rodrygu, jesteś skazany na śmierć! Powiedziałam, że złoty puchar nie jest szkodliwy i że ty, Borgia, piłeś wino z pucharu zatrutego!

Zabrzmiał podwójny okrzyk. Ryk szalonej radości księdza, który rzucił się do drzwi, otworzył je i uciekł niepewnym krokiem; jednocześnie rozległ się rozpaczliwy, pełen wściekłości i przerażenia, krzyk Aleksandra VI.

W tej samej chwili zaczął dochodzić dziwny odgłos głuchego trzasku i syczenie... Rozległy się gdzieś daleko okrzyki ludzkie... Gorzki dym nappełnił pokój, a blask płomieni szcerwienił ciemne niebo. Pałac Lukrecji płonął.

XXXVIII.

POSAĞ ŻYWY NA POSAĞU Z BRONZU.

Trochę po dziewiątej wieczór Spadacape wyrwał Ragastensa z jego bolesnej zadumy. Kawaler, nie spiesząc się, udał się w stronę pałacu. Jego próba uwolnienia Beatrix była szalona, wiedział o tem.

Przeznaczył godzinę na przejście dosyć krótkiej przestrzeni, dzielącej pałac od rybackiej chatki. Gdy stanął na skale, gdzie Giacomo kazał mu się stawić, potrząsnął głową, nie widząc nikogo.

— Niema nikogo — powiedział. — Staruszek nie mógł nic zrobić. A zresztą, co wogóle mógł on uczynić? Ejże! Mój Spadacape'ie, namyśl się póki pora i idź z Bogiem w świat..

— Obrażasz mnie pan, — odpowiedział wierny sługa. — Chcę umrzeć wraz z panem, jeśli to jest nam przeznaczone... Zaczekajmy jednak jeszcze chwilę... kto wie?

— Dobrze, zaczekajmy jeszcze chwilę.

Jakiś głuchy odgłos rozległ się nagle za nimi. Spadacape odwrócił się i wydał radosny okrzyk. Pochwycił kawalera za rękę i wskazał mu coś zwisającego z wznoszącego się nad ich głowami muru.

— Sznur! — zawołał kawaler.

Spadacape już był przy sznurze, którego koniec z uwiązaniem do niego dużym kamieniem spadł na skałę. Ragastens podszedł do sznura i, nie wyrzekłszy ani słowa, zaczął się po nim wspinać, dopomagając sobie rękami. Już po dwóch minutach był na szczycie muru, dostatecznie szerokiego, by dwóch mężczyzn mogło ustać na nim obok siebie.

Chciewie spojrział w dal. Zobaczył, że nad murem górują wierzchołki dużych drzew pałacowego sadu. W głębi majaczyły kontury pałacu, którego oświetlone okna spoglądały w mrok nocy, jak jakieś tajemnicze oczy. U podnóża muru Ragastens dostrzegł cień. Wtedy wyjął z pochwy swój sztylet i, wzięwszy go w zęby, postanowił zeskoczyć i zabić nieznanego. Cień jednak postąpił parę kroków w stronę alei, lekko oświetlonej odblaskiem ognia.

— Prędko! pośpieszcie się!

Ragastens poznał w mówiącym Giacomu. W tej samej chwili u szczytu muru ukazał się Spadacape.

— Niech pan schodzi, ja tymczasem potrzyman sznur.

Ragastens zawisł w powietrzu i zsunął się na dół, a Spadacape po drugiej stronie, wisiał na drugim końcu powrozu, tworząc przeciwagę. Wreszcie i Spadacape wszedł również na szczyt muru. Zmierzył spojrzeniem dzielącą go od podnóża muru przestrzeń i zeskoczył na drugą stronę, do ogrodu.

— Prędko! wołał z niecierpliwością Giacomo. — Już pora!

Poskoczył szybko naprzód, skracając drogę przez grzędy z kwiatami.

Nie mówili do siebie nic, biegli, jak szaleni, nie zwracając na nic uwagi.

Gonitwa ta trwała blisko pięć minut: ogród był duży i głęboki. Nagle Giacomo zatrzymał się. Stali przed pałacem, tuż przy piedestale brązowego posągu.

Giacomo spojrział w górę. W jednym z okien błyszczało światelko: Staruszek podniósł rękę i wskazał na okno.

— To tam! — powiedział.

Ragastens zamknął oczy. Nakazał sobie zupełny spokój... Tylko bez wzruszenia... tylko bez lęku... Nic nie myśleć!

Spojrział w okno. Tam, za szybami tego okna była Primavera!

— Jak się tam dostać?

Zdziwił się, słysząc niesamowity głos, jakim wymówił te słowa. Dla tego, kto go nie znał, dla człowieka obcego, był to głos spokojny inżyniera, biorącego miarę odległości. Dla Giacomo i dla Spadacape'a w głosie tym zabrzmiał cały poemat niezłomnej siły woli.

— Posłuchaj pan, — rzekł Giacomo, skandując sylaby, jakby chciał treść swych słów wbić do głowy słuchaczom. Posłuchajcie mnie. Cezar Borgia przybył do pałacu. Jest teraz u swojej siostry. Zbędnem jest i niemożliwem, dostać się do wnętrza schodami. W pół drogi zginiecie... Oto okno... Musicie wejść tędy! Tak trzeba! Słyszycie? Posłuchajcie. Po wejściu do pokoju, tam, na górze trzeba skręcić na korytarz po lewej stronie... Zejść schodami... Potem minąć główne podwórze... Strażnicy przy drzwiach będą zajęci... Słyszysz pan? Główne drzwi wejściowe będą wolne. Idź pan. Żegnaj! Pośpiesz się, za dziesięć minut nie będziesz już mógł zejść, żegnaj!

Giacomo puścił się pędem i znikł za zakrętem. Wpadł na korytarz. W głębi otworzył drzwi, wiodące do niskiej sali. W sali tej były nagromadzone stosy suchego chróstu.

— Lukrecja i Cezar są zamknięci tam... na górze! — szepnął do siebie staruszek. — Potwór, ich ojciec zamknięty jest również wraz ze swą godną świtą!

Straszliwa godzina wybiła! Niech ogień zniszczy całą rodzinę, bo ogień jest przeznaczeniem potępieńców.

Zapalił pochodnię. Wykrzywiona szatańskim śmiechem twarz staruszka ukazała się w świetle rozpalającego się stosu...

Skoro tylko Giacomo przestał mówić, Ragastens zimno lecz szybko, spojrział raz jeszcze w okno, rozmyślając nad wykonaniem trudnego planu.

To skrzydło pałacowe było ozdobione korynckimi pół-kolumnami, wmurowanymi w ścianę. O każdą kolumnę wspierał się brązowy posąg, stojący na marmurowym piedestale. Posągiem, przed którym stał Ragastens, był olbrzymi posąg Augusta - Cezara.

Okno pokoju Primavera znajdowało się na pierwszym piętrze, lecz owo pierwsze piętro było na wysokości blisko 25 łokci od ziemi. Ragastens jednym rzutem oka ocenił sytuację... Wzrok jego błysnął rozpaczliwym zuchwalstwem. Porwał za rękę Spadacape'a.

— Gdy już będę w jej pokoju, — zawołał, — biegnij czempredzej i zajmij stanowisko przy wejściowych drzwiach. Gdy się ukazę, rzuć się na drzwi, zabijaj, morduj, wal sztyletem, czynь wszystko, co ci podyktuje rozpacz, drzwi jednak muszą być otworzone.

— Będą! będą!

— Uściskaj mnie!

Uściskali się. Potem Ragastens wskazał Spadacape'owi na posąg.

— Wejdz! — powiedział.

Spadacape skoczył na piedestał i zaczął wdrapywać się na posąg, czepiając się fałd brązowej szaty. Ragastens wspinał się za nim.

— Jestem już na ramieniu! — powiedział Spadacape.

— Właz wyżej! — warknął Ragastens.

— Wlazłem!

— Stań na głowie posągu!

Spadacape usłuchał. Spełnił rozkaz bez wahania,

bez chwili namysłu. Obie jego nogi, zdawało się, wrosły w głowę olbrzymiego posągu. Stał wyprostowany z rękami, przyklejonemi do ciała. Gdyby się poruszył, gdyby dostał zawrotu głowy, runąłby na ziemię. Roztrzaskałby czaszkę o podstawę posągu. Nagle Ragastens znalazł się na ramieniu brązowego Cezara.

— Trzymaj się mocno! — zacharzał.

— Trzymam się!

Zaczęła się jakaś niesamowita scena... Ragastens jął wdrapywać się po ciele Spadacape'a. Trwało to zaledwie pół minuty.

— Ręka! — rozkazał.

Spadacape złożył rękę w pięść, nie odrywając jej jednak od ciała. Ragastens wsparł stopę o jego rękę. Najwyższym wysiłkiem, powoli, delikatnie, uniósł się w górę. Chwila ta była cudownym wykwitem zimnej krwi i woli. W chwilę potem stał już na ramionach Spadacape'a. Podniósł obie ręce, końcami palców dotknął parapetu okna.

Spadacape nieruchomy, sztywny, jak w ataku katalapsji, uczuł na swej głowie stopę, potem ciężar ciała Ragastensa, a potem nagle nic już więcej! Jak zszedł na ziemię? Jak dobiegł do drzwi wskazanych przez Giacomę? Nie mógłby na to odpowiedzieć. Jedynie, stanąwszy na ziemi, podniósł wzrok na okno i ujrzał Ragastensa, który, wisząc ucepiony parapetu, wpijał się paznokciami w kamień i dźwigał się do góry nadludzkim wysiłkiem.

XXXIX.

S P E R A N Z A.

Od chwili, gdy pozwolono jej zejść do ogrodów pałacowych na spacer, Primavera nie widziała już więcej Lukrecji. Drzwi jej pokoju - więzienia już nazajutrz były na głucho zamknięte. Primavera była teraz przygotowana na śmierć.

Plan jej był straszliwie prosty. Zachowała przy sobie mały, ostry sztylecik, stanowiący jedyną jej broń. Gdy Cezar ukaże się, przebije się tym sztyletem. Postanowienie to było niezłomne: śmierć nie budziła w niej strachu. Czasem jednak czuła, że serce jej słabnie, a to wtedy, gdy myślała o Ragastensie.

— Jak strasznie będzie cierpieć, gdy się dowie o mojej śmierci — szeptała wtedy do siebie.

Pewnego wieczoru Primavera, wsparta o okno, tonąc wzrokiem wdali, tam, gdzie błyskało morze, którego cudny orzeźwiający zapach dolatywał aż do niej... milczała.

Przez jakiś czas zdawało jej się, że jakiś cień rusza się pod oknem. W cieniu tym, który jakgdyby chciał zwrócić na siebie jej uwagę, poznała mężczyznę... Podniósł głowę do góry i dał jej znak. Z ust nieznanego padły krótkie, zaledwie dosłyszalne słowa:

— *Speranza!*

Na słowa te, które przerwały jej posępne dumania, Primavera odpowiedziała lekkim okrzykiem. Padła na fotel i ścisnęła silnie skronie obu rękami.

— Nadzieja! — wykrzyknęła. — Alboż istnieje dla mnie jakaś nadzieja! Och! Czyżby to było możliwe! Czy naprawdę mogę marzyć o nadziei?!

W chwili gdy wyrzekła te słowa, jakieś pośpieszne kroki rozległy się na korytarzu... Primavera wyprostowała się, przerażona prosto możliwością cudu... Ramiona jej wyciągnęły się mimowoli ku drzwiom. Wybełkotała:

— Speranza! Speranza!

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Ukazał się w nich Cezar Borgia...

Myśli Primavera były w tej chwili tak daleko od Cezara. Ukazanie się jego było tak nieoczekiwane, tak dalekie od owego wyrazu „nadzieja“, który dopiero co usłyszała, że z ust biednej dziewczyny za-

miast krzyku rozpaczy wydarł się obłąkańczy, bolesny i przenikliwy śmiech. Porwała za swój sztylecik i zerwała się z miejsca...

Sztylet ten jednak nie zdążył dotknąć piersi dziewczęcia. Cezar Borgia szybko jak strzała poskoczył ku niej i pochwycił ją za rękę, wykręcając ją boleśnie. Puściła sztylet... Padła na ziemię... uczuła, że teraz jest zgubiona.

Cezar nie wyrzekł ani słowa.

Rozpłomieniona twarz Cezara znalazła się tuż przy twarzy Primavera. Błyszczące oczy nabiegły krwią. Ciężko dyszał.

— Córko Almy, — buchnął szyderyczym śmiechem, — kocham cię!...

— Wstrętny potworze, brzydzę się tobą!

Słowa te, padały z ust ich jak syk żmij, jak policzki, wymierzone wrogowi...

Miażdżył jej dłonie w swoich rękach, chcąc zmusić ją do tego, by padła na kolana. Jął mówić dalej:

— Wiem, że mnie nienawidzisz... ale ja... kocham cię!... Kocham! Pragnę! Jesteś moją!...

Przysunął swą twarz do jej twarzy, usta złożył do ohydneho pocałunku... Primavera cofnęła się gwałtownie, Cezar wydał nagle wściekły ryk, wypuszczając z uścisku jej dłonie. Z najwyższą pogardą, nienawiścią i rozpaczą... zdjęta wstrętem i gniewem, Primavera splunęła mu w twarz.

— — — — —
Cezar ryknął wściekle, uwalniając dłonie Primavera z żelaznego uścisku. Miał wrażenie, że dziewczyna wymknie mu się: skoczyła w stronę okna... Rzucił się za nią. Gdy już dobiegła do okna, przyskoczył do niej.

— Mam cię!

— Ragastensie! Ragastensie! Do mnie! Do mnie, Ragastensie! — zawołała Primavera pół żywa z trwo-
gi.

Uczyniła ostatni wysiłek, aby odtrącić lubieżne

zwierzę... Powtórzył jednak wścieklej, z dzikim triumfem:

— Mam cię!

— Ragastensie! — jęknęła znowu.

— Jestem! — odezwał się donośny głos z za okna.

Głos ten zabrzmiał, jak spiżowy dzwon na alarm.

Jednocześnie pod straszliwem uderzeniem pięści szyby okienne wypadły z brzękiem, ołowiana oprawa pękła i okno otworzyło się gwałtownie, jakby wywalone potężnym podmuchem wichury. Jakiś stwór z rozwianym włosom, rzucił się na Cezara Borgię.

— Ragastens! Ten szatan Ragastens! — zaklął Cezar, odskakując w tył. Primavera padła na ziemię zemdlona.

Cezar dobył szerokiego, a krótkiego sztyletu i stanął w pozycji obronnej. Ragastens zaczął następować na niego:

— Zginiesz marnie! — ryknął.

Stali nawprost siebie: Cezar skupiony i czujny, Ragastens pochylony naprzód ze sztyletem w rękę. Jeden i drugi wyglądali strasznie. Milczeli, wzrok ich jednak płonął. Ich straszliwe milczenie trwało przez kilka sekund, słyhać było tylko chrapliwy oddech obu zapaśników. Hen daleko, w głębi długich korytarzy rozległ się i, wzrastał coraz silniej, jakiś dziwny niedający się określić hałas... Jeszcze dalej głucho okrzyki... Oni nic nie słyszeli.

Nagle Ragastens postąpił naprzód. Ramię Cezara podniosło się, stal jego sztyletu błysnęła... Ostrze przeszło materję kaftana, nie zadając rany kawalerowi. W chwilę potem rzucili się na siebie. Rozległy się krótkie pomruki, straszliwy jakby przedśmiertny charkot i świst tryskającej z otwartej rany krwi... Ragastens zalany krwią, straszny, zachwycający swą siłą, podniósł się z ziemi okryty krwią przeciwnika, pochylił się nad zemdloną Primaverą, podźwignął ją jakimś triumfatorskim ruchem, czule, jak matka, unosząca odnalezione dziecko, porwał ją w ramiona i z dzikim okrzykiem wypadł na korytarz.

Tam zatrzymał się drżący... korytarz był pełny gorzkiego, czarnego dymu... Na końcu korytarza od strony schodów szalały płomienie, gwiżdżąc i wyciągając się w szkarłatne języki.

Spadacape zlął z posągu i rzucił się na korytarz wskazany przez Giacomo.

W połowie drogi ujrzał nagle otwierające się drzwi, a w nich postać mężczyzny. Spadacape trzymał w ręku swój sztylet... Zamierzył się... w oślepiającym świetle, które nagle zalało korytarz, poznał mężczyznę... Był to Giacomo.

— To pan! — zawołał.

Bez słowa odpowiedzi Giacomo wskazał mu na salę, którą opuścił i w której płonęły, rozrzucając iskry, olbrzymie stosy chróstu. Ponury i bezgłośny śmiech wypłynął na twarz starca.

Porwał Spadacape'a za rękę.

— Zobaczysz cudne widowisko! — powiedział.

— Ale on! on! kawaler!

Ogień ogarnął tylną fasadę pałacu. Będzie mógł zejść z góry... jeśli się pośpieszy... Lecz ona! Ach! pozamykałem wszystkie drzwi... Ach! Ach! Cokolwiek bądź zechce uczynić, nie wywinie się śmierci! Cała rodzinka tych żmij zginie!

Staruszek zaczął się trząść w ataku obłądnego śmiechu. Spadacape drżący rzucał przerażone spojrzenia już to na wielkie drzwi, już też na schody, które musiał zejść Ragastens.

— Patrz! — rzekł nagle Giacomo.

Z głębi pałacu nadpłynęły okrzyki i rozpaczliwe wołania... Mignęły pędzące w obłądnym strachu cienie ludzkie. Szesnastu żołnierzy straży przybocznej wybiegło gwałtownie z pawilonów i rzuciło się w stronę pałacu, przebiegając korytarz, z którego przed chwilą wyszedł Spadacape.

Giacomo rzucił się w stronę pawilonu straży, za nim biegł Spadacape. Klucze były zawieszane na gwo-

ździu. Porwał je. W parę sekund główne drzwi były otwarte...

Spadacape pochwycił miecz jednego ze strażników, którzy pośpieszyli na ratunek, pozostawiając broń. Już uzbrojony wybiegł na środek głównego podwórza i rzucił się w stronę schodów, którymi miał zejść Ragastens... jeśli wogóle będzie mógł zejść...

Ragastens na widok płomieni zatrzymał się jedynie na parę chwil. Żył w tej chwili jakimś dziwnym życiem; siły jego potroiły się. Potrząsnął wściekle głową, z niewymowną słodyczą przytulił do piersi zemdloną Primaverę, z niezwykłą starannością owinął dookoła jej ciała fałdy jej sukni; ręce nie drżały mu, czuł jednak, że nerwy są napięte do ostatecznych granic. Ruszył w kierunku schodów. Poprzez płomienie, poprzez mgłę dymu zaczął schodzić na dół. Sadząc susami, przedzierał się przez osłonę ognia, stanął wreszcie na dole zdyszany, z osmalonemi brwiami i włosami, z poparzonemi rękami, wyczerpany, półprzytomny.

Teraz najwyższy wysiłek! Ostatni skok! Ostatni wał ognia, przez który przeskoczył z rozpaczą i wściekłością w sercu. Wypadł na podwórze.

— Morduj! Bij, zabij! Pchnij go sztyletem!

Okno na górnem piętrze, wychodzące na główne podwórze, było otwarte. Stojąca w niem kobieta wydawała te okrzyki... Okrzyki wściekłości, nieprzytomne, szatańskie... Ową kobietą z rozwianym włosiem była Lukrecja Borgia.

Kilku mężczyzn, pozostałych na podwórzu, usłyszało jej krzyk. Ujrzeni oni uciekającego mężczyznę, którego ubranie było napół zwęglone, oczy błędne i wychodzące z orbit, a twarz straszna... Uciekał, unosząc w swych ramionach kobietę. Wszyscy rzucili się, aby go zatrzymać.

— Z drogi! z drogi! — ryczał Ragastens.

— Bij! Morduj! — wyła Lukrecja.

Trzy sztylety błysnęły w powietrzu. Ragastens skoczył naprzód: jeden ze sztyletów dotknął jego pra-

wego ramienia i rozcharatał ciało... Uciekający odwrócił się, pniąc się z gniewu, a napastnik wydał okrzyk szalonego bólu: Ragastens zapuścił zęby w dłoń napastnika i przegryzł ją do połowy.

— Z drogi! z drogi!

W tej samej chwili olbrzymi miecz zatoczył straszliwego młyńca, dwóch napastników padło ze strząskaną czaszką.

— Naprzód, panie! — wrzasnął Spadacape.

Ragastens poskoczył ku wejściowym wrotom; za nim, osłaniając go, błyskał zawrotnie miecz Spadacape'a. Wypadli za bramę...

Spadacape silnym ciosem położył na miejscu ostatniego z napastników. Za uciekającymi pośpieszył Giacomo. Zamknął za sobą bramę, która zatrzasnęła się głucho.

— Sygnał dla statku! — zacharczał Ragastens.

Spadacape rzucił się naprzód. Ragastens biegł za nim w stronę morza, czuł ogień w mózgu, a jednocześnie serce jego zalała najwyższa rozkosz: tulił w ramionach ukochaną, której blada głowa spoczywała na jego ramieniu, ociekającym krwią z rany, zadanej mu sztyletem strażnika.

W mroku nocy na skale zapłonęły nagle trzy ogniska: był to sygnał, który dawał Spadacape właścicielowi „Stelli“, wyczekującemu w małej zatoczce na swych pasażerów.

— Naprzód! — szeptał Ragastens, chwiejąc się na nogach, tracąc siły i śpiesząc na wybrzeże już tylko najwyższym wysiłkiem woli.

Słyszał teraz wyraźnie poszum morza, którego fale rozbijały się o brzeg. Widział skałę, a na niej blask trzech ognisk.

— Naprzód! zacharczał raz jeszcze.

Teraz usłyszał plusk miarowy wiosła szalupy, zbliżającej się do brzegu. Nagle wdali za nimi rozległy się okrzyki.

— Gonia nas! — odezwał się jakiś głos tuż przy Ragastensie. To mówił Giacomo.

— Wsiadać! wsiadać! — zawołał jakiś głos z szalupy.

Ragastens zobaczył, że jest na brzegu. Jak we śnie ujrzał Spadacapa i Giacomę w szalupie, a obok nich marynarzy z podniesionymi wiosłami. Za nim błysnęły nagle ognie pochodni.

Wtedy podniósł Primavera do góry, najwyższym wysiłkiem skoczył do szalupy, która odbiła od brzegu i zaczęła mknąć po falach, tymczasem na brzegu rozległy się przekleństwa kilkudziesięciu ludzi, goniących uciekinierów.

Ragastens, znalazłszy się w szalupie, wydał chrapliwe westchnienie i padł zemdlony. Gwałtowny wstrząs przywrócił Primavera przytomność. Powiodła dokoła siebie zdziwionem spojrzeniem i ujrzała nagle bladą, zakrwawioną, wykrzywioną skurczem bólu twarz Ragastensa. Nie wydała żadnego okrzyku! Zdawało jej się, że śni. Jak we śnie pochwyciła jego głowę w obie ręce, oplotła dokoła jego szyi ramiona i powoli, bardzo powoli, długo, z niewymowną czułością i zachwytem w oczach, złożyła na jego bladym czole pocałunek bezgranicznej miłości.

XL.

OSTATNIE SŁOWA RÓŻY VANOZZO.

Książdz Angelo wybiegł z pokoju Borgii oszalały radością, w chwili gdy Maga zawołała:

— Ten książdz nie umrze! To ty, Rodrygu, umrzesz! Ty bowiem piłeś ze srebrnego pucharu... z pucharu zatrutego!

Angelo nie zadawał sobie pytania, co się dalej stanie. Nie starał się myśleć o tem. Myślał jedynie o ucieczce. Nagle zatrzymał się: drzwi były zamknięte na klucz. Jednocześnie ujrzał, że otaczają go czarne obłoki dymu. Widok nowego niebezpieczeństwa przywrócił mu zimną krew.

— Pałac płonie! — szepnął.

Próbował otworzyć drzwi... Drzwi oparły się. Były zamknięte z zewnątrz. Kto mógł je zamknąć? Poco? Zawrócił z drogi. Musiał przejść korytarzem, na który wychodziły pokoje papieża. Przerażony, zmierzył w tamtą stronę. Ujrzał otwarte drzwi do jednego z pokoi... Wpadł do wnętrza.

Oparta o okienko, wybite w murze, stała kobieta, przyglądając się czemuś, co ją nieomal-że zahipnotyzowało... Nie słyszała bowiem ani kroków Angela, ani syku ognistych języków... Kobieta ową była Lukrecja.

Ksiądz wpatrzył się w nią posepnym wzrokiem... Wizja niezmiernych skarbów, ukrytych w pieczarze, wstrząsnęła nim... Okazja była świetna... Jedno uderzenie sztyletem w plecy... sięgnął ręką po broń, którą nosił zawsze przy sobie, a potem postąpił naprzód. W tej samej chwili Lukrecja zaczęła cofać się powoli... Wzrok jej, tchnący przerażeniem, był wlepiony w okienko... Nie mogła oderwać się od hipnotyzującego ją widoku... Ksiądz Angelo usłyszał jak wyszeptała z przerażeniem:

— T o b y ł a m o j a m a t k a ! Dopomogłam mej matce do otrucia mego ojca!

Wydała głębokie westchnienie i obejrzała się dookoła ze zdumieniem. Ksiądz, który znieruchomiał w miejscu, z chwilą gdy odeszła od okienka, zbliżył się teraz do niej. Widząc, że zamiar jego został chybiomy, zaczął myśleć już tylko o pożarze.

— Pani, — powiedział, — pałac płonie... Trzeba uciekać!

— Pałac płonie! — rzekła Lukrecja, jakby budząc się z sennej zmory, aby wpaść w inny męczący sen. — Istotnie! Widzę płomienie! Ach! Ślub Beatrix będzie miał wspaniałą iluminację!

Wybuchła śmiechem i rzuciła się naprzód... Za nią biegł ksiądz Angelo. Pokój, do którego weszła, wychodził na podwórze pałacowe.

Z pianą u ust odwróciła się błędnie i pomknęła w stronę pokoju Beatrix.

Ujrzała tam Cezara, leżącego na ziemi, nieruchomego, tonącego w morzu krwi. Chciała wypaść na podwórze, nagle drzwi pokoju zamknęły się. Klucz zgrzytnął w zamku. Usłyszała głos księdza Angela, który zawołał:

— Żegnaj, signoro Lukrecjo! Dla ciebie ogień piekielny, a dla mnie skarby z pieczary!

Lukrecja z rykiem wściekłości zapuściła obie ręce we włosy. Zaczęła krażyć po pokoju, jak tygrysi-ca, która wpadła w potrzask. Nagłe poruszenie się Cezara przywróciło jej trochę przytomności.

— żyje! — szepnęła. — żyje, aby umrzeć w płomieniach! Och!

Nagle wybuchnęła przeraźliwym śmiechem.

— Potajemne zejście do piwnicy! — warknęła. — Och! nie wszystko jeszcze stracone! — Pochwyciła Cezara za nogi i odciągnęła go w kąt pokoju. Potem zaczęła obmacywać ręką mury. Rozległ się suchy trzask odskakującej sprężyny... Kawałek podłogi odzilił się właśnie w tem miejscu, gdzie Lukrecja złożyła ciało swego brata, podłoga zaczęła obsuwać się nadół, wkrótce oboje znikli z pokoju.

W całym pałacu pełno było tajemnych zejść i okienek. Zejście, z którego skorzystała Lukrecja wiodło do piwnic. Gdy się w nich znalazła, porzuciła brata na piasku, a sama skoczyła dalej. W parę minut kilkudziesięciu strażników z Lukrecją na czele rzuciło się śladem Ragastensa. Wiemy już, że pogoń zawiodła.

Wtedy Lukrecja dzikim ruchem ręki odesłała swych żołnierzy do pałacu. Sama przysiadła na skale, kalecząc paznokciami policzki; oczy nalane krwią wbiła w podpływającą do „Stelli“ szalupę... Widziała, jak stateczek puścił się na pełne morze, chwając się na fali, jak mewa. Z piersi Lukrecji wydarł się szloch... Szloch bezsilnej wściekłości i nienasyconej żądzy zemsty.

Zwróciła się w kierunku pałacu, który, podobny do olbrzymiej pochodni, płonął, oświetlając okolice i morze. Nagle na jednej ze skał ujrzała klęczącego mężczyznę... nisko pochylonego... prawie leżącego na ziemi... był to ksiądz Angelo.

Pewny, że Lukrecja nie żyje, jak również jej ojciec i brat, ksiądz Angelo udał się do skały, w której znajdowała się pieczara ze skarbami. Pochylił się nad otworem, aby się przyjrzeć, aby się dobrze upewnić, aby zapamiętać miejsce, gdzie się skarb kryje... Patrzył z zachwytem.

Lukrecja zauważyła go i poznała. Na jej wykrzywionej wściekłością twarzy, zbrózdzonej paznokciami, rozlał się ohydny uśmiech. Skradając się, zbliżyła się powoli... Ostrożnie. Nagle skoczyła, ramię jej podniosło się i spadło z niezwykłą szybkością i siłą: ksiądz nie zdążył nawet krzyknąć: sztylet Lukrecji uczynił swoje...

Wtedy powstała z ziemi, zakrwawiona, półprzytomna, rzucając dokoła błędne spojrzenia...

— Kto przyjdzie jeszcze! — warknęła.

Nagle ujrzała cień, zmierzający w stronę wybrzeża. Poznała go.

— Moja matka! — wybelkotała. — Moja matka!

Róża Vanozzo, jak tam, w pałacu, wyminęła ją, nie widząc jej wcale.

— Moja matka! — powtórzyła Lukrecja drżącymi konwulsyjnie wargami.

Róża Vanozzo schodziła na wybrzeże, szła miarowym krokiem... Wreszcie stanęła na nadbrzeżnym piasku i znowu jąła iść w morze... Ramiona miała wyciągnięte przed siebie.

W chwili, gdy Róża Vanozzo weszła do pokoju Aleksandra VI, stary Borgia wydał ryk rozpaczony. Ponieważ jednak nie odczuwał żadnych symptomów otrucia, podszedł do Magi i porwał ją za rękę.

— Kłamiesz! Nieprawdaż? — wybelkotał pijany przerażeniem. — Powiedz mi, że kłamiesz! Puhary nie były zatrute.

— Już koniec, Rodrygu, agonja twoja rozpocznie się za chwilę, — rzekła Maga tem straszniejszym, że zupełnie spokojnym i lodowatym tonem.

— Nieszczęsna! szalona! Ależ ty piłaś również ze srebrnego puhara... Widzisz tedy, że kłamiesz!

— Mylisz się, Rodrygu! To niczego nie dowodzi, a raczej dowodzi tego tylko, że umrę również. Alboż ci nie powiedziałam, że mamy wspólne przeznaczenie?

— Kłamiesz! kłamiesz! — powtarzał papież z obłądnym uporem. — Gdybym był otruty, czułbym już pierwsze tego symptomy. Jestem silny! Ach! Nędznico, drogo zapłacisz mi za twe ohydne kłamstwo!

Stary Borgia, który podniósł obie pięści na Magę, obsunął się nagle w fotel. Twarz jego okryły czerwone plamy, usta stały się liljowe... Oczy wychodziły z orbit.

— Och! — wybelkotał, — nie skłamała! Nie mogę ustać na nogach! Nogi nie niosą mnie już... czuję lodowaty chłód... który sięga coraz wyżej... Łaski! Pozwól mi jeszcze żyć... Łaski! Uratuj mi życie! Lukrecjo! Cezarze! Do mnie!

— Głupcze! — wybuchnęła Maga. — Wzywasz Cezara i Lukrecji... A czy wiesz, kto przysłał tu księdza, polecając mu otrucie ciebie?... To Cezar! A czy wiesz kto zatrul puhar? To Lukrecja...

— Moje dzieci! — szepnął papież przybity.

— Twój syn i twoja córka!

— Ginąć z ręki dzieci! To straszne! Strach śmierci jest niczem, wobec grozy, przed taką zbrodnią... Lecz kto ty jesteś, ty, współniczka tej zbrodni? Co zrobiłem ci złego, nędzna czarownico? Domyślałem się, jesteś matką jednego z tych, których zamordowałem.

— Nie, Rodrygu, nie szukaj mordercy, pomię-

dzy twemi ofiarami... Nie szukaj go pomiędzy tymi, których otrułeś lub których kazałeś zamordować. Cofnij się wspomnieniami w przeszłość!

— W przeszłość... Och, jesteś żoną, albo siostrą jednego z tych, których zabiłem, kiedy nie byłem jeszcze księdzem, kiedy byłem wojownikiem! Ty nie-szczęсна czarownico!

— Sięgnij wspomnieniami do jeszcze dawniejszych czasów! Do dni twojej młodości! Przypomnij sobie Hiszpanję... Jative...

Papież wpatrzył się w Magę wzrokiem pełnym przerażenia... Wydał przerażający okrzyk...

— Och! — zawołał złamanym głosem, — Hiszpanja! Jativa! Teraz zgaduję... Poznaję Cię! Jesteś Róża!...

Złożył ręce błagalnym ruchem, zsunął się z fotela, padł na twarz i zaczął bić czołem w podłogę.

— Jesteś Róża! — mówił dalej z okropnym jękiem. — Jesteś tą, którą porzuciłem, jesteś matką moich dzieci! Och! Rozumiem! Rozumiem!

— Jestem matką Lukrecji i Cezara, — ciągnęła dalej Róża. — Jestem żoną Rodryga Borgii! Tym razem mówisz prawdę.

— Łaski, Różo! Tak mnie kochałaś... Kochasz mnie jeszcze!

— Żądasz ode mnie łaski, głupcze! A czy wiesz, ty, ile wycierpiałam przez ciebie? Czy wiesz, że córka moja, Lukrecja, kazała mnie wyrzucić ze swego pałacu, jak żebraczkę! A czy wiesz ty, że mój syn, Cezar, groził mi batem! Tak, kochałam cię! Uwielbiałam cię!

— W imię tej miłości — łaski! litości!

— Kto mówi o litości! — warknęła Róża. — A kto miał nade mną litość! Kto przyszedł otrzeć me łzy, które przez trzydzieści lat paliły mi oczy? Rodrygu, posłuchaj!

— Łaski! Litości! — powtórzył Rodryg uderzając o podłogę czołem, zroszonym kroplami krwi.

Głos jego osłabł. Chłód śmiertelny przeniósł się na ręce i ramiona. Był to już tylko żyjący kadłub, który walczył ze zbliżającą się śmiercią.

— Łaski! Litości! — mruzczała Róża Vanozzo. — I on śmie wymawiać te słowa! Przez niego mój ojciec i matka zmarli ze wstydu! Przez niego, oblewało się krwią moje serce — serce kochanki! Przez niego znosiłam najgorsze męczarnie, jakie może znosić serce tej, która wydała na świat nieszczęsne dzieci miłości! Jako dziewczyna, płakałam przez niego! Jako kobieta — przez niego umierałam powoli! Jako matka, byłam przez niego ukrzyżowana żywcem! Umrzyj więc, mój Rodrygu! Umrzyj, potępiony! Umrzyj z okropną myślą, że jesteś zamordowany przez własne dzieci.

Borgia uczynił nadludzki wysiłek. Podniósł głowę, usta jego poruszyły się lekko.

— Przeklęta! Bądź... przeklęta!

— Umrzyj potępiony! — odpowiedziała złowrogim tonem Róża Vanozzo.

Stary Borgia wyprężył się w konwulsjach, trochę piany wystąpiło mu na ustach; nagle wydał chrapliwy ponury okrzyk, a potem znieruchomiał z szeroko otwartymi ustami; z wykrzywioną twarzą i z oczami w ślup... Aleksander VI wydał ostatnie tchnienie!

Róża Vanozzo wpatrzyła się w niego badawczo szepcząc jakieś wyrazy bez związku. Wzrok jej stał się dziwnie szklany... Krew pulsowała jej w skroniach... Rozejrzała się dokoła błędnym spojrzeniem, nagle wyprostowała się.

— Kto powiedział, że Rodryg nie żyje! — szepnęła głucho. — Rodrygu! Mój ukochany! Ty żyjesz! Ty kochasz mnie! Czekasz na mnie! Rodrygu, połączmy się ze sobą na zawsze! Zaczekaj na mnie! Idę!

Przeszła przez pokój, potem przez korytarz pełny dymu, i zaczęła schodzić schodami, na których szalał

pożar. Wyszła na podwórze, doszła do skał, a potem znalazła się na wybrzeżu. Nie wiedziała nawet, że wchodzi do wody, szła wprost przed siebie. Wkrótce fale morza sięgnęły jej do ramion... Szła ciągle naprzód. Teraz już tylko głowa wynurzała się z wody. Hen, daleko na horyzoncie ujrzała stateczek lekki, zgrabny, który sunął z rozwiniętymi żaglami... Na dziobie statku majaczyły dwa przytulone do siebie cienie. Był to Ragastens i Primavera upojeni miłością...

Była to ostatnia wizja Róży Vanozzo. Nadpłynęła fala, porwała ją i zatopiła. Zdążyła wykrzyknąć:

— Zaczekaj na mnie... Rodrygu! Mój najdroższy...
Idę... Kocham cię!

Znikła w morzu na zawsze...

EPILOG.

OGRODY MONTEFORTE.

Trzy lata upłynęły od tych wypadków. Jesteśmy w obszernych i wspaniałych ogrodach, okalających pałac Almów, hrabiów na Monteforte.

Był ciepły wieczór letni. Słońce kryło się za wysokimi górami, kładąc na niebie różowe blaski. Wpobliżu ławki pod giętkimi gałęzmi starej wierzby siedziało grono ludzi.

Byli to panowie i właściciele starożytnego pałacu. Główny intendent, Giacomo, pilnował służby, roznoszącej orzeźwiające napoje, a kapitan straży pałacowej, imię pan Spadacape, wsparty na swym ciężkim mieczu, przyglądał się siedzącym na ławce osobom.

Była tam Primavera i Rosita, wpobliżu Rafael Sanzio stał przy stalugach, malując obraz, rozpoczęty już dawno: obie siostry bowiem przerywały mu ustawicznie, a to aby się uściskać, a to aby pobiec do niego i przyjrzeć się temu, czy robota przy obrazie posuwa się.

U stóp Primavery pełzał roczny dzieciak: miał on na imię Manfred. Imię to otrzymał ku uczczeniu pamięci ojca Primavery. Dzieckiem tem był syn Raga-

stensa i Beatrix. Dziecko podpełzło do dwojga męż-
czyzn, siedzących nieco na uboczu i rozmawiających
ze sobą. Byli to: kawaler de Ragastens, księżę Alma,
pan na Monteforte, i jego przyjaciel Machiavelli.

— Czy wiesz, mój drogi, że jesteś potężną żywio-
lową siłą? — rzekł Machiavelli, kończąc rozpoczętą z
Ragastensem rozmowę.

— Nie wątpię w to wcale, — odpowiedział Raga-
stens ze śmiechem.

— Zadałeś cios śmiertelny papieżowi. Wszystko
zresztą trzeszczy i rozpada się w gruzy w naszym
starym świecie. Borgiowie skończeni. Lukrecja, która
uciekła do Ferrary, stara się wydać za biednego księ-
cia i ze wściekłością usiłuje roztrwonić miliony, z któ-
rych ograbiła ongiś Rzymian. Cezar walczy bezsku-
tecznie w oddalonych prowincjach, zżerany chorobą
po zadanej przez ciebie ranie, która otwiera się przy
najmniejszym wysiłku. Sztuki, filozofja, nauki odży-
ły. Rzekłbyś, świat cały oddycha swobodnie i odradza
się. Tak, przyszło prawdziwe *odrodzenie*.

Ragastens przestał go słuchać: uśmiechał się do
Primavery i przyglądał się wysiłkom synka, który
starał się podpełznąć do niego.

— Tak, — ciągnął dalej Machiavelli, — przyszła
era odrodzenia.

W tej samej chwili mały Manfred podpełzł na-
reszcie do ojca i uczeplił się jego nogi z okrzykiem
zwycięstwa. Ragastens pochwycił go, podniósł wyso-
ko i szepnął:

— Odrodzenie!

Machiavelli, jakgdyby te słowa zreasumowały jego najgłębszą myśl, uśmiechnął się do uroczego obrazu, który miał przed oczami: do połączonych uściskiem Rosity i Beatrix, do Rafaela Sanzio, pochyłego miłośnie nad swem płótnem i do Ragastensa, podnoszącego swego syna zwycięskim ruchem wysoko w górę, potem powtórzył uroczystym tonem:

— O D R O D Z E N I E !

KONIEC.



KUPON ULGOWY.

Zamawiam wszystkie DZIEŁA MICHAŁA ZEVA-CO, wymienione w ogłoszeniu na czwartej stronie okładki na warunkach ulgowych t. zn., iż należność za powyższe DZIEŁA w kwocie 56 zł. wpłacę w 8 ratach à 7 zł. miesięcznie, lub w oprowie zł. 76 — w 8 ratach à 9.50 zł. miesięcznie

Pieniądze wysyłam jednocześnie przekazem pocztowym pod adresem STANISŁAW CUKROWSKI, WARSZAWA, SENATORSKA 29, lub wpłacam na Nr. Konta P. K. O. 24.328.

Imię i nazwisko:

Miasto:

Poczta:

STANISŁAW CUKROWSKI

WARSZAWA

Senatorska 29.